



Evangeline Anderson

BUTTERFLY
SCALES

ŁUSKI MOTYLA

BUTTERFLY SCALES

ANDERSON EVANGELINE

Tłumaczenie nieoficjalne

[DirkPitt1](#)

UWAGA

Książka zawiera obrazowe sceny seksu i wulgarny język. Tylko dla dorosłych.

Prolog

7 maja 2038, Tampa, Floryda

— *Co?*

— Zniknęła, Vince. Szukałem wszędzie przez ostatnie dwie godziny. — Powiedział Jamal.

— Kyra zniknęła dwie godziny temu, a ty dzwonisz do mnie dopiero teraz? Nie — daruj sobie. Gdzie jesteś? — Przejechał wielką dłonią po krótko ostrzyżonych, czarnych włosach. Twarz mu pociemniała, kiedy Jamal podał adres. — Zostań tam. Zaraz tam będę.

Brał ostro zakręty, wyciągając maksimum ze swojego Eternity S-5. Może gdzieś się po prostu zawieruszyła — może poszła do innego klubu i zostawiła tego frajera, Jamala. Nie chciał pozwolić myślom wędrować do jego największego lęku — że jego młodsza siostra była ostatnia z ciągu porwań, które miały ostatnio miejsce w obszarze Tampa Bay. *Proszę, Boże, wszystko, tylko nie to...*

Klub Liar's był mocno oddalony od głównej części Ybor City, najstarszej i najbardziej historycznej dzielnicy Tampa. Kilka ulic dalej, latarnie przy głównej ulicy nadal się paliły, choć była już trzecia rano.

Kyra — jego młodsza siostra, jedyna siostra. Miała tylko dwa lata, a on czternaście, kiedy pijany kierowca zabił ich matkę. Władze wysłały ich tutaj, do Tampa, żeby zamieszkali ze swoją babcią. Babcia Gertie dobrze zajęła się obojgiem, ale Vince i tak czuł, jakby w połowie sam wychował Kyrę.

Jeśli ten głupek ją skrzywdził... Od początku nie lubił Jamala. Dzieciak był kiedyś drobnym przestępcą i miał już krótką odsiadkę za dilerkę. Całe to gadanie Kyry, że Jamal jest teraz uczciwy, nie trafiało do Vince'a Roberta. Vince był detektywem z wydziału zabójstw, ale spędził trochę czasu w obyczajówce i wiedział, że dilerzy, nawet tak drobni jak nowy chłopak Kyry, rzadko rzucali to zajęcie, gdy już w nim zasmakowali.

Zatrzymał się przed klubem Liar's i natychmiast zauważył Jamala, dzięki jego jaskrawym „żywym” tatuażom, które pełzały po całej, górnej połowie jego ciała.¹ Jamal albo J, jak nazywali go przyjaciele i Kyra, nie miał na sobie koszuli, więc neonowy pomarańczowo-żółty tygrys, otaczający jego smukły, ciemnobrązowy tors, był wyraźnie widoczny. Smagał ogonem i wyginał grzbiet, gdy dzieciak się poruszał.

Vince zatrzasnął drzwiczki Eternity S-5 z większą siłą niż to było konieczne i w sekundę znalazł się na chodniku, twarzą w twarz z Jamalem.

— Chłopcze, powinienem cię zapuszkować za zabranie mojej siostry do tej nory tak późną nocą. Gdzie ona jest?

¹ E tam. Ash to dopiero miał żywy tatuaż.

— Hej, luz. Już *mówiłem*, że nie wiem. Wiem tylko, że byliśmy w klubie, a potem powiedziała, że jej niedobrze — ostatnio cały czas jej niedobrze — każdego, cholernego ranka. Wyszła, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, a ja poszedłem za nią, tylko, że powiedziała, że nie chce, żebym oglądał jak rzyga. Skręciła za róg budynku. Kiedy po nią, poszedłem, nie było jej tam. Nigdzie nie mogę jej znaleźć — jakby zniknęła, albo co!

Te słowa wysłały śmiertelne zimno do żołądka Vince’a. Ścisnął chudy kark Jamala.

— Pokaż mi, gdzie była.

— Au! *Luz*, człowieku! Tam.

Boczna alejka przy klubie Liar’s była ciemna i wypełniona kubłami na śmieci, oraz śmieciami, które do nich nie trafiły. Vince poczuł jeszcze większe zimno, kiedy zobaczył przemysłowe, zielone pojemniki, wyblakłe i pokryte wieloletnim brudem. Jak wiele razy widział ciała, zwykle ciała nieszczęsnych, młodych kobiet, które znalazły się w złym miejscu i czasie, wrzucone do takich pojemników?

— Nic nie słyszałeś? Zupełnie nic? — Wince potrząsnął młodym punkiem, aż moduł głosowy tygrysięgo tatuażu zaryczał, na chwilę go zagłuszając. Poświęcił moment na zastanowienie, skąd Jamal, który ponoć wyszedł na prostą, mógł sobie pozwolić na drogi chip modułu głosowego — MG — wszczepiany pod skórę, który powodował efekty dźwiękowe, możliwe do wykorzystania razem z równie drogim „żywym” tatuażem, pracując w Burger Kingu. *Takie MG idą lekko po dziesięć, dwanaście tysięcy. To kupa kasy.*

— Człowieku, niczego nie słyszałem. — Ciemna twarz była teraz nadąsana i zamknięta, jak gdyby Jamal nie potrafił zrozumieć, dlaczego Vince robił taki wielki problem z całej, tej sytuacji.

— Słuchaj! — Vince znowu nim potrząsnął. — Nie rozmawiamy o tym, że zgubiłeś tu swoją, najnowszą zabaweczkę. To moja *siostra* ty dupku!

— Człowieku, ma dziewiętnaście lat, nie jest dzieckiem. I dlaczego dobierasz mi się do dupy, jakby to była moja wina? Jamal kopnął do rynsztoka zabłąkany śmieć, swoim porysowanym glanem MoonDocker.

Vince wzmocnił uchwyt na karku Jamala. — Coś ci wyjaśnię, *J*. — Jego głęboki głos był groźnym warknięciem. — To nie jest najbezpieczniejsze miejsce, zwłaszcza o pierdolonej, trzeciej rano po piątkowej nocy. *Mówiłem* tobie i Kyrze, że ostatnio w okolicy Ybor zniknęło kilka dziewcząt, ale i tak ją tu zabrałeś. Więc tak, *uważam* cię za odpowiedzialnego, jeśli coś jej się stało. — Gwałtownie potrząsnął dla podkreślenia jego chudą szyją.

— Wezwę pomoc, a potem pomożesz mi szukać, aż ją znajdziemy. Lepiej się módl, żeby wszystko było z nią w porządku, bo inaczej przespaceruję się po twojej, kościstej, punkowej dupie. Zrozumiałeś?

Nadąsany Jamal pokiwał głową, a jego „żywy” tatuaż tygrysa znowu ryknął.

— I wyłącz to dziadostwo. — Vince odepchnął go od siebie i poszedł wezwać wsparcie.

Szukali godzinami, otoczyli teren, przegrzebali śmietniki — przesada w zwyczajnej sprawie zaginięcia, ale to była jego młodsza siostra i powołał się na wszystkie przysługi, jakie przysły mu do głowy. To jednak nie miało znaczenia. Niczego nie znaleźli. Vince czuł, jakby lodowate zimno z jego żołądka rozprzestrzeniło się na całe ciało. Był odrętwiały.

Jak do diabła, ma powiedzieć o tym babci Gertie? O tej godzinie musiała być już na nogach i odmawiać poranne modlitwy. Tak zaczynała każdy ranek. Ona też nie aprobowała Jamala, ale ostatnio żadne z nich nie potrafiło niczego wyperswadować Kyrze. Jego siostrzyczka zrobiła się uparta, myśląc, że jest już dorosła, bo na jesień miała zacząć studia na Stanowym Uniwersytecie Florydy. Vince martwił się, że będzie tak daleko od domu, ale cieszył się, że będzie z dala od Jamala. A teraz zniknęła... po prostu zniknęła...

— Hej, Vince. — Głos przerwał zamkniętą pętlę poczucia winy i strachu w jego umyśle, i szybko uniósł głowę by zobaczyć Terrance'a Chambersa, technika śledczego o jaskrawo rudych włosach, który do niego machał. We wczesnoporannym świetle skóra technika była blada i piegowata, a pod oczami miał ciemne kręgi. Szukali przez wiele godzin. Na darmo.

— Znalazłeś coś? — Podeszedł szybko do miejsca, gdzie mężczyzna klęczał obok jednego ze śmietników.

— Taa, ale nie spodoba ci się to. — Technik uniósł połyskującą, opalizującą łuskę wielkości dłoni Vince'a, ściskając ją ostrożnie szczypczykami. — Nie zauważyłbym jej, gdyby światło nie padło na nią pod właściwym kątem.

Vince popatrzył na łuskę, nadal przyprószoną złocistymi plamkami „pyłu wrózek”, który sprawiał, że się iskrzyła i cała siła odpłynęła z jego nóg. Opadł ciężko na beton, czując mdłości.

Połyskująca łuska była dowodem, że ktokolwiek porwał Kyrę, był tym samym, chorym draniem, który porwał już trzy młode kobiety z okolicy centrum i Ybor City, w ciągu ostatniego półtora miesiąca. Żadna z dziewczyn nie została jeszcze odnaleziona, żywa ani martwa.

— To Motyl, prawda? — Zapytał ze współczuciem technik, starannie pakując do torebki delikatną łuskę. Nadali seryjnemu porywaczowi imię Motyl, gdyż zawsze pozostawiał na miejscu porwania ten sam podpis: jedną lub dwie łuski z motyliich skrzydeł Lepida.

— Tak, to on. Oczywiście, że to on. — Vince wpatrywał się w beton, nadal widząc na granicy pola widzenia otoczoną plastikiem łuskę.

Kyra zniknęła i nie miał pojęcia czy jeszcze kiedyś ją zobaczy.

Rozdział 1

10 sierpnia 2038, Tampa, Floryda

Doktor Laura Albright wyszła ze swojego zrujnowanego szeregowca na wilgotny poranek w Tampa. Laura szarpała się z drzwiami, aż się zatrzasnęły, wiedząc, że będzie mieć piekielne trudności, żeby znowu je otworzyć, kiedy wróci z pracy.

Wywlekła ciężką, sportową torbę, służącą jej też, jako torebka i stacja robocza do rozlatującego się mercedesa klasy Z i poszukała w niej karty dostępu. W końcu ją znalazła i przerzuciła torbę przez ramię, wsuwając kartę do zamka. Karta weszła do połowy i utknęła. *No dalej, dalej...* Laura poruszyła nią niecierpliwie i została nagrodzona ostrym trzaskiem, gdy kruchy polimer pękł w zamku. *Skurwysyn!*

Położyła torbę na masce samochodu i grzebała w środku, aż znalazła zapasową kartę. Tym razem udało jej się otworzyć drzwi od strony pasażera i wpełznąć na miejsce kierowcy, ciągnąc za sobą torbę. Spociała się i zmęczyła z wysiłku i zapagnęła wrócić do środka, żeby wziąć kolejny prysznic, ale musiała jechać do pracy.

— Prohhe phodać punkt doshelowy. — Wycedził niemrawy głos Z.

— Praca. — Warknęła niecierpliwie Laura. Naprawdę musiała naprawić jednostkę modulacji głosu w Z, ale ten cholerny wóz był tak drogi, że nawet prosta część zamienna była poza jej możliwościami finansowymi. Jej grant wystarczał jej na życie w czasie, kiedy kontynuowała badania nad sztuczną inteligencją, ale nie było to zbyt luksusowe życie. Ostrzegala swojego byłego, żeby nie kupował maszyny o tak niedorzecznie zawyżonej cenie, ale jak zawsze zrobił dokładnie tak, jak chciał. Tym sposobem utknęła ze starzejącym się Z, podczas, gdy on jeździł zupełnie nowym fordem Arctic Raker.

— Nie powinnam pozwolić mu na rozwód bez orzekania o winie. — Wymamrotała pod nosem.

Auto-napęd uruchomił się i Z ruszył z szarpnięciem, które rozrzuciło papiery i jej organizer Message Buddy, który wypadł z głuchym stukotem z jej torby. Szarpiący samochód pojechał z warkotem ulicą. Laura schyliła się z westchnieniem, żeby podnieść papiery i Buddy. Nie wiedziała nawet, dlaczego go zatrzymała. W końcu jej grafik wcale już się nie zmieniał i na pewno nie zależało jej na otrzymywaniu wiadomości od byłego męża. Mimo to miała dzięki niemu pod ręką wszystkie robocze notatki, a nie stać jej było na nowszy system.

Kiedy mercedes Z czekał, żeby włączyć się do ruchu, Laura spiorunowała wzrokiem swoje odbicie we wstecznym lusterku. Zmęczone oczy w kolorze gdzieś pomiędzy niebieskim, a zielonym, były okolone ciemnymi kręgami — ostatnio nie spała zbyt dobrze, a telefony od jej szalonych rodziców, o bladym świetle w niczym nie pomagały. Jej tata zawsze miał coś nowego, o co mógł się awanturować, a jej macocha, Gloria, tylko go zachęcała.

Gęste blond włosy Laury były spięte w ciasny ogon z tyłu głowy, a twarz bez makijażu wyglądała na nagą. Grzebiąc w zmaltretowanej torbie, leżącej obok, wydobyla kilka pałeczek barwiących i udało jej się nałożyć cień na powieki i trochę barwy na wargi, zanim się poddała.

Z wtopił się w końcu w ruch na Sligh i przejechał obok poobijanego znaku, głoszącego *Posiadłości Ogród Armenii*, sąsiedztwo Laury. Skrzywiła się, kiedy znak przepłynął za oknem. Pewnie, mieszkała w Armenii, ale nie było tu ogrodów, a zapuszczony rząd szeregowców, który nazywała domem, nie kwalifikował się do miana posiadłości. Jakiś czas temu, na przełomie wieku, zanim jeszcze się urodziła, ktoś wpadł na błyskotliwy pomysł, ponazywania wszystkich kwartałów w mieście, być może w celu pobudzenia turystyki. Od tego czasu Tampa się stoczyła. Zardzewiałe znaki ze swoimi, pełnymi nadziei i nierealistycznymi nazwami były wszystkim, co pozostało z tego idealistycznego planu.

Samochód kierował się do Channelside, gdzie mieściło się jej laboratorium. Nie była to najbezpieczniejsza część miasta, ale należała do najtańszych. Grant z uniwersytetu Tampa nie był dość duży, żeby miała cały sprzęt, którego potrzebowała i bezpieczne miejsce do pracy. Jej głównym zabezpieczeniem był fakt, że ta okolica była w większości opuszczona i nikt nie pomyślałby, żeby szukać tu samotnej kobiety. Jej dodatkowym zabezpieczeniem był mały, metalowy pojemnik pieprzowego spreju Atomic Pepper — reklamowanego hasłem *Twoja Potężna, Przenośna Ochrona!* — przechowywany gdzieś w czarnej dziurze jej przepastnej torby.

Z jechał Dale Mabry, mimo iż wielokrotnie próbowała zaprogramować go, żeby korzystał z bocznych uliczek, zamiast głównych dróg. Przeklęła przestarzały system Map-Quest i z rezygnacją nastawiła się na dłuższą jazdę — w końcu nikogo nie obchodziło czy była na czas.

Dale Mabry zwięzła się z czterech do dwóch pasów i dźwiękochłonne wnętrze Z nie było wystarczające, żeby zagłuszyć ryczące klaksony i przekleństwa niecierpliwych kierowców, którzy utknęli za nią na szybkim paśmie. Pojazd mógł być przestarzały, ale gdy był nowy, był autem z najwyższej półki i nadal upierał się jeździć wewnętrznym pasem, jakby przewodził stadu. To była kolejna część jego oprogramowania, którego Laura nie była w stanie zmienić. Żeby zagłuszyć hałas z tyłu, włączyła radio i przełączyła na ulubioną stację.

— *Dokładnie jeden-zero-jeden-pięć!* — Krzyknął nagrany głos. — Stacja *lat dwudziestych!* — Ciasne wnętrze Z wypełniło się nagle hiperpunkiem. Zagrożenie dla Genitaliów śpiewało remiks *Girl Scout Cookies from Hell*.²

Ciężkie, basowe tony wypełniły samochód niebieskimi i fioletowymi kwiatami, które eksplodowały w powietrzu, zasłaniając jej pole widzenia. Laura westchnęła i wyłączyła, zanim Zagrożenie zaczęło drugą zwrotkę. Jedną funkcją Z, którą *chciała* widzieć zepsuta, był przestarzały wzmacniacz transferencji dźwięku — znacznie bardziej cieszyła ją muzyka, kiedy nie mogła jej zobaczyć. Poza tym słuchanie piosenek z czasów, gdy była nieszczęśliwą nastolatką, sprawiało, że czuła się stara. *Boże. Wiesz, że zbliżasz się do grobu, kiedy poświadcą*

² A teraz, drogie dzieci, sprawdzian ze znajomości literatury. © W której książce tej autorki również wspomniano zespół o takiej nazwie?

całą stację radiową muzyce z czasów twojej, zmarnowanej młodości. Pomyślała ponuro. *A zaraz potem: Skończ z tym, Lauro — ledwie skończyłaś trzydziestkę. Nie jesteś jeszcze gotowa na dom starców.*

Ponieważ Z nie osiągał nawet minimalnej prędkości dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę, miała czas zauważyć migający neonowy znak i skierować pojazd do zjazdu do Paradise Pancake House.³ Równie dobrze mogła zjeść śniadanie, stwierdziła. Dojazd do pracy i tak trwał wieczność, a do czasu, gdy skończy swoje gofry, ruch na drodze się zmniejszy. Przekrzywiony napis pod mrugającym neonem, głosił: „Witamy w Raju!” Laura uśmiechnęła się cierpko. *Jeśli to jest Niebo, nie chciałabym oglądać tego drugiego miejsca.*

Wyłączyła Z i czekała wieczność, aż jego drzwi uniosą się i otworzą, przypominając sobie, żeby zrobić miejsce na fotelu pasażera, żeby miała jak wejść do środka po śniadaniu. Od tej pory to prawdopodobnie miała być jej metoda wsiadania do Z. Nie wyobrażała sobie, żeby w najbliższym czasie miała pieniądze na naprawę zamka w drzwiach od strony kierowcy.

Wyglądziła granatową spódnicę i białą bluzkę, i dotknęła karku, żeby upewnić się, że gruby węzeł jej blond włosów się nie rozluźnił. Potem, biorąc głęboki oddech, weszła do jadalni.

Właściwie nie było tak źle, ponieważ to miejsce było praktycznie opustoszałe. Kierowca ciężarówki przy kontuarze był zmęczony, podobnie jak kelnerka w średnim wieku, nalewająca mu kawę. Poza tym w środku była mieszana grupka dwudziestokilkulatków w lewym kącie, wyraźnie próbujących dobudzić się po nocy imprezowania. Żadne z nich nie było dość blisko, żeby ich wyczuć i Laura zamierzała utrzymać ten stan. Trzymając spuszczoną głowę, przeszła szybko do łoży w prawym rogu i usiadła plecami do ściany.

Używając serwetki z zasobnika, zmiotła okruchy, pozostawione przez ostatnich lokatorów łoży i przejrzała zalaminowane, lepkie od syropu menu. Gofry z jagodami wyglądały dobrze, chociaż wiedziała, że jagody były prawdopodobnie syntetyczne. Większość warzyw i owoców w dzisiejszych czasach było. *Wygląda na to, że przybrałaś tu kilka kilo, kochanie. Może przemyślisz jedzenie tych gofrów — idą ci prosto w uda.* Laura zacisnęła na chwilę powieki, żeby przepędzić głos byłego męża. Minął rok, odkąd go widziała, ale nadal ją wkurwiał. Bedzie jadła gofry, jeśli chce, dlaczego by nie? W końcu nie miała w swoim życiu mężczyzny, którego obeszloby, że nosiła rozmiar dwanaście zamiast sześć. Albo dwa, jak... nie ważne. Westchnęła.

Czekając, aż zmęczona kelnerka przy kontuarze ją dostrzeże, Laura patrzyła na stary magazyn Time, który ktoś zostawił, zwinięty za stojakiem na menu. Na okładce, poniżej logo, znajdował się obrazek czarnej dłoni, ściskającej białą. W tle były opalizująconiebieskie skrzydła Lepida, otaczające obie dłonie i pokryte złocistą, podobną do pyłku substancją. Połyskujące, złote plamki zostały nazwane „pyłem wrózek” przez oczarowane media, które ubóstwiały międzygwiazdnych gości od czasu, gdy stało się jasne, że nie planowali ataku na planetę w hollywoodzkim stylu. Nagłówek mówił: *Reintegracja Ameryki. Czy Lepidzi mogą pomóc?*

³ Naleśnikowy Raj.

Laura leniwie przejrzała artykuł. To była stara gazeta. Lepidzi, skrót od lepidoptera, lub motylki, gdyż był to ziemski gatunek, który najbardziej przypominali, byli też nazywani Tyłkami, Muchami i Robalami przez, co bardziej ksenofobiczne tabloidy. Lepidzi pojawili się w trzydziestym czwartym, tuż po wyborach prezydenckich, obiecując pokój, przyjaźń i międzygalaktyczny handel, nie wspominając o lekach na większość cięższych chorób, wliczając w to większość form raka i AIDS.

Teraz już prawie nikt nie chorował, ani nie wywoływał wojen i po raz pierwszy od czasu, kiedy prezydent Williams, pierwszy prezydent Afroamerykanin ⁴ został wybrany i zamordowany, co spowodowało rozruchy w całym kraju, ludzie w Ameryce znów się jednoczyli. „Społeczności Separatystów”, takie, jak ta w której była wychowywana Laura, powoli traciły popularność. Chociaż jej ojciec i macocha uparcie odmawiali wyprowadzenia się z ich strzeżonego i zamkniętego osiedla, większość ludzi szła po rozum do głowy, a polityczna poprawność wracała do łask.

Wszystko to, dzięki Lepidom, pomimo prób administracji Harrisa, żeby przypisać sobie część zasług. Jednak obcy, którzy byli w większości odpowiedzialni za te wydarzenia, byli też w większości niewidoczni. Łagodna rasa o szczupłych, czarnych ciałach wysokości dwóch metrów i lśniących, opalizujących skrzydłach, dobrowolnie ograniczyła się do swoich statków i kilku zastrzeżonych stref na całym świecie. Jednym z takich miejsc była Baza Sił Powietrznych MacDill w South Tampa, gdzie po raz pierwszy nawiązano kontakt. Gdzie Laura po raz pierwszy ich spotkała.

Co jakiś czas jeden z pełnych gracji obcych pojawiał się z miejscowym czy państwowym politykiem lub jakimś dyrektorem generalnym z listy Fortune 500, ale komunikacja głosowa była dla nich trudna i męcząca. Do dłuższych rozmów lub mediacji wymagali człowieka „wrażliwego” na emocje innych, który miał interpretować ich oparty na emocjach język.

Laura z drzeniem odepchnęła czasopismo, kiedy kelnerka nawiązała w końcu kontakt wzrokowy. *Nie ma sensu o tym myśleć.* Lepidzi nie byli niczym nowym. Byli przeszłością, a o przeszłości lepiej było nie myśleć. Lepiej nie myśleć, jakie to było uczucie, być owiniętą tymi ogromnymi, połyskującymi skrzydłami, tak jaskrawymi, gdy się na nie patrzyło i tak zimnymi w dotyku. Lepiej nie pamiętać mrozu zera absolutnego obcego umysłu w jej własnym.

Aż do zeszłego roku Laura była interpretatorką języka dla obcej rasy — to była jedyna rzecz, do jakiej nadawała się jej upośledzająca wrażliwość na emocje wszystkich wokół niej. Razem z jej eks, prowadziła firmę, specjalizującą się w komunikacji Ludzko-Lepidzkiej. Od czasu rozvodu wróciła do bycia zwykłą, starą dziwaczką, próbującą jakoś przeżyć w zewnętrznym świecie. *Próbującą po prostu siedzieć w restauracji i zamówić gofry bez zwariowania.* Laura westchnęła i odepchnęła tę myśl.

Zmęczona kelnerka skinęła jej głową, ale zamiast podejść, zawołała kogoś z zaplecza. Zza metalowych, wahadłowych drzwi za kontuarem wyszła naburmuszona nastolatka i powlekła się do stolika laury, łapiąc po drodze filizankę i spodek, z denerwującym brzękiem.

⁴ Książka pisana przed prezydenturą Obamy. ☺

Na widok nowej kelnerki, Laura skuliła ramiona i wstrzymała oddech. Ze zmęczeniem prościej było sobie poradzić niż z emocjami irytacji czy gniewu, a w dodatku natychmiast mogła powiedzieć, że dziewczyna była *projektorem* — wszystko, co czuła, Laura odczuwała jak krzyk do ucha albo uderzenie w twarz. Ciemnoniebieskie włosy zasłaniały jej przymknięte oczy. Dziewczyna walnęła wyszczerbioną, porcelanową filiżanką o stół i tupnęła stopą w lepką podłogę z kafelków.

— Co ma być?

Laura odsunęła się tak niezauważalnie, jak tylko mogła, kiedy emocje dziewczyny zalały ją wściekłymi falami. *Świetnie, nastoletni gniew, właśnie tego mi było trzeba.* Związały jej żołądek w supeł i jej chęć na gofry gwałtownie zniknęła.

— Proszę tylko kawę. — Powiedziała uprzejmie, mając nadzieję, że szybko się jej pozbędzie.

— Dobra. — Dziewczyna odwróciła się, żeby wziąć dzbanek z podgrzewacza na kontuarze i z powrotem, żeby bez większego zainteresowania nalać jej do filiżanki gorącego, brązowego płynu. Rozchlapał się i utworzył kałużę na lepkiem blacie przed Laurą.

— Trina! — Starsza kelnerka za ladą zauważyła wypadek. — Nie mówiłam ci, żebyś uważała? Wiesz, że kawa jest gorąca.

— *Przepraszam.* — Mruknęła zaciekle dziewczyna. Pochyliła się naprzód, nadal trzymając w ręce dzbanek i wytarła bałagan garścią chusteczek z zasobnika. Jej gwałtowne ruchy sprawiły, że więcej kawy przelało się przez krawędź dzbanka, prosto na przód białej bluzki Laury. Wyczuła natychmiastowy, parzący ból, ale to bardziej palące uczucie urazy niż gorąca kawa na bluzce, spowodowało, że Laura pisnęła i odskoczyła.

— O mój Boże, *naprawdę* mi przykro. — Tym razem dziewczyna była szczerą, ale też niezadowoloną. Jej umysł był szaroczarłą mieszanką strachu, wściekłości, irytacji i gniewu. Wyciągnęła rękę z serwetkami, żeby wytrzeć przemoczoną bluzkę, a Laura poczuła gułę przerażenia, wędrującą w głąb gardła jak zimne gofry. *Jeśli mnie dotknie...* Dotykanie tak bardzo to pogarszało.

— *Przepraszam.* — Laura przepchnęła się, uciekając z boksu w panicznym pośpiechu. Za jej plecami dzbanek wypadł dziewczynie z ręki i rozprysnął się jak bomba.

Laura usłyszała warknięcie starszej kelnerki: — Cholera, posprzątaj to! — A potem skierowane do niej: — Hej... hej, nie chcesz niczego? *Naprawdę* nam przykro z powodu plamy!

Laura szła dalej. Czuła intensywne zainteresowanie innych klientów, skubiące jej skórę jak ryba w sadzawce, kiedy oderwała poplamioną kawą bluzkę od poparzonej klatki piersiowej. *Powinnam wrócić, powinnam coś powiedzieć...* Ale wydostanie się na otwarty teren było ważniejsze.

Niezdarnie wydostała się na zewnątrz, zderzając się z podwójnymi, szklanymi drzwiami, chwiejąc się na obcasach, które nagle wydały się zbyt wysokie. Ruszyła, żeby oprzeć się o

brudnobiały bok mercedesa Z. Odrzuciwszy głowę w tył, odetchnęła kilka razy parnym powietrzem słonecznego, sierpniowego dnia, nie dbając, że zaczęła się już pocić w wilgotnym żarze. Czuła się, jakby w samą porę uciekła z pomieszczenia, wypełnionego trującym gazem. Płuca jej płonęły, a ciało chciało drżeć.

Wyprostowała się i zmusiła nogi do unoszenia jej wagi. Niedobrze. Była głupio słaba. *Dziewczyna była projektorką, nie mogłam nic na to poradzić... Bzdura!* Nie powinna sobie pozwolić na tak mocną reakcję, nie ważne, jak głośnie były emocje dziewczyny. *To moja własna wina, że spędzam całe dnie, mając do towarzystwa tylko Artiego i inne AI.⁵ Kiedy nadal byłam zamężna i pracowałam w bazie, przynajmniej moja tolerancja była wyższa. Chociaż nastolatki zawsze są trudniejsze.* Wiedziała, że to kiepska wymówka.

Laura popatrzyła na swoją, przemoczoną bluzkę. Zrujnowana. No cóż, może miała coś na zmianę w laboratorium. Przynajmniej jej uda były bezpieczne przed goframi.

⁵ Sztuczna inteligencja.

Rozdział 2

— Roberts, nie zmuszaj mnie, żebym znowu kazał ci to zostawić. — Ponure spojrzenie, którym obrzucił go kapitan Wilcox, stopiłoby stal, ale nie zniechęcił Vince’a Roberta.

— Proszę posłuchać, kapitanie, tu nie chodzi tylko o Kyrze i wie pan o tym. Dziewczyny nadal znikają i ciągle znajdujemy łuski — musi być jakiś związek.

— Taa. Znamy ten związek. Jakiś chory drań porywa dziewczyny i zostawia podpis w postaci łuski. To ta sama teoria, którą zawsze mieliśmy, aż w zeszłym tygodniu ci odbiło. — Kapitan jak zwykle wyglądał na udręczonego. Na komisariacie Tampa nigdy nie było spokojnego dnia.

— To nie szaleństwo. Niech pan o tym pomyśli, kapitanie. Te łuski...

— *Nie* są takie rzadkie. Na litość Boską, możesz je sobie kupić na e-bay’u.

— Ale nie są tanie. — Wytknął Vince. — Sprawdziłem — nie da się ich kupić za mniej niż tysiąc za sztukę. Dlaczego ktoś miałby wydawać tyle kredytów na podpis?

— Nie wiem... żeby być wyjątkowym. Żeby przyciągnąć naszą uwagę. — Kapitan Wilcox postukał niecierpliwie rysikiem w raport i wyjrzał przez okno na znajdujące się poniżej, zatłoczone skrzyżowanie ulicy Franklina. Przez szkło dały się słyszeć ciche dźwięki klaksonów i elektrycznych silników.

— Gdyby tak bardzo chciał naszej uwagi, porywałby białe dziewczyny i pan o tym wie. — Vince odepchnął na bok stos papierów i usiadł na brzegu biurka z plasti-drewna. — Ale nie taki rodzaj zabiera. Czarne. Latynoski, do diabła, ta ostatnia była Azjatką — tajlandzką dziewczyną, o imieniu Ploi Nygen. Z wyjątkiem Kyry i tej ostatniej, za żadną nikt nie będzie tęsknił. To pracujące dziewczyny, wyrzutki, bezdomne, niezamężne matki...

— Wiem to wszystko, Roberts. Nie wiem tylko, dlaczego nagle zdecydowałeś, że ten przestępca nie jest człowiekiem.

— Nigdy tego nie powiedziałem. Twierdzę tylko, że według mnie nie możemy wykluczyć jakiegoś zaangażowania Tyłków, kapitanie.⁶ To musi być ktoś, kto jest z nimi jakoś powiązany.

Kapitan Wilcox przesunął grubą dłoń po rzednących, siwych włosach. — Więc przychodzisz tutaj, spodziewając się, że uwierzę, że to nasi piękni przyjaciele z kosmosu, przyjaciele, którzy, tak się składa, że wyleczyli większość zabójczych chorób na Ziemi i powstrzymali wojny na środkowym wschodzie, a u nas zamieszki na tle rasowym — chcesz, żebym uwierzył, że pierdoleni Lepidzi są nagle odpowiedzialni za porywanie dziewczyn z Ybor

⁶ Tak, wiem jak brzmi to zaangażowanie tyłków. Pretensje kierować do autorki. W oryginale też robili z butterflies butters.

i centrum Tampa? Roberts, czy ty słyszysz samego siebie? Miałbyś większą szansę, oskarżając o to papieża!

— Nie słucha mnie pan. — Vince utrzymywał cichy i kontrolowany głos. — Nigdy nie powiedziałem, że to oni. Ale musi być w to zaangażowany ktoś, kto ma do nich dostęp, a jeśli rzeczywiście tak jest, istnieje duża możliwość, że Tyłki przynajmniej o tym wiedzą. Proszę posłuchać, kapitanie, wiem, jak to brzmi, ale nic innego nie pasuje. — Zmarszczył brwi i ze zmęczeniem potarł ręką cień zarostu, wywołując odgłos papieru ściernego. — Mówisz, że *nie chcesz*, żeby, co innego pasowało. — Powiedział miękko kapitan. Wstał i okrążył biurko, żeby stanąć przed Vincem, a następnie położył rękę na szerokim ramieniu detektywa. W jego wyblakłych, niebieskich oczach była troska. — Posłuchaj, Vince, wiem, o co chodzi. Kyra była twoją młodszą siostrą i kochałeś ją. Minęły trzy miesiące. Jeśli to ludzki przestępca, to, cóż, prawdopodobnie ona już nie żyje. Ale gdyby porwały ją Tyłki, istnieje szansa, że jest gdzieś na ich statku matce, nadal żywa. Rozumiem, naprawdę.

— Vince gniewnie strząsnął jego rękę. — Nie, *nie rozumie* pan. Ale mówiłem, że tu nie chodzi o Kyrę — w każdym razie nie tylko. Czuję, że jestem na jakimś tropie.

Kapitan Wilcox uniósł ręce i wrócił za biurko. — Nie mam dzisiaj na to czasu, Roberts. Niecałe pięć minut zanim wszedłeś, dostałem na biurko zupełnie nowe, podwójne zabójstwo. Prawdę mówiąc, możesz je dostać. — Uniósł niepozorną, manilową kopertę z wystającymi z niej papierami. Pewnego dnia komisariat Tampa zacznie używać wideo-ekranów, jak reszta współczesnego świata. Pewnego dnia.

— Zaraz... — Wince uniósł ręce na wysokości piersi, dłońmi na zewnątrz. — Kapitanie, wie pan, że mam komplet spraw.

— Już nie. Od tej chwili zdejmuję cię ze sprawy Motyla i przypisuje cię do tej. Przykro mi Roberts, ale mnie do tego zmuszasz. Jesteś za blisko tej sprawy — straciłeś perspektywę. Martinez i Blanco zajmowali się robotą papierkową w tej sprawie, więc mogą łatwo zacząć od miejsca, w którym skończyłeś.

— Kapitanie...

— Roberts, nie chcę słyszeć ani słowa na ten temat. Weź tę sprawę. — Wcisnął akta w ręce Vince'a. — Mówiłeś, że chcesz porozmawiać z kimś blisko Tyłków — to twoja szansa. Ten gość i jego żona kierowali HLC, Human-Lepids Communication. Jedyna firma w rejonie Zatoki, zajmująca się komunikacją międzygatunkową.

— Taa, wiem. — Vincent miał złe przeczucia. — Niech mi pan powie, że sztywniakiem nie jest Gerald Hoyt. Miałem spotkać się z nim dzisiaj na rozmowę.

Kapitan pokiwał głową. — Obawiam się, że tak. Mają biuro na Wyspie Davisa. Sekretarka przysłała dziś rano i znalazła oboje martwych, zastrzelonych z przyłożenia i mnóstwo krwi. Zadzwoiła pod 911 w stanie hysterii. Czarnobiały⁷ już tam jest, a trupiarka⁸ jest w drodze.

⁷ Radiowóz. Określenie pochodzące od tradycyjnych kolorów wozów policyjnych w USA.

⁸ Mają Amerykanie takie ciekawe określenie na karetkę - meat wagon.

Chcę, żebyś tam pojechał i zobaczył, co możesz wygrzebać. Ta dwójka to znane osoby, przyjaciele burmistrza i w ogóle. Właściwie Gerald Hoyt był pierwszym gościem, który nawiązał kontakt z Tyłkami. *Wszyscy* będą chcieli wiedzieć, co się stało.

Innymi słowy, ta sprawa jest ważniejsza od kilku etnicznych dziewczyn z nizin społecznych, na których nikomu nie zależy. Vince z trudem pohamował gniewne słowa. Pomimo napięć etnicznych w wydziale, kapitan Wilcox zawsze traktował go uczciwie i w określony sposób nadal dawał Vince'owi szansę na przyjrzenie się Lepidom. Chociaż jeśli jedyny w mieście „wrażliwy”, był martwy, jego śledztwo zrobiło się właśnie znacznie trudniejsze. Mocno ściskając manilową kopertę, bez słowa wyszedł z gabinetu.

Wyspa Davisa nie była daleko od śródmieścia, gdzie mieścił się komisariat Tampa. Vince wskoczył do Eternity i przejechał mostem, łączącym ten mały skrawek lądu z resztą Tampa Bay, przeglądając akta Hoytów, gdy auto-napęd wiozł go do ich biura. Hoyt miał doktorat z biochemii, ale w trzydziestym czwartym szybko przekwalifikował się na komunikację Ludzko-Lepidzką, kiedy nawiązano kontakt. Vince zmarszczył brwi. Jak się przechodziło z biochemii do obco-ludzkiej komunikacji?

Nie potrafił dużo powiedzieć o tym człowieku, kiedy umawiał się na spotkanie przez wideofon. Wąskie rysy, rzędzące, jasnobrązowe włosy i orzechowe oczy. Gerald Hoyt należał do „wrażliwych”, ale jego dar zdecydowanie nie był widoczny na twarzy. Jednak, jak zauważył Vince, facet przekuł go na kupę kasy. Gwizdnął cicho z zaskoczenia, gdy przejrzał powierzchowne akta. Luksusowe mieszkanie w Hyde Park i biuro na Wyspie Davisa — oba opłacone bezpośrednio, bez żadnej hipoteki. Oczywiście wrażliwi byli rzadkością — ostatnie szacunki, które słyszał, mówiły, że tę zdolność miał jeden człowiek na około pięćset tysięcy — więc przypuszczał, że Gerald Hoyt mógł pozwalać sobie, liczyć za swoje usługi, ile zechciał.

Domy migające za oknem, zaczęły robić się bogatsze i położone dalej od siebie, a potem dotarł do głównej ulicy, obszaru zajmowanego przez niewielkie butiki i fantazyjne bistra. Samochód zatrzymał się obok biura nieruchomości, reklamującego „czarujące”, niewielkie bungalowy z dwoma sypialniami i jedną łazienką, już za jedyne trzy miliony kredytów. Poza krawężnikiem parkował już ambulans i radiowóz z dwoma umundurowanymi funkcjonariuszami. Funkcjonariuszka, którą Vince rozpoznał, jako Lizę Rodriguez, obejmowała ramieniem rozhisteryzowaną, starszą kobietę. Jej partner, Ben Turner, rozmawiał z kierowcą karetki.

Vince wziął głęboki oddech i wypuścił go. Chwycił parę lateksowych rękawiczek, trzymanyh w pudełku na desce rozdzielczej, wyszedł z Eternity i kiwnął głową dwójce mundurowych.

— Rodriguez, Turner, co już wiecie?

— Niewiele więcej niż ty, dotarliśmy tu dopiero dwadzieścia minut temu. — Wyjaśnił Turner, trzymając kciuki, zaczezione za pas. — Przysięgam, że niczego nie dotykaliśmy. — Uniósł ręce i potrząsnął głową. — Ciała są na podłodze w głównym pomieszczeniu biura. Wygląda na to, że ktoś sobie postrzelał, ale nie zgłoszono żadnej strzelaniny. Nie ma też śladu włamania. Sekretarka, — Szarpnięciem głowy wskazał płaczącą kobietę koło swojej partnerki. — mówi, że jak zwykle otworzyła sobie drzwi kluczem i nie wiedziała, że coś jest nie w porządku, dopóki nie weszła powiedzieć dzień dobry. Technicy są w drodze. Czuj się jak u siebie.

— Dzięki, Turner, dobra robota. — Uśmiechnął się, a młody oficer zarumienił się po cebulki blond włosów. Chciał zostać detektywem, a Vince o tym wiedział. Biorąc pod uwagę fakt, że był na miejscu dopiero od kilku minut, Turner zebrał parę użytecznych informacji. Będzie musiał wspomnieć o tym kapitanowi, jeśli nadal nie będzie na posterunku persona non grata.

Wnętrze głównego biura było słabo oświetlone i chłodne. Vince naciągnął lateksowe rękawiczki i zapalił światła, przygotowując się na to, co zobaczy. Nie ważne, jak często pracował nad zabójstwem, pierwsze spojrzenie na martwe ciało zawsze go poruszało. Nie chodziło nawet o metodę morderstwa. To był fakt, że została zabita żywa istota, że leżące przed nim zwłoki, były kiedyś oddychającą, myślącą, czującą osobą, a ktoś postanowił na zawsze zgasić tę iskrę życia, która czyniła ją unikalną.

Vince wpatrywał się w dwa ciała, rozciągnięte na drogo wyglądającym, perskim dywanie, pokrywającym wypolerowany parkiet. Dywan wchłonął większość krwi, ale jej zapach unosił się metalicznie w powietrzu.

Mężczyzna, Gerald Hoyt dostał dwa strzały za uchem, a rany wylotowe zmasakrowały jego twarz. Kobieta, przypuszczalnie jego żona, Francine Hoyt, oberwała niżej. Jej ptasia klatka piersiowa była wklęsnięta od impetu, jakby ktoś użył na niej kija baseballowego. Sięgające ramion, jedwabście czarne włosy zakrywały jej twarz, a krótka, różowa sukienka była rozdarta, jakby próbowała uciec, a ktoś złapał ją i zatrzymał. Na zawsze.

Co, jeśli Kyra leży gdzieś w ten sposób? Vince potrząsnął głową. Nie było sensu tak myśleć — jego mała siostrzyczka nadal była gdzieś żywa. *Musiła być.*

Na solidnym, mahoniowym biurku znajdowało się więcej oznak dobrego życia. Najnowsze łącza Sieci i holofon, kosztujący tyle, co dom Vince'a, który leżał beztrząsco odrzucony. Vince podniósł go ostrożnie i sprawdził pamięć — została wymazana. Więc to nie był rabunek. *To było coś osobistego.*

Stało tam małe, trójwymiarowe zdjęcie, oprawione w mocną, platynową ramkę. Przedstawiało Geralda i Francine na jakiejś tropikalnej plaży. Prawdopodobnie nie miejscowej, ponieważ w tle widać było statek, a statki nie zawijały już do portu w Tampa.

Na fotografii twarze Geralda i Francine były zrelaksowane i szczęśliwe, a kiedy zakołysał ramką, pomachali i uśmiechnęli się. Mały chip głosowy, umieszczony gdzieś w ramce, uruchomił się i cienki, cichy głosik Geralda powiedział „Kocham cię, Francine”.

Vince'a uderzyło, że była między nimi przynajmniej dwudziestoletnia różnica wieku. Francine wyglądała dobrze, jeśli ktoś lubił wysokie, chude, trochę chłopięce kobiety, za czym on nie przepadał.

Już miał odstawić zdjęcie, kiedy coś przyciągnęła jego uwagę. Wysuwając zdjęcie z ramki, zobaczył pod spodem inne.

To było staroświecką, płaską fotografią bez efektów specjalnych. Przedstawiała kobietę w wieku gdzieś pomiędzy Geraldem, a Francine. Miała bujne blond włosy koloru ciemnego miodu i oczy w trudnym do zdefiniowania odcieniu zmiernych.

Vince pokręcił głową. Skąd to podwójne zdjęcie? Czy blondynka była dawną ukochaną? Była kochanką? Posiadała rodzaj wrażliwego piękna, które naprawdę przyciągało oko.

Schował płaskie zdjęcie do wewnętrznej kieszeni kurtki. Chciał sprawdzić czy uda mu się dostać jakieś odpowiedzi od sekretarki. Przy odrobinie szczęścia Rodriguez już ją uspokoiła. Przyjrzy się jeszcze temu miejscu przed odejściem, ale w międzyczasie technicy będą chcieli wejść i sprawdzić wszystko dokładnie.

Wyszedł akurat, kiedy technicy wchodzili do środka. Vince zauważył rudowłosego laboranta, którego pamiętał z okropnego poranka, kiedy zniknęła Kyra. To był po prostu kolejny numer na rosnącej liście zaginionych dziewczyn, które wszyscy wydawali się mieć gdzieś. Potrząsnął głową i potarł zmęczone oczy. *Nie mogę teraz o tym myśleć.* Terrance — tak nazywał się ten facet. Nie widział go od jakiegoś czasu.

— Hej, Vince. Jak leci?

— Dość kiepsko. A co u ciebie, człowieku? — Vince zdjął lateksowe rękawiczki, żeby ucisnąć mu dłoń.

— Jestem tutaj, nie? Nie widziałem cię, odkąd twoja sioś... — Terrance skrzywił się i szybko zamknął.

— Posłuchaj. — Powiedział gładko Vince. — Kapitan mówił, że to ma być priorytetowa sprawa, a ty masz bystre oczy. Więc jeśli zobaczysz cokolwiek, o czym powinienem wiedzieć... — Pozwolił zdaniu się urwać.

— Pewnie, człowieku. Żaden problem.

— Świetnie. To do zobaczenia później. — Vince klepnął go w ramię i poszedł dalej.

Szybki rzut oka na sekretarkę Hoytów potwierdził, że mogła być gotowa na rozmowę. Szloch kobiety ograniczył się do czkawki i pociągania nosem, i nie chowała już twarzy w

ramieniu Rodriguez. Vince wyprostował krawat i podszedł, próbując wyglądać uprzejmie i niegroźnie, pomimo jednodniowej szczeciny, pokrywającej jego policzki. *To tylko przyjazny detektyw wydziału zabójstw z sąsiedztwa, proszę pani. Nie ma powodu do strachu.*

— Dzień dobry, jestem detektyw Roberts. Muszę zadać pani kilka pytań.

Spojrzała na niego zaczerwienionymi, nieufnymi oczami. Była drobną latynoską, zaskakująco etniczną jak na Wyspę Davisa, która według plotek, była w dawnych, złych czasach gniazdem aktywności Separatystów. Zwracając się do Rodriguez, powiedziała coś pośpiesznie po hiszpańsku, a policjantka uspokoiła ją i popchnęła delikatnie w kierunku Vince'a, który próbował wyglądać jednocześnie autorytatywnie i czarująco.

— Widzę, że tamta kawiarenka jest otwarta. Może porozmawiamy przy kawie? — Wskazał przeciwną stronę ulicy, gdzie właśnie została otwarta francuska restauracja z szyldem, na którym kursywą z zawijasami napisano „Le Madeline”.

Sekretarka obrzuciła go kolejnym, długim, oceniającym spojrzeniem i Vince wiedział, co zobaczyła. Był wielkim gościem, metr dziewięćdziesiąt wzrostu i sto kilo samych mięśni. Nie robił tego celowo, ale wiedział, że kiedy był spięty, albo koncentrował się mocno na sprawie, często się krzywił. Po komisariacie krążył żart, że Vince mógł grać złego glinę lepiej niż ktokolwiek, po prostu stojąc nieruchomo i wyglądając normalnie. Wiedząc o tym, włożył szczególny wysiłek w uśmiech i wyglądanie uspokajająco, a potem, działając pod wpływem instynktu, zaoferował jej ramię.

— W porządku, pani... — Vince spojrzał w dół, na malutką kobietę, nadal ścisnęła jego ramię. Jej głowa sięgała mu ledwie do łokcia.

— Panno, Lola Sanchez. — Powiedziała wyraźnie, akcentowanym angielskim. — Chodźmy. — Poprowadziła go przez ulicę, najwyraźniej zdecydowawszy, że można mu ufać. Siedli na rachitycznych, kawiarnianych krzesłach, w cieniu dużej, różowej markizy, plecami do sceny, która ciągle rozgrywała się przed biurem HLC.

Po zamówieniu kawy, Vince wziął się do pracy.

— Jak długo pracuje pani dla Hoytów? — Zapytał, biorąc rysik świetlny i notatnik, połączony z jego komputerem na posterunku.

— Byłam z nimi, z panem Geraldem, od dawna. Odkąd otworzył firmę w trzydziestym piątym. Pan Gerald był pierwszym człowiekiem, który wymyślił najlepszy sposób rozmowy z Lepidami. — Mała kobieta pokiwała głową z dumą.

Vince dał jej znak, żeby kontynuowała, zauważając, że użyła poprawnego terminu zamiast któregoś ze slangowych określeń. Lepidzi, a nie Tyłki, Muchy czy Robale.

— Sam zaczął ten interes, zbudował go od podstaw, a ja byłam z nim od pierwszego dnia. Przyjaźniłam się z jego matką. — Wyjaśniła.

— Więc co się stało? Proszę opowiedzieć mi wszystko, co pani pamięta. Czy przychodzi pani do głowy ktoś, kto mógłby to zrobić, mógłby chcieć pozbyć się pana Hoyta?

Pokręciła smutno głową. — Nie wiem. Po prostu weszłam dziś jak zwykle, piętnaście po siódmej rano i ich zobaczyłam... w tym stanie... *Dios mio...*⁹

Vince bał się, że mogłaby zacząć znowu płakać, ale wtedy przyniesiono kawę. Pociągnęła łyk i najwyraźniej się uspokoiła. Popatrzyła na Vince'a. — Nie wiem, kto mógł to zrobić, ale przez ostatnie kilka dni pan Gerald był bardzo nerwowy — zmartwiony. Nawet na mnie krzyknął. — Rozszerzyły jej się oczy.

— Zwykle tego nie robił?

— O nie, pan Gerald zazwyczaj staje się bardzo milczący, kiedy jest wściekły. Ale przez tych kilka, ostatnich dni... — Obiema rękami wykonała ruch, symbolizujący chaos. — A potem, zeszłej nocy, zanim wyszłam około siódmej, słyszałam jak krzyczał i wrzeszczał do telefonu, a Francine płakała.

— Wie pani, z kim rozmawiał? — Vince zapisywał pospiesznie.

— Nie. To był telefon na jego prywatną linię — holofon, który niedawno kupił. Nie chciałam być niegrzeczna ani znowu go zdenerwować, więc po prostu wyszłam. Teraz myślę, że może powinnam była zostać.

— Proszę mi opowiedzieć o tej firmie. Jak działała? Czy pan Hoyt zajmował się całą komunikacją z Lepidami? — Zapytał szybko Vince, próbując ją uspokoić. Zanotował sobie, żeby sprawdzić zapis połączeń.

— Ostatnio tak. Wcześniej większością zajmowała się pani Hoyt.

— Francine? — Zapytał Vince. — Ona też była wrażliwa?

Panna Sanchez wyglądała na zde gustowaną, jakby to imię pozostawiło nieprzyjemny posmak w jej ustach. — Ta puta?¹⁰ Nie *wyczułaby* słonia, gdyby wylądował jej na głowie.

— Wyczuła? — To słowo wydawało się mieć szczególne znaczenie.

— Emocje... oni są wrażliwi, czują emocje innych. Nazywają to *wyczuwaniem*. W taki sposób rozmawiają z Lepidami. Widzi pan, Lepidzi mogą z nami rozmawiać, ale to ich męczy. Łatwiej im mieć kogoś, kto tłumaczy, kogoś, mówiącego w ich języku. Rozumie pan?

Vince skinął głową. Lola Sanchez ożywiła się, rozmawiając na ten temat.

— Więc Francine nie była zbyt *wrażliwą*, wrażliwą? — Zapytał.

Prychnęła. — Ha — może była wrażliwa na konto bankowe pana Geralda. Około półtora roku temu przyszła, chcąc, żeby ją wyszkolić. Była *lekko* wrażliwa na uczucia. Nie za bardzo,

⁹ Mój Boże.

¹⁰ Dziwka.

ale pan Gerald myślał, że potrafi ją wytrenować. — Znowu prychnęła. — Nie potrafił. W ten sposób skończył, robiąc wszystko samemu, kiedy pani Hoyt... panna Laura go opuściła.

Vince sięgnął do wnętrza kurtki i wyciągnął zdjęcie blond kobiety.

— To ona? Znalazłem to w biurze.

— Och, nie wiedziałam, że pan Gerald nadal trzymał to zdjęcie. Tak, to ona. — Lola Sanchez uśmiechnęła się. — Silna kobieta — i dobra. — Pokiwała głową do własnych myśli.

— I mówi pani, że też była... *jest* wrażliwą? — Puls Vince'a przyspieszył. Jeśli w mieście był inny wrażliwy, inna osoba, powiązana z Lepidami, jego śledztwo mogło stać się znacznie prostsze. Z drugiej strony, jeśli była byłą żoną, była teraz podejrzana o morderstwo, co dawało mu oficjalny powód, żeby się z nią spotkać, mimo, że kapitan Wilcox zdjął go ze sprawy Motyla. Stłumił uśmiech.

— Panna Laura jest *najwrażliwsza*. — Akcent Loli Sanchez zrobił się mocniejszy, gdy się podekscytowała. — *Mira* — pan Gerald mawiał, że panna Laura wyczułaby, gdyby dwa kilometry dalej, pies wbił sobie cierń w łapę. — Znacząco postukała stół o szklanym blacie.

— Rzeczywiście wrażliwa. — Powiedział ostrożnie Vince, zastanawiając się, ile mogło być w tym prawdy. Prawdopodobnie, z jakiegoś powodu, Tyłki chętniej komunikowały się z niektórymi ludźmi. Pociągnął łyk swojej kawy. — Więc pojawiła się Francine, a pani Hoyt — Laura... odeszła?

— Tak. — Lola Sanchez wyglądała na smutną. — Wiedziała, że pan Gerald ją zdradzał. Ona też była z nim od samego początku, porzuciła własną karierę, żeby pomóc mu zbudować jego interes. Potem, kiedy znalazła jego i Francine, powiedziała dość i zegnaj. Wyszła i już nie wróciła. — Strzepnęła dłonie w geście wyrażającym ostateczność.

— To brzmi bardzo poważnie. — Vince zanotował to na podkładce. — Więc myśli pani, że była wściekła? Może wystarczająco wściekła, żeby to zrobić? — Ruchem głowy wskazał przez ramię, na zatłoczone miejsce zbrodni za nimi.

Nieduża sekretarka wyglądała na zszokowaną. — Co — zastrzelić pana Geralda i Francine? Madre de Dios, nie!¹¹ Panna Laura wcale taka nie jest. Kiedy dowiedziała się o Geraldzie i Francine nawet nie krzyczała. Nie zaciągnęła go do sądu i nie oskubała ze wszystkich pieniędzy, jak zrobiłoby większość kobiet.¹²

Vince uniósł brwi. — Pan Hoyt całkiem dobrze radził sobie sam. Więc po prostu pozwoliła mu zatrzymać wszystko i odeszła?

Pokiwała poważnie głową. — Tak, wróciła do tego, co robiła, zanim poznała pana Geralda. Coś z... robotami? Na Uniwersytecie Tampa. Nie jestem pewna, ale to było coś, gdzie nie musiała pracować z ludźmi. Mówiła, że ludzie ją męczą — prawie tak, jak Lepidzi.

¹¹ Matko boska.

¹² Może nie jest głupia, ale na pewno mało praktyczna.

— Więc, dlaczego sądzi pani, że nie byłaby zdolna do zastrzelenia pana i pani Hoyt? — Sondował.

Oczy małej sekretarki błysnęły gniewnie. — Czy nie powiedziałam właśnie, że ona czuje ból innych? Jak mogłaby znieść zabicie kogoś? To byłoby jak zabicie samej siebie!

— Mmm-hmm. — Vince pokiwał głową. *Pewnie.*

Zesztywniała i usiadła prościej na kruchym, kawiarnianym krześle. — Nie wierzy mi pan.

— Nie, nie. — Pospieszył z zapewnieniem Vince. Mimo to widział, że stracił nic porozumienia. — Nie przypuszczam, że wie pani gdzie jest teraz Laura — pani Hoyt? — Zapytał z nadzieją.

Brązowe oczy były jak granit. — Przykro mi, ale niczego więcej nie pamiętam. Mogę już iść?

— Jeszcze jedno. — Vince spojrział na swoje notatki, z wahaniem zawiesiwszy rysik nad przyciskiem wysłij. — Mówiła pani, że pan Hoyt był ostatnio zdenerwowany. Czy wie pani, że przyjął jakichś nowych klientów, spotkał się z nowymi ludźmi?

Lola Sanchez zmarszczyła brwi i pokręciła głową. — Nie. Tylko z tymi, co zwykle. Zawsze z ważnymi osobistościami, które chciały porozmawiać z Lepidami, wymieniać pomysły, może technologię. I z ludźmi z MacDill.

— MacDill? Baza sił powietrznych?

— Pewnie. — Znów napiła się kawy, opróżniając filiżankę. — Pan Gerald cały czas tłumaczył dla rządu. Czasem sprowadzali własnych ludzi — swoich własnych wrażliwych. Ale przez większość czasu korzystali z usług pana Geralda i panny Laury, kiedy ich ludzie byli zajęci gdzie indziej. Nie ma wielu wrażliwych, są bardzo wyjątkowi. — Powiedziała z oczywistą dumą. — Poza tym to tam spotykają się z Lepidami — oni nie lądują gdziekolwiek. Tylko w MacDill.

— Jest pani tego pewna? — Vince przyjrzał jej się uważnie. Podobno Lepidzi ograniczyli się do określonych, zastrzeżonych stref, ale zastanawiał się, jak dobrze przestrzegali narzuconych samym sobie ograniczeń.

Skinęła głową. — Całkowicie. Widziałam ich tylko, kiedy raz czy dwa pojechałam do bazy z panem Geraldem i panną Laurą. Zostają tam. Zbyt wielu ludzi ich stresuje. Nie można nawet podejść do nich za blisko. Tylko wrażliwi mogą to zrobić — żeby się komunikować.

— Tak, rozumiem. Dziękuję, panno Sanchez. — Vince wstał ostrożnie ze słabego krzesła i wyciągnął rękę. — Skontaktuję się, jeśli będę potrzebował więcej informacji i proszę do mnie zadzwonić, jeśli przypomni pani sobie coś jeszcze. — Wyciągnął wizytówkę i podał ją jej.

Wzięła ją z oczywistą niechęcią. Vince zastanawiał się czy wizytówka skończy, owinięta w serwetkę, kiedy stąd pójdą.

— Nie przypuszczam, żeby miała pani o niej więcej informacji? — Jeszcze raz stuknął w płaskie zdjęcie Laury Hoyt, zanim schował je do kieszeni.

Lola Sanchez pewnie pokręciła głową. — Niech pan zostawi pannę Laurę w spokoju. To dobra kobieta. Nie zrobiłaby czegoś takiego. — Szarpnęła podbródkiem w kierunku przeciwnej strony ulicy, gdzie biuro HLC nadal było pełne policji.

— Rozumiem. Dziękuję, panno Sanchez, była pani wielką pomocą. — Chciał jeszcze raz porozmawiać z Terrance'em, zanim stąd pójdzie, a potem będzie musiał na własną rękę dowiedzieć się czegoś o Laurze Hoyt.

Rozdział 3

— No, no, Vince, mój kumplu. Mam ci coś do pokazania. — Terrance miał w sobie szczenięcą gorliwość, która sprawiała, że Vince chciał się uśmiechnąć.

— Już patrzę. Co masz? — Uniósł żółtą taśmę oznaczającą miejsce zbrodni, którą ktoś w końcu rozwinął i wszedł do biura.

Terrance uniósł torebkę. Wewnątrz znajdowała się połyskująca, opalizująca łuska, trochę większa od dłoni Vince'a. Migotała złocistymi plamkami światła nawet w ciemnym biurze. — Kolejna łuska. — Wyjaśnił niepotrzebnie technik.

— Taa, sam widzę. — Vince spróbował łagodnego podejścia. — Ale ten gość, Hoyt był głównym wrażliwym na tym terenie. Komunikacja z Lepidami to cały jego interes. Więc łuska w jego biurze może nie znaczyć zbyt wiele.

Piegowata twarz Terrance'a wydłużyła się. — Taa, pewnie masz rację. Po prostu pomyślałem, że to może cię zainteresować, bo ta jest świeża.

— Świeża? Co masz na myśli? Skąd wiesz? — Coś szarpnęło mu się w żołądku, kiedy podszedł, żeby wziąć zapakowaną łuskę.

— Spokojnie. — Terrance wskazał łuskę w szerokiej, brązowej dłoni Vince'a. — Widzisz te plamki, pył wrózek?

— Tak. I co z tego? — Vince wpatrywał się w połyskujące, złote pyłki, które wydawały się poruszać po powierzchni łuski.

— Co z tego? To, że nadal tu są. Wiesz, że znikają. Pozostają tylko przez około pół dnia. Nie zauważyłeś?

— Nie. — Vince miał odrętwiały język, za to jego umysł pędził. Jedyne łuskami Lepidów, jakie widział, były te znalezione w miejscach porwań ze sprawy Motyla, a one wszystkie miały połyskujący, złocisty pył na swojej szorstkiej, opalizującej powierzchni. Tyle, że nigdy nie wrócił później do magazynu dowodów, żeby je obejrzeć, po prostu założył, że wyglądają tak samo. Do diabła, nadal miał łuskę, znaną na miejscu zniknięcia Kyry, upchniętą gdzieś w bagażniku swojego Eternity S-5, ale nigdy jej nie oglądał. Sama wiedza, że tam była, wystarczała mu do przypomnienia o swojej stracie.

— Daj mi to zrozumieć. — Mocniej chwycił łuskę, czując jej szorstką wytrzymałość przez śliski plastik. — Jak długo blaknie pył?

— No cóż. — Terrance wzruszył ramionami. — Nigdy tego nie mierzyłem, ani nic w tym stylu. Ale powiedzmy, że... może dwanaście do czternastu godzin? Plus, minus.

— Plus, minus. — Mruknął pod nosem Vince. — Zaczekaj tu chwilę. Chcę coś sprawdzić.

Wybiegł z biura i złapał pannę Sanchez, gdy wsiadała do minitaksówki. — Przepraszam, panno Sanchez, muszę jeszcze zapytać...

— Tak? — Popatrzyła na niego z maleńkiego wnętrza jednoosobowego pojazdu, nadal ponurym i nieufnym wzrokiem.

— Powiedziała pani, że Hoytowie jeździli do MacDill, żeby zajmować się komunikacją? Z Lepidami?

Skinęła głową. — Zgadza się. To jedyne miejsce, gdzie w tej okolicy lądują Lepidzi. Co z tego?

— Czy byli tam ostatnio? Powiedzmy, w ciągu ostatnich dwunastu godzin? Mogli pojechać tam zeszłej nocy, po pani wyjściu?

Pokręciła głową. — Nie sędzę — baza jest zamykana po ósmej. A przed tym telefonem Francine mówiła, że jest zmęczona i chce iść do łóżka. Zawsze wcześniej przychodzili do biura, więc wczesne chodzenie spać było dla nich ważne. — Zmarszczyła brwi. — Właściwie nie byli w bazie przez cały, zeszły tydzień.

Vince uchwycił jej wyraz twarzy. — Czy to coś dziwnego?

— Zwykle jeździli tam codziennie. Zawsze jest ktoś, kto chce spotkać się z Lepidami.

— W porządku, dziękuję. — Vince uśmiechnął się do niej uśmiechem, który wydał mu się sztuczny i wrócił do biura. Łuska, którą nadal ścisnął, była świeża. Musiała być. Ktokolwiek zabił Hoytów, przyniósł ze sobą świeżą łuskę, albo... *albo to Lepidzi przyszli we własnej osobie. Tylko czy Lepid by kogoś zastrzelił?* Wydawało się, że to bardziej ludzki sposób na popelnienie morderstwa, ale co on wiedział o obcych? Jak większość ludzi, nigdy żadnego nie widział, z wyjątkiem rzadkich okazji w telewizji czy czasopiśmie. Vince potrząsnął głową. *Nie, to musiał być ktoś z nimi powiązany.*

— Vincent? Hej, ziemia do Vincenta.... W porządku, wielkoludzie?

Zauważył, że Terrance wpatruje się w niego z marsmem na piegowatej twarzy.

— Przepraszam. — Mruknął. — Słuchaj, Terrance, jaki jest czas zgonu tej dwójki?

— Przypuszczalny czas zgonu to między piątą, a szóstą rano. A co? — Terrance podrapał się w kark, mierzwiąc swoje włosy, przypominające jaskraworudy, koguci ogon.

— Nic. Po prostu muszę... — Vince pokręcił głową. — Muszę się stąd wyrwać i coś sprawdzić. Na razie zabiorę to ze sobą. Dopilnuję, żeby wróciło na miejsce. W porządku?

Terrance wyglądał powątpiewająco. — No dobra, człowieku, tylko upewnij się, że znajdziesz się w magazynie dowodów. Ale hej, — Wskazał plastikową torebkę, ściśniętą lekko w dłoni Vince'a. — uważaj na to, dobra? Nie wyciągaj jej.

Vince prawie obrócił się by odejść, ale odwrócił się z powrotem. — Czemu nie? — Popatrzył na połyskującą łuskę, pełną złocistych plamek. Wydawały się prawie... żywe.

Twarz Terrance'a poczerwieniała jak jego włosy i powiedział cicho. — Dobra, nie śmiej się, bo to dość dziwne. Może tylko mi się zdawało, ale ostatnim razem, kiedy taką znaleźliśmy, złamałem przepisy i jej dotknąłem. Chciałem po prostu zobaczyć, jaka jest w dotyku. Wiesz, że są zbyt szorstkie, żeby zdjąć z nich odciski, nie?

Vince pokiwał niecierpliwie głową, zastanawiając się, dokąd zmierzała ta opowieść.

— No więc... — Terrance przeniósł ciężar z jednej stopy na drugą, a jego gumowe podeszwy zapiszczały na wypolerowanym parkiecie. — Więc musiałem potrzebować nos albo oczy, albo byłem na jakimś, kontaktowym haju, nie wiem. Ale kiedy tamtego wieczora wróciłem do domu, czułem się naprawdę... dziwnie. Nie potrafię tego wyjaśnić. Dziwacznie.

— Jak dziwacznie? — Zapytał Vince, przenosząc wzrok z łuski na czerwoną twarz Terrance'a.

— Po prostu *dziwacznie*. Jak... Skończyło ni się psie żarcie więc musiałem dać psu to dietetyczne, które kupuje mu moja żona. Więc daję mu je i mam takie paranoiczne uczucie, że jest na mnie *wściekły*. Mój własny pies, na litość boską. Jakie to pieprznięte?

— Terrance. — Vince klepnął go w ramię. — Zgadzam się z tobą. Chyba przydałby ci się lekarz. — Uśmiechnął się.

— Tak, tak. — Uszy technika zrobiły się prawie szkarłatne z zawstydenia. — Wyśmiewaj się, stary. Po prostu nie otwieraj tej torebki. Okay?

— Załatwione i dzięki. Doceniam, że to robisz. — Po raz ostatni ścisnął chude ramię.

Pozwalając samochodowi zabrać go pod adres, który według danych meldunkowych był ostatnim miejscem zamieszkania Laury Hoyt, Vince porównał łuski. Ta, którą właśnie dał mu Terrance połyskiwała i wyglądała na żywą z tymi złocistymi plamkami „pyłu wrózek”. Ta, wygrzebana z bagażnika, znaleziona na miejscu porwania Kyrzy, była matowa i bez życia.

Jedna myśl nie opuszczała jego głowy. Dlaczego u diabła, nie zauważył tego wcześniej? Miał to tuż przed nosem. Gdyby choć *raz* spojrzął na łuskę w bagażniku, mógłby dodać dwa do dwóch. Świeże łuski mogły pochodzić tylko od kogoś blisko związanego z Lepidami albo samego Lepida. A w tej chwili szukał jedynej znanej osoby w tym mieście, która potrafiła komunikować się z Tyłkami. Tej samej osoby, która była najbardziej prawdopodobną podejrzaną w sprawie makabrycznego, podwójnego zabójstwa.

Ale najpierw zapytam ją o łuski. Dowiem się, co wie o przeklętych Lepidach, do diabła, dowiem się czy wie coś o Kyrze. Sama ta myśl sprawiała, że serce biło mu szybciej. Nikt nie przeszkodzi mu w odzyskaniu siostry.

Eternity S-5 zatrzymał się przed grupą budynków mieszkalnych, wyglądających, jakby mogły się rozsypać, gdyby się o siebie nie opierały. Vince uniósł wzrok znad łusek i przeczytał

pobliski plakat, wiszący krzywo na najbliższym domu. „Witamy w Colonial Village. Gdybyś tu mieszkał, byłbyś już w domu”.

Ruszył pękającym chodnikiem i zapukał w wypaczone drzwi z synti-drewna.

— Halo? Jest tam ktoś? — Pukał i dzwonił przez około pięć minut. Wizjer obserwacyjny był zepsuty, jego maleńkie, elektroniczne oko zwisało bezwładne i ciemne z cienkiego czułka, więc wiedział, że musiałyby odpowiedzieć osobiście. Jednak nie ważne, jak głośno pukał, nikt nie podchodził do drzwi. W środku nie zaszczeakał nawet pies. Budynek promieniował atmosferą opuszczenia, miejscem zamykanym na dzień, w którym rzadko ktoś mieszkał.

Laury Hoyt nie było w domu.

Rozdział 4

Wybierz Elaine Brushard na Prezydenta. Właściwy Wybór na Właściwe Czasy.

Laura uśmiechnęła się lekko, kiedy zauważyła kątem oka informacje na holograficznym billboardzie. Kandydatką była poważnie wyglądająca Afroamerykanka z siwiejącymi włosami i dłońmi, ułożonymi równo na kolanach. Poważnie kiwała głową, gdy samochody przejeżdżały obok niej prawie zbyt szybko, żeby to zauważyć.

Jej żołądek zaburczał, narzekając z powodu przegapionych gofrów. Och, miała w laboratorium pudełko proteinowych batonów z syntetycznego jabłka. Pierwsze, co zrobi, gdy tam dotrze, to się przebierze i zje śniadanie.

Z zwolnił i telepał się opustoszałymi ulicami, mijając magazyny, w których obecnie nie przechowywano niczego prócz kurzu i wspomnień. Laura mogła wynająć część jednego za śmiesznie niską cenę. Stał w pobliżu nabrzeża i opuszczonej fabryki chemikaliów.

Z zwolnił jeszcze bardziej i zatrzymał się przed brudnym, metalowym budynkiem, ozdobionym smugami rdzy i glonów. Laboratorium Laury mieściło się z przodu, gdzie kiedyś było olbrzymie biuro, w czasie, gdy firma, będąca właścicielem magazynu, nadal istniała. Oferowało prywatność, elektryczność i klimatyzację, konieczność, biorąc pod uwagę delikatny sprzęt, z którym pracowała. Drzwi frontowe, szeroki, przesuwany panel metalu, który trzaskał głośno, kiedy otwierała go bądź zamykała, był już lekko odsunięty.

Laura zmarszczyła brwi. Naprawdę będzie musiała pogadać o tym z Artie'm — uściślić jego programowanie. Artie był jej eksperymentem, dotyczącym konsekwencji obdarzenia sztucznej inteligencji wolną wolą. Ściśle mówiąc nie był robotem, raczej osobowością, nad którą ciągle majsterkowała, która żyła w samobieżnej, zasilanej energią słoneczną skorupie. Miał pozwolenie na wychodzenie rano, zanim słońce zrobiło się zbyt nieznośne, żeby się doładować, ale Laura prosiła, żeby nie zostawiał otwartych drzwi.

Jej pierwszym polem studiów w college'u, zanim zaangażowała się w relacje Ludzko-Lepidzkie z Geraldem, była komunikacja. W pewien sposób jej wybór kierunku był atakiem zarówno na jej ułomność, jak i sposób, w który została wychowana. Nadal słyszała głosy rodziców, kiedy ściągała pudła ze swoimi rzeczami po spiralnych schodach podobnego do pałacu domu jej ojca, w Heron's Point. Point, jak nazywali jej miejscowi, było ogrodzoną społecznością Separatystów na Wzgórzach Zefiru, nadającą nowe znaczenie słowu „ekskluzywny”. Tylko bardzo bogaci i bardzo biali mieli, po co składać podanie o możliwość zamieszkania w tym miejscu.

„Nigdy ci się to nie uda, Lauro. Jak zamierzasz żyć w zewnętrznym świecie ze swoim zaburzeniem?” Jej ojciec, wysoki, arystokratyczny mężczyzna ze stalowoszarymi włosami stał u stóp schodów i patrzył na nią z gniewną dezaprobatą.

Wtedy wtrąciła się jej macocha, Gloria, drobna kobieta z tlenionymi, blond włosami i jadownicie zielonymi oczami. „Ciasteczko, jesteś zbyt *delikatna*. Na tym świecie nie jest bezpiecznie dla takiej ślicznej dziewczyny, jak ty. Tylko pomyśl, na jaki rodzaj *ludzi* możesz się natknąć... wiesz, co mam na myśli”.

Laura doskonale wiedziała, co miała na myśli jej macocha ze swoim, fałszywym, słodkim, Południowym akcentem. Ale wiedziała też, że musi stąd uciec, uciec do świata poza Heron's Point, gdzie powietrze nie było wypełnione nienawiścią i nieufnością. Wyprowadziła się i poszła na USF, ze stypendium, które pomogła jej otrzymać jej mentorka i przyjaciółka, Judy Candis. Pokryło książki i chesne, a Laura pracowała w uniwersyteckiej księgarni, żeby mieć pieniądze na czynsz i jedzenie.

Gdy teraz o tym pomyślała, to ją zdumiewało. Jak była w stanie znieść te wszystkie, potwornie głośne emocje nastolatków i młodych dorosłych. Nie było łatwo. Czasami wracała nocą do akademika, brała środek uspokajający i przyciskała poduszkę do głowy, próbując stłumić wpływ setek żyjących, oddychających, wściekających się istot wokół niej.

Była pewna, że teraz nie potrafiłaby tego zrobić. Westchnęła, wyczołgując się z Z, ciągnąc za sobą swoją torbę. Słońce uderzyło w nią natychmiast jak cios złocistym młotem. Wilgoć sprawiła, że pasma włosów, które uciekły z surowego koka na jej karku, zwinęły się w małe korkociągi. Było ledwie po dziewiątej, a upał już był nieznośny.

Laura pomyślała o absurdalnym incydencie w naleśnikarni. Nie wiedziała czy to kontakt z Lepidami przez tyle lat wyostrzył jej zmysły i w jakiś sposób wzmocnił jej zaburzenie, czy po prostu jej tolerancja była niska po izolowaniu się przez rok od rozwodu. Jednak już sama myśl o ponownym, regularnym wychodzeniu w świat, o tak wielu ciałach i emocjach, tłoczących się wokół niej, przyprawiała ją o to samo ograniczające uczucie przerażenia i mdłości, które mógłby czuć ktoś z klaustrofobią, patrząc w głąb ciasnej, wąskiej szafy.

Wtedy, w czasie, gdy była starszą nastolatką i później, kiedy miała dwadzieścia kilka lat, przeprowadziła ją przez to czysta siła woli. Czuła szczególny tryumf, kiedy oznajmiła, że jej wybrany kierunek to komunikacja. *Komunikacja, rozmowy z ludźmi, bycie z innymi ludźmi, każdym rodzajem ludzi: czarnymi, białymi, gejami, hetero — zmierzcie się z tym, tato i Glorio. To właśnie myślę o waszych przesądach. To właśnie myślę o waszym pomysłu, że miło byłoby zamknąć mnie w bezpiecznym miejscu jak jakieś zmutowane, szaleńczo wrażliwe zwierzątko, które trzeba trzymać w zamknięciu dla jego własnego dobra.*

Ale przypuszczała, że to jej rodzice śmiali się ostatni. Była na kierunku Komunikacja, ale jej dodatkowym przedmiotem była Sztuczna Inteligencja. W końcu te dwie dziedziny się połączyły. I z kim się teraz komunikowała? Z AI bez prawdziwej osobowości, bez prawdziwych emocji, którymi musiała się przejmować. Pracowała tutaj, w opuszczonym magazynie, na granicy, który udało jej się wydebić od wydziału naukowego Uniwersytetu Tampa, kiedy jej małżeństwo poszło w diabły.

A teraz Judy nie żyła i Laura nie miała, z kim rozmawiać, poza rodzicami, którzy z każdym dniem wydawali się stawać bardziej szaleni i bardziej wściekle separatystyczni i Artie'm,

topornym AI, które sama zbudowała. Z Geraldem nie rozmawiała odkąd rok wcześniej zostawiła jego i Francine samym sobie. Mogła być samotna, ale nie aż *tak* samotna.

— Artie? — Weszła po pochylni do laboratorium, rozpinając przesiąkniętą kawą bluzkę, nie dbając, że była na zewnątrz, w pełni widoczna. Nie było tu nikogo, kto mógłby ją zobaczyć, poza małą, sztuczną inteligencją. Gdzie on się właściwie podział?

Laura zsunęła z ramion zaplamioną bluzkę i zarzuciła ją na przedramię, poświęcając chwilę na rozkoszowanie się światłem na nagich ramionach i górze piersi. Jej biały biustonosz też miał kilka plam po kawie, ale musiała po prostu jakoś z tym żyć.

Pchnęła przesuwne, metalowe drzwi i została nagrodzona piskiem i zgrzytem, od którego się skrzywiła. Musiała kupić do nich trochę oleju. Cud, że Artie w ogóle był w stanie sam je otworzyć. Samobieżna kapsuła, w której żył, nie była obdarzona tak dużą siłą.

— Artie? — Zawołała znowu. Laboratorium było ciemne, a klimatyzacja maksymalnie podkręcona, powodując, że na jej nagiej skórze pojawiła się gęsia skórka. Laura zamknęła drzwi i weszła w głąb pomieszczenia, opuszczając poplamioną koszulę i ciężką torbę na pobliskie krzesło. Tylko kilka górnych świateł było zapalonych. Zwykle próbowała zapalać tylko te, nad jej aktualnym projektem, żeby zaoszczędzić na rachunku za prąd. W laboratorium było bardzo cicho. Artie powinien już się z nią przywitać. Laura rozejrzała się niespokojnie, wypatrując znajomego, matowo srebrnego błysku kapsuły małego AI.

Nagle zeszytniała. Było tu coś... ktoś... Nić emocji popieściła jej nerwy. Poruszenie, ekscytacja, gniew, zainteresowanie... *seksualne* zainteresowanie przesunęło się wolno po jej napiętej ze strachu skórze. *Ktoś jest tutaj, w laboratorium... kto... jak?* Jej oczy zaczęły szukać gorączkowo, przeczesując kałuże cienia w oddalonych kątach ciemnego pomieszczenia. Nie zobaczyła niczego prócz ciemności.

— Artie? — Jej głos załamywał się teraz z napięcia, z przerażenia. Laura cofnęła się powoli do krzesła, gdzie zostawiła swoją torbę.

— Artie, gdzie jesteś? — Nasłuchiwała terkoczącego ślizgu jego kółek na porysowanej, kafelkowej podłodze, ale usłyszała tylko własny ciężki i szorstki oddech. Potem od kałuży ciemności w dalszej części pomieszczenia oddzielił się cień i ruszył ku niej. Natychmiast czerwony węzeł emocji zrobił się silniejszy, ocierając się o nią jak szorstka dłoń o nagą, wrażliwą skórę.

— Jeśli szuka pani swojego metalowego przyjaciela, to myślę, że wyszedł sobie na słońeczko. — Głos był głęboki i szorstki jak niskie, mrukiwe warknięcie. Męski głos.

— Kto... dlaczego...? — Laura gmerała zdrętwiałymi palcami w torbie, próbując znaleźć dotykiem pieprz w sprayu, nie odrywając wzroku od wielkiego mężczyzny, idącego w jej kierunku z cienia.

— Cieszę się, że panią złapałem. — Powiedział. Jego głos był pomrukiem czystej groźby. — Mam kilka pytań. Takich, na które tylko pani może mi odpowiedzieć.

Rozdział 5

— Kim jesteś i czego chcesz? — Jej poszukujące palce natrafiły w końcu na zimny metal Atomic Pepper — sprej i to, że miała go w ręce, zwiększyły jej pewność siebie.

— W tej chwili ja tu zadaję pytania. — Zrobił kolejny krok naprzód i mogła zobaczyć jego twarz. Piorunowały ją twarde, brązowe oczy. Były osadzone szeroko w ciemnej twarzy o ostrych rysach i wysokich kościach policzkowych. Pełne, czerwone usta były ściśnięte w gniewną, wąską linię, a jego emocje ciągle *naciskały* na nią nieubłaganie. Ale nawet czerwone kłębowisko gniewnych myśli, tłoczących się jak pasażerowie w przepelnionym wagonie metra, nie odwróciło uwagi Laury od jednej rzeczy.

Czarny, on jest czarny... Wbrew jej woli, wróciła do niej każda okropna rzecz, przed jaką ostrzegali ją ojciec i Gloria, jeśli wyprowadzi się z domu w Heron's Point. *Porwanie, morderstwo, gwałt...*

— Nie zbliżaj się do mnie. — Laura ścisnęła mocniej metalowy cylinder, z paniką szukając palcem wskazującym przycisku. Jej racjonalny umysł wiedział, że takie myślenie było głupotą. Nie istniała większa szansa, że zostanie zgwałcona przez czarnego, niż przez białego. Tyle, że chwili, kiedy jej ciało było całkowicie w trybie uciekaj lub walcz i znajdowała się w laboratorium półnaga z nieznanym mężczyzną, jej racjonalny umysł nie całkiem ją kontrolował.

— Posłuchaj, nie zamierzam... — Zrobił kolejny krok naprzód i instynkt Laury przejął kontrolę.

Płynnym ruchem wyjęła metalowy pojemnik z torby i nacisnęła przycisk, tryskając mu w twarz skoncentrowanym strumieniem...

— Au! Co do *chuja*? — Miał zaczerwienione oczy, ale nadal się zbliżał. Laura stała, zamarła w miejscu. Napis na pojemniku spreju Atomic Pepper, przechwalał się, że użyty pieprz był genetycznie zmodyfikowany by miał pięćset razy większą siłę niż ten spożywczy. Dlaczego jej napastnik nie padał na podłogę, wymiotując, wrzeszcząc i próbując wydrapać sobie oczy?

— Mój... mój sprej musiał być wadliwy. — Dopiero, kiedy przewrócił swoimi zaczerwienionymi, ale w pełni sprawnymi oczami, zdała sobie sprawę, że powiedziała to na głos.

— O nie, działa *świetnie*. — Wyrwał pojemnik z jej bezwładnych palców, ruchem tak szybkim, że ledwie go zauważyła. — W tej chwili czuję się całkowicie świeżo i kobieco. — Obrócił pojemnik na bok i pokazał jej.

— O mój Boże. — Spryskała go swoim lawendowym, kobiecym dezodorantem w spreju. Laura poczuła, że rumieni się od palców stóp, po cebulki włosów. Wspaniale, miała zaraz zostać zgwałcona przez tego ogromnego mężczyznę, a jedyne, co potrafiła zrobić, żeby się obronić, to oblanie mu twarzy tym, co jej przyjaciółka Judy zwykła nazywać „cipkowymi perfumami”. *Świetna robota, Lauro, dlaczego przy okazji nie zastrzelisz go tamponem?*

Przygryzła wargę i spróbowała przygotować się na nieuniknione, ale zamiast złapać ją i zedrzeć z niej resztę ubrania, mężczyzna usiadł na laboratoryjnym stołku z wysokim oparciem i spiorunował ją wzrokiem.

— Czy teraz, kiedy nie czuję się już niezbyt świeżo, możemy, proszę, porozmawiać? — Głęboki, grzmiący głos był poirytowany, a jego inwazyjne emocje kłuły ją jak igły kaktusa oparzenie słoneczne.

— Nie, dopóki nie powiesz mi, kim u diabła jesteś i co robisz w moim laboratorium. — Laura skrzyżowała ramiona na klatce piersiowej, próbując wyglądać, poważnie, pomimo faktu, że nadal była bez bluzki. Dzięki bogu, że nie postanowiła ściągnąć też poplamionego kawą stanika.

— Dobrze. — Westchnął ciężko i poczuła, że jego emocje trochę się uspokajają. — Jestem detektyw Vincent Roberts, policja Tampa. — Wyciągnął wielką, brązową dłoń.

— Nie podaję rąk. — Powiedziała krótko Laura. — Legitymacja?

Ponura twarz zrobiła się jeszcze bardziej ponura i cofnął rękę. W milczeniu sięgnął do wewnętrznej kieszeni dobrze skrojonego, sportowego płaszcza i wyciągnął etui z prawdziwej skóry, otwierając je by pokazać matowo srebrną odznakę.

Laura, która nie odróżniłaby prawdziwej policyjnej odznaki od fałszywki nawet, gdyby ta ugryzła ją w tyłek, mimo wszystko zrobiła przedstawienie z uważnego oglądania. W końcu uniosła wzrok, spotykając jego twarde, brązowe oczy tak spokojnie, jak mogła.

— W porządku. Czego pan chce?

— Pani pomocy. — Powiedział. — W oficjalnym śledztwie. Co one dla pani znaczą? Z bocznej kieszeni wyciągnął parę plastikowych torebek i położył je na stole przed nią.

Laura przyjrzała się uważnie dwóm łuskom Lepida, jednej połyskującej pyłem, a drugiej matowej i suchej. Czy to było jakieś podchwytliwe pytanie? Wszyscy wiedzieli, że skrzydła ich gości Obcych, składały się z tych połyskliwych, opalizujących łusek. To była powszechna wiedza. Co on próbował udowodnić?

— To łuski Lepida. — Powiedziała w końcu, szturchając palcem tę świeższą.

— Proszę przyjrzeć się bliżej. — Jego głos był autorytatywnym warknięciem, od którego zjeżyły jej się włoski na karku. — Widzi pani, jakąś różnicę?

— Ta jest świeża. A ta stara. — Laura wskazała najpierw połyskującą łuskę, a potem tę matową. — Co pan próbuje udowodnić, *detektywie*?

— Próbuję po prostu ustalić czy zna pani różnicę.

— Każdy, kto wie cokolwiek o Lepidach mógłby to panu powiedzieć.

— Ale nie każdy miałby dostęp do tak świeżych łusek, jak ta? Nie zgodzi się pani?

Laura wzruszyła ramionami. — Tak przypuszczam. Skąd pan je wziął?

— Czy wiedziała pani, że mamy ostatnio epidemię zaginięć w rejonie Zatoki? — Zapytał, nie odpowiadając na jej pytanie. — Porwania dziewczyn. Głównie z okolicy śródmieścia i Ybor City. W każdym z tych miejsc znajduje się jedną lub dwie takie łuski — *świeże* łuski. — Postukał w nowszą łuskę, a połyskujące iskierki na jej powierzchni wydawały się poruszyć pod plastikiem z ekscytacją, pod wpływem jego dotyku.

— Nie wiedziałam. Proszę mi powiedzieć, co to ma wspólnego ze mną? — Laura użyła tak zimnego głosu, jak to było możliwe. Było jasne, że o coś ją oskarżał, choć nie było jeszcze całkiem oczywiste, o co.

— Może nic. A może wszystko. Jak trudno byłoby pani zdobyć świeże łuski Lepida, pani Hoyt?

To nazwisko było jak sól sypana na ranę. — Nazywam się Albright — doktor Laura Albright — i *wolę*, żeby zwracano się do mnie właściwie.

— Mmm. — Przyjrzał jej się oceniająco i poczuła napływający od niego zimny rodzaj zainteresowania, kostkę lodu, przesuwającą jej się w dół kręgosłupa. — Przepraszam, doktor Albright. A teraz niech pani odpowie na pytanie.

Laura wzięła głęboki oddech. Zaczynała naprawdę marznąć w mocno klimatyzowanym magazynie, ale nie zamierzała pozwolić mu zobaczyć jak drży. Mocniej skrzyżowała ramiona na klatce piersiowej, a jego oczy podążyły za tym gestem, sprawiając, że poczuła się wrażliwa i naga. Pod zimnym zainteresowaniem, od wielkiego mężczyzny docierała mroczniejsza emocja. Desperacja, która paliła ją w język jak kwas. Dlaczego?

Zsunęła się ze stołka i podeszła do ściany, gdzie na kołku wisiało kilka laboratoryjnych fartuchów. Wzięła jeden, założyła i odwróciła się do niego.

— Zdobycie dostępu do świeżych łusek byłoby dla mnie niemożliwe. Nie byłam w bazie od ponad roku, a skoro to jedyne miejsce na tym obszarze, gdzie Lepidzi lądują na ziemi, nie miałam też z nimi żadnego kontaktu. Jeśli chce pan zweryfikować moje zeznania, może pan śmiało sprawdzić raporty w bazie. — Uniosła buntowniczo podbródek.

Wyglądał na niezadowolonego i miała przeczucie, że na pewno sprawdzi zapisy. — Potrzebuję pani pomocy przy rozmowie z jednym z Lepidów. — Powiedział gwałtownie, a jego desperacja znów ją zakłuła. — Te porwania... zaginęło już jedenaście dziewcząt. W to musi być zaangażowany ktoś blisko związany z Lepidami, żeby zdobyć świeże łuski. Może to nawet sami kosmici.

— To niemożliwe. Pokoje kontaktowe są pilnie strzeżone. To nie tak, że zwyczajnie walają się tam sterty łusek. — Pomyślała o łuskowatym dotyku otaczających skrzydeł, zimnej, obcej pustyni umysłu Lepida, zlewającego się z jej własnym i zadrżała. — Poza tym już się tym nie zajmuję. Nie robiłam tego od ponad roku.

Twarz detektywa stwardniała. Desperacja zmieniała się w gniew. — Przypuszczam, że te zaginione dziewczyny nie mają dla pani wielkiego znaczenia. Po prostu chce pani być zostawiona w spokoju. Czy tak?

— Rzeczywiście tak jest. — Jego gniew dźgał ją jak ostry patyk.

— Proszę zapytać mojego, byłego męża, Geralda Hoyta. Specjalizuje się w komunikacji Ludzko-Lepidzkiej. — Powiedziała. — Zawsze miał bardzo obywatelską postawę. Jestem pewna, że będzie zachwycony, mogąc pomóc.

— Na pewno by tak zrobił. — Głęboki głos był szorstki i sarkastyczny. — Niestety nie może. Dziś rano, około piątej, ktoś wpakował mu w głowę dwie kule. To potrafi poważnie napieprzyć w zdolności do komunikacji, nie zgodzi się pani?

— *Co?* — Jej umysł był odrętwiały i wydawało się, że nie może wziąć wystarczająco głębokiego oddechu. Wróciła do stołu i przez moment musiała się go przytrzymać.

— Powiedziałem, że jest martwy. On i obecna, a może powinienem powiedzieć *świętej pamięci* pani Hoyt. — Rzucił w nią tą informacją jak cegłą. — Gdzie pani była około piątej, dziś rano, doktor Albright? — Ciemnobrązowe oczy były prawie czarne od intensywności jego skupienia. Laura poczuła bolesne ukłucie jego satysfakcji.

— Z pewnością nie myśli pan, że ja... — Uniosła rękę do piersi.

— Nie wiem, co mam myśleć, dopóki mi pani nie powie, gdzie była.

— Byłam... byłam oczywiście w domu. Mieszkam w budynku w Colonial Village. To kompleks w Posiadłości Ogród Armenii.

— Czy ktoś to może potwierdzić? — Zapytał gładko. — Współlokator, przyjaciel, kochanek?

Laura się zarumieniła. — Mieszkam sama. Ale... — Jej zmrożony umysł wydawał się odtajać. — Ale nie spałam o tej porze. Rozmawiałam z ojcem przez telefon. Mieszka na Wzgórzach Zefiru, w Heron's Point. — W chwili, kiedy ta informacja opuściła jej usta, chciałaby móc ją cofnąć, ale już było za późno. Twarz detektywa Roberta stwardniała jeszcze bardziej i widziała jego odrazę, jakby po skórze laziły mu kłuszące mrówki.

— Rozumiem. — Powiedział zwięźle. — Wie pani, że mogę kazać sprawdzić bilingi.

— Wiem. — Laura zaczęła czuć się okropnie. Opadła na laboratoryjny taboret. Chciała krzyknąć, że jej nie znał, że nic o niej nie wiedział. Ale wyraz tych twardych, brązowych oczu powiedział jej, że jakiegokolwiek protesty byłyby bezsensowne. To sprawiało, że czuła się wściekła, winna.

Wstał gładko, zgrabnym ruchem, jak na tak wielkiego człowieka i zebrał zapakowane łuski ze sterylonego, laboratoryjnego stołu. Znów sięgnawszy do kieszeni, wyjął niepozorną, białą wizytówkę i położył przed nią.

— Na wypadek, gdyby pani jeszcze coś sobie przypomniała. Możemy chcieć, żeby przyszła pani na posterunek, żeby pobrać odciski palców.

Laura popatrzyła na wizytówkę, nie dotykając jej. Prostą, czarną czcionką wypisano na niej nazwisko, zawód i numer wideofonu. — Moje odciski są w aktach w MacDill.

Jego gniew znów niespodziewanie rozgorzał, fala gorącej wściekłości, która oblała ją jak wrząca kawa dziś rano. Obchodząc stół, pochylił się nad nią, z wielkimi rękami po obu stronach wysokiego oparcia stołka. Napierając na nią, więząc ją wewnątrz. Słyszała drewno, trzeszczące pod jego palcami.

— Ja nie proszę, doktor Albright. Ja stwierdzam. Nie opuszczaj na razie miasta. — Jego głos był szorstki i znajdował się dość blisko, żeby wyczuła jego wodę kolońską, coś ostrego i gorącego jak jego emocje. Jego wściekłość paliłaby jak pochodnia, gdyby dotknął jej nagiej skóry.

Laura szarpnęła się w tył. — *Nie dotykaj mnie.*

Cofnął się natychmiast, a gorący gniew w mgnieniu oka zmienił się w lodowatą pogardę. — Nie martw się, nie zrobię tego. — Ostрым ruchem głowy wskazał wizytówkę, którą jej zostawił. — Lepiej niech pani to zachowa. Proszę zadzwonić, jeśli przyjdzie pani do głowy, kto mógłby mieć dostęp do świeżych łusek. Tak przy okazji, ta — Podniósł świeższą łuskę tak, że pokrywający ją pył zamigotał w słabym świetle. — pochodzi z biura HLC — z miejsca morderstwa pani byłego męża.

— Więc, skąd wzięliście tę drugą? — Zapytała ostro Laura. Czowała się wściekła, zaatakowana, choć w ogóle jej nie dotknął.

Wyraz bólu wykrzywił jego ciemną twarz i zniknął. To stało się tak szybko, że pomyślałaby, że to sobie wyobraziła, gdyby nie ostry, dżgający skurcz między zębami, który towarzyszył jego minie.

— Została pozostawiona na miejscu jednego z porwań. — Powiedział krótko. — Czwartego. — Odwrócił się by odejść, z szerokimi ramionami napiętymi pod szarym garniturem, a potem odwrócił się na chwilę z powrotem. — Sprawdzę pani historię, doktor Albright. I radzę się pilnować.

— Niech pan sprawdza, co pan chce. Nie mam nic do ukrycia. — Odwarknęła Laura.

— Nie to miałem na myśli. — Znowu odwrócił się do wyjścia, z piskliwym zgrzytem odsuwając ciężkie, przesuwne, metalowe drzwi, jakby nic nie ważyły. Znów się obejrzał, a jego brązowe oczy płonęły emocjami tak zimnymi, że ją parzyły. — Chodziło mi o to, że jeśli pani historia się potwierdzi i kto inny jest odpowiedzialny za sprzątnięcie pani byłego i jego żony, pani może być następna.

Wyszedł, zatrząskując za sobą drzwi.

Rozdział 6

Separatystka. Nic dziwnego.

Vince w napadzie furii trzasnął dłonią w wyściełaną deskę rozdzielczą Bogu ducha winnego Eternity i zmusił się do spokoju. W porządku, była, kim była, ale Laura Albright nadal mogła być kluczem do tej sprawy. Będzie musiał sobie z tym poradzić. W międzyczasie musiał sprawdzić kilka rzeczy.

— Posterunek. — Powiedział do samochodu i czekał cierpliwie, aż auto-napęd obudzi się do życia. Najpierw poprosi o wykaz połączeń HLC i spróbuje odkryć, kto tak bardzo zdenerwował Geralda Hoyta na kilka godzin przed jego śmiercią, a potem poszuka numeru telefonu do ojca Laury Albright. Vince skrzywił się. To z pewnością będzie interesująca konwersacja.

— Rezydencja Albrightów, z kim rozmawiam? — Mężczyzna po drugiej stronie wideofonu wyglądał na dobrze zachowanego sześćdziesięciolatka, ale zaczynało być po nim widać wiek. Pod surowymi, szarymi oczami wyraźnie było widać ciemne kręgi, a krótkie i schludne włosy miały barwę starego żelaza.

— Detektyw Vincent Roberts z policji Tampa. Muszę zadać panu kilka pytań. — Vince uniósł odznakę, żeby receptor optyczny mógł łatwo ją sfotografować. Rozwazał połączenie bez obrazu, nie pozwalając mężczyźnie zobaczyć jego twarzy — w ten sposób mógłby zdobyć więcej informacji. Ale bas głosu i tak by go zdradził.

Albright pochylił się do przodu, wpatrując się w ekran przed sobą i wyjął z kieszeni koszuli parę staroświeckich okularów, po czym je założył. Jego oczy natychmiast się rozszerzyły.

— Kim jesteś i czego chcesz? To zastrzeżony numer.

— Wiem o tym, proszę pana. — Powiedział cierpliwie Vince. — Mam dostęp do tego numeru, ponieważ jestem *oficerem policji*. Muszę zadać kilka pytań o pańską córkę.

— *Moją córkę?* Co z nią? Coś jej zrobił? Twarz Albrighta przybrała przytłumiony, czerwonobrazowy odcień i poruszony, przeciągnął pulchną dłonią po krótkich włosach.

— Co się stało, kochanie? O co chodzi? — Nowy głos należał do niewielkiej blondynki z dobrze ukrywanymi zmarszczkami wokół nienaturalnie jasnych, zielonych oczu. Pojawiła się w polu widzenia i na widok Vince'a na ekranie, przez jej arystokratyczne rysy przeszedł wyraz przerażenia. — Kto to?

— Mówi, że coś się stało z Laurą.

— O Boże! — Kobieta przyłożyła połyskującą od diamentowych pierścionków dłoń do piersi.

— Jeśli zrobiłeś jej krzywdę... — Zaczął Albright.

— Niech pan posłucha. Potrzebuję tylko potwierdzić kilka faktów i zadać parę pytań. Zapewniam, że z pana córką wszystko jest w porządku. — Szybki rzut oka na bilingi potwierdził, że połączenie między rezydencją w Heron's Point i domem Laury Albright rzeczywiście miało miejsce około piątej rano, ale Vince miał nadzieję zdobyć trochę więcej informacji. Może dowiedzieć się czy starsi Albrightowie wiedzieli coś o morderstwie ich byłego zięcia.

Po kilku kolejnych rundach werbalnego sparingu dowiedział się, skąd właściwie Laura Albright wzięła swoją bojaźliwą postawę oraz niechęć do dotyku i niewiele więcej. Lodowata księżniczka wychowała się w wieży z kości słoniowej, to było oczywiste.

Zakończył połączenie i siedział przy biurku, patrząc na jej zdjęcie i zastanawiając się nad kruchą pięknnością, która miała tak obrzydliwe nastawienie. No cóż, piękno określa ją czyny. Babcia Gertie jak zwykle miała rację.

Przeciągnął się. Bilingi z HLC się spóźniały. To miało coś wspólnego z dłuższym czasem, potrzebnym, żeby uzyskać dostęp do nowych linii holofonu, ale obiecano mu, że dostanie informacje, jak tylko staną się dostępne. Była już prawie piąta, a on był w pracy od szóstej rano. Westchnął. *Cholernie długi dzień.*

Odwalił już całą stertę papierów i przypuszczał, że będzie musiał odwalić kolejną, kiedy przyjdzie raport o mikrośladach, ale na razie nie miał nic więcej do roboty. Postanowił już iść. Pójść odwiedzić babcię Gertie. Odkąd Kyra została porwana, babcia była całkiem sama. Może potem napije się piwa *U Mike'a* i się zrelaksuje.

— Babciu, to ja. — Vince otworzył drzwi niewielkiego, schludnego budynku na South Howard, który nazywał domem, odkąd skończył czternaście lat. Teraz miał własny dom, mały bungalow w Old Seminole Heights, zbudowany prawie sto lat temu. Tandy pomagała mu go odrestaurować zanim zerwali i nadal zamierzał go wykończyć, ale teraz spędzał prawie, co drugą noc w domku na South Howard, dotrzymując towarzystwa babci Gertie.

— Babciu? — Zawołał znowu. Robiła się trochę głucha, ale odmawiała laserowej chirurgii kanału słuchowego, którą zalecał jej lekarz, choć doktor i Vince wielokrotnie zapewniali ją, że to absolutnie bezpieczne.

— Babciu?

— Tutaj, skarbie.

Vince przeszedł przez wygodnie urządzone dom, wypełniony wesoło zdobionymi, przeładowanymi meblami i znalazł ją, siedzącą w kuchni z kubkiem kawy. Była ubrana w jaskrawopurpurową, luźną sukienkę i żółtą chustkę. Babcia Gertie lubiła kolory, które nazywała „radosnymi”.

— Babciu. — Pochylił się i szybko, z uczuciem cmoknął ją w pomarszczony, cynamonowy policzek, a następnie poszedł, nalać sobie kawy. — Naprawdę powinnaś poddać się tej operacji ucha. Prawie ochryplem, zanim mi odpowiedziałaś.

— Kiedy Dobry Pan mnie wezwie, usłyszę go i to mi wystarczy. — Z zadowoleniem pociągnęła łyk kawy, po czym odstawiła porcelanową filiżankę i zadała pytanie, którego zaczął się obawiać. — Jakież wieści o twojej siostrze?

— Nie, babciu. — Vince spuścił wzrok, dodając syntetycznej śmietanki do kawy i mieszając palcem. — Przykro mi, ale nie ma nic nowego.

— No już, już. Niedługo czegoś się dowiesz, skarbie. Nie martw się tym teraz.

Jej spokojne podejście do całej, tej sytuacji od początku go zdumiewało. Kiedy Kyra zniknęła, bał się mówić o tym babci. Jednak ona przyjęła to z nadzwyczajnym spokojem i zachowywała się tak, jakby Kyra wyjechała po prostu na studia albo odwiedzała przyjaciół i lada dzień miała się pojawić.

— Babciu. — Vince usiadł przy niewielkim stole i położył swoją dłoń na jej. — Minęły prawie trzy miesiące. To nie wygląda za dobrze. Nadal próbuję, ale... — Pozwolił zdaniu się urwać, nie potrafiąc powiedzieć głośno, że jego siostra prawdopodobnie była martwa, nie ważne, jak starał się temu zaprzeczać.

— Hej, skarbie. Nie płacz. — Przyłożyła dłoń, ze starości gładką i miękką jak u dziecka do jego szorstkiego policzka i zaskoczyło go, że odsunięta dłoń była mokra. — Wiem, że starasz się w tej policji jak możesz. Wierzę, że ją znajdziesz.

— A co, jeśli nie potrafię? — Wybuchnął Vince. — Co, jeśli jest... jest...

— Nie jest martwa, Vincencie, więc wyrzuć mi zaraz takie myśli ze swojej, durnej głowy. — Jej głos nadal był miękki, ale słowa miały w sobie stal. Taką samą stal, jaką pamiętał, gdy był chłopcem i przyłapała go na kłamstwie albo mieszanii się w coś, w co nie miał powodu się mieszać.

— Dlaczego jesteś tego tak pewna, babciu? — Przełknął łyk kawy, żeby uspokoić nerwy i popatrzył niespokojnie na ukochaną twarz, naznaczoną wiekiem i próbami. Babcia Gertie miała blisko sześćdziesiąt lat, kiedy on i Kyra z nią zamieszkali i choć nadal była aktywna i niezależna, jej wiek zaczął ją doganiać.

— Wiedziałabym, gdyby była. Czuję to tutaj. — Lekko postukała się po piersi zakrzywionym palcem i znów napiła się kawy. — Nigdy ci tego nie mówiłam, ale znałam

dokładną chwilę, kiedy odeszła twoja matka. Czułam to, jakby ktoś wraził mi nóż w serce. Panie, bolało tak, jakbym umierała. Wiesz, że twoja mama była moją córką.

Vince skinął głową. — Wiem. — Jego matka była najmłodszą z szóstki dzieci i ulubienicą babci Gertie. Najmłodszą. Tak samo jak Kyra była najmłodszą w ich domu.

— Miałam takie samo uczucie, kiedy odszedł twój dziadek, Horace i moi własni rodzice, więc wiedziałam, co to oznacza. — Kontynuowała. — Jeszcze nie miałam tego samego uczucia, dotyczącego twojej siostry i nie sądzę, żebym miała. Gdziekolwiek jest, nadal żyje, Vincencie i wiem, że w końcu ją znajdziesz. Więc nie trać nadziei, słyszysz?

— Tak jest. — Mruknął, posyłając jej półuśmiech zza kubka z kawą.

Pokiwała głową z aprobatą i poklepała jego dłoń. — Idź już. Jest piątkowy wieczór i wiem, że masz lepsze rzeczy do roboty niż przesiadywać całymi dniami z taką starą kobietą, jak ja. Muszę przygotować się na mszę. — Uniosła się z krzesła i odgoniła go z uśmiechem, kiedy próbował pomóc. — No idź. — Wykonała przeganiający gest.

— Chcesz, żebym podrzucił cię do kościoła? — Zaoferował, również wstając i wkładając kubek do zlewu. — Mam na zewnątrz samochód.

— Panie, nie. — Strzeliła językiem. — Dzień, w którym nie będę mogła sama pójść do kościoła, będzie dniem, kiedy zanoszą mnie tam w długim, czarnym pudle. No idź już, chłopcze. Nie masz jakichś miłych, młodych przyjaciółek, z którymi możesz spędzać czas? Może nową dziewczynę? Lubiłam tę Tandy. Co się z nią stało?

— Nie wyszło nam, babciu. Nie podobało jej się bycie z gliniarzem. — Vince skrzywił się i oplukał kubek, poświęcając mu całą uwagę.

— Więc to jej własna głupota. Ale powinieneś gdzieś wyjść i poznać kogoś nowego, skarbie. Nie jesteś tak stary, jak ja, ale nie robisz się też młodszy. W końcu musisz mieć własne dzieci.

Vince westchnął. Jakby miał czas na życie towarzyskie przy tym wszystkim, co działo się od zniknięcia Kyry. — Popracuję nad tym, babciu. Kocham cię. — Schylił się, by znowu ucałować jej pomarszczony policzek i uściskał ją. — Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń, słyszysz?

— Wiesz, że tak zrobię. Też cię kocham, skarbie. — Odwzajemniła uścisk, kruchymi ramionami, zaskakująco mocnymi w swym uchwycie.

Vince siedział w samochodzie przed swoim domem. Szeroki frontowy ganek był zacieniony, a w środku nie paliły się żadne światła. Nie chciał wchodzić do środka. Tak czy owak, była dopiero szósta, za wcześnie, żeby iść spać. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął

łuski w plastikowych torebkach. Połyskująca, która tego ranka była świeża, była już prawie tak matowa, jak łuska Kyry. Żłociste plamki bladły w oczach.

Powinienem zabrać je na komisariat. Odstawić do magazynu dowodów, gdzie ich miejsce. Ale wracać do śródmieścia też nie miał ochoty, choć miał stąd blisko. Poczł przez plastik szorstką teksturę, świeższej łuski, przesuwał się pod jego palcami i przypomniał sobie szalone pomysły Terrance'a o „kontaktowym haju”.

Czuł, jakby pies był na niego wściekły. Cholera, ten dzieciak ma problemy. Vince uśmiechnął się lekko do siebie. Otworzył zapięcie torebki i wysunął łuskę na dłoń.

Cienka i krucha, a jednak zaskakująco mocna. Pomyślałby, że jest jak jakiś rodzaj muszli, ale tekstura była w jakiś, subtelny sposób niewłaściwa. Istniała pewna różnica, której nie mógł ubrać w słowa, ale jego palce instynktownie ją wyczuwały. Obca.

Łuska przypomniała Vince'owi szkolną wycieczkę do planetarium w D.C.¹³ kiedy był w trzeciej klasie.

W tym samym budynku mieścił się rezerwat motyli, ogromna, szklana kopuła, wypełniona kwiatami, drzewami i tysiącami motyli i ciem. Jego klasa mogła na chwilę wejść do środka, ponieważ następny pokaz „Nasz Przepiękny Wszechświat” zaczynał się dopiero za dwadzieścia minut. Vince i jego koledzy z klasy chodzili po okolicy, zachwyceni plamami wesołych kolorów, unoszącymi się wśród drzew i kwiatów w wysokiej, słonecznej kopule. Wszędzie stały tabliczki, opisujące różne rodzaje motyli, wzory ich skrzydeł, wzory migracji i zwyczaje godowe.

Wszystko było pięknie, dopóki dziewczyna o imieniu Charlie-Ann nie zaczęła się wydzierać. Były to cienkie wysokie wrzaski, do jakich pewnie była tylko zdolna młoda dziewczyna. Kiedy zaczęło się zamieszanie, Vince czytał właśnie tabliczkę wyjaśniającą, że skrzydła motyli składały się w rzeczywistości z tysięcy mikroskopijnych łusek. Zostawił tabliczkę i pobiegł aleją by zobaczyć krzyczącą histerycznie Charlie-Ann i motyle, łączące po rękawach jej jaskrawoczerwonego swetra. „Jaskrawe kolory przyciągają motyle”. Oznajmiał wielki znak przy wejściu do rezerwatu. W swoim kolorowym swetrze, Charlie-Ann musiała wyglądać dla głodnych owadów jak wielka róża albo mak. Vince, mający na sobie granatową bluzę, ucieszył się nagle, że nie ubrał nic jaśniejszego.

Chwilę zajęło, zanim nauczyciel dotarł do rozhisteryzowanej Charlie-Ann i Vince zdążył zrozumieć, dlaczego krzyczała.

¹³ District Columbia, Waszyngton.

— Robale! Łażą po mnie robale! Robale! *Robale!* — Wymachiwała rękami, próbując zrzucić pełzające owady. Wtedy po raz pierwszy zauważył, że to prawda — miała rację. Motyle miały piękne skrzydła o żywych barwach, ale ich ciała były obrzydliwe, długie i czarne, ze zbyt wieloma nogami i drgającymi czułkami. Odpychające. Obce...

Vince potrząsnął głową i wsunął łuskę, nadal przyprószoną kilkoma połyskującymi iskierkami „pyłu wróżek” z powrotem do plastikowej torebki. Od lat nie myślał o tamtym dniu. Charlie-Ann była tak rozstrojona, że dostała krwotoku z nosa i byli zmuszeni wrócić do szkoły, nie obejrzawszy planetarium. To wszystko nie sprawiło, że tamtego roku była najpopularniejszym dzieciakiem w klasie.

Odrobina złocistego pyłu nadal pozostała na jego palcach. Vince potarł nimi i powąchał ostrożnie. Do jego nosa dotarł słaby zapach, przypominający woń kwiatów zawieszonych w ciemnym, suchym pokoju i pozostawionych do wysuszenia. Babcia Gertie robiła kiedyś w taki sposób własne wiązanki. Zawsze mówiła, że to straszny wstyd, pozwolić pięknu kwiatów marnować się tylko dlatego, że tak szybko więdły.

Cóż, niektórzy ludzie powiedzieliby, że to wstyd zmarnować piękny, piątkowy wieczór. Może piwo *U Mike'a* trochę go odpręży i pomoże mu zasnąć. Ostatnio wydawało się, że ciągle był zbyt zestresowany, żeby przespać więcej niż kilka godzin. Coraz trudniej było zachowywać się w pracy, jakby nic się nie stało.

Vince wydał Eternity polecenia i rozparł się w wygodnym, przednim fotelu samochodu. Wystarczyło spojrzeć, jak krzyczał dzisiaj na tę całą Albright. To było zwyczajnie głupie. W niczym mu nie pomogło, ale był tak *sfrustrowany*. Jedyna kobieta w mieście, mogąca mu pomóc, prawdopodobny klucz do odnalezienia Kyry, nie była wystarczająco zainteresowana, żeby się w to mieszać. Prawdopodobnie dbałaby jeszcze mniej, gdyby wiedziała, że wszystkie, porwane dziewczyny były etniczne. *Przekłęci Separatyści...* Bar pojawił się w zasięgu wzroku i Vince odetchnął głęboko, próbując na chwilę o tym zapomnieć.

U Mike'a było dość pusto jak na piątkowe popołudnie. Naprawdę zaczynało się tu dziać około ósmej, dziewiątej, ale Vince nie zamierzał być tu tak długo. Jedno czy dwa piwa, żeby splukać kurz z gardła, a potem pójdzie do domu i położy się wcześniej. Choć raz się wyśpi.

— Hej, Vince, co dla ciebie? — Mike, wielki, łysy mężczyzna ze staroświeckimi, płaskimi tatuażami, pokrywającymi dziewięćdziesiąt procent ciała, stał za barem. Pocierał wilgotną ścierką długą powierzchnię, ciemnego, wypolerowanego drewna, które odbijało migające światła holoreklam różnych marek sprzedawanych przez bar alkoholi.

— Sama Adamsa, jeśli masz. — Vince usiadł na wyściełanym, barowym stołku i westchnął ze znużenia. Lubił Sama Adamsa, ponieważ był to jeden z niewielu rodzajów piwa, nadal

sprzedawanych w prawdziwej, brązowej butelce ze szkła, zamiast tych plastikowych pojemników. Przed jego oczami, trzydziestocentymetrowy hologram w połowie nagiej kobiety, kochającej się z równą jej wzrostem butelką Bicardi Lite, mrugnął do niego zmysłowo.

— Możesz wyłączyć te cholerne hologramy? — Vince obrócił się tak, żeby nie widzieć dość obscenicznej reklamy.

— Nie mogę. — Mike przetarł drewnianą powierzchnię baru wilgotną szmatką, chociaż nie rozlał ani kropli. — Jak myślisz, co finansuje to miejsce? Właśnie takie reklamy. Wydaje ci się, że zarabiam dość, żeby nie zbankrutować, sprzedając jedno czy dwa piwa dziennie takim sztywniakom jak ty?

Podał Vince'owi butelkę, a ich ręce dotknęły się na moment. Uśmiechał się, jednak Vince odniósł nieprzyjemne wrażenie, że Mike naprawdę *był* zmartwiony. Ta emocja łaskotała jego kręgosłup jak lodowate palce. Ale to było szaleństwo, czyż nie? Bar *U Mike'a* był tutaj, na rogu Hillsborough i Armenia, odkąd Vince pamiętał i nigdzie się nie wybierał. Wyrzucił z głowy tę dziwną myśl i pociągnął długi łyk zimnego piwa.

— Hola, Poppi, como estas?¹⁴

Vince odwrócił się i zobaczył Theresę, od dawna pracującą dla Mike'a barmankę, mrużącą mu do ucha? Pochyliła się i złożyła chłodny pocałunek na jego szorstkim policzku, który, jak wiedział doświadczenia, pozostawi po sobie smugę jasnoczerwonej szminki. Miał kiedyś z Tandy królewskich rozmiarów kłótnię o podobny ślad, pozostawiony przez znajomą kelnerkę.

Już miał udzielić standardowej odpowiedzi „W porządku, skarbie, ale miałbym się jeszcze lepiej, gdybyś tu przyszła i usiadła mi na twarzy” kiedy poczuł pod skórą muśnięcie *czegoś* dziwnego. Razem z ciepłym naciskiem jej ust, poczuł nagłą falę mroku, rozpaczy. Jakby nagle zobaczył świat z dna głębokiej, mrocznej jamy ze śliskimi jak szkło ścianami, wiedząc, że nigdy więcej nie będzie w stanie wyjść na światło dnia.

Vince okręcił się na stołku, co spowodowało wysoki pisk i chwycił szczupły, brązowy nadgarstek Theresy. Emocja przybrała na sile, a migdałowate oczy kobiety rozszerzyły się z powodu tego nietypowego kontaktu.

— Vince? — Zapytała z wahaniem, drugą ręką nadal balansując tacą wypełnioną plastikowymi butelkami i szklankami z prawdziwego szkła.

— Thereso, wszystko w porządku? Chodzi o to czy *naprawdę* wszystko w porządku. — Wpatrzył się w nią uważnie, próbując odczytać prawdziwe uczucia z jej gładkiej, owalnej twarzy.

Szklane kubki na tacy zagrzechotały o siebie. — Vince... ja...

— Bo jeśli coś cię martwi, jeśli jest coś, co mogę zrobić... — Pozostawił niedokończone zdanie, zdając sobie nagle sprawę, że robił z siebie głupka. Mike i dwóch czy trzech stałych

¹⁴ Coś w stylu „cześć, jak leci”.

klientów, którzy siedzieli przy barze, gapili się na niego z różnym stopniem ostrożności i pogardy. Uwolnił jej szczupły, brązowy nadgarstek równie nagle, jak go chwycił. Dziwne uczucie depresji zelżało, ale nie znikło całkowicie. Co się u diabła działo?

Twarz Theresy zmiękła i kobieta poklepała go lekko po policzku. — Jesteś słodki, Vince. Que lindo.¹⁵ Nie wiem, skąd wiedziałeś, ale dzięki... miło wiedzieć, że kogoś to obchodzi. — Dziwna, mroczna emocja nagle zelżała i zrozumiał, że poczuła się trochę lepiej, ponieważ wyraził swoją troskę. Ale w ogóle nie powinien wiedzieć o jej depresji. Jej zachowanie i wyraz twarzy, były dzisiaj takie same, jak zawsze, więc skąd...?

— Hej, stary, co tam? — Theresa odwróciła się z ostatnim, pełnym wahania uśmiechem, a na stołku obok Vince'a usiadł Anthony Berletti, znajomy detektyw z obyczajówki, z którym Vince pracował, zanim przeniesiono go do wydziału zabójstw.

— Uch, niewiele. A co u ciebie? — Vince pospiesznie łyknął piwa i ostrożnie popatrzył na mężczyznę obok siebie, chcąc sprawdzić czy „wyczuje” coś od Berletti'ego, zastanawiając się czy dostawał świra albo coś.

— Och, no wiesz. Ten sam, stary młyn. — Berletti często działał pod przykrywką i starannie kultywował swój wygląd motocyklisty twardziela. Miał długie, czarne włosy zgarnięte do tyłu w nieporządną kucyk i pasującą, rozdwojoną, czarną brodę prawie dość długą, żeby zatknąć ją za znoszony, skórzany pas. Srebrna klamra pasa, rozmiarów małego, obiadowego talerza, miała wbudowany generator animacji 3D, pokazujący flagę konfederatów, powiewającą na ciemnoniebieskim tle i głosowy chip, oznajmiający, co jakąś minutę „Południe Znów Powstanie!” z brzęczącą zaciekłością. Toporne tatuaże na kostkach obu dłoni głosiły „BIAŁA WŁADZA”.

— Taa, to samo u mnie. — Vince pociągnął kolejny łyk piwa, czekając. Jaką emocję poczuje, albo będzie mu się zdawało, że czuje od wielkiego mężczyzny, siedzącego obok niego? Może Berletti naprawdę był Separatystą czy nawet Białym Supremacjonistą. Może tak naprawdę nienawidził Vince'a. Może życzył mu śmierci...

Gdy to nadeszło, było zupełnie niespodziewane.

— Prawie skończyłeś, postawię ci kolejne. Hej, Mike! — Berletti wziął schłodzoną butelkę od wysokiego barmana i wcisnął ją w rękę Vince'a, dość długo dotykając przy tym palce Vince'a.

Żądza... Nie było na to innego określenia. Gorąca, niechciana fala pożądania pulsowała na skórze Vince'a jak całkowicie niepożądany, intymny pocałunek. Oczy Berletti'ego, niebieskie i intensywne na moment patrzyły w jego, gdy butelka Sama Adamsa przechodziła z ręki do ręki.

¹⁵ Jak miło/jaki miły.

— Wiesz, nie widuję cię zbyt często, odkąd odszedłeś z obyczajówki. — Głos Berletti’ego był swobodny, ale jego oczy pozostały utkwione w oczach Vince’a, a ciepły strumień seksualnego pożądania nadal uderzał w jego skórę oślizgłymi, inwazyjnymi falami.

— Ja... — Śliska butelka wysunęła mu się nagle z pozbawionych czucia palców i roztrzaskała na betonowej podłodze baru. Zimne piwo rozprysnęło się, moczając mu nogawki a buty rozgniotły odłamki brązowego szkła, kiedy Vince, zsunął się ze stołka i cofnął się.

— Hej, kolego! — Berletti pokręcił głową na widok bałaganu.

— Hej, Thereso, mamy tu rozlane piwo. — Zawołał Mike, po czym zwrócił się do Vince’a. — W porządku, Vince? Nie obraż się, ale zachowujesz się dzisiaj dość dziwnie.

Wszyscy wpatrywali się w niego z różnym stopniem zmartwienia, a potem podbiegła Theresa, żeby posprzątać bałagan. Vince mógł myśleć tylko o tym, że nie chciał, żeby którekolwiek z nich go *dotykało*. Nigdy więcej.¹⁶

— P... przepraszam. Muszę iść. — Wytoczył się z baru, z dźwiękiem żwiru, trzeszczącym mu pod butami i udało mu się znaleźć Eternity, zaparkowany w cieniu wielkiego drzewa, dokładnie tam, gdzie go zostawił. Mimo, iż cienie się wydłużały, na zewnątrz nadal było goręcej niż w piekle. Cieszył się, że samochód miał stałą klimatyzację, przez cały czas utrzymującą w środku chłodne dwadzieścia stopni. Zapłacił za nią ekstra, ale mieszkając w Tampa uważał to za konieczność.

Co do diabła ze mną nie tak? Opadł do chłodnego wnętrza i zdołał wydać pojazdowi polecenie jazdy do domu. Miał tam omamy czy jak? Zmartwienie Mike’a, depresja Theresy... żądza Berletti’ego? Zimny dreszcz odrazy przebiegł mu po plecach. O co w tym, u diabła chodziło?

W wydziale było sporo otwartych gejów. Nawet w czasach najsilniejszego Separatyzmu, kilka lat przed przybyciem Lepidów, społeczność gejowska w Tampa trzymała się mocno. Faktycznie, zaczęli robić mini parady równości raz w miesiącu, zamiast raz w roku. Co trzecią sobotę, w centrum było pełno transwestytów i gejów, od ulicy Franklina, po Kennedy’ego. Ale Berletti... był ostatnim facetem, którego podejrzewałby Vince. Nie, żeby miał z tym problem, po prostu sam nie miał takich skłonności...

— Cholera, posłuchaj sam siebie. — Powiedział, a dźwięk własnego głosu trochę go uspokoił. Może był po prostu zmęczony. Pojedzie do domu, opuści rolety, pójdzie do łóżka, a rano wstanie wcześniej i zacznie od nowa. Skoczy na komisariat, żeby sprawdzić raport z mikrośladów, wrzuci te przeklęte łuski do magazynu dowodów...

Vince przestał myśleć i znieruchomiał całkowicie, nieświadomy scenerii Old Seminole Heights. Rzędy ogromnych, starych drzew i domów z początku dwudziestego wieku, z szerokimi gankami i krzyczącymi dzieciakami, przebiegającymi przez strumienie zraszaczy przemykały za oknami Eternity. Vince nie zobaczył z tego niczego.

¹⁶ To może w końcu przestanie być obrażony na Laure, że nie chciała podać mu ręki.

Te łuski... przeklęte łuski Lepidów. I pył wróżek...! Zrobił dokładnie to, przed czym ostrzegął go Terrance. Wyciągnął świeżą łuskę z torebki, dotknął jej, powąchał ją — do diabła, nie mógłby zrobić nic gorszego nawet, gdyby ją *polizal*. Śmiał się z tego, młodego technika, ale może to ostrzeżenie miało jednak jakiś sens. Jak inaczej mógł wyjaśnić dziwaczne gówno, którego właśnie doświadczył?

Vince potrząsnął głową, kiedy Eternity zaparkował przed jego domem. Nagle poczuł się całkowicie wyczerpany emocjonalnie. Zupełnie wycieńczony. *Muszę wejść do środka. Przespać to.* Ze wnurzeniem wdrapał się po frontowych stopniach, słuchając skrzypienia starego drewna i przypominając sobie, że naprawdę musiał kiedyś skończyć renowację. Została mu tylko gościnna sypialnia i druga łazienka. To, że nie było tu Tandy, żeby mu pomóc, nie oznaczało, że mógł już zawsze mieszkać w niewykończonym domu...

Prawie potknął się o stertę kafelków, których zamierzał użyć w drugiej łazience, jeszcze przed zniknięciem Kyry. Przeklinając ze zmęczeniem, kopnął blado lawendowe płytki, wybrane przez Tandy, a następnie powlókł się do sypialni. Ledwie starczyło mu sił, żeby rozebrać się i paść na niepościelone łóżko, zanim zamknęły mu się oczy.

Ostatnią myślą Vince'a, zanim sen zatopił go głęboką falą, było to, że nie chciał wstawać przez, co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Jednak mniej niż sześć godzin później, wideofon przy łóżku zadzwonił przeszywająco, budząc go.

Rozdział 7

Możesz być następna. Słowa wysokiego, czarnego detektywa nie opuszczały jej umysłu. Laura pokręciła głową. *Już samo myślenie o tym jest głupotą. Próbował mnie tylko przestraszyć.* Ale w takim razie, dlaczego ktoś zastrzelił Francine i Geralda? Czy to mogło mieć coś wspólnego z Lepidami, jak wydawał się sądzić detektyw Roberts? Laura potrząsnęła głową, odrzucając ten pomysł. Przecież nie przekazywała z Geraldem tajemnic państwowych, ani nie negocjowała z obcymi ściśle tajnych kontraktów na broń.

Większość ludzi prawdopodobnie myślała, że umożliwianie komunikacji między pełnymi gracji Lepidami, a głowami państw, dyrektorami przedsiębiorstw, gwiazdami rocka, przywódcami religijnymi i innymi vipami, czującymi potrzebę bliskiego spotkania trzeciego stopnia, było wspaniałą, piękną pracą, ale Laura wiedziała, że to nie prawda.

Na początku, kiedy Gerald odkrył ją, jako kolejną „wrażliwą” i zaprosił najpierw do dołączenia do interesu, a potem jego życia, w tym wszystkim chodziło o korzyści, jakie mogli przynieść ludzkości. Technologie, którymi się wymienia, wspaniałe idee kulturowe, które przejdą przez nich, wrażliwych do oczekującego świata. Ale po początkowej rzece cudownych leków i mediacji, korzyści zmniejszyły się do cienkiego strumyka.

Większość technologii, którą mieli do zaoferowania Lepidzi, była z natury biologiczna i niekompatybilna z ziemską atmosferą, podobnie jak „pył wrózek” żyjący na ich ogromnych, szeleszczących skrzydłach. Ich cudowne maszyny umierały, niektóre wolniej od innych, kiedy zabrano je na Ziemię z ich częściowo inteligentnych, organicznych statków. Ich podobna do roju kultura różniła się tak fundamentalnie od jakiegokolwiek, ziemskiego społeczeństwa, że jakakolwiek wymiana idei filozoficznych była żmudnym i długotrwałym procesem.

Ale sam fakt, że komunikacja z obcą rasą nie zmieniała wszystkiego, na co światowi przywódcy mieli nadzieję, nie oznaczał, że chcieli przestać się komunikować. Jeśli już, to wraz ze spadkiem korzyści, rosła komunikacja.

Lepidzi stali się czymś w rodzaju niesamowicie kosztownej atrakcji turystycznej. Zupełnie jak wyścig kosmiczny na początku tego stulecia, gdy miliarderzy z całego świata płacili za dołączenie do rosyjskiego i amerykańskiego programu kosmicznego i lecieli na księżyc. Każdy, kto był kimś i miał kilka milionów kredytów do wyrzucenia w błoto, mógł przyjść, spotkać się z Lepidami, dzięki uprzejmości HLC. „Zrób sobie zdjęcie z prawdziwym ET, poznaj sekrety wszechświata od tych, którzy je znają”. Gerald naprawdę kazał wydrukować to gówno w ostatniej partii broszur, które widziała przed odejściem.

I to zawsze Laura musiała pójść. To Laura musiała spotykać się z najwyższej klasy dupkami, z których wielu było *projektorami*, wpychającymi jej swoje emocje jak oślizgłe macki. Wszyscy chcieli nawiązać kontakt z pięknymi gośćmi spoza gwiazd (kolejne bzdury Geralda). Sam Gerald nie mógł być zajmowany tą częścią interesu, ponieważ był zbyt zajęty prowadzeniem badań i kierowaniem public relations HLC. Jako biochemik, który pierwszy

zrozumiał, jak się komunikować, sam miał dość wrażliwości, żeby zająć się tą pracą, ale nie na tyle, żeby wykonywać ją dobrze. Więc Laura została wyznaczona do tego zadania.

Dzień w dzień, a Gerald prawie nigdy nie dawał jej czasu na przerwę, nie ważne, jak narzekała na wyczerpanie i emocjonalne zmęczenie. Zawsze przybywał ktoś ważny, żeby zobaczyć się z Lepidami, ktoś, kogo po prostu nie można było spławić. To zawsze wyglądało w ten sposób: „Och, kochanie, głowa do góry, jeszcze tylko tydzień i wybierzemy się w ten rejs po Bahamach, obiecuję”. Ale Laura musiała pracować tak długo, aż była wykończona. Po pewnym czasie czuła się jak zwierzę laboratoryjne w jakimś chorym eksperymencie, wrzucane do basenu, żeby zobaczyć, jak długo potrafi utrzymać się na powierzchni, zanim utonie.

Laura przypominała sobie dzień sprzed ponad roku, w którym wszystko się rozleciało. Jechała rozpadającym się Z, ponieważ Gerald był zbyt skąpy, żeby kupić jej nowy wóz, włokąc się South Dale Mabry, mając za plecami wściekłych, trąbiących kierowców, kiedy zrozumiała, że nie mogła tak dłużej.

Przez cały dzień pośredniczyła, między Tmm, szczególnie oschłym Lepidem i jakimś pomniejszym przedstawicielem francuskiego rządu, który był nadętym dupkiem i *projektorem* do kwadratu. Oficjel chciał przekazać mnóstwo kulturowych idei, które Laurze wydawały się niedorzeczne i jeszcze bardziej obce niż niektóre, dziwne rzeczy, które Lepidzi wysyłali do jej mózgu. Ciągłe dotykał jej dla podkreślenia swoich słów, drażniącym zwyczajem obcokrajowców, mających zbyt małą przestrzeń osobistą. „Wskazówki Dobrej Komunikacji” HLC, które dostawał każdy, kto wykupił „Pakiet Spotkania”, wyraźnie stwierdzał, że w czasie komunikacji wrażliwy nie powinien nawiązywać fizycznego kontaktu z nikim, poza Lepidem. Laura nalegała, żeby Gerald umieścił to w broszurze, ale odkryła, że duża liczba klientów HLC ignorowała ten warunek.

Za każdym razem, gdy dotykał jej francuski urzędnik, infekował Laurę niedorzeczną, zagraniczną mieszaniną optymizmu i frustracji, aż czuła zawroty głowy i mdłości od nieustannego, ciężkiego naporu jego emocji. A Tmm był w rzadkiej formie, wypełniając jej umysł jak kosmiczna czarna dziura, z której nie mogło uciec nawet światło czy pomysł. Gorący nacisk z jednej strony i mrozące zimno z drugiej, zmusiły Laurę do wyjścia w połowie rozmowy, żeby zwymiotować w jednej z wykonanych z nierdzewnej stali łazienek, które były pomysłem Sił Powietrznych na dekorację wnętrza.

Jadąc Z do domu, zastanawiała się, co dokładnie osiągnęła tego dnia. Zarobiła dla firmy niezłą sumkę, kredyty, których nigdy nie wydawali na cokolwiek, poza nowymi i ekscytującymi, elektronicznymi gadżetami, które przyciągnęły uwagę Geralda. Gościła obcy umysł w swoim własnym, co było doświadczeniem równie intymnym i przyjemnym, co sople lodu wepchnięty w pochwę. I przekazała wielką ilość informacji o zawiłościach francuskiego kina i przemyśle winiarskim, formie życia z innej planety, której nie mogłoby to mniej obchodzić.

Innymi słowy, nie osiągnęła zbyt wiele.

Co się stało z korzyściami dla ludzkości? Wspaniałymi rzeczami, których mieliśmy się od siebie nawzajem dowiedzieć? Kiedy przeszła od bycia ambasadorką pokoju i zrozumienia do przewodniczki wycieczek w najdroższym na świecie parku rozrywki?

Wtedy zrozumiała, że nie mogła tego dłużej robić. Postanowiła, że Gerald może się tym zająć, postawi mu ultimatum. Szkolił Francine od pół roku. Laura poszła na spotkanie z Lepidami bez żadnego treningu, kiedy Gerald wciągnął ją do tego interesu. Wiedziała, że Francine nie była nawet w przybliżeniu tak wrażliwa, jak ona, nawet nie tak, jak Gerald, ale trudno.

Grzebiąc w swojej torbie, wyciągnęła starego, ale nadal użytecznego Message Buddy. Miał rozmiar dłoni i był składany, podpięty pod główny komputer HLC. Śledził wiadomości od Geralda i automatycznie powiadamiał ją o wszelkich zmianach w rozkładzie dnia. Laura otworzyła go i rzuciła szybko okiem. Fitzy J, ojciec chrzestny hiperpunku przyjeżdżał jutro na rozmowę z Lepidami. Cóż, Francine będzie musiała się nim zająć.

Wmaszerowała do HLC i zamasyście otworzyła drzwi do głównego biura, mimo, że Lola Sanchez, ich sekretarka, próbowała ją zatrzymać. Była gotowa na swoją przemowę, ale słowa zamarły jej na wargach.

Na solidnym, mahoniowym biurku, które, jak twierdził Gerald, było mu potrzebne do imponowania światowej klasy klientom, których próbowali ściągnąć, jej mąż i ich „wrażliwa praktykantka” różni się jak dwa psy w parku.

Laura wyszła i nigdy nie wróciła.

Przez kilka miesięcy Gerald zostawiał jej wiadomości na poczcie głosowej i wiadomości wideo, błagając, żeby wróciła, błagając o wybaczenie. Raz zadzwoniła nawet Francine i powiedziała, że to wszystko straszna pomyłka i to, co widziała Laura, wcale nie było tym, na co wyglądało. Ale Laura nie była głupia. *Oszukasz mnie raz, wstydz się, oszukasz mnie dwa razy...*

Nie, nie była głupia, tylko niesamowicie zraniona. Wiedziała, że między jej mężem i ich „praktykantką” istniał wzajemny pociąg. Francine pociągało konto bankowe Geralda, a Geralda długonogie, żrebiące ciało Francine — co mogła mu dać, czego Laura nie mogła. Wyczuwała rozbłyśki emocji od obojga, gdy wszyscy troje znajdowali się w tym samym pomieszczeniu, ale postanowiła to zignorować, wmawiając sobie, że samo przyciąganie nie oznaczało, że którekolwiek z nich coś z tym zrobi. Tamtego dnia zrozumiała, że od początku się oszukiwała i nadszedł czas pójść dalej ze swoim życiem.

Wróciła do sztucznej inteligencji, dziedziny, z której zrobiła dyplom. Wróciła do samotnego, ale bezpiecznego miejsca w życiu, sprzed momentu, kiedy pewnego dnia po wykładzie na USF podszedł do niej słynny profesor biochemii i twierdził, że rozpoznał w niej „jedną z niewielu wybranych”, którzy potrafili komunikować się z Lepidami. Laura odwróciła się plecami do HLC i całego, cholernego bałaganu.

A teraz ktoś zabił Geralda i Francine bez żadnego, oczywistego powodu. Pytanie brzmiało, dlaczego?

— Czy chciałabyś kawy, doktor Albright? Zaparzę nowy dzbanek.

Laura westchnęła i wstała od laboratoryjnego stołu, przy którym studiowała czarne napisy na wizytówce detektywa Roberta, pozwalając swojemu umysłowi wędrować. Poklepała Artiego po srebrnej, kopulastej obudowie i pokręciła głową.

— Nie, dzięki, Artie. Mam już dzisiaj dosyć kawy. — Powiedziała, myśląc o połowie dzbanka, wylanej na jej piersi.

— Ale nie piłaś dzisiaj żadnej. — Słabe, metalowe palce zamachały zachęcająco w powietrzu. Nie zaprogramowała go do tego, ale z jakiegoś powodu Artie lubił sprawiać jej przyjemność. Musiała dać mu coś do zrobienia, bo inaczej zamęczy ją różnymi sugestiami, sprawiając, że jakakolwiek praca stanie się niemożliwa.

— W porządku, zrób kawę, Artie... — Zerknęła na cyfrowy czasomierz, zawieszony na ścianie. Była już prawie pora lunchu. — Zagrzej to tajskie żarcie, które zostawiłam na lunch. — Nie była za bardzo głodna, ale to dało małemu AI zajecie, a o to właśnie chodziło.

Jednak szybko zrozumiała, że nie ważne czy Artie zawracał jej głowę, czy nie, nie miała zrobić dziś nic znaczącego. Jej umysł ciągle powracał do detektywa Roberta i jego ponurego ostrzeżenia, oraz jedenastu, zaginionych dziewcząt. Kiedy się nad tym zastanowiła, niejasno przypomniała sobie, że widziała o tym artykuł w Tampa Tribune, ale był krótki i umieszczony w mało widocznym miejscu. Dlaczego media bardziej tego nie rozdmuchiwały? Zwykle rzucali się na każdą sprawę seryjnego mordercy. Oczywiście powiedział, że zostały porwane, a nie zamordowane, ale jednak...

Z pięć razy podniosła wideofon, żeby zaoferować pomoc i wstukała nawet jego numer, ale za każdym razem ukłucie jego furii wracało, żeby ją dręczyć. I wspomnienie tego, co o niej myślał. Myśląc o ich krótkiej rozmowie, Laura przypuszczała, że prawdopodobnie wyszła na zimną i nieczułą, ale jaki miał interes w węszeniu w jej laboratorium? Prawie przeraził ją na śmierć. Artie przyznał, że zostawił otwarte drzwi, ale detektyw Roberts (na wizytówce zobaczyła, że miał na imię Vince) mógł poczekać na zewnątrz, aż się tam pojawi, zamiast wpraszać się do środka.

Nadal próbowała pracować, ale jej myśli ciągle wracały do tego samego. Około w pół do szóstej wieczorem przyznała, że równie dobrze może jechać do domu i spróbować się zrelaksować. Zwinęła całą pracę, na którą tylko się gapiła przez większość dnia, poklepała Artiego na do widzenia i obiecała, że zobaczą się jutro. Jutro była sobota, ale weekendy nie wiele dla Laury znaczyły. Równie dobrze mogła przyjechać do laboratorium — i tak nie miała do roboty nic lepszego.

Jazda Z do domu była długa, irytująca i gorąca. Klimatyzator najwyraźniej się poddawał, a ona nie miała kredytów na naprawę. Kiedy dotarła do domu, zobaczyła, że wszystkie miejsca parkingowe od frontu są wypełnione. Przeklinając pod nosem, przejechała na tyły i

zaparkowała w miejscu, które mieszkańcy nazywali „chwastami”, ponieważ zarząd Colonial Village nigdy nie zwracał sobie głowy koszeniem sięgającej kolan trawy, służącej za tylny parking ani małej gęstwiny tropikalnej roślinności, oddzielającej go od głównego trawnika. *Trzeba cholerniej maczety, żeby w ogóle się przez to przedrzeć.* Pomyślała, przeciskając się przez gęste, zielone poszycie.

Walcząc z drzwiami, które wypaczyły się i zablokowały, zobaczyła panią Berkowitz, wdowę, mieszkającą w sąsiednim budynku, patrzącą na nią przez okno, a potem znikającą, wyraźnie w drodze do własnych drzwi. Laura jęknęła w duchu, zmagając się z odkształconymi drzwiami z syntetycznego drewna. Około sto lat temu Tampa nazwano jednym z najlepszych miejsc do przejścia na emeryturę i ta fikcja utrzymała się pomimo wszelkich, przeczących temu dowodów. Rząd budynków, w których znajdowało się mieszkanie Laury, był zajęty w większości przez emerytów, wydających żałosne, życiowe oszczędności, żeby mieszkać w słonecznym miejscu. Wszyscy byli przyjacielscy i w różnym stopniu ciekawscy, ale Rose Berkowitz była najbardziej uparta — i najbardziej wścibska.

— Laurie, słodziutka, tak się cieszę, że jesteś w domu! Nigdy nie zgadniesz, co się działo, kiedy cię nie było!

Laura westchnęła i przestała walczyć z drzwiami. Pani Berkowitz wyglądała jak mały, kędzierzawy, jasnowłosy ptak.

— Co się stało, pani Berkowitz? — Zapytała, pogodziwszy się z koniecznością rozmowy. Pozwoliła ciężkiej torbie upaść na zniszczoną, frontową wycieraczkę i skrzyżowała ramiona na piersiach, ledwie zakrytych białym, laboratoryjnym fartuchem.

Pani Berkowitz popatrzyła z dezaprobatą na jej niekompletny ubiór, wyraźnie zastanawiając się, co się stało z jej bluzką, ale Laura nie powiedziała niczego. Teraz stała cicho i patrzyła na panią Berkowitz w milczącym starciu siły woli, aż w końcu sąsiadka zaczęła mówić dalej.

— Nie niepokój się, słodziutka, ale był tu mężczyzna — wielki *czarny* mężczyzna, który czaił się rano wokół twojego domu i zaglądał ci przez okna. Wyobrażasz to sobie? Geraldine i ja byłyśmy p[ro]stu śmiertelnie przerażone! Zadzwoiłam na policję, ale nic nie zrobili. Gdybym miała numer do twojej pracy, mogłabym do ciebie zadzwonić, ale tak, po prostu nie mogłam zrobić. — Pani Berkowitz poklepała nerwowo swoje kędzierzawe, siwe włosy, a drugą rękę przycisnęła do brzucha.

— Był bardzo wysoki i nosił szarą kurtkę? — Zapytała Laura, znacząco ignorując wyraźną aluzję. Gdyby dała Rose Berkowitz numer do swojego laboratorium, pracowałyby jeszcze mniej. Wyobraziła sobie prowadzenie przez cały dzień rozwlekłych rozmów telefonicznych o pogodzie, razem z zaproszeniami na herbatę i rogaliki, i ofertami dołączenia do ich klubu brydżowego, albo zostania czwartą do kanasty.

Pani Berkowitz przyłożyła dłoń do opadłego biustu. — *Znasz go?* — Zapytała tym samym, niskim, zszokowanym tonem, którego mogłaby użyć do zapytania, czy Laura знаła masowego mordercę, którego widziała w wieczornych wideo-informacjach.

— Poznałam go dzisiaj. — Powiedziała Laura, próbując kontrolować irytację. — To detektyw z policji. Prawdopodobnie mnie szukał.

— Moje gwiazdy, *dlaczego?* — Żądza plotek w jej głosie była silna i zakończyła ostatnie słowo wysokim, nosowym skowytym.

Laura westchnęła i zdecydowała, że ta kobieta dowie się tego tak czy inaczej. Ze swoimi przyjaciółkami czytywała nekrologi tak, jak niektórzy książki z listy bestsellerów, poza tym, śmierć Geralda prawdopodobnie zostanie wiadomością z pierwszych stron. — Dziś rano mojemu byłemu mężowi przydarzył się... ach, wypadek. — Powiedziała krótko. — On i jego żona nie żyją.

— O dobry Boże! — Jasne, ptasie oczy pani Berkowitz były spragnione szczegółów i zgięła się w przód w pasie, nadal przyciskając rękę do biustu. — *Jak to się stało?* — Jej ciekawość dziobała Laurę jak ptak, szukający soczystego robaka.

— Ktoś ich zastrzelił. To wszystko, co wiem. — Laura chwyciła klamkę i ostro ją przekręciła. Drzwi w końcu ustąpiły z wysokim, protestującym zgrzytem i pozwoliły jej wejść. — Dobranoc, pani Berkowitz. Naprawdę muszę iść. — Wciągnęła zmaltretowaną torbę do środka i zatrasnęła drzwi przed dociekliwą twarzą sąsiadki.

— Laurie? Laurie? — Słyszała panią Berkowitz, wołającą z drugiej strony drzwi. Wyobraziła sobie podstarzałą, szarą wronę, dziobiącą w drzwi, żeby móc wejść i przekręcić zamek.

Nie żyje, Gerald naprawdę nie żyje. Laura osunęła się na drzwi.

Powlekała się do sypialni i zaczęła się metodycznie rozbierać. Myślała o tym cały dzień, ale w jakiś sposób to nie uderzyło w nią naprawdę, dopóki nie była zmuszona powiedzieć o tym wścibskiej sąsiadce.

Martwy. Jest martwy. Mężczyzna, który wyciągnął ją z wywołanej przez nią samą izolacji, który wyciągnął do niej rękę i powiedział, że nie była sama w swoim dziwnym, hiperwrażliwym świecie. Kiedy poprosił, żeby za niego wyszła, Laura wierzyła, że to będzie na zawsze.

Cóż, to na zawsze trwało mniej niż trzy lata, ale sądzę, że to więcej niż dostają niektórzy ludzie. I nie zapominaj, że to ten sam mężczyzna, który zdradzał cię, kiedy wypruwałaś sobie flaki, prowadząc jego biznes. Tak, ale miał swoje powody... Laura potrzęsnęła głową. To była stara dyskusja, którą nadal prowadziła z samą sobą i nie było sposobu, żeby dojść do jakiejś konkluzji.

Prysznic. Potrzebowała prysznic i bardzo długiego odpoczynku. Wyłączy wideofon, żeby jej ojciec i Gloria nie mogli zadzwonić ze swoim, najnowszym szaleństwem i prześpi ciągiem dwadzieścia cztery godziny. Kiedy wstanie, zadzwoni do detektywa Roberta i zaoferuje wszelką pomoc — to było jedyne, co mogła zrobić.

Prysznic był przyjemny, gorąca woda spływająca po jej bolącej czaszce, zawsze wydawała się rozjaśniać jej w głowie. Musiała zrobić pranie. Wszystkie jej ciepłe, puszyste i wygodne

piżamy były w koszu z brudami. Laura szukała, ale w szufladzie z bielizną nie znalazła niczego, poza zbyt dużym T-shirtem i długim, czarnym, seksownym neglizem. Gerald dał jej ten negliz mniej więcej miesiąc, zanim go opuściła. Miał być rodzajem prezentu na zgodę za przełożenie ich wakacji po raz kolejny. Nie, żeby założenie go dla niego kiedykolwiek do czegoś doprowadziło.

Laura wolała koszulkę. Była bladoniebieska i miała z przodu słowa „Radź sobie z tym”, wypisane pochyłą, różową, połyskującą czcionką. Spięła włosy na czubku głowy, żeby uchronić je przed splątaniem i zasnęła, zanim jej głowa dotknęła poduszki.

Śnił jej się wypad do lasu.

Ma tylko pięć lat, ale w pobliżu są dorośli, więc wszystko jest w porządku. Pani Hanson i pani Barrington siedzą przy namiotach, rozmawiając ściszymi głosami o sprawach dorosłych i choć tęskni za mamą, to też jest w porządku, bo mama jest w domu i zajmie się nią, kiedy Laura wróci.

Laura i reszta drużyny skautek, siedzą wokół niedużego, obozowego ogniska, otoczonego kręgiem bezpiecznych, brązowych kamieni, niepozwalających pomarańczowym płomieniom kąsać dziewczynek. Ogień wewnątrz jest wystarczająco duży do pieczenia pianek. Wystarczająco duży, żeby poczuły się odważne, ale nie dość, żeby naprawdę musiały być odważne. Więc wszystko jest w porządku.

Poza kręgiem miękkiego, żółtego blasku ognia, zapada noc. Drzewa pachną zielenią i życiem, a dym, co jakiś czas dostaje się do oczu, ale nie ma go zbyt wiele. Pianki na zaostzonych końcach ich patyków robią się czarne i chrupkie, ale gdy ściągnie się tę czarną skórkę, pod spodem są ciepłe i lepkie, i tak jest dobrze.

Laura właśnie zaczęła zdawać sobie sprawę, że jest w jakiś sposób inna, ale nie jest jeszcze pewna, jak. Nie chciała jechać na tę wycieczkę, ponieważ miało być tam tyle dziewczynek, a im więcej ludzi jest wokół niej, tym bardziej inna się czuje, ale jej mama uważała, że to może jej dobrze zrobić.

„Jest delikatna, Terri”. Słyszała swojego tatę, kiedy klócił się o to z mamą w kuchni, kiedy myśleli, że nie słyszała. Delikatna oznacza wrażliwą, oznacza kruchą, oznacza trudną. Laura już o tym wie.

„Jest zbyt wrażliwa. Przebywanie w towarzystwie innych dziewczynek dobrze jej zrobi”. Powiedziała mama i wygrała dyskusję i tak Laura znalazła się tutaj. I naprawdę nie jest tak źle. Jak dotąd wszystko było w porządku.

No dobrze, do czasu, kiedy Lindsey Barrington zaczyna dodawać liści, patyczków i gałęzi, żeby ogień był większy i nie, aż tak bezpieczny. Teraz Laura boi się trochę tego ognia tak samo, jak inne dziewczyny. Wie, chociaż nikt niczego nie mówi. Lindsey jest popularna, co oznacza, że może robić różne rzeczy i nikt nie może jej nic powiedzieć.

Potem Lindsey mówi, dlaczego nie poopowiadają sobie historii o duchach? Janine Pierpoint, siedząca tuż obok Laury na zimnej ziemi, mówi, że w niektóre noce do jej sypialni przychodzi potwór. Potwór, który robi jej złe rzeczy. Ale nie jest popularna a Lindsey jest. Lindsey mówi, że zna lepszą historię i to ona zacznie.

Mówi, że jej opowieść ma tytuł „Kap, kap, kap” i jest o starszej pani i jej psie. Starsza pani mieszkała sama z psem. Kiedy przestraszyła się czegoś nocą, wsuwała rękę pod łóżko, a pies lizał jej dłoń i wiedziała, że wszystko jest dobrze. (Tak, jak teraz wszystko jest dobrze, próbuje powiedzieć sobie Laura.) Ale potem, pewnej nocy, (Lindsey pochyla się naprzód tak, że żółte światło migocze pod jej brodą i zmienia jej oczy w wielkie, straszne cienie) pewnej nocy starsza pani ciągle słyszy ten dźwięk. Brzmi jak kap... kap... kap... Boi się więc wsuwa rękę pod łóżko, a pies liże ją i wszystko gra. Ale nadal słysząc kap... kap... kap... Pies liże jej dłoń, ale staruszka się boi. Co, jeśli jednak nie wszystko gra? Wstaje, żeby sprawdzić łazienkę, z której dochodzi dźwięk...

W tej chwili Laura siedzi już skulona, czując ciasny węzeł bycia inną, wywołujący ból w głębi jej brzucha, nie chcąc poznać reszty historii. Wszędzie wokół niej podekscytowanie iskrzy coraz bardziej i bardziej, jak strzelające w górę płomienie, kiedy Lindsey dokłada liści i gałęzi, czego nie powinny robić. Lindsey to zrobiła, ale Laura boi się kazać jej przestać, bo Lindsey jest popularna, a ona, jak Janine Pierpoint, nie. Chce krzyczeć na Lindsey, żeby przestała opowiadać, ale tego też nie może zrobić.

Starsza pani ciągle to słyszy. Kap...kap... kap... (twarz Lindsey jest teraz jednym, wielkim cieniem.) Wchodzi do łazienki i zapala światło...

Pozostałe dziewczynki piszczą z pełnego zachwytu napięcia, które Laura czuje na skórze, pomnożone dziesięciokrotnie, stukrotnie, jak milion malutkich, kłujących iskier...

Starsza pani włącza światło i widzi swojego psa! Tak! Zwisającego z pręta prysznic, z rozciętym gardłem i zakrwawionego! To psia krew, skapująca do wanny powodowała ten dźwięk. Ale kto jest pod łóżkiem i lizał dłoń staruszki? (Dziewczynki jednocześnie chcą i nie chcą wiedzieć.)

To był szaleniec, który uciekł z więzienia. Poderżnął psu gardło i schował się pod łóżkiem, żeby polizać dłoń kobiety, żeby myślała, że wszystko jest w porządku, Ale nie jest w porządku, a on stoi za nią... W TYM MOMENCIE!

Lindsey wykrzykuje ostatnie słowo, a dziewczynki chwytają się siebie nawzajem w ekstazie przerażenia i Laura zdaje sobie sprawę, że uważają bycie straszonymi za w jakiś sposób fajne. Ale nie fajne jest to, jak cały ich strach wpływa w nią i odbija się po jej wnętrzu jak gumowa piłka, która nie chce zwolnić. Jak rośnie, jak rósł ogień, z małego, bezpiecznego płomyka w większy, straszniejszy, kiedy Lindsey dodała liści i gałęzi, czego zabronili dorośli.

Potem Laura krzyczy i krzyczy, i nie może przestać, a inne dziewczynki krzyczą głośniejsze, ponieważ to je przeraża, a dorośli przychodzą i mówią, że tak nie wolno i jak ognisko stało się takie duże...

To ognisko...

Ogień.

Pożar...

Laura obudziła się, czując zapach dymu i słysząc przeszywający pisk uruchomionego detektora. Początkowo nie mogła otrząsnąć się ze snu, tak rzeczywisty się wydawał. Zawodzenie alarmu odbijało krzyki dziewczynki, którą była dawno temu na obozie, a zapach dymu wydawał się tak znajomy.

Potem zrozumiała, że zapach w jej nosie nie był ciepłym, przyjemnym aromatem nocnego, obozowego ogniska, ale gorącym, kopcącym smrodem znacznie groźniejszego ognia.

Pożar! Dom się pali! Wytoczyła się z łóżka, próbując przypomnieć sobie wszystko, czego uczono o takich sytuacjach, ale miała pustkę w głowie. *Zatrzymaj się, padnij na ziemię i się przetocz? Ale czy to nie było wtedy, kiedy sam człowiek się palił? Poklepała się gorączkowo, nadal oszołomiona od snu i poczuła ulgę, odkrywając, że wszystko jest całe i nic nie płonie.*

Pokój zaczynał wypełniać się obrzydliwym, szarym dymem, który sprawił, że w ciemnym pokoju zrobiło się jeszcze ciemniej. Laura potykała się w mroku, krztusząc się i kaszląc, i w końcu znajdując drzwi sypialni. Na oślep poszukała klamki, a gdy ją znalazła, oderwała rękę z ostrym okrzykiem. *Gorąca!* Wetchnęła palce do ust. Zupełnie jakby chwyciła rączkę żelaznej patelni, stojącej na mocnym ogniu.

Laura ostrożnie pomacała drewno drzwi, które również było parząco gorące, a po drugiej stronie słyszała głodny, ryczący trzask. *Idzie po mnie!* Przez chwilę znalazła się z powrotem we śnie, myśląc o złym potworze, który nocą przychodził do pokoju jej przyjaciółki Janine. *Obudź się, Lauro. To nie sen i lepiej wymyśl, jak się stąd wydostać, bo nigdy więcej nie będziesz musiała martwić się o kolejne koszmary.*

Drzwi były wykluczone, a jej sypialnia znajdowała się na pierwszym piętrze. Laura podbiegła do okna i spróbowała je otworzyć. Ani drgnęło. Panikując, Laura popchnęła mocniej. Szeregowiec miał centralną klimatyzację i nigdy wcześniej nie próbowała otwierać okien. *Może jest zamknięte.* Po macaniu przez kilka panicznych sekund wokół zamka okna, zdała sobie sprawę, że nie tu tkwił problem. Przesunęła odrętwiałymi czubkami palców po podstawie ramy i poczuła stwardniałą, nierówną warstwę w miejscu, gdzie powinna znajdować się szpara między oknem i ramą. *Zamalowane. Cholera!*

W pokoju robiło się coraz goręcej i ledwie mogła oddychać w całym tym dymie, wpływającym pod drzwiami. Wydawało jej się, że przypomina sobie jak czytała gdzieś, że więcej ludzi umiera w pożarach od wdychania dymu niż od rzeczywistych oparzeń. Musiała wydostać się na świeże powietrze. Wszystko zaczęło falować i wyglądać na oddalone.

Myśl, Lauro! Mocno przygryzła język, czując smak krwi, zmuszając ból do odpędzenia paniki i wyostrzenia świata. Jediną drogę stanowiło okno, ale nie mogła go otworzyć. *Rozbij je!* Oczywiście, tylko czym?

Laura opadła na kolana, natychmiastowo świadoma, że powinna zrobić to szybciej. Przy podłodze powietrze było znacznie czystsze. Zaczęła macać na oślep, próbując przy tym utrzymać w polu widzenia słabe światło z okna. Gdyby straciła jedyny punkt odniesienia, była udupiona.

Jej poszukujące palce nie wyczuły niczego na podłodze i Laura przeklęła się za bycie maniaczką porządku.

Kiedy zbliżała się już do desperacji, jej palce natrafiły na uchwyt wypchanej torby. Jej pudełkowaty kształt w ciemnościach był uspokajający i Laura mocno ją ścisnęła. Nie był to but, ani nic ostrego, ale była cholernie ciężka — powinna, skoro w środku było pół jej życia. Nada się?

— Tylko jeden sposób, żeby się przekonać. — Mruknęła do siebie Laura. Na czworakach zaciągnęła sportową torbę pod okno, a potem, biorąc głęboki oddech, wstała, z dłońmi zaciśniętymi na uchwycie. Wkładając w ruch tyle swojej wagi, ile tylko mogła, odchyliła się i walnęła ciężką torbą w uparte, brudne okno.

Szkoło popękało z satysfakcjonującym traskiem i okno wybrzuszyło się na zewnątrz. Kolejny zamach powinien wystarczyć. Laura szarpnęła torbę do tyłu, kaszląc i krztusząc się, gdy zapomniała się i wciągnęła wielki haust dymu. Wykorzystując zrodzoną z desperacji siłę, zamachnęła się torbą na okno tak mocno, że puściła uchwyt. Okno poddało się z trzeszczącym brzękiem, rozpryskując się na zewnątrz i jej torba zniknęła w ciemności w dole.

Laura przypadła do okna i wytknęła głowę na zewnątrz, głęboko oddychając wilgotnym, nocnym powietrzem. Zdawało jej się, że gdzieś daleko usłyszała syreny, ale ryk ognia za plecami powiedział jej, że nie mogła czekać na straż pożarną. *Jeśli się stąd wydostanę, pozwę tego, skąpego drania, do którego należy Colonial Village.* Przysięgła sobie delirycznie Laura. W budynku powinien być jakiś automatyczny system gaszenia ognia, tryskający pianą, a przynajmniej wodą — to było zapisane w prawie Florydy. Ale szeregowce były stare, zbudowane pewnie przed rokiem 2000 i najwyraźniej nie było tu takich środków bezpieczeństwa.

Musiała jednak zachować swoje prawne aspiracje na później. Najpierw musiała się wydostać. Laura spojrzała w dół. Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Ziemia wyglądała na odległą i ciemną, a ona nigdy nie lubiła wysokości. Tyle, że mogła skoczyć, albo się upiec i wiedziała, co woli.

Rama okna była nadal pełna poszarpanych fragmentów szkła, sterczących pod każdym, możliwym kątem. Niektóre już ją zadrapały. Laura chwyciła brzeg swojego, zbyt dużego, niebieskiego T-shirtu i zrobiła, co mogła, żeby wypchnąć odłamki na dole, żeby się nie wypatroszyć, ale nie miała już czasu na górne. Za jej plecami drzwi sypialni buchnęły nagłym huczącym płomieniem.

No to do roboty! Odwróciwszy się, Laura wysunęła stopy przez rozbite okno, próbując nie wdychać przy tym więcej dymu. Czuła okropny żar ognia przedzierającego się przez pokój, na swoich policzkach i powiekach, widziała jak pożera łóżko i zabiera się do zasłon z pożądlivym, nienasyconym głodem. Ledwie zauważyła, kiedy poszarpane odłamki, nadal zwisające jak stalaktyty z rozbitej ramy okna, podrapały jej plecy, rozrywając koszulę i kreśląc krwią cienkie, czerwone linie.

Natychmiast poczuła czyste przerażenie, kiedy jej stopy zadyndały swobodnie, a potem ściana ognia popędziła jej z rykiem na spotkanie i była zmuszona puścić i spaść na ziemię w dole.

Zatrzymaj się, padnij i przetocz się. Pomyślała znów Laura. Rzeczywiście, to było prawie dokładnie to, co zrobiła, chociaż nie płonęła. Oddaliła się trochę od płonącego domu i obserwowała z niespokojnym podziwem jak z okna, z którego przed momentem zwisała, wytrysnął strumień ognia, który usmażyłby ją, gdyby trzymała się ramy chwilę dłużej.

Kilka kolejnych minut zupełnie się rozmyło. Zupełnie, jakby jej świadomy umysł, przeładowany przerażeniem i stresem, zrobił sobie krótką przerwę. Kiedy Laura znów uniosła głowę, była w znacznej odległości od budynku, który zmienił się już w jednolitą ścianę płomieni. Nawet z odległości, na jaką udało jej się odpełznąć, czuła pulsowanie żaru i do jej oszołomionego umysłu wpadła myśl, że musi dostać się do samochodu i jechać gdzieś. *Gdziekolwiek*, poza tym miejscem.

Ścisnęła mocno coś, co okazało się być uchwytem jej torby. Dobrze. Jedynym, co spłonęło w pożarze, były ubrania i kilka papierów.

Czując drżenie, Laura spróbowała wstać i dotrzeć do parkingu, ale jej nogi nie chciały unieść jej ciężaru. Zastanawiała się czy ktoś jeszcze wydostał się z piekła, którym stał się rząd budynków i zadrzała.

Miała nogi jak z gumy, ale zmusiła się do wstania i pokuśtykania kilka kroków, zanim padła na ziemię. Bujna, nadmiernie wyrośnięta trawa ocierała się o jej nagie nogi i stopy. Niebieska koszulka „Radź sobie s tym” była w strzępach po trudnej ucieczce z budynku i stanowiła słabą ochronę. Laura przeklęła pod nosem, dźwigając masywną torbę przez chwasty. Zostawiła pożar za plecami i skierowała się na parking na tyłach, gdzie zostawiła Z, nie mając pojęcia, że kiedy następnym razem zobaczy swój dom, będzie on całkiem dobrą imitacją wrót do piekła.

Prawie przedarła się przez nadmiernie rozrośnięte zarośla, oddzielające parking od głównego trawnika Colonial Village, kiedy znów się potknęła i upadła w sięgającą pasa trawę, zdzierając sobie skórę z kolana na zagrzebanym do połowy kamieniu. Sportowa torba wyleciała jej z ręki, a jej zawartość rozsypała się po ziemi. Laura pełzała w kółko, wymacując rzeczy i

wciskając je razem z garściami trawy do torby. Czowała się obolała, posiniaczona i zmaltretowana — wydawało się, że bolała ją każda część ciała, a niewielki, ostry ból zdartego kolana przepełnił czarę. Nagle łyzy znalazły się tuż przy powierzchni.

Skuliła się na ziemi, przyciskając kolana do piersi i oddychając ciężko, próbując je powstrzymać. Nie lubiła płakać i musiała pomyśleć. Wszystko, co zostało w domu, było zupełnie stracone, a ilość jej kredytów do końca miesiąca, kiedy przyjdzie czek z jej grantu, była bardzo bliska zeru. Jak miała przetrwać do tego czasu?

Nie było czasu na litowanie się nad sobą — po pierwsze musiała się stąd wydostać. Wstała i przedarła się przez resztę krzaków do miejsca, gdzie zaparkowała Z. Ale kiedy dotarła do rozpadającego się pojazdu, trzymając w ręce kartę dostępu, po prostu się na niego gapiała.

Drzwi z obu stron samochodu były otwarte i ktoś dokładnie przetrząsnął wnętrze. Papiery były rozsypane po żwirze, a zawartość skrytki, porzucona przy drzwiach od strony pasażera. Bagażnik został wyważony, a zapasowe koło leżało jak porzucone dziecko na żwirze, który wżynał jej się w bose stopy. Nawet maska była uchylona i Laura zobaczyła płataninę wystających spod niej przewodów.

Pięknie, po prostu pięknie. Moje mieszkanie zostaje spalone, a samochód obrabowany i zdemolowany tej samej nocy. Laura zastanawiała się czy powinna zadzwonić na policję. Przynajmniej wyglądało na to, że nic nie zostało zabrane, nie żeby zostawiała na noc w Z cokolwiek cennego. W Posiadłościach Ogrody Armenii, to nie było zbyt mądre. Schyliła się, żeby podnieść puszystą, wypchaną mysz, którą podarowała jej Judy w tygodniu, kiedy Laura wyprowadziła się z domu rodziców w wieku dziewiętnastu lat. Zapiszczała mechanicznie, kiedy ją pogłaskała, a z chipu głosowego wewnątrz dobiegł miękki głos jej przyjaciółki.

— Oby tak dalej, dziewczyno. Potrafisz to zrobić. — Bogaty, asertywny głos Judy, jak zawsze, ją podbudował. Unosząc głowę, Laura oceniła szkody i postanowiła, że lepiej wezwać jakieś władze, chociaż nie wiedziała, kogo. Przynajmniej miała aktualne ubezpieczenie Z. Może dzięki temu mogłaby kupić nowy samochód i wieczór nie byłby wyłącznie stratą. Z oddali usłyszała zawodzenie wozu strażackiego. Lepiej późno niż wcale.

Grzebała w dość pełnej trawy zawartości torby przez całą minutę, zanim zrozumiała, że jej wideofon musiał nadal leżeć gdzieś w chwastach, gdzie upadła po raz ostatni. Powlekła się, oddalając się od samochodu i krzywiąc się, kiedy żwir wbijał się jej w podeszwy stóp i wróciła na zarośnięty teren.

Miała szczęście i stłukła sobie duży palec u nogi o twardą, plastikową obudowę. Kiedy schylała się, żeby go podnieść, Laura usłyszała za sobą stłumiony dźwięk zgniatania, jakby ktoś miażdżył ogromną, staroświecką, aluminiową puszkę. Zaczęła odwracać się, żeby zobaczyć, co go spowodowało, ale nagle rozległ się znacznie głośniejszy dźwięk, olbrzymia, rycząca eksplozja, od której zadzwoniło jej w uszach, a oczy wyszły jej z orbit. Coś jak dłoń giganta, wykonana z ciepłego powietrza, popchnęło ją płasko na brzuch, a niecałe pięć centymetrów od jej głowy w ziemię wbił się poskręcany, wyszczerbiony kawałek metalu.

Spiąc, Laura przez chwilę mogła tylko leżeć, wpatrując się w metal. Po chwili zrozumiała, co to było — wsteczny wizjer Z, powykręcany w prawie nierozpoznawalny kształt. Przekręciła się na plecy i gapiła tępo w swój samochód, będący teraz tylko płonącą skorupą jak coś, co widuje się na pokazie najbardziej wypełnionych przemocą filmów.

Wysadziło mi wóz. Pomyślała oszołomiona Laura. Mocno nienawidziła tego samochodu i często sama fantazjowała o wysadzeniu go, a teraz ktoś zrobił to za nią. Powoli zaczynało do niej docierać. Płonący kompleks mieszkalny, wybuchający Z...

Laura usiadła i ścisnęła torbę, z sercem, bijącym szaleńczo w piersi. Pożar nie był wypadkiem. Ktoś wywołał go celowo. A potem wysadzili jej samochód. Ktoś chciał jej śmierci. Możliwe, że ten sam ktoś, kto zabił Geralda i Francine. Nagle poczuła się bardzo sama i bardzo wrażliwa.

Odpelzła od żarzącego się wraku Z i ukryła się w środku wysokiej gmatwaniny chwastów, mając nadzieję, że nie było tam żadnych węży i ignorując drapanie zeschniętej winorośli i rzepów na gołych nogach. Jeśli obróciła głowę, mogła zobaczyć pozostałości swojego domu po prawej i jej jedyne gościnne drzwi po lewej, oba dosłownie idące z dymem. Do tej pory jej T-shirt był już podarty na strzępy, ale to było najmniejsze z jej zmartwień.

Jak mogła teraz wrócić do domu rodziców? Jej ojciec był dość szalony, ale nadal go kochała. I nie ważne, co myślała o Glorii, nie chciała, żeby ta skończyła jak reszta mieszkańców Colonial Village. Nawet najbardziej irytująca macocha nie zasługiwała na zostanie węglowym brykietem. *Kto mógłby to zrobić i dlaczego?* Przypomniała sobie, jak zawartość Z była rozrzucana po ziemi. *Czyżby czegoś szukali? Ale czego?*

Laura objęła się ramionami i zadrzała. Nie mogła jechać do domu taty, a Judy nie żyła. Nie było nikogo, do kogo mogłaby zadzwonić, ani żadnego sposobu, żeby się gdzieś dostać. Za nią wyły syreny, wysoki, żałobny dźwięk się zbliżał. Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna. Gdyby tylko posłuchała ostrzeżenia detektywa Robertsa. Może można było jakoś temu zapobiec, gdyby tylko... Jej umysł nagle zawrócił. Detektyw Roberts.

Nie powinnam... Już pewnie po północy... Ale kto inny miał jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się działo? Kto inny by jej uwierzył? Im dłużej o tym myślała, tym dłużej to wydawało się jej jedyną opcją. W końcu, gdyby poszła na policję z szaloną historią, jak to ktoś spalił cały kompleks mieszkalny, żeby ją dorwać, co by o tym pomyśleli? Ale, gdyby przyszła z detektywem, który jej wierzył, musieliby jej wysłuchać.

Macając po ciemku, udało jej się zlokalizować dotykiem wideofon. Zgubiła wizytówkę, którą jej dał, ale jego numer ciągle był w pamięci po jej przerywanych próbach zebrania odwagi, żeby zadzwonić do niego z pracy.

Wcisnąwszy drżącymi palcami cyfry i słuchając dzwonka, Laura modliła się, żeby miał przy sobie telefon. W końcu nadal ciężki od snu, głęboki głos odebrał telefon.

— Halo? — Jego twarz na ekranie wyglądała na pustą, nadal w połowie śpiącą.

— Halo? — Powiedziała niespokojnie Laura, próbując utrzymać niski i spokojny głos. —
Posłuchaj, wiem, że jest późno i przykro mi, ale nie wiedziałam, do kogo innego zadzwonić...

Rozdział 8

Wyglądała okropnie.

Nawet, kiedy widział ją w laboratorium i z jakiegoś powodu (nadal nie domyślił się, jakiego) nie miała na sobie bluzki, Laura Albright posiadała rodzaj spokojnej samokontroli, chłód, który wydawał się nieprzenikniony. Ale kobieta, stojąca na poboczu, kiedy Vince wyminął wozy straży i zaparkował swojego Eternity S-5 przy rozpadającym się krawężniku, była całkowicie innym stworzeniem. Wyglądała znacznie bardziej jak niepewna dziewczyna, ze zdjęć, które zabrał z biura Geralda Hoyta niż lodowa królowa, jaką wydawała się w czasie rozmowy w jej laboratorium.

Była ubrana w poszarpaną koszulkę z krótkim rękawem, z tak dużymi rozdarciami, że było przez nie widać jej blade ciało, a gęste, miodowe włosy, ściągnięte w ciasny, poważny kok, kiedy widział ją ostatnim razem, były poplątaną masą, pełną liści i gałązek. Miała zadrapania i skaleczenia na twarzy, rękach i nogach, a jej policzki i czoło były wybrudzone smugami sadzy. Duże, zmienne oczy były rozszerzone ze strachu i ścisnęła paski wielkiej torby. *Wygląda jak uchodźca z jakiegoś dokumentu wojennego.* Pomyślał Vince, odczuwając nagle dżgnięcie współczucia. Wyraźnie nie miała za dobrej nocy.

Kiedy zadzwoniła, Vince skłaniał się ku byciu upierdliwym. Nadal czuł się niesamowicie wypruty po dziwnym doświadczeniu *U Mike'a* i z łatwością mógłby przespać kolejne osiem godzin. Jednak jedno spojrzenie na obszarpaną, przerażoną kobietę stojącą obok jego samochodu, powiedziało mu, że działo się coś poważnego.

— Wsiadaj. — Powiedział, sięgając ponad siedzeniem, żeby otworzyć drzwiczki po stronie pasażera.

Zawahała się, nerwowo przestępując z nogi na nogę, na betonie. Oświetlona od tyłu przez blask pożaru, który dopiero zaczynał gasnąć, wyglądała jak coś z innego świata. Dzikie włosy tworzyły świetlistą aureolę wokół jej głowy i zauważył stróżkę krwi, spływającą jej po boku twarzy.

— No? — Powiedział niecierpliwie. — Wsiadasz czy nie? To *ty* dzwoniłaś do *mnie*, pamiętasz?

— Wiem i przepraszam. Po prostu... nie wiedziałam do kogo jeszcze mogłabym zadzwonić. — Jej głos był niski i stłumiony, prawdopodobnie od wdychania dymu. Mimo to nie wsiadła. Miała ten sam wyraz oczu, który uderzył go, kiedy pierwszy raz zobaczył jej zdjęcie w biurze Geralda Hoyta. Ten wyraz niepewnej wrażliwości. Jakby myślała, że mógłby ją skrzywdzić.

Vince nie miał na sobie koszuli, ponieważ, kiedy zadzwoniła, ledwie miał czas wciągnąć parę starych, dresowych spodni, a na policzkach miał dwudniową szczecinę. Wiedział, że wyglądał szorstko, ale czy musiała tak na niego patrzeć? Zaczynał czuć się jak zboczeniec,

próbujący cukierkami zwabić do samochodu małą dziewczynkę. Czego ona właściwie od niego chciała?

Próbując kontrolować irytację, zgasił silnik i wysiadł, po czym obszedł samochód, idąc do miejsca, gdzie poruszała się nerwowo, nadal ściskając ogromną torbę.

— Posłuchaj. — Powiedział, odbierając jej torbę i kładąc na podłodze samochodu. — Będzie dobrze. Po prostu wsiądź.

— Przykro mi, że musiałam do ciebie dzwonić. Wiem... wiem, że nie za bardzo mnie lubisz i wcale cię nie winię. To, jak się zachowałam... Ale mnie przestraszyłeś, a ja... ja...

Jej głos drżał, a miękkie oczy w kolorze zmierzchu były rozszerzone i zranione. Przez telefon brzmiała prawie normalnie, biorąc pod uwagę, przez co przeszła. Kiedy opowiadała o pożarze i tym, co później stało się z jej samochodem, jej głos był suchy i biznesowy. *To musiał być szok*, pomyślał Vince. Ale teraz zimna bariera szronu, okrywająca jej emocje, która pozwoliła jej uciec na czas z płonącego budynku i poradzić sobie z obserwowaniem, jak na jej oczach eksploduje jej samochód, topniała. Laura Albright załamywała się przed nim.

— Proszę posłuchać, doktor Albright... Lauro... — Poszukał właściwych słów. — Nie chodzi o to, że cię nie lubię. Po prostu byłem wściekły i myślałem...

— Wiem, co sobie myślałeś. Co nadal o mnie myślisz, ale nie jestem... ja nie... — Jej twarz skręciła się, jakby desperacko usiłowała nie płakać. — Nie mogę teraz tego wyjaśnić, ale nie jestem taka. — Ostatnie słowa były niewiele więcej niż szeptem, a potem przegrała bitwę ze łzami i załkała.

Vince nie wiedział, co zrobić. Każdą inną kobietę by objął, a przynajmniej objął ręką jej ramiona, ale pamiętał jak powiedziała „*Nie dotykaj mnie!*” i wzdrygnęła się ze strachu w czasie ich rozmowy w laboratorium. Te słowa i wspomnienie jej zbielejącej, przerażonej twarzy powstrzymało go przed zrobieniem tego, co wydawało się właściwe i naturalne. *Bo wydzierałeś jej się prosto w twarz, Vince.*

Niezręcznie wyciągnął rękę, żeby poklepać ją po ramieniu. Jego dłoń dotknęła nagiej skóry, a ona wzdrygnęła się i odsunęła. Natychmiast się odsunął, szanując jej oczywiste życzenie, żeby nie być dotykana. Słuchanie tych cichych, łamiących się dźwięków i brak możliwości zrobienia czegokolwiek, bolało.

Schowwała twarz w dłoniach jak dziecko albo ktoś, kto nie może znieść oglądania obrzydliwości świata ani chwili dłużej. Splątane włosy wisiały jej przed twarzą, a światło ognia, który nadal obejmował jej dawny dom, igrało na nich w surrealistycznym pięknie, zmieniając miodowoblond włosy w pomarańcz, szkarłat i czerń, gdy migotały na nich cienie.

W końcu łkanie zmieniło się w pociągnięcia nosem i okazjonalny, miękki jęk, gdy Laura Albright po trochu wracała do siebie.

Odsunęła ręce od twarzy i wyprostowała się, wycierając mokre, zaczerwienione oczy szybkimi, ostrymi ruchami.

— Lepiej? — Zapytał Vince. Opierał się plecami o bok Eternity, obserwując ją, chcąc móc jej w jakiś sposób pomóc.

— Tak mi przykro. — Jej ton był formalny, prawie zjeżony. Wrażliwa dziewczyna ze zdjęcia zniknęła i powróciła lodowa królowa. — Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

— Ja wiem. Prawie usmażyłaś się we własnym łóżku, a potem ktoś wysadził ci samochód. To rozstroiłoby każdego. — Nadal opierał się o bok samochodu, z rękami po bokach, wyglądając niegroźnie i spróbował utrzymać lekki głos.

Jej twarz zmiękła i straciła trochę swojej sztywności. Zapadła długa chwila ciszy. — Dzięki za zrozumienie. — Powiedziała w końcu.

Vince wzruszył ramionami. — Nie ma sprawy.

Laura wzięła głęboki oddech i przeciągnęła obiema dłońmi po włosach, próbując bezskutecznie trochę je przygładzić. — W porządku. Już jestem gotowa. Jedziemy na komisariat?

Vince przyjrzał się jej poszarpanemu, niebieskiemu T-shirtowi. Na początku nocy mógł być ładny, ale teraz zakrywał mniej niż większość strojów, które widział u pracujących dziewczyn, kiedy obyczajówka robiła nalot w centrum. Poza tym, jeśli ktoś z jakiegoś powodu chciał ją zabić, jej najlepszą obroną było pozwolić im myśleć, że była już martwa. To sprzeciwiało się każdej zasadzie z podręcznika i prawdopodobnie mógł wpaść w piekielne kłopoty przez to, co miał zaraz zasugerować, ale ona mogła być w prawdziwym niebezpieczeństwie.

— Posłuchaj. — Powiedział ostrożnie. — Nie zrozum tego źle, ale może powinnaś pojechać ze mną do mojego domu.

Laura natychmiast znów zeszywniała. — Słucham? — Lód wrócił do jej głosu.

Vince westchnął. *I znowu się zaczyna.* — Słuchaj, ktoś chce twojej śmierci wystarczająco, żeby podpalić ci dom i wysadzić samochód. Jedyne, co w tej chwili działa na twoją korzyść, to to, że prawdopodobnie myślą, że im się udało. Jeśli w ogóle będą cię szukać, sprawdzą w miejscowych hotelach albo u twojej rodziny i przyjaciół. Nie przyjdzie im na myśl, szukać w domu kogoś całkowicie z tobą niezwiązanego.

Znowu miała ten zmartwiony, niepewny wyraz oczu. — Moi rodzice, mój tata — będą bezpieczni?

Vince przypomniał sobie jednostronną rozmowę z jej rodzicami i spróbował utrzymać neutralny wyraz twarzy. — Powinni być w porządku tak długo, jak cię z nimi nie będzie. Najlepsze, co możesz zrobić, żeby zapewnić im bezpieczeństwo, to trzymać się z daleka.

— Ale, dlaczego... to znaczy, doceniam ofertę, ale dlaczego miałbyś oferować, że pozwolisz mi zatrzymać się u ciebie? — Ciasno skrzyżowała ramiona na piersiach, a jej pełne wargi wyglądały na zaciśnięte.

— Jeśli pytasz, czy chcę cię zabrać do siebie i tam cię wykorzystać, odpowiedź brzmi nie.
— Powiedział sucho Vince, patrząc na nią twardo.

Laura spuściła oczy. — Nie chciałam powiedzieć, że...

— Może i nie, ale o tym myślałaś. Przynajmniej częściowo. Ale nie o to mi chodzi. Jeśli oferuję ci gościnę w moim domu, możesz być pewna, że będziesz tam bezpieczna. Przede mną i każdym innym. W porządku?

Spojrzała na niego. — Daj mi rękę.

— Myślałem, że nie chciałaś, żebym cię dotykał. — Spróbował utrzymać neutralny głos, ale i tak zakradło się do niego trochę wrogości.

Laura przypatrywała mu się przez długą chwilę, patrząc mu w oczy. Nareszcie powiedziała:
— Słuchaj, ta... sprawa z dotykiem... tu nie chodzi o ciebie. Tylko o mnie. Czy mógłbyś teraz podać mi rękę? Obiecuję, że nie ugryzę.

Vince zdał sobie sprawę, że próbowała zażartować, żeby rozluźnić sytuację i poczuł zawstydenie. *No dalej, Vince, odpuść jej. Dziewczyna miała ciężką noc.*

W milczeniu wyciągnął rękę. Chwyliła ją mocno, splatając ich palce i popatrzyła mu prosto w oczy. Był świadomy niewielkiego rozmiaru i miękkości jej dłoni. W jego ręce była jak dziecięca. Laura wzdrygnęła się lekko pod wpływem pierwszego kontaktu, ale się nie odsunęła. Trzymała jego dłoń i patrzyła na niego w skupieniu, sprawiając, że Vince czuł się, jakby był podpięty do jakiegoś psychicznego wykrywacza kłamstw. W końcu puściła jego rękę i skinęła głową.

— W porządku, wierzę ci.

— O co w tym chodziło? — Ścisnął dłoń, którą wcześniej trzymała w pięść i napiął ją, próbując wyczuć czy coś mu zrobiła. Rzuciła na niego jakieś voodoo, jak powiedziałyby babcia Gertie.

Laura zarumieniła się, ale nie spuściła wzroku. — Łatwiej kogoś wyczuć, jeśli się go dotyka.
— Jej głos ścichł tak, że musiał się wysilić, żeby usłyszeć słowa. — Czasem to... zbyt łatwe.

Vince pokręcił głową. Znowu to słowo, *wyczuć*. Przypuszczał, że miała na myśli, że łatwiej było jej czuć jego emocje, kiedy go dotknęła. — Nie wierzę w to... — Wtedy przypomniał sobie swoje doświadczenie *U Mike'a* tego popołudnia, dziwaczny sposób, w jaki zdawał się wyczuwać emocje Mike'a, Theresy i najgorsze ze wszystkiego, Berletti'ego. — No to chyba możemy już jechać. — Powiedział zamiast tego.

Popatrzyła na niego ciekawie, ale tylko przytaknęła.

Vince obszedł samochód, wsiadł od strony kierowcy i spojrzał na nią. Tylko tam stała.

— No to wsiadaj. — Powiedział, czując się, jakby wrócili do punktu wyjścia.

— Umm. — Poruszyła się niespokojnie. — Masz naprawdę fajny samochód, a ja jestem w okropnym stanie. Masz może ręcznik, na którym mogłabym usiąść? — Sięgnęła, żeby potrzeć ramię i skrzywiła się z bólu. — Chyba krwawię i nie chciałabym ci zniszczyć tapicerki.

— Nie martw się o samochód. — Powiedział, natychmiast zmartwiony. Nagląco dał jej znak, żeby wsiadała. — Jak mocno jesteś pokaleczona?

— Nie wiem. — Nie tyle usiadła na siedzeniu, co na nie opadła. — Musiałam wytłuc okno, żeby się wydostać i nie miałam czasu wybić całego szkła. Palą mnie plecy i trochę... kręci mi się w głowie... — Ostatnie słowo urwało się w sposób, który podwójnie go zmartwił.

— Na pewno wszystko w porządku?

Machnęła ręką w słabym, lekceważącym geście. — Nic mi nie jest, jestem tylko zmęczona i wystraszona. Poczuję się znacznie lepiej, kiedy tylko wezmę prysznic. — Ze znużeniem oparła głowę o siedzenie i zamknęła oczy. Blask dogasającego pożaru, wpadający przez okno, skąpał jej twarz w płomieniach i cieniach.

Przez chwilę marszczył czoło. — No cóż, jeśli jesteś pewna — prawdopodobnie powinienem rzucić okiem na twoje plecy, gdy już dotrzemy do domu.

— Dobrze.

Miał uczucie, że w tym momencie zgodziłaby się prawie na wszystko. Wydał Eternity rozkaz jazdy do domu.

Myślał, że będzie musiał wnieść ją do środka, ale w ostatniej chwili jej strach lub niechęć do bycia dotykana, przeważyły nad jej oczywistą słabością i wyczerpaniem. Powlekła się zmęczona do domu i udało jej się dotrzeć do kanapy, zanim na nią padła.

Vince położyłby ją po prostu do łóżka i pozwolił jej to przespać, ale martwił się o nią. Co, jeśli pod tym T-shirtem była jakaś poważna rana? Powiedziała, że wydaje jej się, że krwawi, a na miękkim, jasnym błękitnym materiale były jaskrawoczerwone smugi, które to potwierdzały.

Zostawił ją, leżącą na kanapie i wszedł do głównej łazienki, żeby napuścić ciepłej wody do staroświeckiej wanny na lwich łapach. Kiedy kupił to miejsce, chciał się jej pozbyć na korzyść czegoś bardziej nowoczesnego, ale Tandy była przeciwna, mówiąc, że stara wanna, jednocześnie szeroka i głęboka, była romantyczna i historyczna. No i wanna została a dziewczyna odeszła.

Kiedy wanna napełniła się do połowy, wrócił do Laury, która leżała bardzo nieruchomo ze splątanymi włosami, rozrzuconymi po szarych poduszkach. Twarz miała tak bladą, że to go przeraziło i musiał mocno się przyjrzeć, żeby zauważyć wznoszenie się i opadanie jej klatki piersiowej.

— Lauro? Doktor Albright? — *Cholera, jak powinienem ją nazywać?* — Lauro? — Powiedział znowu, prawie do jej ucha.

— Mmm? — W końcu otworzyła oczy i odczuł ulgę, widząc, że wyglądała wyłącznie na wyczerpaną, nie chorą.

— Przygotowałem ci kąpiel. — Zaprowadził ją przez sypialnię do głównej łazienki, która zaczynała wypełniać się parą i nakłonił, żeby usiadła na brzegu wanny. — Uch, potrzebna ci pomoc? — Był świadomy, jak zabrzmiało to pytanie, ale nie czuł się całkowicie komfortowo, pozostawiając ją samą w tym osłabionym stanie.

Usiadła trochę prościej i pokręciła głową. — Nie, ja... poradzę sobie. Ale dziękuję, detektywie Roberts.

Vince uśmiechnął się na tę formalność, która odzwierciedlała jego własne zmieszanie sprzed minuty. — Co ty na to, żebym w czasie, kiedy tu mieszkasz mówił do ciebie Laura, a ty do mnie Vince? W porządku?

— W porządku. — Zgodziła się, odwzajemniając pełen wahania uśmiech własnym.

— No to w porządku. Zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Szampon stoi tutaj, na krawędzi. — Ruchem głowy wskazał drugi koniec wanny. — Razem z mydłem i wszystkim innym. Zostawię tu dla ciebie kilka ręczników. — Poszedł po kilka ręczników do kosza z praniem, wdzięczny, że przedwczoraj pamiętał, żeby je wyprać i złożył je schludnie na klapie toalety.

— Dzięki... Vince. Naprawdę to doceniam. I mam na myśli wszystko, nie tylko ręczniki. — Wzruszyła ramionami, kiedy zabrakło jej słów i skrzywiła się, najwyraźniej z bólu.

Zmarszczył brwi. — Po prostu się umyj i pozwól mi obejrzeć te plecy. — Poleciał. — Będę w salonie, gdybyś mnie potrzebowała.

— Dzięki. — Usłyszał ją znowu, zamykając drzwi.

Usiadł ciężko na kanapie i odchylił głowę, przez chwilę pozwalając wzrokowi dryfować. *Co za noc.* To przypuszczalnie był jedyny raz, kiedy miał mieszane uczucia wobec obecności nagiej kobiety w jego domu. Od czasu do czasu słyszał jej pluskanie w wannie, co było dobre, bo inaczej by się martwił.

Łamię każdą zasadę z podręcznika. Dlaczego zaprosił ją do swojego domu, zamiast, jak powinien, umieścić ją w policyjnym areszcie? *Łuski — morderstwa i zniknięcia muszą być w jakiś sposób powiązane. Poza tym jest bezpieczniejsza tutaj — ze mną.* I było coś w samej Laurze Albright. Była uparta i irytująca, ale pod tą otoczką lodowej królowej, cały czas dostrzegał wrażliwą dziewczynę z fotografii. Tajemnica.

— Vince? — Wymówiła jego imię, jakby to słowo pochodziło z obcego języka.

Prawie drzemał i jej głos go zaskoczył. Usiadł szybko, mrugając.

— Przepraszam, nie miałam zamiaru cię budzić. — Stała na samej krawędzi salonu, jakby niepewna, jak zostanie przyjęta. Była zawinięta w wielki, granatowy ręcznik, który jej zostawił,

a głęboki odcień niebieskiego sprawiał, że jej zmienne oczy wyglądały prawie kobaltowo. Długie włosy zwisały wilgotne i lśniące wzdłuż jej pleców.

— Ja, uch, nie byłem przytomny, znaczy się nie spałem. Podejdz. — Potarł oczy, po czym klepnął poduszki obok siebie, próbując się obudzić. — Obejrzyjmy te plecy.

Podeszła z wahaniem i przysiadła ostrożnie na brzegu kanapy obok niego. Vince zauważył, że usiadła niezbyt blisko.

— Daj spokój, dziewczyno. Nie ugryzę cię. — Próbował utrzymać lekki głos. — Obróć się.

Posłała mu ostatnie, nieodgadnione spojrzenie, odwróciła się do niego plecami i pozwoliła lekko opaść ręcznikowi, który miała ściśnięty mocno nad piersiami.

— Pozwól. — Vince pochylił się naprzód, lekko szurając butami po dywanie i pociągnął ręcznik, aż opadł jej do krzyża. — Odsuń włosy.

Sięgnęła w tył, żeby tak zrobić i zasyczała lekko z bólu, po czym opuściła rękę. Vince zastanawiał się, jak zdołała umyć włosy. Zgadywał, że to musiało boleć jak diabli.

— Mógłbyś...? — Jej głos był pełen wahania.

— Zrobię to. — Powiedział. Ujął garść wilgotnej, połyskującej masy i delikatnie przełożył je przez jej ramię, żeby móc patrzeć na jej nagie plecy, uważając, żeby nie dotknąć jej skóry. Gwizdnął cicho z przerażenia.

— Jest źle? — Zapytała niespokojnie, próbując obrócić głowę i krzywić się przy tym ruchu.

— A jak się czujesz? — Zapytał Vince, patrząc na długie, poszarpane, płytkie cięcia, szpecące kremowoblądą perfekcje jej skóry.

— Boli. — Przyznała niskim, zmartwionym tonem. — Myślisz, że potrzebuję szwów?

— Cóż, — Popatrzył krytycznie na jej plecy. — Nie jestem lekarzem ani nic w tym stylu, ale wyglądają dość płytko. Okropnie, ale płytko. I w większości przestały krwawić. Jednak zdecydowanie powinienem nałożyć na nie Safe-t-Skin. Poczekaj, chyba mam trochę w szafce na leki.

Poszedł do łazienki, próbując nie zauważać jak opadający ręcznik pokazywał kremowe krągłości górnej części jej piersi i wrócił z tubką maści.

— Słuchaj, przepraszam za to, ale będę musiał cię dotknąć, żeby to zrobić. — Poczul się niezręcznie, mówiąc to, ale wydawała się mieć tak dziwną awersję do dotykania lub bycia dotykaną, że czuł, iż musi przynajmniej ją ostrzec.

— W porządku. — Jej głos był przytłumiony i posłusznie pochyliła się do przodu, odsłaniając przed nim bladą szyję i plecy. Vince zauważył, że drżała bardzo lekko w tej, odsłoniętej pozycji. Zupełnie, jakby oczekiwała, że ją uderzy, zamiast po prostu rozsmarować Safe-t-Skin na jej skórze.

Kręcąc głową, Vince nabrał na palec antybiotykowy substytut skóry i posmarował nim długą, czerwoną i poszarpaną linię, tak delikatnie, jak tylko się dało. Miała stworzyć na skaleczeniu leczniczą błonę i odejść sama, kiedy gojenie dobiegnie końca. Laura zadrżała pod jego dotykiem jak nerwowe zwierzę, ale poza tym się nie poruszyła.

Nakładając maść, Vince zachwyił się jedwabistą teksturą jej bladej skóry. Nie sądził, żeby kiedykolwiek dotykał czegokolwiek miększego, chyba, że jej długich włosów. *Ochłoń, Vince, to nie czas i miejsce.*

Żeby oderwać myśli, powiedział: — Więc myślisz, że ktoś czegoś szukał? Czegoś, co masz?

— Takie odniosłam wrażenie, ale nie mam pojęcia, co by to mogło być. Samochód był splądrowany — wszystko po prostu rozrzucone po ziemi... — Znowu zadrżała i poczuł, że była o krok od kolejnych łez.

— Hej. — Prawie położył kojąco dłoń na jej ramieniu, ale przypomniał sobie i cofnął się na czas. — Dowiemy się, o co chodzi. Obiecuję ci to. — Powiedział zamiast tego.

— Dziękuję. — Jej głowa opadła trochę niżej i wydała miękki odgłos czystego wyczerpania, gdzieś między westchnieniem i jękiem. — Jesteś bardzo uprzejmy. Zwłaszcza po tym jak potraktowałam cię dzisiaj w laboratorium.

— No cóż, ja sam też nie byłem panem Przyjacielskim. Przepraszam, że tak się wściekłem, po prostu, cóż, ta sprawa jest dla mnie jakby osobista. Widzisz, jedna z tych porwanych dziewcząt, czwarta, była moją siostrą. Moja młodsza siostra, Kyra.

— Och. — Obróciła się twarzą do niego, przygryzając wargę. — Tak mi przykro. Nic dziwnego, że byłeś niezadowolony. Ale mówiłeś, że zniknęło jednaście dziewczyn? Nie rozumiem, dlaczego nie widziałam więcej na ten temat w gazetach albo wiadomościach.

— Wszystkie są z mniejszości etnicznych. A poza moją siostrą i ostatnią dziewczyną, którą porwano około dwa dni temu, wszystkie były wyrzutkami.

— Wyrzutkami? — Uniosła pytająco brwi.

Vince westchnął, wytarł resztkę Safe-t-Skin o spodnie i przeciągnął dłonią po nieogolonych policzkach. — Osoby, za którymi nikt nie tęskni ani nie dba. Bezdomne, wyrzucone z domu, pracujące dziewczyny — prostytutki. — Wyjaśnił, widząc jej zmieszane spojrzenie.

Zarumieniała się i spuściła oczy. — Och.

— Taa. — Westchnął ponownie. — Może być więcej takich, o których nie wiemy — niezgłoszonych zniknięć, gdzie nikogo nie było w pobliżu, albo nie przejmował się wystarczająco ofiarami, żeby to zgłosić. Ciągłe myślę, że musi być między nimi jakiś związek. Jakiś powód, dla którego ten ktoś, albo coś, kto je porywa, je wybiera. Ale poza świeżymi łuskami i faktem, że wszystkie należą do mniejszości, nie ma żadnych cech wspólnych.

— Może potrzebujesz nowych oczu. — Powiedziała cicho.

Vince poruszył się na kanapie, powodując, że zaskrzypiała. — Doceniam ofertę, ale już i tak łamię wszystkie protokoły, sprowadzając cię tutaj, zamiast zabrać na posterunek. Chcę znaleźć moją siostrę, ale pozwalanie ci pomagać mi przy sprawie byłoby lekką przesadą.

— Wiem, że to strzał w ciemno, — Westchnęła. — i nie chcę mieszać się w twoje śledztwo, ale, gdybyśmy mogli wybrać się na miejsca tych zaginięć, porozmawiać z rodzinami, albo ostatnimi osobami, które je widziały. Mogę... wyczuć rzeczy, których ty pewnie nie możesz. Nie wiem, czy to w czymś by pomogło, ale... — Nie dokończyła zdania.

Vince przyjrzał jej się uważnie. Złożyła tę ofertę całkiem swobodnie, ale jej twarz była blada i ściągnięta, a oddech przyspieszył. Dłonie na jej kolanach ścisnęły się w pięści. Szybki błysk wspomnień przepłynął przez jego umysł, dziwne, dezorientujące doznanie wiedzy, co czuli inni ludzie *U Mike'a*.

— Hej, o co chodzi? — Powiedział miękko. — Doceniam ofertę, ale czy to dla ciebie trudne? Używanie twojego... — Szukał słowa. — Daru. — Powiedział w końcu, w tym samym momencie, kiedy ona powiedziała: — Ułomności.

Popatrzyła na niego, a duże, zmienne oczy były nagie i pełne strachu. Jej ręcznik opadał, ujawniając zaokrąglone góry piersi.

— Po prostu wyszłam z wprawy. — Powiedziała w końcu. — Moja... tolerancja jest niska, to wszystko. Unikałam ludzi od czasu mojego rozwodu, około rok temu. Ale potrafię zrobić to, co mam do zrobienia. — Usiadła sztywno, przyciskając ręcznik do piersi.

Vince zapragnął nagle jej dotknąć, zapragnął popieścić jej policzek, albo ramię, poczuć jedwabisty ślizg jej włosów na palcach, ale wiedział, że nie przywitałaby takich awansów. Przypominała mu o historii, którą matka czytała mu, gdy był dzieckiem, o księżniczce zamkniętej we wnętrzu przejrzystej, szklanej trumny. Tak piękna, gdy się na nią patrzyło, ale nie dało się jej dotknąć. Smutne.

— Wiesz, która godzina? — Laura popatrzyła w dół na swoje palce, nadal zaciśnięte na ręczniku.

Vince zerknął na nadgarstek i przypomniał sobie, że zapomniał zegarka. Staroświecki zegar, tykający sobie cicho na ścianie, prezent od babci Gertie, wskazywał trzecią nad ranem. — Trzecia. — Powiedział. — To była długa noc, czas do łóżka.

Zerknęła na niego szybko, z lekkim błyskiem strachu w tych wielkich oczach, a potem równie szybko spuściła wzrok. Tym razem, zamiast się wściec, trochę ścisnęło mu się serce. Przypomniał sobie, że ledwie się znali. Mimo to okazała wiele zaufania, a on nie zamierzał go zawieść.

— Weź łóżko. Przykro mi, ale moja, druga sypialnia nadal jest, eee, w budowie. Ciągle sobie obiecuję, że ją dokończę, ale do tego czasu... — Wzruszył ramionami. — Przekimam na kanapie.

— O nie, nie mogłabym wykopać cię z własnego łóżka. — Zaprotestowała, oceniając jego wzrost. — Poza tym jesteś... za wysoki na tę kanapę. Będę spać tutaj, to żaden problem.

Vince pokręcił głową. — Nie ma mowy. Przy twoich plecach musisz być w stanie się wyciągnąć i położyć na brzuchu. Daj Safe-t-Skin czas na działanie. Spanie na kanapie mnie nie zabije. Wierz mi, że spędziłem tu wiele nocy, zwłaszcza tuż przed rozstaniem z moją ostatnią dziewczyną. Miała charakterek. — Uśmiechnął się szeroko.

— Och. — Wyglądała na niepewną, wykręcając sobie palce w ręczniku. — Okay.

— Jutro jeszcze porozmawiamy. Spróbujemy odkryć, co się dzieje. Oboje będziemy lepiej myśleć po dobrym śnie.

— Spałeś smacznie, zanim cię obudziłam. — Stwierdziła ze smutnym półuśmiechem, szarpiącym kącikami jej ust.

— Hej, w porządku. Cieszę się, że do mnie zadzwoniłaś. — Chciał ścisnąć jej rękę, ale się nie ośmielił. To było frustrujące. Ku jego zaskoczeniu, Laura sięgnęła do niego. Wzięła jego dłoń w swoją, splatając ich palce jak to zrobiła, kiedy starała się *wyczuć* jego prawdziwe intencje.

— Dziękuję. — Powiedziała po prostu, patrząc mu w oczy. — Nie wiem, dlaczego robisz to, co robisz, ale i tak ci dziękuję.

— Nie dziękuj. — Powiedział szorstko, czując jak jego policzki robią się niekomfortowo gorące. — Myślę, że te sprawy są powiązane, to wszystko. Znajdziemy tego, kto sprzątnął twojego byłego i spalił ci mieszkanie, znajdziemy osobę, stojącą za zaginięciami. Chcę odzyskać siostrę.

— A ja przysięgam ci, że zrobię wszystko, co mogę, żeby pomóc ci ją znaleźć. — Mówiła cicho, ale miała przeczucie, że nie dawała swojego słowa lekką ręką. Krótко ścisnęła jego dłoń, jej małe, blade palce zostały połknięte przez jego dłuższe, ciemniejsze, a potem go puściła.

— Idź do łóżka. — Vince skinął w kierunku sypialni.

Wstała, przyciskając do siebie ręcznik. — Dobranoc. — Poszła korytarzem, ostatni raz rzuciwszy na niego spojrzenie przez ramię.

— Noc. — Vince przytłumił światła i położył się, próbując ułożyć się wygodnie na kanapie. Miała rację, *był* za wysoki, ale nie to nie dawało mu spać. Jego umysł ciągle skakał wokół możliwości i pomysłów. Jakoś odzyskać Kyrę. Łuski, zniknięcia, morderstwa, a teraz zamachy na życie Laury Albright.

A jakby to wszystko nie wystarczyło, była jeszcze sama Laura. Gdyby ktokolwiek powiedział mu, że będzie spać w jego łóżku (choć on aktualnie zajmował mniej niż wygodną kanapę) mniej niż dwanaście godzin po ich wybuchowym spotkaniu w laboratorium, Vince uznałby go za szaleńca.

Po rozmowie telefonicznej z jej ojcem i macochą, sklasyfikował ją w głowie, jako Separatystkę, może nawet Supremacjonistkę, ale teraz nie był już taki pewien. Była frustrująca, tajemnicza i wrażliwa jednocześnie.

Zasnął z obrazem światła ognia, igrającego na jej długich, miodowych włosach.

Rozdział 9

Gdzie jestem? Laura otworzyła oczy w słabo oświetlonym, nieznanym pokoju, skąpanym w wodnistym, bladoniebieskim świetle deszczowego poranka w Tampa. To był ten rodzaj dnia, kiedy chciała po prostu znów skulić się pod kołdrą i przespać jeszcze kilka godzin, zanim wstanie i przygotuje sobie kubek gorącego kakao i chwyci ulubioną książkę. Typowe, leniwe, sobotnie popołudnie. To znaczy typowe, jeśli chciało się znowu skulić pod własną kołdrą.

Laura leżała zwinięta w ciepłe, z mózgiem nadal zamglonym od snu i próbowała przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Poduszka, na której leżała, miała ciemnoniebieską poszewkę, pasującą do granatowej kołdry z kraciastym, ciemnozielonym wzorem — zupełnie nie przypominało to pościeli w pastelowe wzory, które miała we własnym domu.

Gerald... budynek... pożar...

Nagle usiadła wyprostowana w obcym łóżku, czując ostre dźgnięcie bólu w pociętych plecach, kiedy wszystko wróciło do niej olbrzymią, przytłaczającą falą doznań i wspomnień. Gerald i Francine martwi, potworny żar płonącej kamienicy, panika bycia uwięzioną wewnątrz i horror obserwowania dymiących i palących się szczątków Z. I wcześniejsze: obcy mężczyzna w jej laboratorium, który nie okazał się bandytą, a detektywem z policji. Policyjnym detektywem, którego łóżko aktualnie zajmowała. Nago.

Nagle uświadomiła sobie, że odgłos płynącej wody nie był jedynie deszczem za podwójnymi szybami, wpuszczającymi bladoniebieskie światło. Dochodził zza drzwi łazienki, razem z niskim dźwięcznym pomrukiem, który jak przypuszczała, był nuceniem detektywa Roberta... Vince'a.

O mój Boże, on tam bierze prysznic, a ja siedzę w jego łóżku zupełnie naga! Ta myśl sprawiła, że Laura w ślepej panice, zanurkowała z powrotem pod kołdrę, krzywiąc się, kiedy nagle ruchy ciągnęły jej zranione plecy. Schowała twarz w poduszce i oddychała głęboko, próbując się uspokoić, kiedy przypominała sobie gwałtowne zdarzenia zeszłej nocy.

Początkowo był bardzo zirytowany tym, że obudziła go w środku nocy, tak zirytowany, że bała się wsiąść z nim do samochodu. W końcu, jak dobrze tak naprawdę go znała? Potem, kiedy się załamała i płakała przy nim, bardzo chciał jej pomóc, trzymać ją i pocieszyć. Laura czuła to pragnienie, napływające od niego, głęboko niebieskie i łagodne, jak fale oceanu, omywające jej skórę. Ta emocja, jak również autentyczne uczucie szczerości, dochodzące od niego, kiedy obiecał, że pod jego dachem nie spotka jej żadna krzywda, pomogła jej zdecydować, że pojedzie z nim do jego domu. To, oraz ból i słabość, które odczuwała.

Sięgnęła w tył by dotknąć poszarpanych cięć od szyby, pokrytych teraz leczącą warstwą Safe-t-Skin. Sposób, w jaki jej dotykał, był tak delikatny, prawie czuły, jak gdyby była zrobiona z kryształu i mogła się rozbić, gdyby nie był ostrożny. Gerald nigdy jej tak nie dotykał. Cóż, szczerze mówiąc, Gerald ledwie w ogóle jej dotykał. Między wrażliwymi to było zbyt trudne, chociaż z Francine powiodło mu się całkiem dobrze. A teraz oboje byli martwi...

Laura wyrzuciła tę myśl z głowy i wciągnęła kilka głębokich, uspokajających oddechów. Poszewka poduszki i prześcieradło, miały czystą pikantną woń ze słabą nutą piżma, które jak przypuszczała, musiało być zapachem jego skóry. Był ciepły i bardzo męski.

Odgłosy deszczu na zewnątrz i prysznic wewnątrz, oraz cichego, mrużącego nucenia Vince'a były kojące. Laura poczuła jak zamykają jej się oczy, ukojone miękkimi dźwiękami, przyćmionym światłem i ciepłą wonią pościeli. Bezpieczna. Była tu bezpieczna. Znowu prawie zasnęła, kiedy brzęcząca melodia jej telefonu wdarła się w jej myśli.

Wzdychając, usiadła, bezpiecznie naciągnawszy prześcieradło wokół piersi i sięgnęła by wygrzebać telefon ze sponiewieranej, sportowej torby. Elektroniczny zegarek przy łóżku powiedział jej, że jest szósta rano. Kto mógłby dzwonić tak wcześnie rano, oprócz... Laura westchnęła, odczytawszy numer ojca na wyświetlaczu. Wspaniale, właśnie tego było jej trzeba.

— Cześć, tato. — Powiedziała, otwierając telefon i upewniając się, że nagrywał ją tylko od szyi w górę.

— Laura? Lauro, to ty? — Zapytał, mimo tego, że jak wiedziała, iż widział ją tak dobrze, jak ona widziała jego.

— Oczywiście, że to ja, tato. — Powiedziała cierpliwie. — Jak się macie z Glorią?

— Jesteśmy chorzy ze zmartwienia o ciebie, tak się mamy, młoda damo. — Nie ważne, ile miała lat, zawsze zwracał się do niej, jakby była nieodpowiedzialną nastolatką, przyłapaną na wykradaniu się z domu, żeby wziąć udział w takiej czy innej, groźnej dla życia aktywności.

Westchnęła głęboko. — Posłuchaj, tato, teraz naprawdę nie jest najlepszy moment. W porządku?

— Słyszeliśmy, że Gerald i ta jego kobieta zostali zastrzeleni, a potem... Wiesz, że wczoraj zadzwonił jakiś mężczyzna i wypytywał o ciebie?

— Kto? — Serce Laury nagle biło jej w gardle. Czy to mogło mieć coś wspólnego z pożarem i wysadzonym samochodem? — Jak wyglądał? — Zapytała. Dłoń, którą nie ścisnęła telefonu, zwinęła się w pięść przy jej piersi.

Jej ojciec skrzywił się, co sprawiło, że zmarszczki na jego twarzy zmieniły się w bruzdy. — Był nieczysty rasowo, Lauro. Twierdził, że jest policjantem, ale ja od razu to przejrzałem. On...

— Tato! — Wypuściła oddech w rozdrażnionym westchnieniu. — To był tylko Vince... detektyw Roberts. Bada śmierć Geralda i Francine, nie powiedział ci tego?

— Nie obchodzi mnie, kim jest i co robi, Lauro. Wiesz lepiej, żeby nie zadawać się z takimi osobnikami. Zostawiamy ich w spokoju, a oni *powinni* zostawiać nas w spokoju. Rasom nie wolno się mieszać. Tak cię wychowaliśmy z twoją matką.

— Gloria nie jest moją matką! Moja matka nigdy nie wychowała mnie, żebym nienawidziła kogoś tylko dlatego, że wygląda inaczej ode mnie. — Prawie krzyczała, ale nie wydawało się, żeby mogła ściszyć głos.

Grymas jej ojca się pogłębił. — Natychmiast za to przeprosisz, młoda damo.

Laura znowu westchnęła. Dlaczego zawsze potrafił w kilka sekund zredukować ją do buntowniczej nastolatki? Zupełnie, jakby część niej nigdy nie wydostała się z domu w Heron's Point. Część, która była wiecznym dzieckiem, walczącym z wpływem ojca i macochy. Ale nie było sensu się z nim kłócić — to była dyskusja, której nigdy nie mogła wygrać.¹⁷

— Tato. — Powiedziała tak spokojnie, jak była w stanie. — Nie mam w tej chwili na to czasu. Miałam ciężkie dwadzieścia cztery godziny, między morderstwem mojego, byłego męża i jego żony, spaleniem się mojego kompleksu mieszkalnego i wybuchem mojego samochodu. Przez jakiś czas będę pracować z Vincem, żeby spróbować to wyjaśnić i myślę, że lepiej, żebyśmy przez jakiś czas nie rozmawiali.

— Młoda damo, ja... — Jednak nagle wydało się, że jej ojcu zabrakło słów, a jego twarz, która w trakcie ich kłótni przybierała przytłumioną barwę ceglanej czerwieni, nagle zrobiła się zupełnie purpurowa. Wyglądał, jakby się dławził.

— Tato? — Laura się zmartwiła. Tak się nakręcił, a lekarz ostrzegał, że prosił się o atak serca, kiedy pozwalał, żeby jego temperament przejmował w ten sposób kontrolę.

— Ja... ty... on...

— On? — Laura trzymała uniesiony wideofon, żeby upewnić się, że mógł widzieć tylko jej twarz, a teraz zdała sobie sprawę, że nie patrzył już na nią. Wpatrywał się ponad jej ramieniem na coś za nią.

Laura odwróciła się szybko, nadal trzymając w ręce wideofon, by ujrzeć Vince'a, stojącego w drzwiach łazienki, mając na sobie tylko owinięty wokół bioder ręcznik. Kropelki wody zebrały się na gładkiej, brązowej skórze jego muskularnej klatki piersiowej i szerokich ramion. Spróbowała sobie przypomnieć czy słyszała wyłączenie prysznic, ale tak zaangażowała się w tę samą, starą dyskusję ze swoim ojcem, że tego nie zarejestrowała. Ile usłyszał Vince?

— Lauro, żądam wytłumaczenia! *Nie będę tolerował* tego rodzaju zachowania. I co ty masz na sobie?

Uups. Pod wpływem szoku pozwoliła opaść telefonowi, transmitując obraz jej owiniętej w prześcieradło klatki piersiowej. A prześcieradło też opadało. Nawet, gdyby próbowała, nie wyreżyserowałyby lepszej sceny, żeby dać swojemu ojcu fałszywe wrażenie.

— Posłuchaj, tato, zostałam ranna, uciekając z budynku, kiedy zajął się ogniem i nie miałam, gdzie się zatrzymać, a Vince zaoferował...

Ale jej ojciec nie słuchał żadnych, racjonalnych wyjaśnień. — Młoda damo, jeśli myślisz, że twoja matka i ja, będziemy znosić tego rodzaju hańbę, smutno się mylisz. Wydziedziczymy cię,

¹⁷ I zapewne facet był zbyt wielkim fanatykiem, żeby zwyczajnie zgodzić się, że się nie zgadzają i dać sobie spokój.

nie miej, co do tego wątpliwości. I nie myśl nawet o przynoszeniu swoich szczeniaków mieszańców pod moje drzwi, bo cię wyrzucę. Ja...

— Do widzenia, tato. — Laura pospiesznie zamknęła telefon, ucinając ojcu w połowie tyrady. Vince nadal stał w całkowitym milczeniu, w drzwiach łazienki, a ona czuła jak policzki palą ją ze wstydu.

Laura otworzyła usta, żeby się odezwać, ale wyglądało na to, że nie ma niczego do powiedzenia. W jej dłoni zabrzęczał gniewnie telefon, ojciec dzwonił, żeby jeszcze trochę się powydziarać. Laura wyłączyła go i obróciła się by pozwolić mu wyslizgnąć się z pozbawionych czucia palców do sportowej torby. Odwróciła się, żeby coś powiedzieć, chociaż nie miała pojęcia, co, jednak zobaczyła, że drzwi łazienki znowu są zamknięte. Tym razem nie dochodziło zza nich żadne nucenie.

Kiedy wyszedł, Vince był ubrany, każdym razie od pasa w dół. Miał na sobie parę obcisłych, niebieskich jeansów i czarne buty do biegania. — Zapomniałem koszuli. — Powiedział krótko, idąc przez pokój w kierunku komody, żeby przeszukać szufladę, która zapiszczała w proteście, kiedy ją szarpnął.

— Vince... — Laura patrzyła na niego bezradnie, chcąc powiedzieć właściwą rzecz, ale nie wiedząc, co. Była potwornie zażenowana, a lodowaty gniew, który wyczuwała, docierający do niej jak zimny wiatr, owiewający jej drżącą skórę, wcale nie poprawiał sytuacji. — Vince, ja...

Uniósł rękę, żeby ją uciszyć. — Nic nie mów. Rozmawiałem wczoraj z twoimi starszami. Nie musisz wyjaśniać. — Usiadł obok niej na łóżku, z czarnym T-shirtem z syntetycznej bawełny, zwisającym luźno z jego rąk. — Światła. — Powiedział i przyćmione, bladoniebieskie światło deszczowego poranka zostało zastąpione ciepłym blaskiem wpuszczonego w sufit oświetlenia. — Daj mi obejrzeć twoje plecy. Jak się czujesz? — Jego głos był pozbawiony modulacji, ale jego ciężkie emocje sprawiły, że bezradnie odskoczyła od jego ręki. — Słuchaj, — Wciągnął głęboki oddech i wypuścił go z westchnieniem. — nie zamierzam cię skrzywdzić tylko dlatego, że nie podoba mi się to, co miał do powiedzenia twój tata. W porządku?

Skrzyżowali spojrzenia i trwali tak długą chwilę. Mówił prawdę.

Laura odwróciła się bez słów. Pochyliła się naprzód, odsłaniając bladą krzywizną pleców. Pochylił się bliżej, odgarniając jej włosy przez ramię. Czuła jego bliskość, żar jego skóry i lekkie dmuchnięcia ciepłego oddechu na swoich nagich plecach, kiedy badał jej leczące się skaleczenia. Lekko przesunął delikatnym palcem wzdłuż jednej, zakrzywionej linii, jak artysta, zaczynający szkic na nowym płótnie.

— Jak się czujesz? — Zapytał. Jego gniew zmiękł, zmienił się w rodzaj zmęczonego smutku. To była łagodniejsza emocja, ale nadal trudna do zniesienia.

Laura otworzyła usta, niepewna, co się z nich wydostanie. Przez długą chwilę nic nie wypłynęło. — Miałam dziesięć lat. — Powiedziała w końcu. — Dziesięć lat, kiedy zdiagnozowano u mnie hiperemпатię. Tak to nazwali, moją ułomność. Ja wiedziałam tylko, że byłam chora — dosłownie, fizycznie chora, przebywając wśród zbyt wielu ludzi, zbyt wielu emocji. A kiedy ludzie mnie dotykali, robiło się znacznie gorzej.

— Lekarze uznawali, że to możliwe, że, lekarstwo lub kombinacja leków, przepisanych mojej matce, gdy była w ciąży, była przyczyną. Ale zmarła, gdy miałam siedem lat, więc nie da się stwierdzić na pewno.

Spuściła wzrok na swoje palce, skubiące ciemnoniebieską i zieloną kołdrę. Vince nie powiedział niczego, ale cisza między nimi była wyczekująca, nasłuchująca. Laura czuła jego ciekawość na podstawie szyi jak łaskoczące palce.

— Niedługo po tym, jak zostałam zdiagnozowana, mój tato poznał Glorię, moją macochę. Miała wiele poglądów — była wychowywana przez ludzi, wierzących w czystość rasową...

— Separatystów. — Powiedział płaskim głosem.

Laura pokiwała głową, ale nie mogła się zebrać, żeby odwrócić się i na niego popatrzeć. — Przekonała mojego ojca, żeby zabrał mnie ze szkoły, namówiła go, żeby przeniósł się do ogrodzonej społeczności Separatystów. To było w czasie, kiedy dopiero zaczynali być bardziej akceptowani. Kiedy radykalna Prawica nie była już postrzegana, jako odłam wariatów. — Ciężko przełknęła ślinę, koncentrując się na swoich palcach, poruszających się po pościeli. Nadal czuła jego oddech na swoich plecach i zainteresowanie na karku.

— Nawet wtedy wiedziałam, że to nie było w porządku. Po prostu to wiedziałam. Moja matka — prawdziwa matka — nigdy... nigdy nie miałaby z tym nic wspólnego. Ale Gloria ma sposób na powtarzanie czegoś raz za razem, na różne sposoby, aż to wydaje się prawdą. Ona wciągnęła w to mojego tatę, ale teraz... myślę, że teraz jest gorszy od niej. — Opuściła głowę. Wymknął jej się cichy szloch.

— Hej, no już... — Laura czuła, że chciał jej dotknąć, pocieszyć ją, ale nie miała pewności czy by to zniosła. Usiłowała się kontrolować. Po chwili wyprostowała się i odwróciła się twarzą do niego, przyciskając prześcieradło do piersi i gniewnie otarła oczy.

— Mogłabym nigdy się stamtąd nie wydostać, gdyby nie Judy Candis. Była jednym z moich, internetowych nauczycieli i Afroamerykanką.

— Była czarna? — Jego zaskoczenie było oczywiste. — Nie pomyślałbym, że twój tata...

— Och, nie wiedział. — Wyjaśniła szybko Laura. — Wyłączałam ekran, jeśli tylko słyszałam go gdzieś w pobliżu w czasie naszych lekcji. Zrozumiała to po tym, jak powiedziałam jej, gdzie mieszkam i co się dzieje. To ona powiedziała mi, że mogę zmienić swoje życie, wydostać się z domu mojego ojca, pójść do college'u — mieć własne życie i karierę. Pomogła mi dostać stypendia, rozweselała mnie...

— Brzmi jak dobra przyjaciółka i wspaniała kobieta. — Cicho i poważnie powiedział Vince.

— Była najlepsza. — Laura spuściła oczy. — Umarła kilka lat temu, właściwie tuż przed przybyciem Lepidów. Ten sam rodzaj raka, co u mojej mamy.

— Przykro mi. Nie powinienem zakładać, że tylko dlatego, że twój ojciec...

— Nie. — Laura popatrzyła na niego. — Co innego miałbyś pomyśleć? Nie winię cię. A wiesz, co jest najgorsze?

Uniósł brwi i po raz pierwszy zobaczyła, jak czysto, ciemnobrązowe miał oczy. Jak roztopiona czekolada.

— Najgorsze jest to, że częściowo miałeś rację. Chodzi mi o to, że wiesz, co pomyślałam, kiedy zobaczyłam cię wczoraj w moim laboratorium?

— Mam całkiem niezłe pojęcie po tym, jak mnie spryskałaś. — Powiedział sucho.

Laura się zarumieniła. — Taa, przykro mi z tego powodu. Ale nie zarejestrowałam twoich manier, tonu głosu czy stylu ubioru. To był kolor twojej skóry, Vince. — Pochyliła się naprzód, mocno przygryzając dolną wargę i mając trudności ze zmuszeniem się, żeby to powiedzieć.

— Kiedy cię tam zobaczyłam, w moim laboratorium, błyskawicznie wróciła do mnie każda potworna rzecz, w którą nauczono mnie wierzyć. I to głupie — kiedy pracowałam z Geraldem w HLC, miałam kontakt z ludźmi z każdej rasy, każdego obcego kraju — zajmowaliśmy się klientami z całego świata. Ale stojąc z tobą w tym ciemnym laboratorium, wszystkim, o czym mogłam myśleć, było to, że jesteś czarny i zamierzasz... zamierzasz...

— Zgwałcić cię. — Dokończył za nią.

Laura pokiwała głową. — Tak mi przykro. — Wyszepiała. — Czuję się taką ignorantką. Tak... tak *źle*.

— Hej, hej. Daj spokój, nie biczuj się. — Jego głos był łagodny. Stłumione światło, wpadające przez okno tworzyło wzory kropel wody na jego brązowej skórze. — Prawdopodobnie przestraszyłabyś się każdego, kto nagle pojawiłby się w ten sposób w twoim laboratorium. Znalazłem otwarte drzwi i po prostu wszedłem. Jestem wścibski. Powinienem poczekać, aż tam przyjedziesz, zamiast wejść i się rozgościć.

— To chyba ten detektyw w tobie, co? — Obdarzyła go słabym, smutnym uśmiechem, który odwzajemnił. — Zobaczyłam cię tam i tak *silnie* cię wyczułam. Twoje emocje — one mnie przestraszyły.

— No tak, cóż, wydawało mi się, że wiesz więcej niż w rzeczywistości. Miałem nadzieję znaleźć informacje, które mogłyby zaprowadzić mnie do Kyry. — Vince wzruszył ramionami.

— To... to nie było tylko to. W twoich uczuciach była szczególna cecha... *zar*. — Popatrzyła w dół, przygryzając wargę. *Dlaczego o tym wspominam?* Nie wiedziała.

Vince poruszył się tak, że łóżko lekko się zatrzęsło. — Hmm, myślę, że wiem, do czego zmierzasz. — W jego głębokim głosie było rozbawienie. — Ale musisz pamiętać, Lauro, że

kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, nie miałaś na sobie bluzki. Chcę powiedzieć, że każdy prawdziwy facet, bez znaczenia, czarny czy biały, zareaguje na ładną, prawie topless kobietę, nienoszącą nic z wyjątkiem stanika.

— Kelnerka oblała mnie kawą. — Mruknęła Laura. — Ja... nie spodziewałam się, że ktokolwiek tam będzie. Nie wiedziałam...

— Wiem.

Laura uniosła głowę, żeby znowu napotkać te ciemnoczekoladowe oczy. Był blisko, dość blisko, żeby czuć ten sam pikantny, ciepły zapach, którym przesiąkła pościel i poczuć ciepło ciała, promieniujące z jego nagiej klatki piersiowej.

— Ja... — Poczowała się zmieszana, niepewna siebie ani jego.

Odsunęła się trochę, ciasniej przyciskając prześcieradło do piersi.

Vince siedział nieruchomo, obserwując ją przez chwilę, a potem wstał, wciągając przez głowę czarną koszulę. Zaczął wkładać naramienną kaburę z wielkim, niebieskoczarnym pistoletem.

— Muszę lecieć na komisariat i sprawdzić kilka rzeczy. Wrócę za jakąś godzinę. Czuj się jak w domu, dobra?

— Dobra. — Laura poruszyła się na łóżku, bardziej niż kiedykolwiek świadoma, że pod prześcieradłem była naga. *Nie winiłabym go, gdyby nabral złego wrażenia. Za każdym razem, kiedy go widzę, mam na sobie mniej ubrań.*

— Naprawdę miałaś na myśli to, co mówiłaś o pomocy? Przy tych sprawach, zaginięciach, morderstwach...?

— Och. — Popatrzyła na niego, tak wysokiego, kiedy stał u stóp łóżka. Jego łóżka. — O tak, absolutnie. Cokolwiek mogę zrobić.

— Więc w porządku. Mogę przynieść ze sobą trochę notatek. Zobaczymy, co możemy znaleźć.

— Świetnie.

Ale jego już nie było.

Rozdział 10

Dobrze, że w czasie jazdy na posterunek miał włączony auto-napęd, ponieważ nie było mowy, żeby mógł skupić się na ruchu ulicznym. Ciągłe ją widział, gładkie, blond włosy, wplątane w jego ciemnoniebieskie prześcieradło, ten przerażony, wrażliwy wyraz jej oczu o barwie zmierzchu. Wysoko podciągnęła przykrycie, osłaniając swoje piersi przed jego wzrokiem, ale jej krągłe kształty pod prześcieradłem, nadal były oczywiste. Naga w jego łóżku — nie mógł wyrzucić z głowy tego widoku. Gdyby był innym typem mężczyzny... Ale nie był.

Vince westchnął, gdy Eternity S-5 wjechał na ulicę Franklina i znalazł miejsce w parkingowym garażu naprzeciw komisariatu. Jego i Laurę dzieliło dużo więcej niż te cienkie prześcieradło. Choćby jej wychowanie.

Separatyzm stał się rozpoznawalną i akceptowaną koncepcją, kiedy był dzieciakiem, a ludzie typu kaukaskiego zaczęli odkrywać, że są przewyższeni liczebnie przez kolorowych. Potem, po wyborze i późniejszym zabójstwie pierwszego prezydenta Afroamerykanina, kiedy był nastolatkiem, zyskał jeszcze na popularności i to nie tylko, jak stwierdziła Laura, wśród radykalnych Prawicowych Ekstremistów.

Zabójstwo prezydenta Williamsa wywołało zamieszki, które wymknęły się spod kontroli na wielu miejskich obszarach, skłaniając więcej białych niż kiedykolwiek, do przeniesienia się na ogrodzone i strzeżone osiedla oraz przyjęcia poglądów Separatystów. Potem ten dupek Harris został wybrany, dzięki hasłu „Osobno, ale Równi”, co w opinii Vince’a, nie różniło się zbytnio od powrotu do segregacji rasowej z zeszłego stulecia.

Nieważne, że to niekonstytucyjne, połowa białej Ameryki wydawała się bardziej niż chętna, żeby wyrzucić przez okno wszystko, na czym zbudowano ten kraj, byle tylko rozwiązać problem. Natomiast druga połowa chciała go zignorować i udawać, że wszystko jest w porządku. Więc podczas, gdy na obszarach zurbanizowanych szalały wojny rasowe, zawstydzające zamieszki w Watts,¹⁸ w dwudziestym wieku, gdzie indziej uważano, że wszystko jest jak zwykle. Vince nadal wyczuwał napięcie między sobą i wieloma białymi oficerami, zwłaszcza uznanymi Separatystami, ale jedyne, co mógł zrobić, to iść naprzód.

Zanim pojawili się Lepidzi, wyglądało na to, że kraj podzieli się dokładnie przez środek. Wysocy, delikatni obcy sprowadzili pokój i uzdrowienie na swoich, połyskujących skrzydłach. Ale, za jaką cenę?

Vince wysiadł i wydał polecenie głosowe zamknięcia samochodu, po czym ruszył żwawym krokiem na skrzyżowanie Franklina i Twiggs. Przebiegł na drugą stronę, unikając pojazdów z wywiczoną łatwością, pomimo dużej prędkości przejeżdżających samochodów. Jego umysł nadal był zaabsorbowany kobietą, którą zostawił w swoim łóżku.

¹⁸ Dzielnica Los Angeles. Miejsce poważnych rasowych napięć i przemocy w 1965 i 1992.

Nawet, gdyby Laura nie musiała radzić sobie ze swoim sztywnym wychowaniem, nadal była kwestia tego, co nazywała swoją ułomnością. Czy nazwało się ją empatią, hiperempatią, czy, jakkolwiek się zechciało, z tego, co widział Vince, sprowadzała się do zdecydowanej awersji do bycia dotykaną. A on był lubiącym dotyk facetem — tak po prostu został wychowany. Nie zdawał sobie sprawy, jak frustrujące będzie nie być w stanie kogoś dotknąć, do zeszłej nocy z Laurą, kiedy tak bardzo cierpiała, a on nie mógł dać jej pocieszenia.

Vince potrząsnął głową. *Dwadzieścia cztery godziny. Tyle minęło, odkąd ją poznałeś i już myślisz o rozpoczynaniu czegoś z tą kobietą. Czy ty słuchasz samego siebie, Vince? Nie bądź głupi. Za długo obywałeś się bez seksu — przemawiają tylko twoje hormony. Ale czy to było wszystko?*

Pewnie, że była piękna, z tymi gęstymi, blond włosami i dużymi oczami, nie wspominając o tych krągłościach — zawsze uwielbiał kobiety z krągłościami. Ale czy to wszystko, czym był zainteresowany, jeśli chodziło o Laurę Albright? Ile kobiet przyznałoby się do tego, co ona mu dzisiaj wyznała? Jak wiele miałoby odwagę zaoferować zrobienie czegoś, co wyraźnie było bolesne, użyć swojego daru, żeby pomóc mu rozwikłać sprawę, nad którą pracował, pomimo cierpienia, które to mogło u niej spowodować? W dodatku była przedsiębiorcza. Kobieta wy dostała się z pożaru, który miał ją zabić. Była błyskotliwa — podobało mu się to. Znał gości, którzy chcieli tylko pięknej twarzy i pustej główki, ale jemu nigdy to nie odpowiadało.

— Witaj, Vincent Roberts, Wydział Zabójstw. — Głos przerwał jego myśli i Vince uniósł głowę, potwierdzając, że usłyszał sztuczną inteligencję policji Tampa, która zajmowała się różnymi sprawami i sterowała systemem operacyjnym serwera posterunku.

— Cześć, TAMI. — Pozdrowił trójwymiarowy obraz, wyświetlany kilkadziesiąt centymetrów nad jego głową. TAMI, skrót od Tampa Artificial Mainframe Intelligence, została wymodelowana na podstawie córki programisty, który stworzył ją i zainstalował. Wyglądała na około dwanaście lat i miała rude włosy, których uczesanie zmieniało się codziennie, guzikowaty nosek, piegi i psotną osobowość. Jeśli TAMI cię nie lubiła, mogła utrudnić ci życie, a ciężko było przewidzieć, kogo polubi, a kogo nie. Wielokrotne narzekania różnych oficerów i personelu biurowego trafiały w próżnię. Jeśli o szychy chodziło, to wyłożyli mnóstwo forsy na drogę AI i w budżecie nie było więcej pieniędzy na przekształcanie jej osobowości. Szczęśliwie dla Vince'a, był on jednym z ulubieńców TAMI.

Dziś marchewkowo rude włosy TAMI były ułożone w skomplikowany wzór warkoczyków i loczków, a każdy warkocz miał towarzyszący lok, wijący się wokół niego. Oczy miały ciemny, lawendowy fiolet, gryzący się okropnie z kolorem włosów, ale Vince nie był wystarczająco głupi, żeby jej o tym wspomnieć. Zamiast tego przybrał swobodny, droczący się ton czulego, starszego brata, którym zwracał się do policyjnej sztucznej inteligencji.

— Hej, co tam u mojej dziewczynki? — Zapytał z mrugnięciem, idąc w kierunku swojego biura. — Byłaś grzeczna? Masz dla mnie coś nowego?

Obraz TAMI z łatwością za nim podążał, gdyż projektory znajdowały się, co kilkadziesiąt centymetrów tak, że mogła jednocześnie prowadzić wiele rozmów. — U mnie w porządku,

Vince. Bilingi, o które prosileś, już tu są, podobnie jak raport z mikrośladów. Co chcesz najpierw?

Wszedł do maleńkiego, przypominającego kostkę biura na drugim piętrze i upewnił się, żeby zamknąć za sobą drzwi. Lepiej było zachować szczegóły tak znaczącej sprawy jak morderstwa Hoytów dla siebie, tak długo, jak to możliwe. Ostatnim, czego potrzebował, były węszące media, próbujące zdobyć wewnętrzne informacje, zanim będzie miał jakiś przyzwoity trop. TAMI poszła oczywiście za nim.

— Daj mi najpierw rejestr połączeń HLC. TAMI, chcę wiedzieć o każdym, z kim Gerald Hoyt rozmawiał w ciągu ostatniego tygodnia, w porządku ilościowym. — Polecił, siadając przy biurku i opierając stopy na policyjnym rejestrze.

Trójwymiarowy obraz TAMI rozmył się i migotał przez moment, a potem powiedziała wysokim, dziecięcym głosem: — Od daty trzeciego sierpnia 2038 do dziesiątego sierpnia 2038, Gerald Hoyt rozmawiał z osobą lub osobami pod numerem 813-555-6738 w przybliżeniu trzydzieści siedem razy. Rozmawiał z Francine Hoyt pod numerem 813-555-7896, należącym do rezydencji w Hyde Park, około piętnastu razy. Z Geraldine i Danielem Hoytami pod numerem 813-555-2354, rezydencja w Sulfur Springs, w przybliżeniu...

— Zaczekaj TAMI — wróć. — Vince opuścił stopy na kafelkową podłogę i pochylił się naprzód, marszcząc brwi. — Możesz powtórzyć ten pierwszy numer?

— 813-555-6738. — Odparła natychmiast.

— A do kogo należy ten numer? Dokąd prowadzi?

Obraz TAMI znów zamigotał w wywołującym łzawienie oczu rozbłysku marchewkowej czerwieni i lawendy. — Przepraszam, Vince, ta informacja nie jest dostępna. Wygląda to na jakieś uszkodzenie danych, prawdopodobnie związane z tym, że Gerald Hoyt wykonywał większość połączeń przez holofon.

— Kurde... — Vince przejechał dłonią po gładkim podbródku — przynajmniej pamiętał rano, żeby się ogolić. — TAMI. — Powiedział zachęcająco, posyłając sztucznej inteligencji najśłodszy uśmiech, na jaki mógł się zdobyć. — Kochanie, wiem, że to trudne, ale czy mogłabyś spróbować podać mi coś więcej o tym, pierwszym numerze? Przeprowadź dodatkową diagnostykę czy coś. To *naprawdę* ważne.

Trójwymiarowy obraz przed jego oczami zachichotał i zatrzepotał kokieteryjnie rzęsami. — Spróbuję, Vince, ale tylko dla ciebie.

— Moja dziewczynka. Zabierz się za to.

Znowu zamigotała. Tym razem trwało to tyle, że musiał się odwrócić. *Wystarczy, żeby przyprowadzić człowieka o cholerny atak epilepsji.* W końcu wróciła, marszcząc czoło i żując końcówkę jednego z warkoczy. Wyglądała jak dziewczynka, myśląca intensywnie nad jakimś trudnym, matematycznym problemem.

— W porządku, Vince. Wyśledziłam ten numer do bazy Sił Powietrznych MacDill. Tyle, że nie chciał dać się wyśledzić. Ktoś podłożył w systemie robaka, żeby zjadł dane. Na szczęście dla mnie, przez cały czas natykam się na robaki. — Posłała mu szeroki, piegowaty uśmiech, a potem jej twarz się wydłużyła. — Jednak nie zdołałam się dowiedzieć, do kogo dzwonił Gerald Hoyt, tylko tyle, że ta osoba była w MacDill. Rozmawiałam nawet z MAC'kiem, AI bazy, ale on też nie wiedział. Żadne transkrypcje tych rozmów nie są dostępne.

— W porządku, TAMI, dobrze się spisałaś. Doceniam całą, twoją, ciężką pracę. — Vince pokazał jej uniesione kciuki, co z entuzjazmem odwzajemniła. — Jeszcze jedna rzecz, odnośnie bilingów, możesz powiedzieć mi czy to z tym samym numerem Gerald Hoyt rozmawiał około siódmej wieczorem, dziesiątego sierpnia?

Mignęła na moment. — Pewnie, że tak, Vince.

— Dobrze. Och i jeszcze jedno — możesz mi powiedzieć czy próbował zadzwonić do byłej żony, Laury Albright-Hoyt w nocy, dziesiątego? — Był pewny, że Laura wspomniałaby o takim telefonie, ale nie zaszkodziło sprawdzić.

TAMI zamigotała, a potem zniknęła całkowicie, bardzo niezwykle zachowanie, które zmartwiło Vince'a. Zajął się przewijaniem notatek ze sprawy na komputerze. Niespodziewanie światła w budynku przygasły na moment, a jego monitor opustoszał.

Przeklinając, Vince zrestartował komputer i uniósł głowę by zobaczyć przed sobą zdyszana i zaczerwieniona TAMI. Wiedział, że AI było tylko komputerową animacją dziewczyny, ale i tak nie mógł powstrzymać się od bycia zmartwionym. Wyglądała, jakby ktoś poważnie ją przegonił.

— TAMI, kochanie, wszystko w porządku? — Na piegowatym policzku była smuga komputerowo symulowanego brudu, a jej schludnie zaplecione i skręcone włosy zaczynały elektryzować się na brzegach.

— Nic mi nie jest, Vince. Walczyłam z wredną pluskwą — na chwilę przejęła wszystkie, moje systemy. Przykro mi, jeśli straciłeś dane.

— Nie, wszystko ma kopię zapasową. Czego się dowiedziałas?

— Obawiam się, że niezbyt wiele, Vince. Ktoś, kto naprawdę wie, co robi, umieścił tę pluskwę na ścieżce dostępu do informacji, o które mnie prosiłeś. Gerald Hoyt mógł próbować dodzwonić się do byłej żony — na ile mogę potwierdzić, prawdopodobieństwo to około pięćdziesiąt procent. Ale, jeśli dzwonił, prawie na pewno nie mógł się przebić, nie z tą pluskwą, blokującą połączenie. Jednakże — Znowu uśmiechnęła się szeroko i z zachwytem zarzuciła elektryzującymi się, pomarańczowoczerwonymi włosami. — mam parę sztuczek w rękawie. Udało mi się zapuścić sondę, zanim nie przyłapała i wiesz, co odkryłam?

Vince siedział na krawędzi swojego, niewygodnego krzesła z modelowanego plastiku. — Powiedz mi, TAMI.

Ściszyła głos i pochyliła się naprzód, jakby dzieliła się z nim sekretem. — Około północy, dziesiątego sierpnia *nastąpiła* transmisja danych z centralnego komputera biura HLC do Laury Albright-Hoyt. Była krótka i prawie natychmiast została przerwana, ale miała miejsce. Proszę bardzo. — Uśmiechnęła się i skinęła głową w bardzo ludzkim geście satysfakcji z dobrze wykonanego, trudnego zadania.

— TAMI, gdybym mógł cię ucałować. — Vince udał, że posyła sztucznej inteligencji całusa, co sprawiło, że zarumieniała się i zachichotała. — Myślisz, że ta sama osoba, która podłożyła robaka, umieściła też pluskwę?

— Prawie na pewno. Mają ten sam, okropny posmak. — Zmarszczyła guzikowaty nosek i wystawiła język.

Vince się zaśmiał.

— Dobra, TAMI, rozumiem. Czy jest coś ekscytującego w analizie mikrośladów?

— Niewiele, Vince. — Krótko zamigotała. — Nie znaleziono żadnych, ukrytych odcisków palców, które nie pasowałyby do pana lub pani Hoyt, ich sekretarki, Loli Sanchez, albo różnych klientów HLC, z którymi prowadzili interesy w ciągu ostatnich miesięcy. Analiza rozprysków krwi wskazuje, że Gerald Hoyt został dwukrotnie postrzelony od tyłu małokalibrowym karabinkiem wojskowym, a Francine została postrzelona tą samą bronią od...

— Wstrzymaj się. — Vince uniósł dłoń, a TAMI posłusznie przerwała.

— Tak, Vince?

— Mówisz, że to była broń wojskowa?

— Tak, Vince, chociaż ten określony karabin trafia też do innych gałęzi sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych.

— Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś niezwiązany z którąś gałęzią wojska posiada taką broń, jaka została użyta do zabicia Geralda i Francine Hoytów?

TAMI zamigotała krótko. — Prawdopodobieństwo wynosi tylko dwadzieścia dwa przecinek osiemdziesiąt pięć procent, Vince.

— Czyli niedużo. Hmm. — Zamyślił się, gładząc podbródek. — W porządku, TAMI. Dobra robota. Po prostu zrób mi przysługę i załaduj wszystkie akta osobowe porwanych dziewcząt ze sprawy Motyla na mój przenośny notes i skończymy na dzisiaj.

— Przepraszam, Vince, ale kapitan Wilcox poinformował mnie, że sprawa Motyla nie jest już przypisana do ciebie.

Vince westchnął i przeciągnął ręką po czarnych włosach. — Taa, no cóż... Widzisz, TAMI, chodzi o to, że myślę, iż morderstwo Hoytów i porwania, mogą być jakoś powiązane. Więc tak jakby pracuję nad dwiema sprawami na raz. Łapiesz?

Piegowata twarz natychmiast się rozpozodziła. — Cóż, w takim razie... — Migotała przez moment i rozległo się brzęczenie notatnika, który trzymał zwykle w szufladzie biurka, kiedy nie był w terenie. — Proszę bardzo, Vince. Wszystkie pliki zostały załadowane na twój notes. Czy to wszystko?

— Tja. — Vince chwycił notatnik i skierował się do drzwi. — Po prostu zachowajmy wszystko, o czym dzisiaj rozmawialiśmy, między nami. Dobrze, TAMI? — Wyraźnie mrugnął do AI. — Sekret, kapujesz?

— Pewnie, Vince. Kocham sekrety. — Zachichotała i wykonała pantomimę zamykania ust, zakluczenia ich i wyrzucenia klucza. — Polecenie poufności potwierdzone.

— Wspaniale, TAMI, dzięki.

— Cokolwiek zechcesz. — Posłała mu pocałunek i zniknęła ze śmiechem.

Zostawił dwie, zapakowane łuski Lepidów, obie matowe i pozbawione życia, w magazynie dowodów i prawie wyszedł z posterunku, gdy usłyszał, że ktoś woła jego imię.

— Hej, Roberts.

Vince odwrócił się i zobaczył krągłą, uśmiechniętą twarz Martina Blanco. Był niski i okrągły, dokładne przeciwieństwo jego wysokiego, chudego partnera, Jesusa Martinez. Blanco był też bardzo spokojny i wyluzowany, podczas, gdy Martinez zawsze zachowywał się, jakby miał kij wepchnięty w tyłek. Jednak pomimo ich różnych aparycji i charakterów, dwaj detektywi dobrze ze sobą współpracowali i wykonywali swoją robotę. Vince często chciałby móc znaleźć partnera, który pasowałby do niego tak, jak pasowali do siebie Blanco i Martinez, ale był na to zbyt dużym samotnikiem.

Ich współpraca i doskonała historia aresztowań, były powodami tego, że Vince nie był bardziej niezadowolony, kiedy kapitan Wilcox zabrał mu sprawę Motyla i dał ją Blanco i Martinezowi. Jeśli sam nie mógł nad nią pracować, przynajmniej mógł być pewny, że zajmował się tym ktoś kompetentny.

Teraz chwycił pulchną dłoń Blanco i klepnął go w plecy.

— Hej, człowieku, co tam? Gdzie twoja druga połowa?

Blanco wzruszył zaokrąglonymi ramionami, które przetoczyły się pod zbyt krótką, białą, sportową kurtką.

— Ech, znasz Jesusa, zawsze sprawdza jakieś tropy, nawet w sobotę. Zmusił mnie nawet, żebym przyjechał tu po jakieś papiery, których zapomniał. Będę miał szczęście, jeśli pozwoli

nam zrobić sobie przerwę na lunch. — Żałośnie poklepał zaokrąglony brzuch, a Vince się zaśmiał.

— Taa, to prawdziwa tragedia. Muszę z tobą pogadać. — Ściszył głos i wyprowadził Blanco na zewnątrz, na frontowe stopnie budynku, gdzie było mniejsze prawdopodobieństwo, że zostaną podsłuchani.

Blanco popatrzył na niego pytająco. — O co chodzi?

— No cóż. — Vince rozejrzał się dookoła. — Wiem, że technicznie rzecz biorąc to już nie moja sprawa, ale skoro Wilcox przydzielił ją tobie i Martinezowi, doceniłbym, gdybyście informowali mnie o postępach w sprawie Motyla. Chcę tylko powiedzieć, że gdybyście wpadli na nowe tropy, albo... — Urwał, ponieważ Blanco patrzył na niego z oszołomieniem.

— Hej, Vince, przykro mi, ale nie wiem, o czym mówisz. Ostatnie, co słyszałem to, że sprawa Motyla jest wyłącznie twoja. Kapitan Wilcox nigdy nie mówił nic na jej temat ani mnie, ani Martinezowi. Nadal zajmujemy się sprawą banków Moralesa i Sloana. Właśnie to nie daje spokoju Jesusowi — myśli, że pamięta coś z papierów, co na pewno powiąże Sloana z ostatnim napadem. Hej, dobrze się czujesz?

— Taa, pewnie, wszystko w... porządku. — Vince zmarszczył czoło. — Wiesz, mógłbym przysiąc, że kapitan mówił, że przydziela tę sprawę wam. Zdjął mnie z niej wczoraj i wysłał do zabójstwa Hoytów. Myślisz, że dał ją komuś innemu?

Blanco zmarszczył brwi, jego pucułowata twarz pomarszczyła się jak zmartwiona pianka. — Nie sądzę. Usłyszałbym o tym, gdyby to zrobił. Bez obrazy, Vince, ale to naprawdę główniana sprawa. Żadnych tropów, żadnych świadków. Większość gości z wydziału założyło po prostu, że nie miałeś nic przeciwko zajęciu się tym, z powodu twojej siostry. Myślę, że usłyszałbym jakieś przekleństwa i joczenie, gdyby została przekazana komuś innemu, a wczoraj spędziliśmy tu z Jesusem całe popołudnie.

— Dobra, czyli to może być nieporozumienie. — Vince westchnął i potarł szczękę. — Muszę lecieć. Wyluzuj i powiedz Martinezowi, że kazałem mu cię nie przemęczać, słyszysz?

Blanco się skrzywił. — Tak, tak. Co ja takiego zrobiłem, żeby zostać partnerem takiego poganiacza niewolników...

— Wzrusza mnie twój ból. — Vince klepnął go w plecy i znów przebiegł ulicę Franklina, do garażu, z głową wypełnioną trapiącymi pytaniami. Dlaczego kapitan Wilcox miałby zabierać mu tę sprawę, żeby przekazać ją... no cóż, nikomu. To nie miało żadnego sensu. Ostatnie zaginięcie miało miejsce tylko dwa dni temu, więc sprawa niezbyt nadawała się, żeby trafić do akt spraw nierozwiązanych. O co w tym chodziło?

Przypuszczał, że nie dowie się tego do poniedziałku, ponieważ nie opłacało się zawracać głowy kapitanowi w jego domu, z wyjątkiem sprawy życia i śmierci. *Muszę po prostu zajmować się obiema sprawami, dopóki nie dowiem się, co jest grane.* Cóż, i tak zamierzał to robić. Nie

było mowy, żeby mógł całkowicie pozostawić dobro swojej młodszej siostry w rękach kogoś innego, nie ważne, jak był kompetentny, ani co powiedział kapitan Wilcox.

Nie był pewny, czego się spodziewał, kiedy wrócił do swojego małego, białego bungalowu, ale na pewno nie tego, co zobaczył. Ktoś posprzątał i zrobił to całkiem dokładnie. Wiedział, że zostawił tu trochę bałaganu, nie, żeby był flejtuchem, ale ostatnio miał na głowie inne sprawy niż wiosenne porządki. Tyle, że teraz jego ubrania, które wcześniej leżały na podłodze, zniknęły, prawdopodobnie w koszu na brudy, a poduszki na kanapie zostały spulchnione i jako tako ułożone. Czarnobiałe zdjęcia na ścianie zostały wyprostowane, a na zniszczonym, ciemnoszarym dywanie, pasującym do gołębioszarej kanapy, było widać ślady odkurzacza.

Vince zagwizdał cicho. To było miłe. Babcia Gertie od miesięcy marudziła mu, żeby pozwolił jej coś takiego zrobić. Vince nie chciał, żeby się wysilała i zawsze odmawiał.

W powietrzu unosił się dobry zapach, coś ciepłego i śniadaniowego. Przeszedł przez mały, ale wygodny salon do maleńkiej kuchni z jadalnią wielkości znaczka pocztowego, i postawił papierową torbę z ciastkami i kawą na mijanym stoliku.

Laura stała plecami do niego, przed staroświecką kuchnią gazową, na którą Tandy bezustannie narzekała. Vince rzadko gotował, więc konieczność robienia wszystkiego od zera, zamiast mieć generator żywności, nie była dla niego problemem. Wyraźnie nie przeszkadzała też Laurze.

Mieszała coś w czarnej, żelaznej patelni na długiej rączce, którą babcia Gertie dała mu z okazji oblewania domu, kiedy nabył bungalow. Cokolwiek było w patelni, najwyraźniej stanowiło źródło smakowitego zapachu, ale to nie jedzenie sprawiało w tej chwili, że ślina napływała mu do ust.

Laura miała na sobie jedną z jego zapinanych na guziki, wykonanych z syntetycznej bawełny koszul z długim rękawem. Ta była ciemnozielona, a rzeka jej włosów opadała na nią jak złocisty wodospad. Poły koszuli sięgały jej połowy uda, a bladokremowe, gołe nogi były pod nią wyraźnie widoczne. Zastanawiał się, co miała pod koszulą.

Poczuł nagle pragnienie podejścia do niej, chwycenia jej w tali i złożenia ciepłego pocałunku na jej bladym policzku. Powstrzymał się jednak. Samo to, że stała tam, wyglądając, jakby jej miejsce było w jego koszuli, jego kuchni, jego życiu, nie oznaczało, że tak było.

— Hej, wróciłem. — Powiedział zamiast tego, próbując utrzymać lekki ton.

— Cześć, Vince. — Powiedziała, najwyraźniej niezaskoczona. — Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko — pomyślałam, że możesz chcieć zjeść jakieś śniadanie. — Wskazała

żelazną patelnię, a on podszedł za nią, żeby zobaczyć zawartość. — Mam nadzieję, że lubisz jajecznice.

— Uwielbiam. — Uśmiechnął się do niej.

Koszula przemieniła jej zmienne oczy w bezdenną, leśną zieleń. Świadomy jej „daru”, cofnął się i próbował trzymać emocje na wodzy. Lepiej było nie patrzeć.

Laura popatrzyła na niego spod oka, co sprawiło, że zaczął się zastanawiać, czy mimo wszystko coś *wyczuła* i wskazała koszulę. — Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Moja koszulka do niczego się nie nadawała i przysięgam, że nie grzebałam w twoich rzeczach. Po prostu złapałam koszulę z samego wierzchu szuflady.

Chrząknął i pokręcił głową. — Uch, nie. Nie mam nic przeciwko. Na tobie wygląda o wiele lepiej niż na mnie. — Uśmiechnął się do niej szeroko.

— Uch, dzięki. Chyba.

— Lepiej, uch, wrzucę jajka na talerz, zanim się przypalą. Miałam nadzieję, że niedługo się zjawisz. Nie ma nic gorszego od zimnej jajecznicy.

— Taa. — Zgodził się, ściągając kamizelkę i naramienną kaburę, łapiąc z kredensu parę talerzy. — Dzięki, że posprzątałaś.

Wzruszyła ramionami, poświęcając uwagę jajecznicy, którą wybierała na talerze. — Po prostu próbowałam trochę pomóc, skoro pozwoliłeś mi przenocować. To nie był naprawdę bałagan — potrzebował tylko organizacji.

— Organizacji... pewnie. — Vince zaśmiał się, kiedy usiedli po przeciwnych stronach małego, okrągłego stołu. — Och, prawie zapomniałem — przyniosłem kawę. Café con Leche z La Pelota. Chcesz?

— Z chęcią.

Podał jej kawę i przez chwilę zajęli usta jedzeniem, co Vince uznał za dobrą rzecz.

— Wspaniała jajecznicą. — Powiedział, patrząc w talerz. — Gdzie nauczyłaś się tak gotować?

— To jedna z wielu zalet posiadania macochy, będącej ostatnią, prawdziwą piękną z Południa. Generator żywności nigdy nie był wystarczająco odpowiedni dla Glorii. Poza tym, naprawdę ciężko zepsuć jajka. — Znowu łyknęła kawę. — Dowiedziałeś się czegoś? Na komisariacie? — Jej głos był pełen wahania. — Czy, no nie wiem... wolno mi o to pytać? Chodzi o to, że powiedziałeś, że chcesz mojej pomocy. — Buntowniczo uniosła podbródek.

— Pewnie. Oczywiście, że wolno. — Vince uśmiechnął się do niej, jak miał nadzieję, zapewniająco i po chwili też się uśmiechnęła i wydawała się trochę odprężyć. Pociągnął łyk kawy, upewniając się, że patrzył jej w twarz. Dzień na zewnątrz nadal był deszczowy i nawet sufitowe oświetlenie nie mogło w pełni rozproszyć mroku w małym pomieszczeniu.

— Właściwie dowiedziałem się, że twój były mąż próbował wysłać ci jakieś dane, zanim został zabity. TAMI, AI komisariatu powiedziała, że transmisja była krótka i została przerwana, ale na pewno miała miejsce. Więc ktokolwiek usiłuje do ciebie dotrzeć, może próbować przechwycić wiadomość, którą próbował przesłać Gerald. Może to, dlatego przeszukali twój samochód, zanim go wysadzili.

— Ale na co ją wysłał? — Wyglądała na skonfundowaną i lekko sfrustrowaną. — Pomyślałam o tym. Dwa razy sprawdziłam wiadomości na moim wideofonie i nic. Gerald od miesiący nie próbował się ze mną skontaktować, bo wiedział, że nie oddzwonię. Co mógłby mieć mi do powiedzenia?

Vince zmarszczył brwi, stukając widelcem o talerz i koncentrując się. — Nie wiem, ale cokolwiek to było, ktoś jest zdolny zrobić praktycznie wszystko, żeby zdobyć tę informację. Albo upewnić się, żeby nie wypłynęła. — Znowu łyknął kawy. — Słuchaj, kiedy przesłuchiwałem twoją dawną sekretarkę, Lolę Sanchez, powiedziała mi, że czasem tłumaczyliście z Geraldem dla rządu, nie tylko stron prywatnych. On i Francine zostali postrzeleni ze standardowej broni wojskowej, a numer, pod który najczęściej dzwonił w zeszłym tygodniu, należy do MacDill. Czy istnieje możliwość, że twój były miał jakieś delikatne informacje, coś ściśle tajnego, co ludzie na wysokich stanowiskach chcieliby utrzymać w tajemnicy?

Laura wydała niedowierzający dźwięk i odłożyła widelec. — Proszę, Gerald *chciałby* mieć coś tak ważnego do powiedzenia. Wiesz, on pierwszy nawiązał kontakt i pomagał przy części negocjacji między Lepidami i przedstawicielami różnych rządów. Myślę, że zawsze brakowało mu tej części — tej olśniewającej, istotnej części. Ale do czasu, kiedy wciągnął mnie na pokład, Lepidzi byli już tylko niezwykle drogą atrakcją turystyczną. Czymś, co się robi, jeśli ma się kredyty do wyrzucenia w błoto i chce się szpanować przed przyjaciółmi.

— Hmm... To... zaskakujące. — Vince znów napił się kawy, podziwiając, w jaki sposób światło lamp błyszczało na jej długich włosach. — Chyba uważałem to za bardziej ekscytujące. Przez cały dzień przedstawiać sławnych i bogatych obcym...

Laura zadrżała, na jej twarzy mignął wyraz odrazy. — Ekscytujące? Tak sądzę, o ile lubisz spotykać przez cały dzień nadętych, przekonanych o swojej wyższości typów. A przedstawianie ich Lepidom... nie potrafię ci nawet wytłumaczyć, jak to jest gościć któregoś z nich w swoim umyśle, żeby się komunikować. Jest taki suchy, jałowy i... i *zimny*. — Zadrżała, a jej ręce naprawdę pokryły się gęsią skórą.

— Hej... — Vince sięgnął przez stół i na czas przypomniał sobie, żeby jej nie dotykać. Czując się głupio, cofnął się. — Nie miałem pojęcia, że to takie trudne. Nic dziwnego, że nie byłaś zbyt chętna, żeby się w to angażować, kiedy poprosiłem cię za pierwszym razem.

Laura popatrzyła na niego, przelotnie rozcierając ramiona, jak ktoś, przychodzący z zimna. — Tak, ale mogę to zrobić, Vince. Obiecałam, że zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc ci znaleźć siostrę, a ja nie łamię słowa. Właściwie jestem gotowa zacząć od zaraz. Co mamy w planie na początek?

Wyglądała jak ktoś, kto zgłosił się do zjedzenia miski żywych robaków i Vince'owi autentycznie zrobiło jej się żal, ale życie Kyry i innych dziewcząt mogło wisieć na szali. Jeśli Laura chciała oferować pomoc, on musiał chcieć ją przyjąć, nie ważne, za jak nieprzyjemne to uznawała.

— Pomyślałem, że skoczmy do Royal Thai — to restauracja, której właścicielem jest rodzina ostatniej, porwanej dziewczyny — Ploi Nygen. Rozmawiałem z nimi, kiedy zniknęła, ale chciałbym jeszcze raz spytać o kilka rzeczy. — Wzruszył ramionami. — To równie dobre miejsce by zacząć, jak każde inne.

— Możemy później zatrzymać się w moim laboratorium? Mam tam kilka rzeczy, które chciałabym zabrać.

Vince odepchnął się od stołu. — Pewnie. Nie ma problemu. No cóż, — Wstał i włożył swój talerz do zlewu. — Jedziemy, kiedy będziesz gotowa.

— Jest jeszcze jedno. — Laura wstała i też zaniósła talerz do zlewu utrzymując między nimi, jak przypuszczał, bezpieczny dystans. — Ja... uch, naprawdę nie mogę tak wyjść. — Wskazała na siebie, zwracając uwagę, że ciemnozielona koszula była wszystkim, co na sobie miała.

Vince pozwolił sobie na jedno, krótkie spojrzenie od góry do dołu na jej ponętne ciało, zanim zmusił oczy do powrotu na jej twarz. — Prawdę mówiąc, mogę być w stanie ci pomóc...

Rozdział 11

On chyba zartuje! Laura jeszcze raz przejrzała się w łazienkowym lustrze, przyglądając się nieznajomej, która obecnie nosiła jej twarz. Niebieskie jeansy, wyglądające, jakby były namalowane, opinały jej biodra i uda. Były tak ciasne, że Laura nie mogłaby nawet wsunąć rąk w kieszenie. Nie, żeby cokolwiek do nich włożyła, bojąc się, że nigdy tego nie odzyska.

Bladoróżowa bluzka z zaokrąglonym, głęboko wyciętym dekoltem i ćwiartkowymi rękawami, będąca dodatkiem do spodni, byłaby w porządku, gdyby nie napinała się ciasno na jej pełnych piersiach rozmiaru D. Materiał był też jedwabisty i rozciągliwy, oraz według Laury o wiele za cienki. Z drugiej strony, wełniany sweter, wykonany ścięciem warkoczowym, byłby zbyt cienki, jeśli miała wyjść bez biustonosza. Odkąd wyrosły jej piersi, kiedy miała dwanaście lat, Gloria kładła nacisk na znaczenie tej tak istotnej części bielizny. Bycie odpowiednio ubraną w każdej sytuacji, było dla Glorii jak religia.

Dlaczego była Vince'a nie mogła zostawić, choć jednego stanika? Jeśli zmarzę choćby trochę, wszyscy będą wiedzieć. Pomyślała Laura, wbijając nieszczęśliwe spojrzenie w swoje odbicie. Tymi wszystkimi, przypuszczalnie był Vince. Zarumieniła się szkarłatem, przypomniawszy sobie te ciemne oczy, wędrujące po jej ciele i gorące uczucie potrzeby, które napływało od niego tak wyraźnie, jak żar od otwartego płomienia. Nigdy nie czuła tego uczucia od Geralda, nie, żeby mogła cokolwiek z tym zrobić. Wszystko, na co mógł się zdobyć jej były mąż, to łagodne pragnienie, skierowane na nią, choć z pewnością na Francine napalił się wystarczająco szybko.

Przestań, Lauro, to i tak już się skończyło. On nie żyje. Oboje nie żyją. Ciągle potykała się na tej myśli, myśli, że Gerald i Francine zniknęli na dobre, jak na pudle, które zapomniała odstawić na miejsce. To było niepokojące i smutne, a jeszcze smutniejsze dlatego, że nie mogła zmusić się, żeby przyjmować się tym tak, jak czuła, że powinna.

Próbując oderwać umysł od byłego męża, Laura jeszcze raz obejrzała się w lustrze z góry na dół. Była dziewczyna Vince'a musiała być od niej mniejsza. Przylegające do ciała ubranie było dalekie od jej zwykłej kombinacji statecznej spódnicy i bluzki. Wyglądała niedorzecznie (*zdzirowato*, wyszeptał w jej głowie głos Glorii) ale nie wiele mogła zrobić. Kobieta, wyprowadzając się, zostawiła kilka innych ubrań, ale wszystkie były jeszcze bardziej skąpe od tego, co obecnie miała na sobie Laura.

Jej zdaniem jedynym plusem był fakt, że ona i była dziewczyna, miały ten sam rozmiar butów. Ale Tandy, jak nazywał ją Vince, nie miała chyba pojęcia, czym były rozsądne obcas. Z kilku par, które przymierzyła Laura, żadna nie miała mniej niż pięciocentymetrowy obcas. Pantofle bez pięty, barwy róży, które założyła, żeby pasowały do bluzki, miały sześciocentymetrowe szpilki. Była pewna, że do wieczora wykończą jej stopy.

— Hej, wszystko tam w porządku? — To był Vince. Pukał do drzwi łazienki, za co go nie winiła. Była w środku przynajmniej pół godziny, próbując zebrać odwagę, żeby wyjść i stanąć przed nim w tym stroju.

Laura odetchnęła głęboko i nerwowo wygładziła na bokach jedwabistą, różową bluzkę. — Idę. — Zawołała. Po raz ostatni zerknęła na swoje odbicie w lustrze. *Przestań już, Lauro. Co cię to w ogóle obchodzi, co on sobie pomyśli? Znasz go tylko dwadzieścia cztery godziny.* Więc dlaczego te ciemne oczy na jej ciele sprawiały, że jej serce biło mocniej i skracał jej się oddech? Potrząsnęła głową — po prostu była głupia. To były jedyne dostępne ubrania i musiała sobie w nich poradzić.

No to do roboty. Otworzyła drzwi z buntowniczo uniesioną głową.

Vince popatrzył na nią i długo, cicho gwizdnął.

Laura oparła ręce na biodrach i uniosła brwi. — Masz coś do powiedzenia?

Vince pokręcił głową. — *Cholera*, dziewczyno. Nic, z wyjątkiem tego, że gdyby Tandy mogła zobaczyć jak wypełniasz jej ubrania, byłaby zazdrosna.

Laura popatrzyła na siebie z zawstydzeniem, nerwowymi dłońmi wygładzając różowy top. Była przygotowana na śmiech, gdyż czuła się niedorzecznie. Jego szczery podziw, słodko kwaśny, jak pomarańczowy cukierek na czubku języka, był zupełnie niespodziewany.

— Ja... uch, myślę, że prawdopodobnie noszę większy rozmiar niż twoja dziewczyna. — Powiedziała. A potem, zanim straciła odwagę, zapytała pospiesznie. — Jesteś pewny, że nie zostawiła przynajmniej jednego stanika?

Jego ciemne oczy natychmiast powędrowały do jej klatki piersiowej i Laura zwalczyła potrzebę ochronnego skrzyżowania rąk na piersiach. Uczucie podziwu, które od niego otrzymywała, zmieniało się, przekształcało w żar, który falami pulsował na jej skórze. Zabawne, ponieważ Gerald nigdy nie zwracał uwagi na jej pełne piersi,¹⁹ będąc bardziej wielbicielem nóg. Ale dla Vince'a wydawały się mieć szczególny powab.

— Mógłbym sprawdzić jeszcze raz, ale jestem dość pewny, że nie. Uch, nie sądzę, żeby dużo ci pomógł, nawet, gdybym go znalazł. Tandy nie była tak... — Jedną ręką wskazał jej klatkę piersiową. — Masz tu trochę więcej od niej. Właściwie więcej niż trochę.

— Och. — Laura poczuła gorącą falę rumieńców, rozplywającą jej się po twarzy. — W porządku, czyli będę musiała chyba poradzić sobie z tym, co mam. — Jej głos wydawał się zdławiony. Próbowwała trzymać uniesioną głowę, ale jej oczy ciągle chciały studiować spiczaste czubki różowych pantofli.

Emocje, dochodzące od Vince'a, zmiękły w troskę, ciepłą i puszystą jak koc bezpieczeństwa wokół jej ramion.

— Hej, nie chciałem, żebyś źle się poczuła. Wyglądasz naprawdę ładnie, *pięknie*. — Podszedł o krok, schylając się, żeby patrzeć jej w oczy. — Hej, Lauro, w porządku?

¹⁹ Ja też osobiście wolę mniejsze, chociaż dużymi też bym nie pogardził.

— Po prostu... nie jestem... zwykle tak się nie ubieram, w porządku? — Laura popatrzyła na niego żałośnie. — Nie mam nic do gustu twojej, byłej dziewczyny. Ubrania są ładne i jestem wdzięczna, że je mam, ale nie jestem przyzwyczajona do noszenia niczego tak... kusego. — Dokończyła cichym głosem.

Vince cofnął się o krok i obejrzał ją z góry na dół. — Nie uważasz, że dobrze wyglądasz, prawda? — Jego głęboki głos był niedowierzający.

Laura uniosła brodę. Dlaczego musiał spychać ją do defensywy? — *Oczywiście*, że nie. Wyglądam absurdalnie! Wszyscy wiedzą, że nie można się tak ubierać, jeśli nienosisz rozmiaru sześć, albo mniejszego! Na wypadek, gdybyś nie zauważył, jestem trochę większa. — Oparła zwinięte w pięści dłonie na biodrach, czując jak jeansy trzeszczą przy tym ruchu i piorunując go wzrokiem.

— Och, oczywiście, że cię zauważyłem i to od chwili, w której cię zobaczyłem. — Ciemne oczy znów przesunęły się po jej ciele. Żar wrócił do jego spojrzenia, a jego emocje, przeslizgujące się po jej ciele jak szalejący ogień, sprawiały, że Laura się rumieniła, ale nie zamierzała spuszczać głowy ani zakrywać się rękami — tak byłoby tylko gorzej. Ich oczy spotkały się na chwilę. Żadne z nich nie chciało się odwrócić.

— To jak? — Powiedziała w końcu. — Nie powinniśmy już iść?

Jazda do Royal Thai przez większość czasu przebiegała w ciszy. Vince był zajęty przeglądaniem jakichś zapisków w przenośnym notatniku, a Laura wpatrywała się w posępną, deszczową scenerię centrum Tampa, migającą za szybą. Ludzie, którzy zawsze chcieli przzenieść się na Florydę z uwagi na słoneczną pogodę, nie mieli pojęcia o huraganowej pogodzie — jak w zeszłym roku, kiedy wiało od zatoki, zmieniając powietrze w mglistą zupę i podbijając wilgotność powietrza trzy stopnie powyżej znośnej. Pochodząca z Florydy Laura, była do tego przyzwyczajona, co nie oznaczało, że to lubiała.

Szare światło wpadało do środka przez szyby Eternity, kiedy samochód jechał na wpół zalanyymi, jednokierunkowymi ulicami. Laura zawsze myślała, że ktokolwiek planował tę część miasta, powinien postarać się bardziej przy kanalizacji. Nigdy nie odważyłaby się pojechać rozlatującym się Mercedesem Z do łatwo zalewanego centrum przy takiej pogodzie, ale samochód Vince'a z łatwością radził sobie z wodą.

Laura zerknęła na niego kątem oka. Wiedziała, że niektórzy mężczyźni kupowali drogie samochody i traktowali je prawie jak swoje dziewczyny. Gerald, przykładowo był szczególnie opiekuńczy wobec swojego Arctic Rakera, posuwając się nawet do nalegania, żeby ściągała buty i wkładała je do plastikowej torby, kiedy jechała nim przy deszczowej pogodzie. Vince, jednak wcale tak nie postępował. Eternity był dobrym wozem, prawdopodobnie nie tak

kosztownym, jak Raker jej byłego, ale w końcu niewiele pojazdów było. Gerald wierzył w kupowanie najlepszego, nie ważne, co nabywał.

Ale mimo tego, jak dobry był ten samochód, Vince okazywał zeszłej nocy, kiedy czuła się słaba i chora, więcej troski o nią niż o tapicerkę i nie powiedział nic na temat ubłoconych butów na dywanikach samochodowych. To było odświeżające.

Musiał wyczuć, że na niego patrzyła, gdyż te ciemne oczy nagle utkwily w jej twarzy.

Vince uniósł brwi w milczącym pytaniu.

Laura spróbowała znaleźć coś do powiedzenia. — Uch, zastanawiałam się, czego mamy się dowiedzieć z tej rozmowy. Skoro mówiłeś, że już raz z nimi rozmawiałeś. — Powiedziała w końcu.

— Och, przepraszam. — Odłożył notatnik i odwrócił się do niej. — Zapomniałem, że nie jesteś zaznajomiona z tą sprawą. Cóż, chcę wrócić tam głównie dlatego, że to naprawdę nie *pasuje* do reszty porwań.

Laura uniosła brew. — Nie pasuje?

— Taa. Przypominasz sobie jak mówiłem ci, że wszystkie zabrane dziewczyny były etniczne i większość była „wyrzutkami?”

Laura skinęła głową. — Więc ta ostatnia...

— Ploi. Nazywała się Ploi Nygen. — Dokończył za nią Vince. — Tak, pochodziła z dobrej rodziny. Z tego, co zrozumiałem, byli ze sobą mocno związani. Więc naprawdę nie pasuje do profilu. A jedyną inną, podobną dziewczyną, która została porwana...

— Była twoja siostra.

Vince pokiwał w milczeniu głową i mogła wyczuć w nim głęboką studnię smutku i miłość jak wzburzony ocean, pofalowany i niespokojny. *Martwi się o siostrę*. Pomyślała ze współczuciem.

— Więc masz nadzieję znaleźć jakieś podobieństwo między Ploi Nygen i Kyrą?

Vince znowu skinął. — Taa. W takich przypadkach zawsze istnieje szansa, że pojawi się naśladowca. Jakiś chory drań, nie dość oryginalny, żeby wymyślić własną zbrodnię, ale nie ma nic przeciwko udawaniu innych.

Laura pokiwała głową, żeby kontynuował. Jego ciemne oczy były twarde jak brązowy lód i raz jeszcze poczuła dżgający ból jego straty. Potem wziął głęboki oddech i wypuścił go powoli, wyraźnie koncentrując się na detalach sprawy i próbując zdystansować się od bolesnych emocji.

— Nie byłem w stanie dobrze ocenić tych ludzi, kiedy tam byłem. Oczywiście ich córka właśnie została porwana i byli w rodzaju szoku. Po prostu chcę być pewny, że dostałem od nich

prawdziwą historię. Pomyślałem, że może, gdybyś się wsłuchała... — Popatrzyl na nią. — Potrafisz stwierdzić, kiedy ktoś mówi prawdę?

— No cóż. — Laura rozważała to starannie, bawiąc się pętlą z rozpuszczonych wokół ramion włosów, które miały lepiej ukryć jej brak stanika. — To nie całkiem działa w ten sposób. Naprawdę nie jestem ludzkim wykrywaczem kłamstw ani nic w tym stylu. Ale odbieram pewne uczucie, kiedy ktoś *wierzy*, że mówi prawdę. Nazywaj to szczerością, albo prawdomównością, jak sobie chcesz. — Wzruszyła ramionami. — Nie potrafię powiedzieć czy to zawsze jest dokładne.

Kiedy mówiła, Eternity wtoczył się gładko na parking przed małym, drewnianym budynkiem. Starożytne sznury białych, mrugających światełek, zwiślały z krokwi przedłużonego ganku.

Vince pokiwał głową. — Wystarczy. Nie proszę cię, żebyś grała ze mną w dobrego i złego glinę. Po prostu zrób, co w twojej mocy, a potem porównamy spostrzeżenia w samochodzie. Zgoda?

— Załatwione. — Laura zaczęła otwierać drzwi, ale ją zatrzymał.

— Zaczekaj. Daj mi obejść samochód z parasolem, żebyś nie zmokła.

— Och, dzięki. — Laura poczekała, aż obszedł samochód i otworzyła drzwi, gdy dał znak, wdzięczna za jego zapobiegliwość. Ostatnie, czego potrzebowała, to, żeby cienka, różowa bluzka zrobiła się wilgotna i zimna. Konkurs miss mokrego podkoszulka zdecydowanie nie znajdował się na jej liście zadań na ten dzień.

Korytarz wejściowy Royal Thai był ozdobiony dwoma ogromnymi, idealnie czystymi akwariami, w których pływały zgrabne karpie koi, długości przedramienia Laury. Ryby poruszały się statecznymi, powolnymi błyskami bieli, czerni i pomarańczowego złota nad kupkami białego żwiru i artystycznie rozmieszczonych kęp koralu. Nad głową, smutny kobiecy głos śpiewał, jak założyła, po tajwańsku, do akompaniamentu brzdąkającej, minorowej muzyki.

Weszli do restauracji, która okazała się pusta, może dlatego, że była dopiero dziesiąta rano. Niewielkie stoliki z równie niewielkimi krzesłami były rozstawione na kilku poziomach, wszystkie ozdobione świeżymi kwiatami w porcelanowych wazonach. Pokryte panelami, drewniane ściany, połyskiwały w przyćmionym świetle, pokryte tradycyjnymi, tekowymi rzeźbieniami i jaskrawo pomalowanymi figurkami.

— Halo? — Vince podniósł głos. — Jest tu kto?

— Tak? — Głos był uprzejmy, bez śladu akcentu i za drogą, brokatową kurtyną z tyłu pojawiła się nagle około trzynastoletnia dziewczyna. Miała krótkie, ciemne włosy i

migdałowate oczy. Nosiła złotą, koronkową sukienkę z krótkim rękawem i wąską spódnicą, która opadała aż do dość brudnych tenisówek, wyglądających spod spodu.

— Cześć. Jestem detektyw Vince Roberts, a to Laura Albright. — Vince wskazał ją, a ona ruchem głowy pozdrowiła obserwującą ich w ciszy dziewczynę. — Byłem tu niedawno, rozmawiając z państwem Nygen o ich córce, Ploi.

— Dowiedział się pan czegoś? Jestem Amy, jej siostra. — Dziewczyna pochyliła się naprzód, a jej nadzieja szarpała nerwy Laury jak trącane struny. Westchnęła w duchu. Więcej nastoletnich emocji. Wspaniale.

— Niestety nic jeszcze nie mamy. — Powiedział łagodnie Vince. — Jesteśmy tu tylko, żeby zadać jeszcze kilka pytań. Są tu twoi rodzice?

Twarz dziewczyny ściągnęła się, nadzieja roztopiła gwałtownie w ostrokrawędziste rozczarowanie. — Jest mój tata. Mogę go przyprowadzić, ale będziecie potrzebować mnie do tłumaczenia. Nie mówi po angielsku tak dobrze, jak mama.

— W porządku. Zdaje się, że ostatnim razem rozmawiałem z twoją mamą. — Vince skinął głową.

— Siadajcie, gdzie chcecie. — Amy wykonała szeroki gest. — Chcecie herbaty?

— Herbata byłaby miła. — Laura spróbowała się do niej uśmiechnąć, a dziewczyna pokiwała głową i zniknęła za ciężką, brokatową zasłoną.

Ledwie zdążyli usiąść przy jednym z większych, okrągłych stołów, kiedy dziewczyna wróciła z parującym dzbankiem herbaty i kilkoma filiżankami na tacy. Za nią szedł starszy Azjata z siwiejącymi włosami. Wyglądał bardziej na jej dziadka niż ojca, pomyślała Laura, kiedy powoli usiadł naprzeciwko nich.

Amy zaczęła nalewać i w powietrzu poniosła się łagodnie woń jaśminowej herbaty. Vince wyciągnął notatnik i skonsultował się z nim. Laura sączyła herbatę, próbując przygotować się na wzrost emocji, które wyczuwała, kłębiące się nad stołem.

— Według moich notatek, pańska córka Ploi, była ostatnio widziana tutaj, o dziewiątej wieczorem, ósmego. Opuściła budynek, tę restaurację i więcej jej nie widziano. Ale ty, — Ruchem głowy wskazał Amy, słuchającą z uwagą i rozszerzonymi oczami. — około pół godziny później znalazłaś za rogiem jej szal i dwie świeże łuski Lepida. Zgadza się?

Czekał przez moment, aż dziewczyna przetłumaczy, co zrobiła wysokim, napiętym głosem. Jej ojciec skrzyżował ramiona i spiorunował Vince'a wzrokiem, a potem wypluł coś w szybkim, wielosylabowym języku, brzmiącym jak garść kamyków, uderzająca o chodnik. Laura poczuła od niego błysk gniewu, jak pryskający z patelni, gorący tłuszcz. Prawie rozlała od tego herbatę.

Amy popatrzyła na ojca i powiedziała coś prosiącym tonem, ale on tylko skrzyżował ramiona i potrząsał głową, patrząc groźnie.

Obserwowali tę wymianę jak mecz tenisa. W końcu Amy obróciła się z powrotem do nich i wzruszyła ramionami.

— Nie chce o tym rozmawiać. Po prostu powtarza ciągle, że nie ma starszej córki, więc dlaczego miałby się przejmować, co się z nią dzieje?

— Co? — Vince był wyraźnie zmieszany, ale Laura wyczuła złożoną mieszaninę gniewu i smutku, docierającą od starszego mężczyzny, wlewającą się do jej gardła jak gorzkie lekarstwo. Czuli się, jakby się dławiła, ale wzięła głęboki oddech i zapanowała nad impulsem. Pociągnęła kolejny łyk i popatrzyła na dziewczynę przed sobą.

— Co zrobiła twoja siostra? — Zapytała cicho Amy. Żeby twój ojciec się jej wyrzekł?

Twarz dziewczynki wykrzywiła się, jakby próbowała nie płakać, ale migdałowate oczy i tak wypełniły się łzami. Laura poczuła ich smak we własnym gardle i przełknęła ciężko.

— Ona... tej nocy, kiedy zniknęła, powiedziała moim rodzicom... — Amy zerknęła trwożnie na ojca, ale ten nadal siedział ze skrzyżowanymi ramionami i uniesionym podbródkiem, z twarzą jak wyciosaną z granitu.

— Co im powiedziała? — Laura pochyliła się do przodu, mimo iż to zintensyfikowało emocjonalne napięcie i popatrzyła na dziewczynę z powagą.

— Ploi była wzorową studentką. Miała stypendium na Uniwersytecie Tampa. — Amy patrzyła w swoją własną filiżankę, mówiąc szybko: — Moi rodzice byli z niej tacy dumni. Zamierzała być lekarzem. Potem... potem poznała tego chłopaka. Studenta z wymiany zagranicznej. Z Niemiec czy skądś tam. Myślała, że jest taki wspaniały. Ważniejszy od jej przyszłości — tak powiedziała mama.

— Zamierzała rzucić szkołę i z nim zamieszkać? Co? — Zapytał Vince, notując świetlnym piórem w notatniku przed sobą.

Amy pokręciła głową. — Nie, nie mogła z nim zamieszkać, bo wrócił już do Niemiec. Ale po jego odejściu, moja siostra dowiedziała się... — Przygryzła wargę i jeszcze raz spojrzała na ojca, gdy jej migdałowate oczy wypełniły się świeżymi łzami. — Dowiedziała się, że była w ciąży. Chciała spróbować dalej się uczyć, ale chciała wsparcia rodziców. Myślę, że moja mama by jej wysłuchała, ale ojciec zaczął wykrzykiwać, że była hańbą — że zhańbiła nas wszystkich i że nigdy więcej nie chce jej widzieć. — Łzy popłynęły po jej białych policzkach.

Laura uniosła rękę do własnego policzka i odkryła, że również płacze.

— Co się stało później? Twoja siostra wybiegła? — Głęboki głos Vince'a był łagodny.

Amy pokiwała głową. Po jej twarzy spływały niekontrolowane łzy. — Byłam zajęta podawaniem do stołów, inaczej poszłabym do niej wcześniej. Powinnam była pójść, nie ważne, co się działo. Przełknęła ślinę i wytarła oczy podstawą dłoni. — Do czasu, kiedy poszłam za róg, w miejsce, gdzie zaparkowała, już jej nie było. Po prostu... jej nie było. Nic, poza tymi wielkimi łuskami, a wtedy wiedziałam... wiedziałam, że nigdy więcej jej nie zobaczę.

Załamala się i rozszlochała, chowając twarz w dłoniach, jej chude, ptasie ramiona trzęsły się z niekontrolowanego żalu. Laura chciała zawodzić ze współczucia. Ból dziewczynki był taki świeży, taki nowy...

— Przepraszam. — Wstała na niepewne nogi, mając nadzieję, że Vince zrozumie i ledwie dotarła na czas do małej, czarująco urządzonej, damskiej toalety.

Kiedy już skończyła, przepłukała usta i zmoczyła zimną wodą papierowy ręcznik, żeby przycisnąć go sobie do karku.

Rozległo się lekkie stukanie do drzwi. — Lauro, dobrze się czujesz?

Biedny Vince, jak na razie spędził większość swojego dnia, wyciągając mnie z łazienek. Pomyśli, że jestem wariatką.

— Idę. — Powiedziała głośno. Wyrzuciwszy wilgotny ręcznik, po raz ostatni przejrzała się w lustrze. *Czerwone oczy... są. Rozczochrane włosy... są. Brak stanika... podwójnie jest.* Była oficjalnie gotowa na rozpoczęcie kariery białej biedoty. Gloria byłaby z niej taka dumna.

Laura pokazała odbiciu język, po czym uspokoiła się i otworzyła drzwi.

— Przepraszam, Vince. Nie miałam zamiaru cię zostawiać.

— Hej, w porządku. — Jego ciemnobrązowe oczy wyrażały troskę, nie gniew czy frustrację. Ta emocja była jak chłodna, kojąca dłoń na jej karku. — To dla ciebie naprawdę trudne, co? — Powiedział miękko.

Laura wzruszyła ramionami i zrobiła, co mogła, żeby wyglądać nonszalancko. — Po prostu mam teraz niską tolerancję. Trochę minęło, odkąd wystawiałam się na emocje innych ludzi. A z jakiegoś powodu nastolatki zawsze są najgorsze. Ich uczucia są tak *głośne*. — Skrzywiła się, a Vince zaśmiał się niskim chichotem, który rozgrzał ją od środka.

— Rozumiem. I tak już prawie skończyłem. Chcesz poczekać do końca w samochodzie? — Sięgnął po kartę dostępu.

Nie było niczego, co Laura chciałaby zrobić bardziej, ale pokręciła głową.

— Nic mi nie jest. Po prostu, tym razem pozwól mi się naprzeciw ojca i usiądź bliżej dziewczyny. W porządku?

— Pewnie. — Mocno wyczuwała jego zmartwienie o nią i wyglądał, jakby chciał poklepać ją po plecach, albo pogłodzić jej ramię. Nie chcąc się wzdrygnąć i go zdenerwować, Laura szybko go wyprzedziła. Różowe pantofle wystukiwały staccato na wypolerowanej, drewnianej podłodze.

— Więc... — Vince usiadł naprzeciw Amy, która uzyskała nad sobą trochę kontroli i siedziała cicha, ze zbielałą twarzą i dłońmi złożonymi na kolanach. Laura usiadła przed starszym człowiekiem. Jego gorzki gniew był trudny do zniesienia, ale nie, aż tak bardzo, jak przesywający żal jego córki.

— Już prawie skończyliśmy. — Vince zrobił kilka notatek, a potem spojrzął na milczącą dziewczynę. — Powiedz ojcu, że jeśli przyjdzie mu do głowy coś jeszcze, jakkolwiek szczegół, mogący przydać się w śledztwie, niech do nas zadzwoni.

— Traciecie czas. — Amy uniosła wzrok znad złożonych dłoni. Jej oczy były puste. — Ploi jest dla niego martwa. Nawet, jeśli ją znajdziecie, mój ojciec nigdy więcej się do niej nie odezwie. — Popatrzyła w bok, ale jej ojciec zachował uparte milczenie. — Ona... Ploi była dobrą siostrą. To znaczy, czasami mnie drażniła i się kłóciłyśmy, ale przez większość czasu była świetną, starszą siostrą. I nie powinna robić tego, co zrobiła, ale to nie oznacza, że zasługuje na bycie porwaną i zabraną gdzieś przez tego kogoś. — Powiedziała w pośpiechu, utkwivszy spojrzenie w dłoniach, które teraz zawzięcie składały w harmonijkę złoty materiał jej spódnicy. — Nie obchodzi mnie, czy mówienie tego, to brak szacunku. Ja... ja ją kochałam.

— Oczywiście, że tak. — Vince popatrzył na zrozpaczoną dziewczynę i Laura wyczuła jego współczucie, wznoszące się mocno między nimi. — Hej. — Powiedział.

Dziewczyna uniosła głowę, patrząc mu w oczy.

— Wiem, co czujesz, Amy. Też straciłem siostrę. Ale nie porzuciłem nadziei, że ją znajdę. Ją i twoją siostrę i wszystkie inne, w porządku?

Amy popatrzyła na niego i Laura wyczuła nadzieję, znów rozpalającą się w duszy dziewczyny, cienki, słaby płomień, który jednak był obecny.

— W porządku. — Powiedziała z wahaniem. — Dziękuję, detektywie...

— Roberts. — Vince wyciągnął wizytówkę i podał ją jej przez stół. — Jeśli przypomnisz sobie coś, co mogłoby pomóc, zadzwoń do mnie, Amy. Zgodna?

Amy rzuciła kolejne, ukradkowe, niepewne spojrzenie na kamienną twarz swojego ojca, który nadal burzył się w milczeniu po drugiej stronie stołu.

— W porządku. — Powiedziała, łapiąc wizytówkę szybkim ruchem, jakby miała nadzieję wykonać magiczną sztuczkę, której nie zauważy jej ojciec. — Dziękuję. — Uprzejmie spuściła głowę.

— Proszę bardzo. — Vince wstał i skinął na Laurę. — Chodź.

— Może była po prostu w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie.

— Może.

Laura obserwowała jak wpatruje się ponuro w okno Eternity, jadącego przez mokre ulice śródmieścia, w drodze do Channelside i jej laboratorium. Westchnęła.

— Przykro mi, Vince. Wiem, że miałeś nadzieję znaleźć coś, co zaprowadzi nas do twojej siostry. — Lekko dotknęła jego łokcia, cofając się, zanim dotyk mógł nadmiernie zaiskrzyć wzdłuż jej nerwów. — Naprawdę dobrze się spisałeś przy tej dziewczynie.

Odwrócił się do niej, z półuśmiechem, rozjaśniającym jego ponurą twarz. — Tak?

— Tak? Wydajesz się mieć talent do radzenia sobie z emocjonalnymi kobietami. — Laura uśmiechnęła się, zadowolona, wyczuwszy, że jego nastrój zelżał. Kiedy był niezadowolony, to było jak jazda w towarzystwie deszczowej chmury. — Hej. — Przesunęła się, żeby spojrzeć mu w twarz. — Nie wiem czy to pomoże, ale może opowiedziałbyś mi o szczegółach tych spraw?

Vince wzruszył ramionami. — Naprawdę nie ma wiele do powiedzenia. Tylko dwie rzeczy są wspólne we wszystkich przypadkach: zaginiona dziewczyna i świeże łuski.

— Jesteś *pewny*, że wszystkie były świeże? Chodzi mi o to, czy wszystkie i w każdym z miejsc były świeże?

Vince przytaknął. — Każda jedna. Nadal był na nich pył wrózek i w ogóle.

Laura potrząsnęła głową. — Pył wrózek... o Boże.

— Co? — Zwrócił się do niej, kiedy samochód skręcił ostro w prawo. — Wiesz coś, na ten temat? — Jego twarz była pusta, ale Laura czuła z tyłu czaszki intensywne ukłucia jego zainteresowania.

— No cóż, niestety to prawdopodobnie nic, co pomoże w sprawie. Na pewno wiesz, że Gerald jest... — Przełknęła ślinę. — był biochemikiem. Jego badania miały wiele wspólnego z tym, jak różne zapachy wpływają na reakcje ludzi — próbował odblokować kod genetyczny, odpowiadający za ludzkie feromony. Początkowo właśnie tak zaangażował się w komunikację ludzi z Lepidami. Widzisz, — Wsunęła zabłąkany kosmyk włosów za ucho. — pył wrózek na łuskach Lepidów tak naprawdę wcale nie jest pyłem — w rzeczywistości żyje. To symbiotyczny organizm, żyjący na ich skrzydłach i pomagający im w komunikacji.

Vince zmarszczył brwi. — Nie rozumiem. *W jaki sposób* pomaga?

Laura przygryzła wargę, myśląc o tym, jak zawsze tłumaczył to Gerald. — Lepidzi komunikują się, wykorzystując emocje. Ale to nie jakaś magiczna umiejętność — zdolność wyczuwania, co czuje inna osoba — inna *istota*. Kiedy coś odczuwasz, twoje ciało produkuje określone substancje chemiczne.

— Och, jak w reakcji walki lub ucieczki. Ciało zaczyna pompować adrenalinę?

— Dokładnie. — Uśmiechnęła się do niego. — A substancje chemiczne wytwarzają określony zapach, chociaż większość ludzi świadomie go nie wyczuwa. Jednak Lepidzi utracili zdolność „węszenia”. W efekcie, „pył wrózek” żyje na ich skrzydłach, gdzie mają swoje narządy węchowe i pomaga przekazać im feromony. Tak rozmawiają ze sobą nawzajem. I z nami — mam na myśli wrażliwych. — Popatrzyła na swoje dłonie. Za oknami Eternity, nadal padał deszcz, tworząc szarą mgielkę.

— Więc w twoim wypadku też tak to działa? Ty, eee, *wąchasz* emocje innych ludzi?

Laura poruszyła się na siedzeniu, jak zawsze czując się niekomfortowo, kiedy rozmawiała o swojej ułomności. — To zbyt duże uproszczenie, ale można tak powiedzieć. W każdym razie częściowo. — Skoncentrowała się na wyglądaniu przez okno. Deszcz wszystko spowalniał i jazda zdawała się trwać wieczność.

— Więc mi o tym opowiedz.

Uniosła wzrok by zobaczyć Vince'a który patrzył na nią uważnie. Jego zainteresowanie nadal kłuło ją w kark.

— Hej, nie próbuję wprawić cię w zakłopotanie, naprawdę. Po prostu... cóż, miałem wczoraj dość dziwne doświadczenie z tym pyłem wrózek, czy jak chcesz to nazywać. Od tamtej pory zastanawiam się, czy to sobie wyobraziłem, czy coś.

— Naprawdę? Co się stało?

Nadeszła jego kolej, żeby wyglądać na zawstydzonego. — No cóż, miałem go trochę na rękach, a potem powąchałem palce...

Laura słuchała jego wyjaśnienia dziwnego doświadczenia w jego pobliskim barze, dając mu znać, żeby kontynuował, kiedy wydawał się wahać. Kiedy zrelacjonował dziwne uczucia, które odebrał od znajomego detektywa, musiała zakryć usta, żeby ukryć niewielki uśmiech. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby Vince kiedykolwiek zainteresował się innym mężczyzną, choć z łatwością mogła uwierzyć, że mógłby się nim interesować inny mężczyzna. W końcu był bardzo atrakcyjny.

— Więc tak to wyglądało. Hej — śmiejesz się ze mnie. — Oskarżył Vince.

— Nie, naprawdę. No dobrze, może się śmieję. Tylko troszkę. — Laura uśmiechnęła się do niego szeroko. — To przez to, jak opisałeś tego drugiego detektywa — długie włosy i broda, tatuaże „biała władza” i w ogóle...

— Taa. — Vince pokręcił głową i zadrzał przesadnie, sprawiając, że śmiała się jeszcze bardziej. — Muszę ci powiedzieć, że to naprawdę mnie wystraszyło.

— Mogę sobie wyobrazić. Założę się, że niewielu facetów się do ciebie przystawia.

— Nie, od czasu, zanim zostałem detektywem i zostałem przydzielony do ochrony trasy parady równości w centrum. Chyba niektórzy goście po prostu nie potrafią się oprzeć mężczyźnie w mundurze. — Znowu zadrzał, a Laura roześmiała się na głos.

— Czyli — Vince szybko spowaźniał. — to mi się przytrafiło przez ten, uch, pył wrózek? Sprawił, że byłem w stanie wyczuć, co czuli wszyscy *U Mike'a*?

Laura pokiwała głową, znowu odgarniając sobie włosy z twarzy. Samochód znów skręcił za róg. Byli już prawie w jej laboratorium. — Wdychałeś pył, który natychmiast przekracza barierę krew/mózg, a on spowodował u ciebie wystąpienie generatywnej empatii.

— Co? Doktor Albright, proszę być tak miłą i pamiętać, że obecny tu słuchacz nie ma doktoratu z żadnej dziedziny nauki. — Vince użył brytyjskiego akcentu z lekko kpiącym tonem.

Laura uśmiechnęła się. — W porządku — więc pył sprawił, że na kilka minut twój mózg był taki jak mój.

Vince skinął głową i unióśł brwi. — A jak twój umysł różni się od nas, zwyczajnych śmiertelników?

— Skończ już, Vince. — Szturchnęła go łokciem, a on potarł biceps, udając rannego. Laura westchnęła, próbując wymyślić, jak to wyjaśnić. — No dobra. Więc w mózgu normalnej osoby...

— W moim mózgu?

— Tego nie powiedziałam. — Znowu go szturchnęła, a on się uśmiechnął. — W mózgu normalnej osoby, właściwie w mózgu każdego, zmysł węchu jest kontrolowane przez mały organ w przodomózgowiu, nazywany ciałem migdałowatym. A emocjonalnym centrum mózgu jest układ limbiczny. Oczywiście nie są zupełnie niezwiązane. Przykładowo, możesz czuć zapach szarlotki, co przypomni ci o szarlotce, którą piekła twoja babcia, kiedy byłeś mały i to sprawi, że poczujesz się szczęśliwy... Widzisz? Bodziec, reakcja. Zapach, emocja.

— Taa. — Vince zakręcił palcem. — Mów dalej.

Laura westchnęła i potarła policzkiem o miękkie obicie zagłówka. — Tak to się odbywa w normalnym mózgu. W anormalnym mózgu — na przykład u kogoś ze zdiagnozowaną hiperempatią, jest prawie tak, jakbyśmy mieli dodatkową ścieżkę między ciałem migdałowatym i układem limbicznym. To sprawia, że jesteśmy... jestem niesamowicie wrażliwa na feromony, które wydzielają ludzie wokół mnie.

— Więc wróciliśmy do wążania emocji innych osób. Jeśli to jest problem, dlaczego nie nosisz zatyczki do nosa czy czegoś takiego?

Laura westchnęła. Eternity wjeżdżał na Channelside, która w padającym deszczu była praktycznie niewidoczna. — To nie takie proste — chciałabym, żeby było. To, co ci powiedziałam, było tylko bardzo prostym wyjaśnieniem, dlaczego mój mózg działa tak, a nie inaczej, ale w żaden sposób nie jest kompletne. To jak... — Wykonała gest ręką, szukając słów. — jak wierzchołek góry lodowej. Na przykład, nikt nie wie, dlaczego dotknięcie kogoś — kontakt ze skórą, sprawia, że transfer emocji jest znacznie intensywniejszy, ale tak się dzieje. Gerald pracuje... przepraszam, *pracował* nad tym przez cały czas, odkąd go znałam, głównie dlatego, że sam był względnie hiperwrażliwy. Zanim pojawili się Lepidzi, szukał sposobu, żeby to wyleczyć. Po tym jak się pokazali i rzucili mu pod nogi tak lukratywny interes, myślę, że szukał metody, żeby to ulepszyć.

— Co? Chciał zmienić zwykłych ludzi w hiperwrażliwych? Żeby też mogli komunikować się z Tyłkami? — Vince zmarszczył brwi.

Laura pokręciła głową, znów odgarniając przeszkadzające włosy. Miała nadzieję, że w laboratorium ma jakąś, zapasową spinkę. — Nie — nie ma mowy, żeby dało się zmienić normalny mózg w anormalny. Pył wrózek może symulować doświadczenie bycia hiperwrażliwym, przez bardzo krótki czas, ale przy normalnym mózgu, to działa tylko między ludźmi. Nie możesz, powiedzmy, nawdychać się mnóstwa pyłu i potrafić rozmawiać z Lepidami, ponieważ naprawdę nie masz w mózgu tej ścieżki. Wiesz, oni potrafią mówić, tylko niezbyt dobrze i to ich wyczerpuje. Nie, Gerald próbował znaleźć sposób na sprawienie, że wrażliwi będą bardziej wrażliwi — żeby ułatwić goszczenie umysłów Lepidów w swoich. — Eternity szarpnęła się i wyrzała przez zaporowaną szybę. — Och, jesteśmy.

Vince nadal skupiał się na rozmowie. — Więc, kiedy z nimi rozmawiasz, z Lepidami, naprawdę wpuszczasz ich *do* swojego umysłu? To nie brzmi zbyt przyjemnie.

— Nie jest. — Odpowiedziała Laura. Eternity podjechał po lekkim stoku, na którym stał magazyn, mieszczący jej laboratorium. — Właściwie to naprawdę... — Urwała, gapiąc się. Wejście do laboratorium było szeroko otwarte. Obok ciężkich, przesuwanych drzwi z metalu, coś połyskiwało w rozproszonym świetle stłumionym srebrem. Obiekt zasłaniał nadal mocno lejący deszcz, ale wyglądał jak...

— O nie. — Laura niezdarnie poszukała na oślep klamki Eternity, pchając drzwi. Za plecami usłyszała głos Vince'a, krzyczącego coś, o byciu ostrożną, ale dla niej nie liczyło się nic, poza porozbijaną stertą srebra, leżącą w deszczu, przed jej laboratorium.

Rozdział 12

— Lauro! Lauro! To może nie być bezpieczne!

Ale ona wydostała się z samochodu i biegła w ulewie, zanim mógł ją zatrzymać. Vince podążył za nią, przeklinając cicho, kiedy zimny deszcz zupełnie go przemoczył.

Kłęczała przed przesuwными, metalowymi drzwiami do swojego laboratorium, tuląc w ramionach coś wyglądającego jak kupa złomu. Wnętrze laboratorium było ciemne i wyglądało na puste, ale nie chciał ryzykować.

— Zostań tu, a ja sprawdzę w środku. — Zawołał ponad szumem deszczu, wyciągając pistolet i powoli mijając drzwi. Laura nawet na niego nie spojrzała, cała jej uwaga była pochłonięta zniszczonym obiektem na ziemi.

Vince pokręcił głową i ostrożnie wszedł do laboratorium, trzymając przed sobą broń. Szybkie obejście pomieszczenia ujawniło, że w laboratorium nikogo nie ma, ale na pewno ktoś tu był. Cały, delikatny sprzęt, który szumiał cicho w tle, gdy był tu ostatnio, teraz ucichł, porozbijany tak, że nie było nadziei na jego naprawę. Luźne dokumenty i wstęgi papieru z danymi były rozrzucone po stołach i podłodze, a kilka laboratoryjnych stołków było przewróconych. Było oczywiste, że to miejsce zostało gruntownie przeszukane a następnie zdemolowane.

Czuł niechęć by pozwolić jej zobaczyć, co ktoś zrobił z jej pracą. To było tak bezsensowne, tak brutalne.

— Naprawdę się postarali, co?

Zaskoczył go jej głos za plecami. — Hej, mówiłem ci, żebyś czekała na zewnątrz, aż powiem, że jest czysto. — Ale kiedy się odwrócił, jej widok zabrał cały jego gniew.

Stała, drżąca, w wejściu do laboratorium, z gęstymi, blond włosami, przyklejonymi do czaszki długimi, mokrymi kosmykami. Ochronnie oplótła się rękami, a jej duże, zmienne oczy były matowe z żalu.

— Lauro? — Schował broń i zrobił krok w jej stronę, ale się odsunęła.

— Zabili Artiego. Nie sądzę, żebym była w stanie go naprawić. — Popatrzyła na Vince'a, który zdał sobie sprawę, że wilgoć na jej bladych policzkach nie była tylko deszczówką.

— Lauro, skarbie, tak mi przykro. — Obserwował ją bezradnie, boleśnie chcąc podejść do niej i uścisnąć ją, ale wiedział, że ona na to nie pozwoli.

— Po prostu... — Gniewnie otarła łzy dłonią, drugą ręką nadal obejmując się w pasie. — Myślę, że zrobił to ktoś, kto zniszczył mój dom i samochód. Powinam pomyśleć, że mogą to zrobić. Jaki jest cel tak bezsensownego zniszczenia, Vince? Nie rozumiem. Czego szukali? — Opuściła głowę, trzęsąc się w mokrych ubraniach. Jej ramiona drżały.

Vince nie mógł się dłużej powstrzymać, podszedł do niej. — Lauro, proszę... — Sięgnął do niej i jego dłoń wylądowała na nagiej skórze jej nadgarstka. Odsunęła się z zdrygnięciem.

— Proszę, nie... Doceniam to, Vince, to, że chcesz pomóc, ale nie mogę znieść dotyku. I proszę, nie czuj frustracji — to tylko pogarsza sprawę.

— Przepraszam. — Odsunął się od niej, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, czując się głupio. Nie chciała jego pomocy, nie potrzebowała jego pocieszenia.

Laura popatrzyła na niego ciemnymi, mokrymi oczami. — Musisz myśleć, że spędzam pół życia na załamaniach nerwowych, co?

— Nie. Przez kilka ostatnich dni przeszedł przez poważne gównno. — To, — Krótkim gestem wskazał zniszczone laboratorium. — zdenerwowałoby każdego.

— Wiesz, tak naprawdę nienawidzę płakać. Myślę, że w czasie ostatnich dwudziestu czterech godzin płakałam więcej niż od czasu zakończenia sprawy rozwodowej. A najgorsze jest to... — Urwała, patrząc na niego kątem oka. Jej zmienne oczy przybrały kolor morza w czasie sztormu.

— Co jest najgorsze? — Zapytał łagodnie, ośmielając się podejść o krok bliżej. Stała żałośnie skulona, zaraz za wejściem do ciemnego, zniszczonego laboratorium.

— Najgorsze jest to, że czuję jak chcesz mnie pocieszyć, chcesz mnie objąć... A ja *chcę* tego pocieszenia — tak bardzo go chcę, Vince. Ale po prostu nie mogę znieść kontaktu. To moja, cholerna ułomność. Nie mogę jej przezwyciężyć.

— A co, gdybym nie dotknął twojej skóry? — Schylił głowę, żeby patrzeć jej prosto w oczy. Każdej innej kobiecie uniósłby podbródek, ale to było najlepsze, co mógł zrobić bez dotykania.

Laura patrzyła na niego, mokra, drżąca i wyraźnie potrzebująca pocieszenia, ale nadal niepewna.

— No dalej. — Vince wyciągnął ręce, a ona podeszła do niego z cichym jękiem czystego smutku. — W porządku, skarbie. Już w porządku. — Wyszeptał.

Na początku trzymał ją delikatnie, czując przez wilgotną, czarną koszulkę jej gorącą twarz, przyciśniętą do jego klatki piersiowej. Jej mokre, blond włosy łaskotały tam, gdzie przesuwają się po jego przedramionach i była miękka i ustępliwa w jego objęciach, gdy oparła się o niego słabo, drżąc na całym ciele i pozwalając łzom płynąć.

Pachniała deszczem, mokrymi włosami i wilgotną skórą, a pod tym wszystkim, kobiecym piżmem, które musiało być jej naturalną wonią. Vince wciągnął ją w płuca.

Minęło trochę czasu, odkąd trzymał w ramionach kobietę. Nie było nikogo, odkąd odeszła Tandy, około pół roku przed zniknięciem Kyry. Jednak niektórych rzeczy się nie zapomina. Trzymał ją przy sobie i pozwalał płakać, jedną dłonią gładząc jej ociekające, splątane włosy i szepcząc jej kojące nonsensy.

Czuł miękką pełność jej piersi, naciskających na niego przez ich mokre ubrania, ale jej zdenerwowanie było tak widoczne, że nie mógł reagować na nic, poza jej bólem. Świadomy, że mogła go wyczuć, skoncentrował się na ochronnych, kojących emocjach, mając nadzieję, że ją to uspokoi.

W końcu szloch zmienił się w pociągnięcia nosem i od czasu do czasu cichy jęk.

— Lepiej? — Potarł jej ramiona, uważając, żeby nie dotknąć odsłoniętej skóry jej szyi, gdzie kończyła się głęboko wydekoltowana bluzka.

— Taa. — Laura popatrzyła na niego, nie odsuwając się jeszcze, chociaż po napięciu jej ciała mógł stwierdzić, że zaraz to zrobi. — Znacznie lepiej. Dzięki, Vince. — Posłała mu wodnisty uśmiech.

— Hej, jestem do usług, kiedy tylko będziesz tego potrzebować. — Uśmiechnął się do niej, widząc z zadowoleniem, że odpowiedziała słabym, krzywym uśmiechem. — Słuchaj, ktokolwiek to zrobił, — Ruchem głowy wskazał strzaskany sprzęt. — prawdopodobnie chciał, żeby to wyglądało na rabunek albo wandalizm. W rzeczywistości, gdybym nie wiedział lepiej, pomyślałbym, że to wina bandy dzieciaków, szukających kłopotów.

Laura westchnęła. — Tak. Chyba masz rację. — Odsunęła się od niego i Vince puścił ją niechętnie.

— To wszystko... czy jest jakiś sposób — chodzi mi o to czy wszystko straciłaś? — Zapytał, szukając sposobu na najmniej bolesne sformułowanie tego pytania.

Laura przygryzła wargę i stojąc ze skrzyżowanymi ramionami oceniła szkody. — Obawiam się, że większość jest całkowicie stracona. Ten sprzęt nie jest przystosowany do zniesienia najmniejszej zmiany temperatury, a co dopiero kija bejsbolowego czy czegokolwiek użyto. Na szczęście mam kopię zapasową większości notatek z badań, które starałam się prowadzić na moim organizerze, więc powinnam móc odtworzyć... — Urwała, przykładając dłoń do ust i otwierając szeroko oczy.

— Co? O co chodzi? — Vince pomyślał, że może coś zobaczyła, jakąś inną, niemożliwą do naprawienia szkodę, którą poprzednio przeoczyła. — Lauro?

Odwróciła się do niego. Ręka opadła jej z ust, ale oczy nadal miała szeroko otwarte i zszokowane. — Vince, wiem... wiem, czego musieliby szukać. Jak Gerald wysłał mi wiadomość. Boże, czuję się taka głupia, że wcześniej o tym nie pomyślałam!

— Jak? *Jak?* — Vince pochylił się do niej, jego mokre buty zapiszczały na kafelkach podłogi i z podekscytowaniem złapał ją za ramiona. Drgnęła, ale nie próbowała się uwolnić.

— Mój Message Buddy. Nadal jest podłączony do serwera HLC. Założę się, że próbował przesłać mi wiadomość przez niego. Tak dawno nie używałam go do niczego, poza notatkami do pracy, że nawet nie pomyślałam...

— Nie straciłaś go w pożarze? — Zażądał odpowiedzi Vince czując, że pod wpływem nadziei krew szybciej krąży mu w żyłach. Nareszcie jakiś trop! Trop, który mógł wskazać drogę do Kyrri!

— Ja... nie. Jestem całkiem pewna, że nadal jest w mojej torbie. To jedyne, co udało mi się wydostać, poza mną samą.

— Chodźmy! — Nadal trzymając ją za ramię, wyciągnął ją z mrocznych ruin jej laboratorium w kierunku Eternity.

W drodze powrotnej do Old Seminole Heights, Eternity nie osiągał zbyt dużej prędkości. Vince przeklął się za wybranie południowej Dale Mabry, która zawsze była zalewana. Obok niego siedziała skulona Laura, podobnie jak on, ociekając wodą. Nagle kichnęła lekko trzy razy pod rząd. Vince popatrzył na nią ze zmartwieniem.

— Na zdrowie. — To było archaiczne wyrażenie, które podłapał, dorastając u babci.

— Dzięki... a...a... — Znow kichnęła i żałośnie pociągnęła nosem. — Przepraszam.

— Brzmisz, jakbyś łapała przeziębienie.

— Nikt już nie łapie przeziębienia. Nie, od czasu Lepidów. — Znowu kichnęła.

— Może będziesz pierwsza. Mam pomysł. Zatrzymamy się w domu mojej babci i wyschniemy. To po drodze, a i tak muszę sprawdzić, co u niej.

— A co z organizmem? Myślałam, że byłeś tak podekscytowany...

— Jestem. — Westchnął Vince. — Ale może poczekać jeszcze trzydzieści minut. Chcę też dać znać babci Gertie, co się dzieje — że mogliśmy na coś trafić. — Uśmiechnął się szeroko. — I pomyślałem, że może chciałabyś ją poznać.

— Ale... ale czy ona będzie chciała poznać mnie? — Laura popatrzyła na niego z wahaniem, drżąc w chłodnym powietrzu z klimatyzatora Eternity.

Vince wyłączył klimatyzację i posłał jej pewne spojrzenie. — To, że twój ojciec nie był zbyt ucieszony, widząc mnie w twoim wideofonie, nie oznacza, że babcia Gertie nie będzie chciała cię spotkać. Jest naprawdę otwarta.

— Vince, proszę. — Popatrzyła na niego prosząco. — Nie bronię ich poglądów, ale to nadal moi rodzice. I gdybyś znał mojego ojca, wiedziałbyś, że byłby niezadowolony, widząc mnie w jednym pokoju z półnagim mężczyzną, *niezależnie* od koloru jego skóry. Po prostu jest staroświecki.

Vince uniósł ręce. — W porządku, w porządku, przepraszam. Nie miałem prawa tak mówić.

Westchnęła. — W porządku. Jak daleko do domu twojej babci?

Vince wyjrzał przez okno. — Jesteśmy na miejscu.

Eternity wjechał na frontowy podjazd małego domku babci Gertie w South Howard, chrząc oponami na żwirze. Vince zmarszczył czoło, Mała, czerwona Kia Scout babci nie stała, zaparkowana z przodu.

— Cóż, nie widzę jej samochodu, więc możesz jednak nie mieć okazji jej poznać. Ale równie dobrze możemy wejść i się wysuszyć.

— Może tak jest lepiej. — Laura przesunęła się i sięgnęła do klamki Eternity. — Nie prezentuję się w tej chwili zbyt dobrze. — Popatrzyła w dół na bladą różową bluzkę, która była teraz prawie przezroczysta od wilgoci. Vince starał się tego nie zauważać, ale nie mógł powstrzymać się od zerknięcia na jej pełne, jędrne piersi, napierające na ciasny materiał. Jej sutki stały z zimna.

— Mmm. — Powiedział. — Możesz mieć rację. Mogłaby odnieść to samo wrażenie, co twój ojciec, gdyby zobaczyła cię, wyglądającą w ten sposób.

Laura zarumieniła się i spuściła wzrok, bawiąc się klamką. Przeklął się w duchu. *Naprawdę gładko, Vince.* Co go opętało, żeby wygłaszać tak głupią uwagę? Czy to po prostu przez to, że od jakiegoś czasu nie był z kobietą, czy Laura w jakiś sposób go pociągała? Może po trochu z obu.

Wyszła na deszcz, a on szybko ruszył za nią, biegnąc do frontowych drzwi i wpuszczając ich do środka. Z obojga lała się woda na wejściowy dywanik z jaskrawym wzorem i wiedział, że babci się to nie spodoba.

— Chodź. — Zrzucił buty i poprowadził ją do zapasowej sypialni, należącej kiedyś do Kyrę, idąc szybko, żeby ograniczyć bałagan do minimum. Poszła za nim, pozostawiając różowe buty, które miały teraz od błota brudny brązowo różowy kolor, obok jego własnych.

— Ręczniki są tutaj. — Wyjaśnił Vince. Ściągnął szybko kamizelkę, naramienną kburę i koszulę, i chwycił ręcznik z szafki na pościel, po lewej stronie wanny. Usunął się z drogi, skinąwszy na Laurę, żeby zrobiła to samo, ale ona się nie poruszyła.

— Um. — Patrzyła na jego nagi, brązowy tors, upstrzony kroplami wody i wyglądało na to, że zagubiła się w myślach.

— hej. — Strzelił jej palcami pod nosem i podniosła wzrok. — W porządku? Odpłynęłaś na chwilę.

— Och, tak, przepraszam. — Zarumieniła się i sięgnęła do szafki z ręcznikami. — Po prostu... myślałam. Ja... uch, prawdopodobnie powinnam ściągnąć... chodzi o to, że ta bluzka jest przemoczona...

— Och. — Vince obrócił się do niej plecami. — Śmiało, nie będę patrzył. Wyszedłbym stąd, ale babcia Gertie dostałaby szału, gdybym nakapał jej na dywan.

Kontynuował wycieranie, słysząc mokry plask przemoczonej, różowej bluzki, lądującej w wannie, a potem miękki szelest, gdy grzebała w szafce. Następnie, przez długą chwilę panowała całkowita cisza.

— Lauro? — Zapytał w końcu, próbując nie wyobrazić jej sobie mokrej i nagiej za jego plecami, choć był to jedyny obraz, który jego mózg wydawał się chcieć wysyłać. — Skończyłaś?

— Vince... — jej głos brzmiał dziwnie, odległe.

Prawie się odwrócił, ale w porę się powstrzymał. Nie odpowiedziała na jego pytanie.

— Taa? — Powiedział zamiast tego, koncentrując się na całkowitym wytarciu pleców.

— Czy to, eee, była łazienka twojej siostry?

— Tak, dlaczego pytasz? — Z wigorem tarł kark miękką flanelą.

— Ponieważ, cóż... Vince, wiedziałeś, że twoja siostra była w ciąży?

— *Że* co? — Obrócił się gwałtownie twarzą do niej.

— Spójrz, co znalazłam za ręcznikami. — Laura była owinięta w jaskrawopomarańczowy ręcznik, a włosy przykryła niebieskim. Nalegająco wyciągała dłoń, w której leżał patyczek domowego testu ciążowego. Bładozielone światełko, wskazujące pozytywny wynik, nadal mrugało, a gdy nacisnęła mały przycisk z boku, odezwał się metaliczny, wcześniej nagrany głos.

— Kyra Roberts, piąty maja dwa tysiące trzydziesty ósmy. Dziewięćdziesiąt dziewięć i siedem dziesiątych procent szansy, że jesteś w ciąży. Jeśli chcesz powtórzyć test, po prostu zresetuj pręcik SureTrue, używając okrągłego, różowego pokrętła z boku. Powtarzam, dziewięćdziesiąt dziewięć i siedem dziesiątych procent szansy, że jesteś w ciąży... — Głos przerwał gwałtownie, kiedy Laura znowu wcisnęła przycisk.

— Widzisz? Wiedziałeś o tym?

— Nie. — Irracjonalnie, jego pierwszą myślą było zabić tego, małego punka, Jamala. Kyra miała tej jesieni zaczynać naukę na Uniwersytecie Stanowym Florydy, a jak niby miała to zrobić z dzieckiem w drodze? Potem wróciła rzeczywistość i zdrętwiałymi palcami wzięła od Laury patyczek.

— Przykro mi. Szukałam mniejszego ręcznika na włosy, a wtedy... — Głos Laury urwał się na chwilę. — Vince, Ploi Nygen była w ciąży, podobnie, jak twoja siostra. Czy jakieś inne, porwane dziewczyny były w ciąży?

Zmarszczył brwi, próbując myśleć. — Muszę sprawdzić w notesie. Z pamięci, przychodzi mi do głowy tylko jedna.

— A ile miały lat? W przybliżeniu?

— Te dziewczyny? Eee... — Vince położył patyczek SureTrue z boku umywalki. — Najmłodsza miała czternaście, a najstarsza dwadzieścia lat. Jednak większość była między szesnastką, a dziewiętnastką. — Zamknął oczy i z trudnością przełknął ślinę, zanim zaczął mówić dalej. — Kyra miała dopiero dziewiętnaście lat. Zrobiła ten test dwa dni zanim... zanim została porwana. Boże.

— Tak mi przykro. — Poczul czubki jej palców, muskające lekko jego ramię, po czym cofające się szybko. Czyżby wyczuła mignięcie jego emocji. W tej chwili nie były zbyt przyjemne.

— Nie. — Vince pokręcił głową i otworzył oczy. — W porządku. Po prostu... była taka młoda.

— Wszystkie były. I co najmniej trzy z nich były w ciąży. Myślisz, że to mógłby być jakiś wzór?

— Możliwe. W tego rodzaju sprawach szukamy wzorów — staramy się stworzyć profil porywacza. — Nie chciał mówić zabójcy. Nie chciał, żeby to była prawda. — Myślisz, że to może być ważne?

Laura skubnęła piękną, dolną wargę w sposób, który zmusił go do odwrócenia wzroku. — Może. Ale to tylko przecucie. — Wzruszyła ramionami.

— Do licha, zawsze sprawdzaj dobre przecucia, dziewczyno. Czy wiesz, ile spraw rozwiązałem, opierając się na popartych wiedzą zgadywankach? Fakty nie zawsze mówią wszystko. Właśnie to w tej sprawie doprowadza mnie do szału — Na powierzchni wygląda jak zwyczajna sprawa seryjnego porywacza, ale nie wszystkie kawałki wydają się pasować. To po prostu wydaje mi się... niewłaściwe.

— Mnie też, ale nie wiem, dlaczego.

— No cóż, wrzucmy te mokre ubrania do autoprasowarki mojej babci i wracajmy do mnie. Czuję, że cokolwiek jest na twoim Message Buddy, może pomóc nam dopasować kilka z tych fragmentów.

Poruszył się, żeby klepnąć ją w nagie ramię, koleżeński gest, nic więcej, ale odskoczyła, jakby ją oparzył. Vince opuścił rękę.

— Przepraszam, zapomniałem. Chyba jestem po prostu dotykającym gościem. — To było kiepskie usprawiedliwienie, ale przyjęła je bez zastrzeżeń.

— W porządku. Naprawdę nie mam nic przeciwko — to po prostu nawyk. Twoje emocje są naprawdę silne. Uderzające. W końcu się przyzwyczaję. W rzeczywistości, to prawdopodobnie dobrze mi zrobi. Pomoże mi podnieść tolerancję.

Vince skrzywił się i rzucił na ziemię ręcznik, który podniósł, żeby skończyć wycierać plecy. — Ha. Cieszę się, że mogłem pomóc. Nie co dzień mam okazję podnosić kobiecą *tolerancję* mojej osoby.

— Vince, proszę, przestań celowo przekręcać moje słowa. — Westchnęła, obejmując się ramionami. Intensywnie niebieski ręcznik, który miała na głowie, sprawił, że jej oczy przybrały przykuwający odcień błękitu. — Musisz wiedzieć, że nie uważam twojego dotyku za nieprzyjemny. Jest tylko... intensywny. To wszystko.

— Intensywny, co? — Przyjrzał jej się z zamyśleniem i po chwili odwróciła wzrok z zaróżowionymi policzkami.

Vince westchnął. — Chodźmy już.

Rozdział 13

Droga powrotna do domu Vince'a przebiegła w milczeniu. Raz czy drugi Laura otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale znów je zamknęła. Wiedziała, że powinna myśleć o organizerze Message Buddy i co ostatnie słowa Geralda, mogły mieć wspólnego z porwanymi dziewczętami, ale jej umysł wypełniało tylko jedno, jedna osoba — Vince Roberts. Wyrzała przez szybę, na przesuujące się za nią podmiejskie ulice. Deszcz trochę zelżał i teraz z żelazistoszarego nieba padała tylko lekka mżawka.

Znam go tylko półtora dnia. Więc dlaczego wydaje się, jakby to było znacznie dłużej? Dlaczego pozwalała mu dotrzeć do niej w ten sposób? To przypuszczalnie przez stres, w którym ostatnio żyła lub może po prostu fakt, że był atrakcyjnym mężczyzną, okazującym jej wyraźne zainteresowanie. W każdym razie więcej zainteresowania niż kiedykolwiek okazał Gerald. Ale atrakcyjny czy nie, musiała przestać zachowywać się jak śmieszna, zadurzona uczennica. Nie było sensu zaczynać czegoś, co prawdopodobnie nie mogło prowadzić do niczego, prawda? Prawda. Powiedziała sobie stanowczo. Więc przestań się tak głupio zachowywać i skoncentruj się na tym, co obiecałaś — pomóc mu w znalezieniu siostry.

Jak tylko sformułowała to postanowienie, zerknęła na wspomnianego mężczyznę i zobaczyła, że te ciemnoczekoladowe oczy były w niej utkwione. Vince znów obdarzał ją tym spojrzeniem — tym, sprawiającym, że czuła się naga.

— Hej, o czym myślisz? — Jego głos był miękki i głęboki, jego łagodne zaciekawienie przebiegało jak aksamitny palec po bruździe jej kręgosłupa.

Laura pokręciła głową. — O niczym. No, tak właściwie, zastanawiam się, co mógł mi przesłać Gerald. Już dawno przestał próbować do mnie dzwonić albo złapać w inny sposób, więc jestem trochę zaskoczona, że wysłał swoją wiadomość do mnie.

— Może to ma coś wspólnego z Tyłkami. — Podsunął z namysłem Vince. — Cokolwiek to jest, mam nadzieję, że twój były był krótki i rzeczowy. TAMI, sztuczna inteligencja wydziału, powiedziała, że to przerwana transmisja. Możemy nie dostać niczego. — Westchnął i potarł szczękę.

Laura wiedziała, że próbował przekonać samego siebie, żeby nie mieć zbyt wielkiej nadziei. Tak długo szukał siostry, jakiegokolwiek tropu. Teraz mogli na coś wpaść, ale Vince bał się pozwolić sobie na zbyt duże podekscytowanie, na wypadek, gdyby okazało się, że to kolejna, ślepa uliczka. W pewnym sensie się z nim zgadzała. Nastawianie się na coś, czego nie mogło się mieć, było bez sensu.

— Jesteśmy.

Jego słowa wyrwały ją z zamyślenia i Laura uniosła głowę by zobaczyć, że wysiadł już z samochodu i wbiegał po stopniach szerokiej, frontowej werandy. Niecierpliwie przywołał ją

ruchem ręki. Uśmiechnęła się do siebie i pospieszyła za nim. Najwyraźniej Vince nie był w stanie powściągnąć swojej nadziei tak bardzo, jak by chciał.

— No i?

— Daj mi chwilę. To stary sprzęt i potrzebuje chwili, żeby się rozruszać. — Message Buddy zabrzączał cicho w jej dłoniach, mały ekran rozbłysnął niechętnie. W końcu błysnęło *gotowy...* i pojawiło się menu. Laura przeszła z trybu *notatki* na *wiadomości* i wybrała *nowe wiadomości*, opcję, której nie używała od ponad roku.

— No i? — Zapytał ponownie Vince. Siedział obok niej na kanapie, bliżej niż to było komfortowe. Laura czuła jego podekscytowanie jak elektryczne iskry, szczypiące skórę jej pleców.

— Zaczekaj. W porządku. Mam jedną, nową wiadomość. Wysłaną dziesiątego sierpnia około dwunastej piętnaście w nocy.

— To jest to! — Vince spiął się nagle i ucichł. — Według TAMI, mniej więcej o tej porze została wysłana przerwana transmisja. Co w niej jest?

Lekko stuknęła rysikiem stary ekran, który wypełnił się chaotyczną masą cyfr i liter. Laura przeklęła pod nosem.

— Co? — Vince spojrzał na nią niecierpliwie. Jego gorliwa niecierpliwłość była jak tłum wiwatujący na meczu futbolu, wewnątrz jej głowy.

— Jest zakodowana.

— Możesz...

— Daj mi chwilę. — Laura westchnęła i potarła skronie czubkami palców wolnej ręki. — Słuchaj, twoje emocje są w tej chwili naprawdę *głośne*, Vince. Mógłbyś po prostu... Po prostu potrzebuję trochę przestrzeni.

— Wybacz. — Wstał gwałtownie i przeszedł przez pokój. — Lepiej? — Zapytał ze swojego miejsca pod oknem.

— Taa. — Przeszła przez kilka kolejnych okienek z komunikatami, próbując złamać szyfr, ale nie odnosząc wielkiego sukcesu. Gdyby tylko miała dostęp do modelu AI, nad którym pracowała w laboratorium, ale wszystko było zniszczone... ale czy w jej roboczych notatkach nie było mniejszego prototypu? W tej chwili nie funkcjonował, ale gdyby go aktywowała, to może...

— Mam. — Mruknęła do siebie Laura.

— Co? — Jego ciało było sztywne z napięcia. Praktycznie drżał z pragnienia podejścia i spojrzenia na ekran. Wyraz jego twarzy był mieszaniną nadziei i oczekiwania.

— Nie mogę złamać kodowania, ale myślę, że jest sposób, żeby to obejść. Patrz. — Laura dała mu znak, żeby podszedł bliżej, co natychmiast zrobił. — Wykorzystuję mniejszy model sztucznej inteligencji, który budowałam w laboratorium. — Powiedziała, wskazując ekran, który był plamą gwałtownie przewijanych liczb. — To zajmie kilka godzin, ale powinno się udać. Potem to odtworzę i powinniśmy móc to usłyszeć.

— Sprytnie.

— Cóż, teraz nie mamy nic do roboty, poza pozwoleniem AI działać. Miałbyś coś przeciwko, żebym wzięła bąbelkową kąpiel? To był dość stresujący dzień i nadal jestem zmarznięta od deszczu. Kąpiel podnosi temperaturę ciała.

— Mmm. — Spojrzenie, które posłał jej spod półprzymkniętych powiek, wyrażało zupełnie inny rodzaj podziwu. — Podnosi temperaturę, tak?

Laura poczuła, że rumieni się pomimo postanowienia, żeby tego nie robić. — Zmarzłam. — Powtórzyła.

— Oczywiście, że możesz się wykapać. Czuj się jak u siebie, Lauro. — Oczy barwy roztopionej czekolady przyglądały się jej.

— Dzięki. — Położyła organizer na stoliku przed sobą i uciekła do łazienki.

Nie było tu wielu rzeczy, których można było użyć do bąbelkowej kąpieli, więc szampon musiał wystarczyć. Na szczęście ładnie się pienił i Laura westchnęła, opuszczając się do gorącej, parującej wody.

Gorąca kąpiel z bąbelkami była więcej niż luksusem, była koniecznością po stresującym dniu. Od początku ich małżeństwa Gerald narzekał, że spędzała więcej czasu w wannie niż w ich łóżku. Nie, żeby którekolwiek z nich odniosło korzyść z tego, że poszła do łóżka, pomyślała Laura. Nabrała garść piany i dmuchnęła w nią, obserwując rozpraszające się bąbelki. Jak bardzo zainteresowany byłby nią Vince, gdyby o tym wiedział?

Zapomnij. Nie myśl o tym. Odchyliła się, żeby pozwolić wodzie, która była prawie zbyt gorąca, lizać jej nagą skórę. Chociaż było dopiero późne popołudnie, miała niesamowicie wyczerpujący dzień. Oczy jej się zamknęły.

— Lauro, wszystko tam w porządku?

Jego głos i lekkie stukanie do drzwi, obudziły ją.

— Hmm? — Przez dezorientującą chwilę nie miała pewności, gdzie była. Woda wokół niej wystygła, a łazienka była prawie mroczna, oświetlona tylko bladym światłem, wpadającym przez jedno okno z mrożonego szkła, umieszczone wysoko na przeciwległej ścianie. Lubiła brać kąpiele w ciemności, to było bardziej kojące, łatwiej było w ten sposób odciąć wszystko wokół siebie.

— Lauro? — Wyczuła jego zmartwienie, sączące się pod drzwiami jak ponura mgła, drżące na jej zakończeniach nerwowych. Usiadła prosto, rozchlapując wodę nad brzegiem wanny, przez swój gwałtowny ruch.

— Wszystko w porządku. — Zadrżała, gdy chłodna woda uderzyła o jej nagą skórę. — Po prostu straciłam poczucie czasu. To wszystko.

— Och, w porządku. Minęło kilka godzin i zaczynałem się martwić. Lubisz chińszczyznę?

Przez chwilę jej zaspiany mózg nie potrafił tego przetworzyć, po czym zorientowała się, że mówił o obiedzie. Na tę myśl zaburczało jej w żołądku. Śniadanie było dawno temu, poza tym i tak straciła większość w The Royal Thai po tym jak została zaatakowana przez nastoletnie emocje tej dziewczynki, Amy.

— Uch, pewnie. Chińszczyzna jest dobra. — Odparła, usiłując wyciągnąć zatyczkę i wypuścić lodowatą wodę. — Za chwilę wyjdę.

— Nie spiesz się. Dostawa zawsze zabiera im około dwudziestu minut. Chcesz coś konkretnego?

— Nie. Cokolwiek zamówisz, będzie w porządku. — Wstała, czując zimną wodę, spływającą po jej skórze i sięgnęła po ręcznik. Za drzwiami panowała teraz cisza, ale mogła stwierdzić, że nadal tam był. — Hej, masz coś przeciwko, żebym znowu założyła twoją koszulę? — Tandy nie zostawiła tu niczego, przypominającego domowe ubrania, a ona nie rozkoszowała się myślą o ponownym wciskaniu się w obcisłe jeansy i przejrzystą bluzkę. Zielona, zapinana na guziki koszula, którą wcześniej nosiła, była przynajmniej obszerna i wszystko zakrywała.

Po drugiej stronie drzwi nastąpiło więcej ciszy i uczucie hamowania się, być może emocja, którą próbował kontrolować. Laura zaczęła się zastanawiać czy go obraziła. Może nie lubił jak nosiła jego rzeczy? Kiedy rano znalazł ją, mającą na sobie jego koszulę, nie wydawał się rozgniewany.

— Pewnie, żaden problem. — Powiedział w końcu, kiedy już miała cofnąć prośbę. — Uch, jak twoje plecy? Safe-t-Skin już schodzi?

— Och. — Zdarzyło się tak wiele, że prawie zapomniała o leczącej warstwie, nadal trzymającej się okropnych cięć na jej plecach. Sięgnęła za siebie i zdała sobie sprawę, że wcale już nie bolały i czuła, że część ochronnej bariery na skaleczeniach zaczyna wisieć luźno. Powinny odpaść same, kiedy rany zostaną całkowicie wyleczone. — Właściwie jest całkiem dobrze. Niech trochę przeschnie, a potem zobaczymy.

— W porządku. To ja... pójde zamówić. — Na zewnątrz rozległo się szuranie stóp i tym razem wiedziała, że naprawdę odszedł.

Kiedy weszła do salonu, czuła się bardziej zrelaksowana, ale niewiele bardziej rozgrzana. Message Buddy nadal cicho mruczał i usłyszała Vince'a, szeleszczącego gdzieś w kuchni. Chwilę później wyszedł, wycierając ręce i zobaczył ją. Przez chwilę się nie odzywał i poczuła jego oczy, szybko przebiegające po jej ciele.

— Hej, mam nadzieję, że kurczak Kung Pow będzie w porządku. Wszystko już mam i jedzenie już jest. — Powiedział w końcu, przenosząc wzrok na ręcznik i koncentrując się na wycieraniu rąk.

— Brzmi świetnie. Umieram z głodu. — Spróbowała powiedzieć to tak lekko, jak to było możliwe, ale nie mogła się powstrzymać przed przyglądaniem się mu. Zmienił ubranie i był w parze dresowych spodni i ciemnozielonym T-shircie, opinającym jego szerokie ramiona i muskularną pierś.

— Hej, jesteśmy bliźniakami. — Wskazała zielone koszule, które oboje nosili, omijając go w drodze do jadalni, która przylegała do salonu. Chciałaby, żeby nie było między nimi tego napięcia. Sprawiało, że była nerwowa i poruszało emocje, które starała się kontrolować przez całe, dorosłe życie.

— Taa, częstuj się. — Obrócił się i wskazał znajome pudełka na wynos i kilka par pałeczek.

— Więc, jak myślisz, czego się dowiemy z wiadomości Geralda? — Laura usiadła i rozdzieliła parę pałeczek. — Masz coś do picia?

— Białe wino, woda czy truskawkowy napój proteinowy? — Podeszedł do lodówki, zawieszając palce nad przyciskami.

— Wino jest w porządku. — Prawdopodobnie nie powinna pić, ale biorąc wszystko pod uwagę, Laura czuła, że zasługiwała na drinka po tych kilku trudnych dniach.

— W porządku. — Długie, brązowe palce zatańczyły na przyciskach i otwarła się szczelina, wysuwając idealnie schłodzoną butelkę Sauvignon Blanc.²⁰ — Proszę bardzo. — Odkorkował butelkę i nalał im obojgu.

— Dzięki. — Zakołysała kieliszkiem, który jej podał i z uznaniem wypła łyk. — Mmm, pyszne.

²⁰ No tak. Tym Amerykanom nie chce się już nawet otworzyć lodówki.

Vince też wziął łyka. — Tak, nieźle. — Rozsiadł się przy stole. — Jak myślę, czego dowiemy się z tej wiadomości? Nie wiem — może niczego. Może czegoś, co rozjaśni całą tę sprawę. W każdym razie na to mam nadzieję. — Spróbował kurczaka.

— Masz przecucie? — Laura pociągnęła kolejny łyk wina i zorientowała się, że jej kieliszek jest pusty. Vince znów go nappełnił, dolewając też sobie.

— Możesz tak powiedzieć. A może po prostu szukam czegokolwiek, dowolnego strzępu nadziei, który pozwoli mi wierzyć, że nie jest za późno. Że ona nadal gdzieś żyje. — Westchnął i odłożył pałeczki.

— Opowiedz mi o niej. — Powiedziała cicho Laura. — Jaka jest twoja siostra?

— Jest... — Podniósł głowę, ale nie patrzył na nią. Ciemnomiedziane oczy wyglądały, jakby spoglądał w głąb siebie. — Sądzę, że gdybym miał wybrać jedno słowo, powiedziałbym nieustraszona. Ta dziewczyna nigdy niczego się nie bała. — Zaśmiał się miękko. — Wiesz, raz, gdy miała jakieś siedem lat, zabrałem ją do Y — chciałem nauczyć ją pływać. Babcia Gertie zawsze powtarza, że każdy, kto mieszka tak blisko oceanu, jak my, powinien móc dać sobie radę, gdyby wypadł za burtę czy coś w tym stylu. Oczywiście sama wcale nie potrafi pływać. — Znowu się zaśmiał. Jego ciemne oczy nadal były odległe. — W każdym razie zabrałem Kyrę ze sobą i pokazywałem jej kilka skoków. Cóż, tak właściwie, to popisywałem się przed śliczną ratowniczką. — Mrugnął do niej.

Laura uśmiechnęła się i kiwnęła głową, ciesząc się ożywieniem jego ciemnej twarzy, gdy sobie o tym przypominał.

Vince westchnął i upił wina. — Więc jestem tam i wykonuję te wszystkie, fantazyjne skoki. Powiedziałem Kyrze, żeby siedziała na miejscu i obserwowała, bo nie potrafi pływać. Właśnie zrobiłem podwójne salto z górnej deski i wypłynąłem, kiedy usłyszałem plusk obok mnie. — Uśmiechnął się, co rozjaśniło całą jego twarz. — Wiesz, że ta dziewczyna skoczyła od razu na głęboki koniec? Wyciągnąłem ją, na wpół utopioną i urządziłem jej piekło, ale ona nie ustąpiła. Powiedziała, że pomyślała, że skoro ja mogłem to zrobić, to ona też. Zawsze taka była — po prostu nieustraszona.

— Brzmi jak niesamowita dziewczyna — niesamowita kobieta. — Powiedziała miękko Laura.

Vince przytaknął. — Jest taka. Kyra jest twarda. Dorastając, nigdy nie chciałem tego przyznać. Między nami jest dwanaście lat różnicy, więc sądzą, że byłem dla niej bardziej jak wujek albo ojciec niż brat. Zawsze się na mnie wkurzała, że traktuję ją jak dziecko. Boże... — Ścisnął grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym.

— Hej, Vince, znajdziemy ją. — Znużony smutek, który czuła Laura, napływający od niego, był jak tępy ból w krzyżu. Chciałaby móc go jakoś pocieszyć. Jej ręka uniosła się i zawisła nad jego, zanim się cofnęła. — Jestem pewna, że ją znajdziemy. — Powtórzyła zamiast tego, nadal znów sącząc wino.

Uśmiechnął się ze zmęczeniem. — Hej, teraz mówisz jak babcia Gertie. Mówiła to sa...

Przerwało mu stłumione popiskiwanie z salonu i Laura usłyszała bardzo słaby, automatyczny głos Message Buddy, mówiący „Program wykonany”.

— Chodź. — Błyskawicznie wstała i znalazła się z powrotem na kanapie. Vince był tuż za nią.

— I co?

Czuła jego podekscytowanie, kotłujące jej się w żołądku — takie samo uczucie, jakiego doznaje się na szczycie pierwszej, naprawdę wysokiej górkę na kolejce górskiej. Ucieszyła się, że nie zjadła zbyt wiele.

— Zaczekaj. — Stuknęła rysikiem, włączając tryb audio i wcisnęła *odtwórz*. Nagle suchy, lekko nosowy ton Geralda, brzmiący dziwnie blisko i żywo, wypełnił ciszę.

— Lauro, jeśli czytasz albo słuchasz tę wiadomość, proszę, nie wyłączaj jej, dopóki mnie nie wysłuchasz. Jestem w dość desperackiej sytuacji i czy ci się to podoba, czy nie, też możesz być w to wmieszana.

— W skrócie, jakiś tydzień temu byłem w MacDill i dowiedziałem się pewnych rzeczy, o których nie powinienem wiedzieć. Sądzę, że to zastrzeżone informacje. — Rozległ się suchy, szczekliwy śmiech, który tak dobrze znała, po czym głos zaczął mówić dalej. — Niestety ktoś i nie zamierzam tu wymieniać nazwisk, żeby nie narazić cię bardziej, ktoś dowiedział się, co usłyszałem.

— Lauro, nie uwierzysz w to, ale wygląda na to, że zawarto umowę, która jest wprost... niewiarygodna. Nie mam nawet pewności jak ani dlaczego, ale porywają dziewczyny do...

Nagranie zatrzymało się z cichym kliknięciem.

— Co czego? Do czego? — Ciemna twarz Vince'a była napięta, jego emocje kłębiły się między nimi w przyprawiającej o mdłości plątaninie. — To wszystko? Kto je porywa? Dokąd je zabierają? Kto zawarł umowę i z kim?

— Nie wiem — zaczekaj. — Jeszcze raz odtworzyła wiadomość i wysłuchali jej uważnie, ale nie dowiedzieli się z niej niczego nowego.

Vince walnął z frustracją pięścią o udo. — Cholera! Nie mogę uwierzyć.

Laura manipulowała przy organizerze, ale nie uzyskała nic więcej. — Przykro mi, to chyba wszystko.

Westchnął głęboko, szerokie ramiona obwisły. — No cóż, TAMI mówiła, że transmisja została przerwana. Przynajmniej wiemy na pewno, że te dwie sprawy są powiązane.

— Tak. — Laura siedziała przez chwilę w milczeniu, skubiąc dolną wargę. — Chyba będziemy musieli wybrać się jutro do MacDill i zobaczyć czy da się tam czegoś dowiedzieć.

— Możesz nas tam wprowadzić? Myślałem, że nikt bez przepustki... — Urwał i uświadomiła sobie, że przygląda jej się z uwagą. — Hej, w porządku?

— Tak. Po prostu... MacDill jest tak... to mnóstwo ludzi na małej przestrzeni. Ale jestem dość pewna, że mogę nas wprowadzić. — Spróbowała utrzymać twarz bez wyrazu, ale sądząc po tym, jak patrzył na nią Vince, nie udało jej się zbyt dobrze.

— Hej, to przez twój dar? Twoją hiperempatię? To będzie dla ciebie trudne, czyż nie?

— Vince, naprawdę. Nie martw się o mnie — nic mi nie będzie. Mówiłam ci, że mam po prostu niską tolerancję.

— Czy mogę coś zrobić, żeby pomóc? — Jego głos był niski i zmartwiony i popatrzyła w te ciemne, obserwujące ją oczy. Poruszyła się niespokojnie na kanapie.

— Cóż... — Nie było mowy, że powinna zasugerować to, o czym myślała. Nie, przy napięciu, które już istniało między nimi.

— Co? Powiedz. — Pochylił się naprzód, jakby chciał siłą myśli zmusić ją do mówienia.

Laura westchnęła i przeciągnęła po włosach ręką, czując jedwabiste pasma, prześlizgujące jej się przez palce. Dotyk był kluczem — Gerald zawsze to mówił, choć nie całkiem rozpracował ten aspekt hiperempatii. A teraz już nigdy tego nie robi.

— Co? — Zapytał znowu Vince i wiedziała, że musi mu powiedzieć.

— Istnieje... ćwiczenie, którego nauczył mnie Gerald, gdy się poznaliśmy. Pomaga szybko zwiększyć tolerancję, ale zwyczajnie nie wiem... Musiałbyś mi pomóc. — Popatrzyła na niego, czując się strasznie wrażliwa.

Vince pokręcił głową. — Co tylko mogę zrobić. Naprawdę wszystko...

— To... to ćwiczenie dotykowe. — Laura wyprostowała się i obróciła do niego, próbując utrzymać spokojny wyraz twarzy. Podwinęła pod siebie nogi, upewniając się, że zielona koszula zakrywała wszystko. — Oczywiście mam na myśli nieseksualny dotyk. — Policzki jej płonęły mimo najlepszych chęci by niczego po sobie nie pokazać.

— Mmm-hmm? — Uniósł brwi, czekając, aż powie coś więcej i Laura poczuła się wdzięczna, że nie powiedział niczego.

Wzięła głęboki oddech i zmusiła się, żeby siedzieć prosto i patrzeć mu w oczy. *Równie dobrze mogę być profesjonalna.* — Polega na tym, że dotykam cię tak długo, jak potrafię znieść, a potem ty dotykasz mnie, aż poproszę, żebyś przestał. To odbywa się w turach, a celem jest wytrzymać za każdym razem trochę dłużej. W idealnych warunkach miałabym tygodnie na odbudowanie tolerancji, ale skoro nie mamy tygodni... — Urwała.

— Brzmi całkiem prosto. — Vince popatrzył na nią poważnie i raz jeszcze odczuła wdzięczność, że nie wydawał się skłonny do robienia sobie z tego żartów. — Kto zaczyna?

— Och. — Laura przełknęła ślinę. — Masz na myśli, że... będziemy to robić teraz?

— Pewnie. Chyba, że jesteś nadal głodna? — Kiwnął głową w kierunku kuchni.

Potrząsnęła głową. — Nie... nie jestem już głodna. Chociaż trochę więcej wina mogłoby pomóc.

Bez słowa przyniósł butelkę Sauvignon Blanc i ich kieliszki, i postawił je na stoliku do kawy. Laura pociągnęła długi łyk wina, chcąc, żeby ciepło alkoholu dostało się do jej krwi i rozluźniło ją.

— Lepiej? — Zapytał, kiedy odstawiła szklanę.

— O wiele. Dzięki, Vince.

— Hej, żaden problem. — Przesunął się, żeby być z nią twarzą w twarz. — Więc chcesz zacząć? Powinienem po prostu tak siedzieć?

— Pewnie, tak jest w porządku. Po prostu... spróbuj czuć spokój. Zgoda?

Skinął głową. Jego emocje uciszyły się, aż ledwie w ogóle mogła go *wyczuć*.

Laura wzięła głęboki oddech i sięgnęła po jego dłoń. Już wcześniej go tak dotykała, ale tym razem było inaczej — bardziej celowo. Z wahaniem spłótła jego długie, brązowe palce ze swoimi szczupłymi i bladymi. Następnie otwarła się tak szeroko, jak mogła.

Natychmiast stłumione emocje, które były prawie niewyczuwalne, zanim go dotknęła, wybuchły w jej umyśle jak fajerwerki. Był tam pociąg, niskie, ciepłe bzyczenie, które czuła, muskające jej skórę jak jedwab i zaintrygowanie, prawdopodobnie na myśl o graniu z nią w „dotykanie: jak gorący cynamon w powietrzu.

W czasie, gdy go dotykała, szybko narastała inna emocja, jak stłumiony ogień, wybuchający gwałtownie po podlaniu benzyną. Jego seksualne podniecenie popłynęło z mocą przez fizyczne połączenie między ich dłońmi i lizało wrażliwą skórę jej ud oraz miękkie stoki jej piersi z rozbrajającą intymnością. Laura sapnęła i wyrwała dłoń.

Vince patrzył na nią, nie poruszając się. — Nie spodobało ci się to, co poczułaś? — Zapytał głębokim, miękkim głosem, ale z nutą stali pod powierzchnią.

— Przy... przykro mi. — Wytarła dłoń o koszulę zanim mogła się powstrzymać. — Ty... ja...

— Nic nie poradzę na to, co czuję, Lauro. — Jego oczy nie opuszczały jej twarzy.

— Może to w tej chwili nie taki dobry pomysł. — Wstała by odejść, ale chwycił ją za rękaw koszuli i pociągnął z powrotem.

— To dlatego, że jestem czarny? — Zapytał wprost. — Przez to jak cię wychowano?

— Nie! — To pytanie ją zszokowało — zraniło. — Mówiłam ci, że nie jestem taka, Vince.

— Taa. Wiem, że nie jesteś Separatystką, ale założę się, że nigdy nie wyobrażałaś sobie bycia z kimś takim jak ja, nieprawdaż? — Jego głos był miękki i niski, jego pożądanie ocierało się o nią jak żywe — pędzel z miękkiej sierści na jej kręgosłupie.

Laura zarumieniła się od cebulek włosów po palce u stóp i nie spuściła wzroku. Starannie przeskoczyła pytanie. — Właściwie to dlatego, że nie jestem przyzwyczajona do odbierania tego rodzaju... emocji, skierowanej na mnie. To wszystko.

Vince usiadł prościej i popatrzył na nią z ciemnymi oczami, wypełnionymi sceptycyzmem. — Byłaś zamężna z Geraldem Hoytem przez, ile... dwa i pół roku?

— Prawie trzy. — Poprawiła miękko Laura.

— Więc czy on nigdy nie czuł... chciał...?

— Trochę. Na początku. — Odwróciła wzrok, ochronnie obejmując się ramionami. — Słuchaj, wolałabym o tym w tej chwili nie rozmawiać. Jeśli jesteś obrażony, nie musimy kontynuować tego ćwiczenia.

— Posłuchaj mnie. — Opuścił głowę, żeby popatrzeć jej w oczy. — Nie musisz robić się całkiem formalna, dziewczyno. Nie jestem obrażony.

Laura popatrzyła na niego z wdzięcznością. Docierające od niego emocje zelzały trochę do rozbawienia, jak delikatna ręka, mierzwiąca jej włosy.

— Naprawdę? Bo nie musimy...

— Moja kolej. — Wyciągnął rękę i delikatnie chwycił jej dłoń, przyciągając ją do siebie i pocierając dużą, ciepłą dłońią, wrażliwy spód jej przedramienia. — Jak teraz?

Laura zamknęła oczy i spróbowała się odprężyć, podczas gdy jego emocje przepływały przez jej ciało. Pożądanie nadal tam było, ale stłumione, jakby celowo próbował je kontrolować z myślą o niej. Zamiast tego skoncentrowała się na dotyku jego dłoni na jej ręce. Ciepłe, z lekkimi odciskami, prawdopodobnie od ściskania broni. Jego dotyk był łagodny, ale pewny. Zastanowiła się, jakby to było czuć te ręce na innych częściach jej ciała i szybko wyrzuciła tę myśl z głowy.

— Za dużo? — Troska Vince'a o nią musnęła ją lekko jak skrzydełka motyla.

— Nie. Jest w porządku. — Laura otwarła oczy. — Miałbyś coś przeciwko, gdybym...?

— Nie. — Puścił jej rękę i odchylił się na oparcie kanapy, zamykając oczy. — Śmiało. Nie będę cię obserwował. To utrudnia sprawę.

Laura przełknęła ślinę. Nagle zaschło jej w ustach. Nie musiała pytać, co miał na myśli. Wciągając powietrze, żeby się uspokoić, pochyliła się na przód, zawieszając palce nad jego dłońią. Potem zobaczyła, że jej ręka unosi się do jego twarzy, jak gdyby kierowana własnym rozumem. Lekko ujęła szorstki policzek, czując drapanie słabego zarostu na swojej, otwartej dłoni.

Oczy Vince'a otwarły się i jego zaskoczenie popędziło przez nią jak płonąca kometa przez niebo. Delikatnie przycisnął się do jej dłoni, a następnie odwrócił twarz, żeby złożyć na środku miękkiego pocałunek.

Laura sapnęła i odsunęła się, ale nie wcześniej niż jego pożądanie dotknęło czegoś w głębi niej — czegoś, co od lat próbowała utrzymać w ukryciu nawet przed sobą.

— Za dużo? — Jego głęboki głos był prawie warknięciem.

Świadoma, że gra w niebezpieczną grę, ale niezdolna się powstrzymać, Laura pokręciła głową. — Twoja... twoja kolej. — Prawie duknęła te słowa, nie potrafiąc ukryć nerwowości. Zamknęła oczy i czekała, drżąc.

Spodziewała się poczuć dużą, ciepłą dłoń na swoim policzku, a może z boku szyi. Jego usta, gorące i wilgotne, były niespodziewanym szokiem. Pocałował bok jej gardła, liżąc delikatnie wrażliwą skórę pod jej uchem i Lauren zastanowiło czy mógł wyczuć jej przyspieszony puls pod swoim, badawczym językiem.

Początkowo zabrał się do tego wolno, jakby oczekując, że go powstrzyma, ale Laura poczuła się unieruchomiona przez łagodny atak na jej zmysły. Czuła bicie swojego serca we wszystkich częściach ciała na raz i była świadoma przyjemnego podrażnienia wrażliwego miejsca między nogami — było prawie nabrzmiałe z żaru. Jego intensywne pożądanie rozeszło się po niej ciepłym, płynnym strumieniem, mieszając się z jej własnym, sprawiając, że czuła lekkość i niewielki zawrót głowy.

Zakazane. Tak była ostrzegana raz za razem, wychowując się w domu swojego ojca. *Rasom nie wolno się mieszać...* A jednak, z tego powodu zakazana przyjemność była znacznie większa.

Vince odsunął się na moment i patrzył na nią bez słowa. W głębi tych oczu koloru roztopionej czekolady tkwiło nieme pytanie. Laura wiedziała, że jej odpowiedzią powinno być nie, ale zanim mogła otworzyć usta by to powiedzieć, Schwycił jej wargi swoimi i topniała w pocałunku.

Przyciągnął ją do swojego, dużego ciała, jego pożądanie pulsowało w niej jak drugie bicie serca. Czuła woń jego skóry, pikantną i ciepłą, z ciemną, męską nutą piżma. Szeroka pierś pod jej poszukującymi dłońmi była twarda i Laura uświadomiła sobie, że siedzi między jego nogami ze sztywną długością jego podniecenia, naciskającą na jej udo. Wielkie, ciepłe dłonie gładziły jej włosy, ramiona i boki, gdy zachęcił ją do otwarcia ust, eksplorując ją dogłębnie językiem. Smakował słabo winem i ciepłym, podnieconym mężczyzną.

Powódź jego emocji była prawie miażdżąca, paląca, pochłaniająca potrzeba, liżąca jej ciało gorącymi płomieniami i wlewająca się do jej gardła jak miód z winem. Jej sutki były twardymi, bolesnymi punktami na czubkach piersi, a między nogami jej płeć zrobiła się nabrzmiała i mokra. Ktoś pojękiwał, cichym, łamiącym się dźwiękiem jak u rannego zwierzęcia — jak u zwierzęcia w rui — i to była ona.

Laura zaczęła czuć się przytłoczona. Każdy nerw w jej ciele śpiewał jak szarpnięta struna i te wibracje miały wkrótce rozerwać ją na strzępy — popchnąć ją poza granicę rozsądku.

Nie zniosę dużo więcej... Wtedy Vince przyciągnął ją bliżej, a zielona koszula, którą miała na sobie, była rozpinana. Sięgnął do środka, dotykając ciężkiej pełni jej piersi, ściskając jej sutki z właściwą siłą by wystrzelić poszarpane okruchy przyjemności/bólu do żaru, wzbierającego między jej nogami.

Popatrzyła w dół i obserwowała jak jej dotyka, zachwycona kontrastem jego silnych, brązowych rąk na tle bladej skóry jej pełnych piersi. *Jego skóra na mojej, jego ręce na moim ciele, wszędzie, dotykające mnie, popychające mnie...* Fale emocji lizały wyżej i wyżej, wznosząc się nad jej głowę. Jego potrzeba szarpała jej świadomość jak niebezpieczny prąd przydenny. Wychodziła na zbyt głęboką wodę, a nie potrafiła pływać. To było zbyt wiele — nie mogła oddychać — *tonęła*.

Z sapnięciem, będącym prawie płaczem, Laura odepchnęła się niespodziewanie. Dysząc, popęzła na przeciwny koniec kanapy i przykucnęła tam, czując, że nie może złapać wystarczająco głębokiego oddechu. W głowie pulsował jej żalony ból przeładowania doznaniem.

— Co się stało? Skrzywdziłem cię? Przestraszyłem? — Vince także ciężko oddychał i wyczuwała w jego dużym ciele seksualną frustrację, tętniący ból, który nie chciał odejść. Ale, kiedy się do niej pochylił, jego głos był wypełniony troską, nie gniewem.

— Przy... przykro mi. Nie mogę — po prostu nie mogę. — Orientując się, że jej zielona koszula nadal jest rozpięta, odsłaniając jej piersi, zamknęła ją szybko i spróbowała zapiąć guziki drżącymi palcami, co nie całkiem jej się udawało.

— Nie możesz czy nie chcesz? — Pochylił się jeszcze bardziej, a Laura cofnęła się jeszcze dalej, czując jak boczne oparcie kanapy wbija jej się w plecy. — Hej, uspokój się. W porządku. Nie zamierzam zrobić ci krzywdy ani zmuszać do robienia czegoś, czego nie chcesz. Już ci mówiłem. Nie jestem taki. — Vince wyciągnął ręce z uniesionymi dłońmi. — Po prostu chcę zrozumieć, co się dzieje.

— Po... po prostu nie chcę. — Laura odwróciła wzrok, niezdolna spojrzeć mu w oczy. Pomasażowała skronie czubkami palców, próbując zmusić bolesne pulsowanie do odejścia.

— W porządku. — Vince wziął głęboki wdech i wypuścił go w długim westchnieniu. — Nie mam nic przeciw temu, żeby się wycofać, jeśli poczujesz się niekomfortowo, bo wiem, że nie znamy się zbyt długo. Ale nie siedź tutaj, nagle mówiąc mi, że nie chcesz, kiedy minutę temu dyszałaś i jęczałaś na moich kolanach. Po prostu powiedz mi prawdę. — Teraz zaczynał być rozgniewany, jaskrawe igły bólu kłuły ją za oczami.

— Nie mogę, w porządku? I nie. To nie ma nic wspólnego z tym, że masz brązową skórę, a ja białą. To przez moją hiperemпатię. Ty... ty przeładowywałeś mój organizm. Przeraziłam się. — Laura zwinęła się w kłębek, jej zmysły nadal szalały, a w głowie dudniło od przerażająco rozkosznego szturm.

Vince popatrzył na nią zdumiony. — Nie rozumiem. Czy to ma więcej wspólnego z tą twoją „tolerancją”, czy co? Jak sobie radziłaś, kiedy byłaś zamężna?

— Nie radziłam sobie — dobra? To chciałeś usłyszeć? Dlaczego naprawdę mąż mnie zostawił? Co mogła mu dać Francine, czego ja nie mogłam? — Oddech utykał jej w gardle i bolała ją głowa.

— Zaraz — uspokój się, skarbie. — Wyciągnął rękę, po czym cofnął ją gwałtownie. — Nie zamierzałem tak się wtrącać w twoje sprawy, Lauro. Ale czy ty mówisz mi, że nigdy...

— Nie. Jestem dziewicą i prawdopodobnie nią pozostanę. — Uniosła podbródek i obrzuciła go najbardziej lodowatym spojrzeniem, na jakie mogła się zdobyć w tych okolicznościach. — Całkiem wcześnie odkryliśmy z Geraldem, że kiedy próbowaliśmy... pewnych relacji, to nie działało. Kontakt skóry ze skórą tworzył między nami zamkniętą pętlę, która bardzo szybko stawała się nieznośnie intensywna.

— Czy to dlatego, że oboje byliście hiperwrażliwi? — Głęboki głos był cichy, kojący. On naprawdę chciał to wiedzieć.

Laura wzruszyła ramionami. — Częściowo tak. Na pewno słyszałeś to powiedzenie. „Między przyjemnością i bólem jest cienka linia”. Tak było, kiedy Gerald i ja próbowaliśmy uprawiać seks. Jego emocje karmiły moje i popychały je wyżej, a moje karmiły jego, aż żadne z nas nie mogło tego znieść. — Westchnęła. — Wiesz, powiedział mi, że... powiedział, że to nie ma znaczenia. Że to coś, bez czego może się obyć. Po tym jak odkryłam go z Francine, zrozumiałam, że nigdy nie powinnam była w to uwierzyć. Francine była tylko minimalnie hiperwrażliwa. Seks najwyraźniej nie był dla niej problemem. — Powiedziała sucho, zmuszając się, żeby nie płakać. To była stara rana, ale nadal bolała.

Vince wyciągnął rękę i chwycił luźny rękaw zielonej koszuli. Łagodnie przyciągnął ją bliżej, uważając, żeby nie dotknąć jej skóry. — Hej, przykro mi. Nie chciałem, żebyś musiała znowu przez to przechodzić.

Laura wzruszyła ramionami obracając twarz, żeby potrzeć policzkiem o miękki materiał jego koszuli. *Dotyk jest kluczem*. Ale jak? I dlaczego?

— Ale wiesz... nadal nie rozumiem. — Głos Vince’a był głęboki i zamyślony. — Wyjaśniłaś, dlaczego nie możesz uprawiać seksu z innym hiperwrażliwym i potrafię to zrozumieć. — Wykonał okrężny ruch dłonią. — Tę całą pętlę. Ale dalej nie rozumiem, dlaczego nie mogłabyś mieć normalnego życia seksualnego z kimś innym. Kimś, kto nie ma twojego daru.

— To nie dar. To ułomność — klątwa. — Laura wzięła głęboki oddech i dmuchnęła, przesuając kurtynę jedwabistych włosów, zakrywającą jej pół twarzy. Przynajmniej ból głowy zaczynał słabnąć. — Przykro mi. Przez większość czasu staram się o tym nie myśleć. O... seksie. To dla mnie po prostu niemożliwe — czuję się, jakbym tonęła w doznaniach — prawie... — Szukała właściwych słów. — Prawie, jakbym miała wypalić sobie część mózgu. Im bardziej się dotykamy, im więcej mojej skóry zetknie się z twoją... — Zarumieniła się. —

Tym intensywniejsze robią się emocje i doznania, aż stają się prawie nieznośne. Jak bycie podłączoną do prądu, który robi się coraz silniejszy, aż cię porazi. — Popatrzyła na niego z nadzieją. — Czy to ma jakiś sens?

Vince kiwnął głową, wyglądając na zamyślonego. — Tak. Rozumiem o czym mówisz. W czasie seksu emocje robią się silniejsze i ludzie dotykają się nawzajem, a to trudne do zniesienia. Ale, jeśli potrafisz zwiększyć swoją tolerancję na swobodny dotyk i zwykłe emocje, dlaczego nie wzmocnić też tej? Mam na myśli, jeśli jesteś z kimś, kto nie spowoduje, że twój mózg to zapętlą?

Laura przypomniała sobie obezwładniającą falę doznań, którą odebrała od Vince'a w czasie prostego pocałunku i potrząsnęła głową. — Chciałabym móc powiedzieć, że to możliwe, ale nie sądzę. To zbyt... nie potrafię ci tego nawet wyjaśnić, Vince. Kiedy przed chwilą mnie dotykałeś — całowałeś mnie, czułam, jakbym płonęła i tonęła jednocześnie. To po prostu... zbyt wiele.

W zamyśleniu pokiwał głową. Ciemne oczy miał zadumane. — Rozumiem, skarbie.

— Muszę... — Odwróciła wzrok, przygryzając wargę. — Myślę, że powinnam iść już do łóżka. Przepraszam za... za zaczęcie czegoś, czego nie mogę skończyć. — Ciągłe czuła odległe tętnienie seksualnej frustracji, pulsujące w jego wielkim ciele i mogła zobaczyć potrzebę w tych czekoladowych oczach, gdyby tylko w nie spojrzała. Nie spojrzała.

Vince westchnął. — Nie martw się tym. To niewłaściwy moment na myślenie o... — Pozwolił zdaniu się urwać, a Laura czuła jego żar i tęsknotę jak bicie serca między zębami.

— Dobranoc. — Powiedziała. Próbując zachować godność, poszła powoli w kierunku sypialni, przy każdym kroku czując jego wzrok na swoich plecach... Sen długo nie chciał nadejść.

Rozdział 14

— W porządku. Teraz po prostu poczekaj, aż powiem ci, żebyś przyszedł poznać MACa.

— Dobra. — Mruknął Vince. Dziwnie było jechać na tylnym siedzeniu własnego samochodu, ubranym w najlepszy garnitur, ale Laura zapewniła go, że w ten sposób będzie bardziej przypominał vipa.

— Dobrze, że masz taki ładny wóz. — Powiedziała w zamyśleniu, kiedy wyjaśniała swój plan dostania się niepostrzeżenie do bazy Sił Powietrznych MacDill. — Właśnie coś takiego miałby obcy dygnitarz z małego kraju.

Vince prychnął. — Miło wiedzieć, że jestem w dobrym towarzystwie, gdy chodzi o gust do samochodów.

Laura „znała się” z MACkiem, co było skrótem od Military Artificial Control, Sztuczną inteligencją, zarządzającą wszystkimi systemami operacyjnymi i serwerem MacDill. Plan polegał na użyciu mało używanej bramy Bay Shore, często nazywanej „vipowską bramką” ze względu na to, że wykorzystywali ją oficjele, chcący dostać się do bazy bez rozgłosu. Laura miała „namówić” MACa do wpuszczenia ich i wjechać Eternity do bazy, a Vince miał siedzieć z tyłu, udając przedstawiciela Zairu.

Więc był tutaj, na tylnym siedzeniu własnego samochodu, próbując wyglądać zagranicznie i ważnie, kiedy ona szła po żwirze w kolejnej parze wysokich obcasów Tandy, żeby „zagadać” AI bazy.

Vince musiał przyznać, że wyglądała gorąco. Miała na sobie strój, który Tandy kupiła na rozmowę o pracę w firmie prawniczej w centrum. Jego była nie dostała tej roboty i stwierdziła, że drogie ubranie jest „pechowe”, odkładając je na dno szafy, gdzie pozostało, aż do pojawienia się Laury. Był to czarny garnitur w wąskie paski, przylegający do jej krągłej figury, jakby był namalowany.

Marynarka była skrojona do noszenia bez bluzki, ale Laura i tak miała pod spodem, cienką, białą koszulkę z jedwabiu. Pasująca do marynarki spódniczka była wystarczająco krótka, żeby ukazywać dużą część jedwabistych ud, a pasujące, czarne szpilki, podkreślały jej długie nogi.

Cholera. Poruszył się niekomfortowo w siedzeniu, obserwując jej kołyszący się tyłek. To małe „ćwiczenie dotykowe” z zeszłej nocy sprawiło, że widział Laurę w całkowicie nowym świetle. Przedtem myślał, że jej pragnął — teraz to wiedział. Fakt, że nie byli w stanie dokończyć tego, co zaczęli na kanapie sprawił tylko, że pragnął jej bardziej. Ale czy kiedykolwiek będzie zdolna do normalnego życia seksualnego?

Vince przypomniał sobie miękkie, ciche dźwięki, które wydawała, kiedy ją całował i uczucie jej pełnych piersi w jego dłoniach. Kiedy w końcu się od niego odepchnęła, miała w rozszerzonych oczach wyraz przerażenia jak u schwytanego w pułapkę zwierzęcia i naprawdę

dyszała... Jak mogłaby znieść bardziej intensywne doświadczenie, gdy tak łagodne działania tak mocno na nią wpływały?

— Vince... Vince?

Uświadomił sobie, że stoi przy tylnych drzwiczkach Eternity, sycząc jego imię i że robiła to już od jakiegoś czasu. Tak zagłębił się w swoich spekulacjach, że nawet jej nie usłyszał. *Przestań robić z siebie głupka i zacznij myśleć.* Poradził samemu sobie. Jednak, biorąc pod uwagę wygląd Laury, łatwiej było powiedzieć niż zrobić.

— Wybacz. — Powiedział, otwierając drzwi i wychodząc na parzący, sierpniowy żar.

Laura szarpnęła głową w kierunku bramy, gdzie wyświetlała się trójwymiarowa postać. — Zostałeś wpuszczony. MAC nie wie, że Gerald jest... no wiesz i najwyraźniej nikt mu nigdy nie powiedział o naszym rozwodzie, więc jesteśmy kryci. Pamiętaj, żeby zostawić mi większość gadania. Myślę, że nie ma nic przeciwko wpuszczeniu nas, po prostu lubi spotkać każdego, kto przechodzi. To ten jego wewnętrzny sierżant musztry.

— Sierżant musztry? — Uciszyła go potrząśnięciem głową i wróciła do postaci przy bramie. Vince nie miał wielkiego wyboru, poza pójściem za nią. Z przyzwyczajenia strząsnął czarną marynarkę, żeby ukryć naramienną kaburę, którą zazwyczaj nosił i przypomniał sobie znów z nutą rozdrażnienia, że musiał zostawić broń w domu.

Nie czuł się dobrze, wchodząc w niebezpieczną sytuację bez broni, ale Laura zapewniła go, że niezależnie, jak dobrze dogadywała się z AI MacDill, nie było mowy, żeby MAC zgodził się pominąć poszukiwanie broni. Więc nie było mowy, żeby Vince przeniósł pistolet przez bramę.

Wyprostowana jakby kij połknęła postać, z krótko ostrzyżonymi włosami, pozdrowiła go sztywnym salutem. Vince pomyślał z niepokojem, że AI bardziej niż trochę przypominało ojca Laury. W przeciwieństwie do TAMI, MAC został najwyraźniej stworzony przez programistę bez poczucia humoru.

— MAC, to minister Bandu. — Laura kiwnęła na niego i Vince skinął dość sztywno głową.

— *Tak jest*, panie ministrze. To zawsze przyjemność poznać kogoś, towarzyszącego pani Hoyt, *Tak jest*. — Szczeknął MAC.

Zobaczył jak Laura krzywi się na niepoprawne nazwisko, ale nie poprawiła sztucznej inteligencji.

— Miło mi. — Wymamrotał Vince.

— Minister niecierpliwi się by spotkać się z Lepidami, MAC. Przyleciał dziś nieoczekiwanie i udało nam się dodać go do rozkładu. Bardzo się cieszymy, że mogliśmy mu pomóc.

Laura błysnęła w jego kierunku tak przekonującym uśmiechem, że przez chwilę Vince prawie sam w to uwierzył.

— ...nic przeciwko, MAC, minister nie chciałby rozgłaszać swojej obecności. Więc wślizgniemy się szybko na spotkanie z Lepidami i znikniemy, zanim się zorientujesz. — Mówiła pospiesznie Laura.

— Z pewnością, pani Hoyt. Sprawdziłem, że Minister Bandu nie ma broni i powstrzymam się przed dodaniem go do głównej bazy danych z szacunku dla jego życzenia prywatności. Będę potrzebował tylko krótkiej weryfikacji pani przepustki, zanim otworzę bramę.

Vince pomyślał, że trochę zbladła, ale należało przyznać, że wyraz twarzy Laury wcale się nie zmienił.

— Och, MAC, ta stara przepustka jest na dnię torebki, a nasze spotkanie jest za dziesięć minut. Czy nie możemy sobie tego na razie darować?

— Chciałbym pomóc, proszę pani, ale nie mogę naruszać protokołu. Minęło jeden przecinek siedem roku, odkąd panią widziałem i pani przepustka wizualna wygasła. Przykro mi. — Stalowskiwa głowa skinęła przeprasząco.

— W porządku. — Powiedziała słodko Laura. — To żaden problem. Zaraz ją wygrzebię — mam tylko nadzieję, że Gerald pamiętał, żeby ją uaktualnić.

Laura udała przekopywanie masywnej, sportowej torby, którą upchnęła na tylnym siedzeniu Eternity.

— Ach — tutaj jest. — Tryumfalnie wyciągnęła obdrapane, skórzane etui z dna torby i wróciła z nim do bramy. — Proszę bardzo. — Powiedziała wesoło, otwierając klapkę by odsłonić matową, platynową odznakę z jej nazwiskiem i numerem identyfikacyjnym.

MAC przeskanował przedstawioną odznakę i mignął krótko, najwyraźniej rejestrując dane, a potem skinął głową. — W porządku, pani Hoyt. Możecie wejść. Życzę miłej wizyty. — Skinął jej głową, a potem raz jeszcze zasalutował Vince'owi. — Panie ministrze, to była przyjemność, *Tak jest.*

Vince w milczeniu kiwnął głową, po czym odwrócili się i wrócili do samochodu, chrzęszcząc na luźnym tłuczniu. Prawie się zapomniał i wszedł na miejsce kierowcy, ale szturchnięcie Laury przypomniało mu, żeby usiąść z tyłu i wyglądać tak wyniośle, jak to było możliwe.

Brama otwarła się bezgłośnie i MAC zasalutował im po raz ostatni, kiedy Eternity powoli się przez nią przetoczył.

— Co teraz? — Zapytał cicho, pochylając się do przodu, żeby spojrzeć jej w oczy, które we wstecznym lusterku myły tak ciemnoniebieskie, że wydawały się prawie czarne.

— Teraz mamy około piętnastu minut, żeby wejść i wyjść, zanim MAC uaktualni dziennik bazy i ktoś zauważy, że nie wążam kwiatków od spodu. — Powiedziała, polecając Eternity skrócić w lewo.

— Piętnaście minut? Czy to w ogóle wykonalne?

— Nie. — Wyglądała przez okno, udając zainteresowanie tym, co się wokół działo. Mijali długi łańcuch połączonych ze sobą budynków, wykonanych z jasnobrązowej cegły. Parking wokół kompleksu był pełny i ludzie, zarówno w mundurach jak i bez, kręcili się wte i wewte, pchając przed sobą wypełnione wózki sklepowe. — Mamy szczęście — w sklepie zaopatrzeniowym musi być wyprzedaż. Mniej ludzi w strefie komunikacyjnej.

— Hej, Lauro. — Pochylił się w przód i sięgnął nad siedzeniem do jej ramienia. — Nie zamierzałem wystawiać cię na niebezpieczeństwo. Nie chciałem, żeby to...

Zapomnij. — Potrząsnęła głową, na krótko spotykając jego oczy w lusterku i odwracając wzrok. — Znałam ryzyko, Vince. Mówiłam ci, że pomogę ci znaleźć siostrę i to zrobię, jeśli to tylko jest możliwe, okay?

— Nie podoba mi się to. — Zagderał, opierając się na swoim siedzeniu i krzyżując ramiona na piersi. — Nie podoba mi się, że tak ryzykujesz. Gdyby nie chodziło o Kyrę i inne dziewczyny, które próbujemy znaleźć... — Urwał, kręcąc głową.

— Dlaczego? — Wyglądała na rozbawioną. Kąciki jej pełnych ust drgały, kiedy się na niego obejrzała. — Bo jestem kobietą? Czy odgrywanie bohatera powinno być zarezerwowane dla mężczyzn?

Vince mruknął pod nosem i udał, że wygląda przez okno. Trafiła idealnie, ale niech go licho, jeśli się do tego przyzna. Mijali rząd budynków mieszkalnych z dużym, zielonym, parkowym obszarem pośrodku. Baza była jak małe miasto zamknięte wewnątrz murów i bram.

— W porządku. — Głos Laury wytrącił go z rozmyślań. — Zbliżamy się do strefy komunikacyjnej. Prawdopodobnie trzeba będzie minąć jednego lub więcej strażników, więc siedź prosto i wyglądaj na ważnego, kiedy będę błyskać odznaką.

Prywatnie, Vince uważał, że wszystkim, czym musiała błysnąć, były te pełne, ponętne piersi, które zeszłej nocy trzymał w dłoniach przez tę, krótką chwilę. Szerokie oczy barwy zmierzchu uchwyciły jego w lusterku i wiedział, że uchwyciła sens jego myśli, a przynajmniej towarzyszącą mu emocję. *Cholera*. Kontrolowanie twarzy czy nawet języka ciała było dość proste. Ale jak miałby kontrolować emocje?

Odchrząknął. — Posłuchaj, nie zamierzałem...

Właśnie wtedy Eternity zatrzymał się przed wielkim, betonowym bunkrem z małą stróżówką, która jak przypuszczał, musiała być posterunkiem strażnika. Była pusta, a parking z boku budynku był opustoszały.

— Coś tu jest nie tak. — Mruknęła Laura, brzmiąc na zmartwioną. Poleciała Eternity opuścić szybę i wystawiła głowę. — Halo? — Zawołała. — Jest tu kto?

— O co chodzi? — Vince pochylił się naprzód, zmartwiony.

Laura pokręciła głową. — Ktoś zawsze tu jest. Nigdy nie pozostawiają niestrzeżonej strefy komunikacyjnej, nawet jeżeli w planach nie ma przylotu Lepidów. Nigdy nie widziałam, żeby tu było tak cicho.

— Cóż, może to zadziała na naszą korzyść. Wejźmy i zobaczymy, czego możemy się dowiedzieć.

Wzruszyła ramionami. — Czemu nie? Ale wątpię, żebyśmy cokolwiek odkryli, jeśli nikogo tu nie ma. Właściwie miałam nadzieję porozmawiać z którymś ze strażników, może dowiedzieć się czy ktoś zabierał świeże łuski, kiedy Lepidzi zrzucali je w komorach komunikacyjnych. Powinny być odizolowane przez dwadzieścia cztery godziny, aż pył umrze, ale myślałam, że może...

— Nadal myślisz, że to osoba — jakiś chory drań, który zabiera łuski, porywa i zabił twojego byłego. — Powiedział Vince. Eternity przetoczył się obok opuszczonego posterunku straży na rozległy, asfaltowy plac, służący za parking.

Laura popatrzyła na niego. — A ty nie?

Potrząsnął głową. — Nie wiem. Mam takie przeczucie, że Tyłki muszą być w to jakoś wmieszane.

— Słuchaj, Vince, bez obrazy, ale nie znasz Lepidów. Są zimni i całkowicie logiczni. Nie rozumiem, dlaczego —

— Co z ostatnią wiadomością, którą wysłał ci Gerald? — Przerwał. — Jakie porozumienie tu zawarto i jak myślisz, kto je zawarł?

Pokręciła głową. — Ja... po prostu nie wiem.

— No to zobaczymy, czego możemy się dowiedzieć. Chodź. — Vince wysiadł z samochodu i skierował się do betonowego bunkra. Po chwili usłyszał szybki stukot wysokich obcasów, który powiedział mu, że szła za nim.

Ciężkie drzwi były zamknięte, kolejna zabroniona rzecz, według Laury, która była przygotowana na użycie swojej przepustki, żeby dostać się do środka. Wewnątrz, bunkier był zaskakująco pusty i słabo oświetlony. Nie było tu korytarzy i pomieszczeń. Tylko jedna, wielka, otwarta przestrzeń, niknąca w czerni na przeciwnym końcu.

Vince zamrugał. — Dlaczego tu tak ciemno?

Laura wzruszyła ramionami. — Lepidzi tak lubią. Widzą w innym spektrum barw niż my.

Po przeciwnej stronie, w pobliżu tylnego wejścia, znajdowały się budki z przydymionego, od zewnątrz prawie nieprzezroczystego szkła. Przez ciemną szybę Vince widział niewyraźnie, że w każdej były dwa krzesła, stojące naprzeciw siebie. Laura wskazała je ruchem głowy.

— Pomieszczenia komunikacyjne. — Powiedziała. — Szkło pomaga skupić emocje, ograniczając feromony do zamkniętej przestrzeni. — Vince uznał, że w słabym świetle jej twarz wyglądała blado. Poszli w kierunku jednej z budek. Jej obcasy stukotały głośno w panującej ciszy.

— Jak to działa? — Vince przyjrzał się dwóm, niewygodnie wyglądającym krzesłom z wytłoczonego plastiku, stojącym naprzeciw siebie w pierwszej budce.

Laura zadrżała i ochronnie skrzyżowała ramiona na piersiach. — Vip siedzi tutaj. — Wskazała pierwsze krzesło. — Wrażliwy tu. — Wskazała drugie. — A Lepid stoi za wrażliwym. Ich... skrzydła otwierają się i otaczają... otaczają wrażliwego i... — Pokręciła głową.

— Hej. — Vince dotknął jej ręki, a ona lekko się wzdrygnęła. — To było dla ciebie trudne, prawda?

Wzruszyła ramionami. — To... inwazyjne... wyczerpujące. Trudne do wytłumaczenia. Po jakimś czasie się przyzwyczaiłam.

Zajrzał do dwóch kolejnych budek. — Nigdzie żadnych łusek. Czy mogą być gdzie indziej?

Laura wyglądała na zakłopotaną. — Nie. Lądują tutaj, tuż przed budynkiem — mają tam miejsce — wchodzą, żeby się porozumieć i odchodzą. Nigdy nie chodzą nigdzie indziej.

— A przynajmniej chcą, żebyśmy tak myśleli. — Właśnie, gdy to powiedział, rozległo się ciche kliknięcie i drzwi za nimi zaczęły się otwierać.

— Szybko! — Laura chwyciła go za rękę i zanurkowała do jednej z budek z przydymionego szkła, tej środkowej i przykucnęła między plastikowymi siedzeniami.

— ...nie moja wina, że spieprzyłeś robotę. — Mówił południowy głos o nosowym brzmieniu. — Miałeś sprawić, żeby to wyglądało na włamanie i beznadziejnie się spisałeś, McMurtry. Przekłęci, wojskowi tępacy. — Ostatnie zostało powiedziane raczej z głębokim niesmakiem niż prawdziwym gniewem.

— Człowiek, wyznaczony do tego zadania otrzymał reprimendę i został zdegradowany o kilka stopni, sir. Zapewniam pana. I musi pan przyznać, że dobrze zajęliśmy się tą dziewczyną. — Drugi głos był głębszy, z nutą niechęci. Dwie pary butów zastukały o podłogę z płytek.

Krótki, szczekliwy śmiech rozbrzmiał w ciszy wielkiego pomieszczenia. — Tak, rozumiem, że twój człowiek musiał upiec około pięćdziesięciu starsuszków, żeby to dobrze wyglądało.

Vince zobaczył jak Laura zeszywniała na te słowa i usłyszał jej trochę szybszy oddech. Czy mogli mówić o pożarze, który pochłonął jej kompleks mieszkalny? Wiedział, że mieszkało tam

wiele starszych osób. Jaki bękart bez serca zabił staruszków dla zasłony dymnej? Chciał ścisnąć jej rękę, ale bał się dodawać własnego niepokoju do jej.

Dwie pary kroków zatrzymały się i Vince mógł niewyraźnie zobaczyć dwóch mężczyzn przez przydymioną szybę. Jeden z nich był ubrany w drogo wyglądający, konserwatywny, ciemny garnitur. Był wysoki i tak szczupły, że wyglądał na wychudłego. Drugi był tęższy, z krzepką, czerwoną twarzą. Miał na sobie mundur z wystarczającą ilością zdobień i odznaczeń, żeby zatopić statek.

— Tak tu cholernie ciemno. — Mruknął wyższy, w garniturze.

— Sir, Lepidzi... — Zaczął mężczyzna w mundurze.

— Taa, wiem. Właśnie tak lubią. Uważasz mnie za głupka, McMurtry? — Garniturowiec wykonał niecierpliwy gest ostrym, wąskim podbródkiem. — Gdzie właściwie jest Tmm?

— Ma się niedługo zjawić. — Odparł szybko wojskowy.

— Lepiej, żeby tak było, McMurtry. Nie mam całego dnia.

— Sir, zapewniam...

Vince zastanowił się przez moment, dlaczego człowiek w uniformie, najwyraźniej mający wysoką rangę, bez szemrania wysłuchiwał ochrzanu i miał nadzieję, że nie postanowią sprawdzić wnętrza budek w trakcie rozmowy. Przydymione szkło sprawiało, że trudniej było zajrzeć do wnętrza niż wyglądać ze środka, ale i tak byli z Laurą w niepewnym położeniu. Obok siebie słyszał jej lekki i płytki oddech, prawie dyszenie. Szybki rzut oka na jej zbielełą twarz sprawił, że zastanowił się czy wiedziała o tej dwójce coś, czego on nie wiedział.

— Słuchaj, nie mam na to czasu. — Ciągnął garnitur z południowym zaśpiewem. — Masz cholerne szczęście, że nie powiedziałem Harrisowi o twoim małym przecieku w MacDill. Hoyt zamierzał iść do prasy — masz pojęcie, co by się stało z kampanią reelekcyjną?

— Tak jest, ale wszystkim się już zajęto...

— Lepiej, żeby tak było. I lepiej dopilnuj, żeby nie było więcej takich wpadek, jak ta ostatnia, bo to *ty* zostaniesz zdegradowany, McMurtry. I to nie tylko kilka stopni.

Sądząc po tym, co Vince mógł zobaczyć przez ciemne szkło, wojskowy wyglądał na bardziej niż trochę wkurwionego, ale w tej chwili policjant bardziej martwił się o Laurę. Jej twarz zrobiła się tak blada, że zdawała się świecić w ciemnej kabinie, a jej dolna warga była zaciśnięta między równymi, białymi zębami.

— Lauro. — Tchnął w jej ucho, ale gwałtownie potrząsnęła głową, nie odrywając oczu od dwóch postaci, stojących teraz niecałe trzy metry od jej kabiny.

Rozległo się brzęknięcie, kilka pierwszych nut Piątej Symfonii Beethovena, zmienionych w tony dzwonka wideofonu i mężczyzna w mundurze ścisnął z poczuciem winy kieszeń na piersi.

— Odbierz. — Garniturowiec machnął ręką.

Wojskowy poruszył się sztywno i otworzył telefon. — Co? Myślałem, że powiedziałem, żeby mi nie przeszkadzać, kiedy... Co? Sierzancie, zapewniliście mnie, że ta sprawa została załatwiona. Lepiej, żebyś to zrobił, od tego zależy twój własny tyłek! — Zwrócił się z powrotem do mężczyzny w garniturze. — Sir, jest pewna, nagląca sprawa, którą muszę się zająć osobiście.

Cywil pokręcił głową. — To idź, McMurtry. Później oczekuję pełnego raportu.

— Ale. — Człowiek w mundurze się zawahał. — Oni powinni tu być w każdej chwili. Nie ma pan nic przeciwko...

— Ty naprawdę jesteś debilem, co? — Powiedział konwersacyjnym tonem. — Myślisz, że boję się naszych pięknych przyjaciół z kosmosu, bo nie mam ze sobą przeklętego wrażliwego, jako tarczy? Wynoś się, McMurtry. Ja zajmę się swoją częścią, a ty zajmij się swoją.

— Tak jest. — Wojskowy krótko zasalutował i ruszył w kierunku, z którego przyszli.

Mężczyzna w garniturze zbliżył się do budki, w której się ukrywali, z rękami za plecami i gwiżdżąc dla zabicia czasu. Vince właśnie pomyślał, że powinni spróbować wymknąć się z kabiny i przez tylne wyjście, a potem uciekać, kiedy drzwi, na które patrzył, otworzy się, wpuszczając wąską strugę światła słonecznego i wielką, ciemną postać, która była całkowicie niehumanoidalna.

Oświetlony od tyłu, stojący w otwartych drzwiach Lepid był tylko ogromnym, czarnym cieniem, na moment rozkładającym skrzydła z suchym szelestem łusek, żeby się przeciągnąć. Vince ocenił, że ich rozpiętość miała dobrze ponad trzy i pół metra, może nawet cztery. Wąska, wydłużona głowa i zginające się w tył kolana przez chwilę były widoczne między ogromnymi skrzydłami, zanim Lepid złożył je w rodzaj peleryny na plecach a drzwi się zamknęły.

Mrugnawszy, żeby pozbyć się powidoku od ostrego światła w ciemnej przestrzeni, Vince spróbował lepiej przyjrzeć się obcemu. Jak wszyscy inni na świecie, widział w mediach wiele materiałów o gościach z kosmosu, ale to była jego pierwsza szansa zobaczenia kogoś na żywo i osobiście. Pierwszym, co zauważył, było to, że bez zmiękczających obiektywów kamer między nim i prawdziwym Lepidem, istota wyglądała znacznie bardziej obco. Wszystkie filmy, które oglądał, wydawały się koncentrować na ogromnych i pięknych skrzydłach Lepidów i przypuszczał, że teraz widział powód takiego postępowania.

Bez rozległych, barwnych skrzydeł, które odwracałyby uwagę, Lepid miał patykowate ciało insekta, czarne i podzielone na trzy sekcje, głowę, tułów i trochę grubszy odwłok, zakończony nieprzyjemnie wyglądającym szpikulcem. Podszedł bliżej dziwnie wdzięcznym krokiem, pochylając się naprzód, jakby poruszał się pod silny wiatr. Vince usłyszał nieopisany, syczący dźwięk, gdy dolne łuski skrzydeł ciągnęły się sucho po kafelkowej podłodze.

Trudno było być pewnym w słabym świetle, ale Vince'owi wydawało się, że oczy Lepida jarzyły się miękką, pomarańczową czerwienią. Reszta jego rysów była zaciemniona i niewyraźna.

Cztery długie, cienkie ramiona, połączone stawami pod dziwnym kątem, podobnie jak gnące się w tył kolana, były skrzyżowane na czarnym tułowiu i odwłoku. Wcale nie widział jego dłoni. Vince zadrzał, znowu przypominając sobie wycieczkę do rezerwatu motyli, kiedy był dzieckiem.

Wysoki, trupio chudy mężczyzna w garniturze wyciągnął się na całą, swoją wysokość, kiedy zbliżył się do niego obcy, ale Lepid nadal górował nad nim o dobre półtorej głowy. Vince poczuł, jak Laura spięła się obok niego, jej ciało napięło się jak przewód po jego lewej.

Wtedy Lepid odwrócił się i Vince mógł lepiej przyjrzeć się jego twarzy. Pod wielkimi, jaśniejącymi oczami nie było nosa ani ust, tylko długa, zwinięta, przypominająca rurkę wypustka, wydająca się służyć obu celom. Gdy patrzył, rurkowata rzecz zadrzała i rozwinęła się, wydłużając jak obsceniczny, czarny czulek. Na końcu znajdowała się para niepokojąco ludzko wyglądających ust.

— Sssanderss. — Głos Lepida nie przypominał niczego, co Vince kiedykolwiek słyszał. Wydawał się atakować jego umysł i odbijać echem w czaszce, trąc jego psychikę w nieodpowiedni sposób, jak szorstka dłoń, gładząca sierść pod włos. Obok niego Laura zadrzała i skuliła się jeszcze bardziej. Vince chciał ją jakoś dotknąć, nawet ją objąć, ale tego nie zrobił.

— Tmm. — Głos garniturowca był cichszy, bardziej asertywny niż w rozmowie z wysoko postawionym wojskowym. Vince odniósł wrażenie, że czuł się niekomfortowo i próbował tego po sobie nie pokazać.

— Dlaczego nass wzywałeś, Sssanderss? — Lepid zrobił następny, kołyszący krok naprzód, ciągnąc za sobą skrzydła z suchym, okropnym dźwiękiem. Z nagłym odgłosem, przypominającym żagiel, trzepoczący na wietrze, skrzydła otwały się ponownie, rozciągając się na swoją, pełną szerokość, kiedy obcy zbliżał się do sztywnego, niespokojnie wyglądającego mężczyzny w garniturze. — Dlaczego nass tu ściągnąłeś? Gdzie jest wrażliwy, którego nam obiecałeś?

Człowiek w garniturze zrobił szybki, mimowolny krok w tył, a potem wydawał się zmusić się do zostania na miejscu, pomimo zbliżającego się Lepida.

— Obaj dobrze wiemy, że nie potrzeba ci do komunikacji cholernego wrażliwego, Tmm, i niech mnie szlag, jeśli pozwolę ci się na mnie pożywić, więc możesz od razu zamknąć te, pierdolone skrzydła.

Z gniewnym sykiem Lepid zbliżył się o kolejny krok, z nadal rozpostartymi skrzydłami. Vince czuł, że Laura obok niego drży. Ta scena musiała przywoływać złe wspomnienia. I co miał na myśli ten człowiek, mówiąc o „pożywianiu się” na nim?

— Dossstaliśmy obietnicę. Trzeba dużo energii, żeby znieśść waszą, cuchnącą atmoossferę, Sssanderss. Nie pożywiliśmy się od wyeliminowania Hoyta i jego wyssschniętej żony. Teraz musimy zabrać następną, młodą kobietę, żeby ta podróż była warta wysssilku.

— Nie! — Głos faceta w garniturze był ostry i niespokojny. — Do cholery, nie. Właśnie w tej sprawie się spotkaliśmy. Żadnego więcej porywania, niech was szlag. Ludzie zaczynają zauważać — osobiście musiałem dopilnować, żeby śledztwo zostało zawieszona, ale nie będę mógł dłużej tego ukrywać, jeśli nie przestaniecie.

Nadeszła kolej Vince'a na bycie spiętym i wściekłym. Zawieszona śledztwo? Czy to dlatego kapitan odebrał mu sprawę Motyla, nie przekazując jej nikomu innemu?

Lepid znowu zasyczał, jego skrzydła uderzały powietrze wolnymi, grzechoczącymi ruchami. Jedna z łusek blisko szczytu lewego skrzydła spadła na podłogę z prawie plastikowym stuknięciem. Spiczasto zakończony koniec wydłużonego odwłoka zadrżał i nagle, z mokrym, wywołującym mdłości odgłosem, wyłoniło się z niego połyskujące, piętnastocentymetrowe żądło. Połyskująca kropla jadu drżała na końcu jak jakiś lepki, nienaturalny płyn reprodukcyjny. — Dotrzymaliśmy naszej części umowy, Sssanderss. Nasze leki i ssszczepionki uratowały wielu wassszych ludzi i ciągle popieramy prezydenturę Harrissisa. Zabieranie ich to nasze prawo.

— Dlaczego nie możecie zabrać paru dziewcząt z jakiegoś, innego miejsca? Nawet w mieście wielkości Tampa ludzie zaczynają zwracać uwagę. Musicie rozłożyć to na trochę większy obszar, poza tym robicie się niedbali i nie wiecie, kogo zabieracie.

Lepid zrobił następny krok w kierunku garniturowca, pochylając się w przód tak, że grube wargi na końcu zwijanej trąbki prawie musnęły twarz mężczyzny w obscenicznym pocałunku. — Nasz ssstatek tkwi na orbicie nad tym miastem. Bierzemy to, co konieczne ani mniej ani więcej. Te, które mamy, nie ssą wystarczająco produktywne. Potrzebujemy jeszcze kilku, żeby zakończyć nasz cykl godowy. To delikatna równowaga.

— Mam gdzieś wasz zasrany cykl godowy. — Zaprotestował mężczyzna, ale Vince usłyszał już dosyć. Wiedział, gdzie jest Kyra i miał zamiar się do niej dostać.

Rozdział 15

— Lauro. — Głos Vince’a w jej uchu był tak cichy, że był bardziej jak myśl niż dźwięk. Odwróciła się w jego stronę, czując, że jej twarz jest ciągle ściągnięta w sztywną maskę, a on wskazał ruchem głowy tylne drzwi, przez które wszedł Lepid. *Czas się stąd wynosić.*

Widziała w tym sens. Tmm stał tyłem do wyjścia, a jego skrzydła nadal były rozłożone, blokując Sandersowi widok na tylne wyjście. Mogli nie mieć lepszej szansy na ucieczkę.

Rzuciła ostatnim spojrzeniem przez przydymione szkło, żeby mieć pewność, że Tmm i Sanders byli zajęci swoją kłótnią, po czym skinęła głową. Sięgnąwszy w dół, zdjęła z nóg nedorzecznie wysokie obcasy i ścisnęła je w ręce. Tak cicho, jak się dało, wysunęła się z budki, idąc przodem w kierunku tylnych drzwi.

Droga od szklanej kabiny komunikacyjnej, do metalowych drzwi wydawała się trwać wieki i przez cały czas martwiła się, że Tmm opuści swoje, szeleszczące skrzydła, dając Sandersowi czysty widok na miejsce, do którego szli. Jednak skrzydła pozostały w górze i udało im się wyjść tak cicho, że miała względną pewność, iż nie przyciągnęli uwagi.

— Chodź. — Powiedziała cicho i zaczęła okrążyć tył budynku, kierując się na parking. Zrobiła kilka kroków, zanim zorientowała się, że Vince za nią nie idzie. Odwróciła się z irytacją — nie mieli chwili do stracenia — i zobaczyła jego oczy, które przybrały zimny odcień ciemnego brązu, wpatrujące się w pole lądowania.

Nie było duże. Zwyczajnie idealnie okrągły, goły punkt w trawie, mniej więcej rozmiaru lądowiska śmigłowca.

W centrum łysego pola stała wielka, jajowata kapsuła, pokryta serpentynami szarości i zieleni, jak najmniej apetyczne, wyobrażalne lody. Spoczywała na trzech długich, cienkich nogach z rozcapierzonymi, trójpalczastymi stopami. Patrząc na lądowniki Lepidów, Laura zawsze przypominała sobie baśń o czarownicy, mieszkającej w chatce na kurzych łapach, którą czytała, będąc dzieckiem. Skóra była szorstka i guzkowata, a jeśli patrzyło się wystarczająco długo, naprawdę wydawała się pulsować powolnym, stałym rytmem. Laura zawsze unikała przyglądania jej się zbyt uważnie. Organicznie hodowane statki Lepidów za każdym razem przypominały jej gigantyczne jaja.

— Vince. — Powiedziała ostro, próbując skierować jego uwagę z powrotem na najważniejszą sprawę. — Musimy się stąd wydostać.

— Ty idź. — Wykonał przeganiający gest ręką, nie odrywając oczu od wolno pulsującego statku. — Muszę zabrać Kyrę. — Ruszył przez pole i Laura złapała go za ramię, niepomna dźgnięcia emocji.

— O czym ty mówisz? Tu jej nie ma.

— Może nie. — Vince obrócił się w końcu do niej z oczami, błyszczącymi gniewną determinacją, jak krzyk w jej głowie. — Ale jest gdzieś tam na górze i ją znajdę.

Poczuła suchość w ustach, kiedy zorientowała się, o czym mówił. To było samobójstwo. — Co zamierzasz zrobić? Przycząć się gdzieś, a potem wyskoczyć, jak tylko kapsuła dotrze na statek matkę?

Popatrzył na nią beznamiętnie. — Taa, coś w tym stylu.

— Ale... ale, Vince, jak spodziewasz się wrócić? Jak spodziewasz się ją znaleźć?

Wzruszył ramionami, które przetoczyły się pod dobrze skrojonym, czarnym garniturem. — Nie wiem. Po prostu muszę spróbować. Słuchaj, nie musisz ze mną iść. Już zrobiłaś więcej niż trzeba. Chcę, żebyś wiedziała, że to doceniam. — Odsunął się od jej powstrzymującej ręki i poszedł w kierunku pola.

— Vince, nie. Vince, *zaczekaj!* — Laura pospieszyła za nim. Obcasy jej butów zapadały się w miękkiej, piaszczystej ziemi.

— Jeśli chcesz, możesz wziąć mój samochód i zostać w moim domu tak długo, jak będziesz potrzebować. — Był już prawie przy pulsującym jaju. Było o połowę większe od Arctic Raker'a Geralda, choć znacznie brzydsze.

Kiedy się zbliżyli, zobaczyła coś, od czego przewrócił jej się żołądek. Długa, wąska szczelina, która nie była widoczna z tyłu budynku, pojawiła się na szorstkiej skórze statku i rozszerzyła jak obserwujące oko albo głodne usta. Wyczuwając ich. Czekać, żeby wpuścić ich do środka. Laura oblizła nerwowo usta, czując smak krwi. Przypomniała sobie mgliście, że za mocno ugryzła się w wargę, kiedy usłyszała doradcę Sandersa, mówiącego do pułkownika McMurtry'ego o zajęciu się „tą dziewczyną” i zdała sobie sprawę, że musieli rozmawiać o niej.

— Vince, proszę. — To był ledwie szept, ale w końcu przyciągnął jego uwagę. Odwrócił się do niej i dotknął dłonią jej policzka. Laura musiała mocno się skoncentrować, żeby nie odskoczyć od dzikiej mieszanki determinacji i czułości, kotłującej się pod powierzchnią jego umysłu.

— Postaraj się zrozumieć. *Muszę* przynajmniej spróbować. — To moja młodsza siostra, Lauro.

Słońce przypiekało jej kark, sprawiając, że czuła się, jakby nie mogła oddychać, a jego emocje były jaskrawymi, ostro zdefiniowanymi kształtami, widocznymi między nimi w sierpniowym świetle. Laura poczuła prawie, że mogłaby je wyciągnąć z powietrza i ścisnąć między dłońmi. Pionowa szczelina ziała w ścianie statku Lepidów, pokazując tylko ciemność, emanując słabą wonią, przypominającą zeschnięte kwiaty. Zapachem Lepidów.

Vince zrobił krok naprzód. Zamierzał to zrobić, zrozumiała Laura. Naprawdę. I rozumiała coś jeszcze. Zamierzała pójść z nim.

— W porządku. — Odwróciła się od niego i położyła dłoń na boku statku, czując puls pod jego szorstką, guzkowatą skórą. To było jak dotykanie ogromnej, śpiącej jaszczurki. Zadrżała z nagłej odrazy, a potem zmusiła się do opanowania emocji. *Jeśli pójdę, jeśli to zrobię, już nie wrócę. I tyle.* Ta wiedza była jak betonowy blok w jej umyśle. Odepchnęła go, nie miała czasu na wahanie.

— Zaczekaj, nie musisz — Zaprotestował Vince, ale ona już wchodziła do środka.

Rozdział 16

Wnętrze statku Lepidów było jak zimna, słabo oświetlona jaskinia. Nie było tam oczywistych źródeł światła, ale nierówny sufit lśnił miękko bladopomarańczowym światłem, zmieniającym wszystko w halloweenowe cienie. Vince rozejrzył się za jakimkolwiek panelem kontrolnym czy siedzeniami, ale nie zobaczył niczego, poza układem wielkich wypukłości, które niczego mu nie przypominały. Nie było tu nawet okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz i zastanawiał się, jak Lepidzi latali swoimi statkami, nic nie widząc.

— Chodź. — Laura ciągnęła go za łokieć, próbując skierować go do jednej z większych brył po przeciwnej stronie owalnej komory. — Tmm może się zjawić w każdej chwili. Jeśli chcesz to zrobić, musimy się ukryć i spróbować uspokoić. Jeśli nadal będziesz odczuwał takie emocje, jak w tej chwili, natychmiast nas wyczuje.

Vince dał się odciągnąć i ustawić za szaro-zielonym występem, który zdawał się zapulsować szybciej, kiedy wepchnęli się między niego i zakrzywioną ścianę. *Jak chowanie się we wnętrzościach jakiegoś, wielkiego zwierzęcia.* Ta myśl napełniła go odrazą. — Tmm? — Zapytał, kiedy to, co powiedziała w końcu do niego dotarło. — Znasz tego... — Zawiodły go słowa. — Tego? — Zakończył.

Laura pokiwała głową. Jej twarz ciągle była blada. — Tak. Jest... jest jednym z najgorszych. Za każdym razem, kiedy go gościłam... — Urwała i zadrżała.

— Masz na myśli, kiedy tłumaczyłaś między nim i klientem? — Zapytał Vince.

Bez słów skinęła głową.

— W takim razie, o czym mówił ten sztywny gość w garniturze? Kiedy powiedział, że nie potrzeba mu wrażliwego?

— Nie wiem. — Laura objęła się rękami, wyglądając żałośnie. — Ja też nie zrozumiałam tej części. Wiem tylko, że ten człowiek, Sanders, pojawia się w MacDill tylko wtedy, kiedy prezydent Harris odwiedza bazę. Nie wiem, czym się zajmuje — może jest jakimś doradcą.

— Może. — Vince milczał przez chwilę, rozmyślając.

Myślę, że teraz wiemy, na czym polega ta „umowa”, o której mówił Gerald. — Powiedziała Laura.

Vince westchnął. — Taa. Niewiarygodne. Nic dziwnego, że twój eks zamierzał ujawnić całe to bagno.

Laura objęła ramionami nogi i opadła brodę na kolanie. — Jedną *dobrą* rzeczą, którą można powiedzieć o Geraldzie, jest to, że nie był uprzedzony. Chociaż zawsze myślałam, że do z jego strony decyzja biznesowa. HLC miało do czynienia z wieloma międzynarodowymi klientami. Z wszystkimi rasami.

— Tak, ale — Nie miał możliwości dokończyć myśli, ponieważ w tej chwili szczelina w ścianie statku, która rozszerzyła się, żeby pozwolić im wejść, znowu zaczęła rosnąć, wpuszczając cienki snop światła. Vince zobaczył długą, czarną, owadzią głowę, za którą podążało segmentowane ciało i złożone jak płaszcz na plecach Tmm skrzydła. Lepid z łatwością wszedł do statku z dziwną, obcą gracją i Vince miał cholerną nadzieję, że nie ukryli się z Laurą dokładnie tam, gdzie znajdowały się urządzenia sterownicze pojazdu. Nie dało się tego stwierdzić, gdyż w pomarańczowym blasku wszystko wyglądało tak samo.

Kiedy Lepid znalazł się całkowicie w środku, szczelina zwężyła się, aż guzowata, szarozielona ściana statku całkowicie zaleczyła bezkrwawą ranę. Vince pomyślał, że nie dało się nawet stwierdzić, że kiedykolwiek był tam otwór. Obserwował jak z widoku zniknął ostatni przeblysk zewnętrznego świata, Ziemi i po raz pierwszy zastanowił się niepewnie, czy postępował właściwie. W końcu Laura miała rację — nawet, gdyby znalazł Kyrę żywą i w dobrym stanie, jak u diabła miał ją zabrać do domu? *Kiedy, nie gdyby.* Powiedział sobie zaciekle.

Lepid, Tmm, stanął plecami do nich i znowu uniósł skrzydła, tym razem rozwijając je powoli. Błysnęły stłumioną barwą w słabym blasku, pochodzącym z sufitu i dziwna woń wewnątrz zaczęła narastać. Odkrył, że wpatruje się w łuski, tworzące skrzydła Lepida, prawie zahipnotyzowany ich opalizującym, zielononiebieskim połyskiem. Były żywe, maleńkie, złote plamki, pył wrózek, pełzał, tworząc hipnotyzujące wzory na każdej, lśniącej łusce.

Vince niejasno uświadamiał sobie, że Laura szepcze mu coś do ucha, ale nie był pewny, co mówiła. Potem statek zaczął się poruszać z lekkim wrażeniem kołysania, jak wznoszący się balon. *No to lecimy.* Pomyślał.

To była jego ostatnia, świadoma myśl przez następne kilka godzin.

Rozdział 17

Obudziła się na chłodnej, nierównej powierzchni, poruszającej się bardzo wolno i rytmicznie. Zupełnie, jakby leżała na klatce piersiowej jakiegoś stworzenia, tak ogromnego, że ledwie wyczuwała jego oddech. Laura otworzyła oczy by ujrzeć słabo oświetlone pomieszczenie, którego nie rozpoznawała, świadoma tępego bólu głowy i że jej ubrania były poskręcane i niewygodne.

Gdzie był Vince? Usiadła gwałtownie i odczuła ulgę, widząc go, leżącego obok niej i oddychającego równo i głęboko. Brązowe oczy miał mocno zamknięte, a czarny garnitur pomięty, ale i tak wyglądał na niezwykle spokojnego. Laura wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić jego policzki. Ostre, prawie elektryczne dźgnięcie emocji przeskoczyło między nimi, kiedy przesunęła palcami po jego gładkiej, brązowej skórze. Laura odsunęła się z cichym okrzykiem, czując się, jakby dotknęła rozgrzanej płyty kuchenki. Włożyła ranne palce do ust, czując się z jakiegoś powodu dziwnie zdradzona. Myślała, że jej tolerancja na Vince'a znacząco wzrosła, a teraz to. Dlaczego?

Vince jęknął przez sen i odwrócił się na drugi bok tak, że był teraz zwrócony do niej szerokimi plecami. Dźgnięcie, które od niego otrzymała, jak jakiś niesamowity ładunek elektryczności statycznej, całkowicie ją obudził. Skuliła się na oddychającej, gruzłowatej podłodze z kolanami podciągniętymi do brody i usiłowała pomyśleć.

Ostatnim, co pamiętała, była rosnąca alarmująco woń wnętrza statku. *Gaz, jesteśmy czymś gazowani*. Pomyślała. Próbowała ostrzec Vince'a, ale, co on zrobił? Stracił przytomność. Pomyślała. Mimo tego, to wspomnienie było bardzo mgliste.

Pomasowała bolące skronie i rozejrzała się. Miejsce, w którym się znalazła, bardzo przypominało wnętrze statku Tmm, ale było o połowę większe. Niebezpośredni blask z wysokiego sufitu ukazywał te same szaro-zielone spirale na zakrzywionych ścianach i wolno unoszącej się podłodze. Nigdzie nie było drzwi ani okien, nawet szczeliny w ścianie, pozwalającej wejść i wyjść. Wzdłuż sufitu biegł jakiś długi, wypukły tunel, kończący się małym, ciemnym otworem. Może mogliby wydostać się stąd tą drogą? Tyle, że sufit był dobre cztery i pół metra nad jej głową — zbyt wysoko, żeby go dosięgnąć.

Laura niepewnie stanęła na nogach.

Vince jęknął i znowu się obrócił, ale nie pokazywał żadnych oznak budzenia się. Laura chciała nim potrząsnąć i przedyskutować sytuację, ale nie chciała kolejnego porażenia. Poruszając się cicho, obeszła jego leżące na brzuchu ciało i podeszła do najbliższej, zakrzywionej, pokrytej wypukłościami ściany. Z wahaniem potarła centkowaną powierzchnię, muskając czubkami palców jej szorstką teksturę.

Chłodne zobojętnienie zdawało się przepływać od miejsca kontaktu ze ścianą, po rękę, aż do jej ramienia. Laura odsunęła się, przygryzając wargę, nie lubiąc tego doznania — przypominało jej trochę bycie w mentalnym kontakcie z jednym z Lepidów. Dotykanie ściany wydawało się

przypominać wkładanie ręki do gumowej rękawiczki, wypełnionej chłodnym śluzem. Ale tam, gdzie dotknęła, na powierzchni ściany zaczęła rosnać nieduża, pionowa szczelina, przypominająca małe, pozbawione warg usta. *Ja to zrobiłam?* Laura znowu wyciągnęła rękę, ignorując dziwne, chłodne uczucie wysysania, biegnące jej po ramieniu. Potarła powierzchnię ściany, obserwując jak szczelina rośnie, aż stała się dość duża, żeby przez nią przejść.

Ostrożnie wystawiła głowę przez otwór, zastanawiając się, co zobaczy. Jej spojrzenie napotkało długi, kręty korytarz, oświetlony tym samym, widmowym, pomarańczowawym blaskiem, co wewnątrz statku *Lepidów*. Ściany i podłoga miały ten sam kolor plamiastej, szarawej zieleni, a sufit znikał w blasku nad nią. Podłoga tunelu falowała powoli zupełnie jak w pomieszczeniu, w którym stała. Laura pomyślała, że to jak patrzenie w monstrualnej długości jelito. *W brzuchu bestii*, pomyślała i zadrżała.

Właśnie wtedy zimna, mięsista dłoń musnęła jej gardło, sprawiając, że wrzasnęła z zaskoczenia i odskoczyła w tył. Rozejrzała się dziko szukając tego, co jej dotknęło i zorientowała się, że to tylko zamykająca się z powrotem ściana. W porządku. Więc po chwili się zamyka. Eksperymentalnie sięgnęła, żeby znowu potrzebować ścianę. Pod dotykiem jej ręki, szczelina raz jeszcze zaczęła się poszerzać a ona poczuła wzdłuż ręki zimne, wysysające uczucie.

— Co...?

Odwróciła się na dźwięk głosu by ujrzeć Vince'a, siedzącego i wyglądającego na zamroczonego. Najwyraźniej jej mały krzyk go obudził.

— Gdzie jesteśmy? — Zapytał w końcu, wstając chwiejnie na nogi i trzymając się za głowę. — I dlaczego mam matkę wszystkich bólów głowy?

Laura podeszła do niego, uważając, żeby go nie dotykać. — Z tego, co mogę stwierdzić, na statku matce. Jeśli chodzi o ból głowy, nie wiem. Może wtórny wpływ gazu na twój organizm. Ja czuję się dobrze.

— Dobrze dla ciebie. — Mruknął niechętnie Vince. Zrobił kilka kroków i skrzywił się na falującą podłogę. — Co to? Przypomina mi ten „księżycowy spacer”, który wypożyczyliśmy kiedyś na dziewiąte urodziny Kyry. Utknęliśmy tutaj?

— Nie całkiem. — Laura wskazała ścianę, w której szczelina już się zaleczyła. Miała nadzieję, że będzie mogła stworzyć kolejną. — Chodź, pokażę ci. — Odwróciła się, żeby ruszyć przodem, nieprzygotowana na nagłe dźgnięcie emocji, przebiegające po jej ramieniu. Vince wziął ją za rękę.

Przelały się przez nią troska, obawa, podekscytowanie i dzika nadzieja. Laura sapnęła i wyszarpnęła rękę, czując natychmiastowy, pulsujący ból w skroniach.

— Lauro? — Patrzył na nią ze zmartwieniem. — Przepraszam, nie zamierzałem...

— Nie... — Opadła na chwilę na podłogę, czując zawrót głowy i oparła czoło na kolanach, próbując złapać oddech. — To... nie ty. — Wydyszała, kręcąc głową.

— Myślałem, że twoja tolerancja jest wyższa, przynajmniej na mnie. — Vince przykucnął obok niej, z brązowymi oczami ciepłymi z troski. — Inaczej nigdy bym cię nie dotknął. Nie zamierzałem zrobić ci krzywdy.

— Nie przejmuj się tym. — Laura zmusiła się do wstania, zataczając się lekko na ruchomej podłodze. — Myślę, że to ma coś wspólnego ze statkiem, z byciem na podwórku Lepidów. W każdym razie patrz. — Podeszła do ściany i pogładziła ją, tym razem ledwie zauważając zimne, śliskie, wysączające doznanie. Pojawiła się pionowa szczelina, kontynuując rozszerzanie, kiedy pocierała nierówną powierzchnię, aż była dostatecznie wielka, żeby oboje mogli przejść.

— Świetnie. — Vince nachylił się nad jej ramieniem, uważając, żeby w żaden sposób jej nie dotknąć. — Myślisz, że też mógłbym to zrobić?

Laura wzruszyła ramionami. — Naprawdę nie wiem. Spróbuj.

Eksperymentalnie wybrał inny fragment ściany, kilkadziesiąt centymetrów od szczeliny, którą otwarła i pogładził ścianę. Nic się nie stało.

Vince wyglądał na zawiedzionego, ale nie bardzo zaskoczonego. — Chyba nie. To musi mieć coś wspólnego z tym, że należysz do wrażliwych.

— Prawdopodobnie. Słuchaj Vince, jestem prawie pewna, że Tmm wiedział, że jesteśmy w jego statku i celowo nas zagazował. Zostawił nas tutaj, kto wie, w jakim celu, ale zgaduję, że nie miał pojęcia, że mogę przechodzić przez ściany, bo jakoś by nas pilnował. Moglibyśmy znaleźć się w gorszej sytuacji niż ta okazja, żeby spróbować znaleźć twoją siostrę i drogę do domu, zanim przyjdzie, sprawdzić, co się z nami dzieje i zorientuje się, że zniknęliśmy.

Vince przytaknął. — Taa, myślałem o tym samym. Uch, czy masz pojęcie, jak używać jednego z ich statków? Kazać mu zabrać nas z powrotem?

— Przykro mi. — Laura uniosła ręce. — Myślę, że *mogę* być w stanie skłonić go do jakiejś reakcji, ale naprawdę nie mam nawet pojęcia, od czego zacząć.

Vince wyglądał ponuro. — No dobrze. Przejdziemy przez ten most, kiedy już do niego dotrzemy. Najpierw sprawdzimy czy uda nam się znaleźć Kyrę.

Laura pokiwała głową. — Racja.

Podczas, gdy rozmawiali ścisłymi głosami, szpara, którą zrobiła w ścianie, zamknęła się stopniowo, aż stała się niemal nieistniejącą, małą rysą na ścianie. Laura znów się do niej odwróciła i potarła, poszerzając ich drzwi na wijący się szaro-zielony korytarz.

Laura wygramoliła się pierwsza i rozejrzała się, żeby mieć pewność, że był pusty, po czym skinęła na Vince'a, żeby poszedł za nią. Prawie podała mu rękę, ponieważ z pomieszczenia, które opuszczali było jakieś sześćdziesiąt centymetrów do falującej podłogi. W samą porę przypomniała sobie jednak, że dotykanie go nie było już bezpieczne i odsunęła się.

— Fiu. — Vince wytarł czoło. Ściany i podłoga mogły być chłodne, ale powietrze korytarza było ciepłe i wyraźnie wilgotne. — Którędy?

— Nie wiem. — Laura popatrzyła na gwałtownie kurczącą się szczelinę, z której wyszli, czując zakłopotanie. — Vince, całe to miejsce może być jednym, wielkim labiryntem. Poczulałabym się lepiej, gdybyśmy mogli znaleźć jakąś drogę do punktu startu.

Pokiwał głową. — To wygląda na dobry pomysł, ale jak? Masz coś na myśli?

— potrzebujemy czegoś do zaznaczenia naszej pozycji... — Laura rozejrzała się i jej wzrok spoczął na wygniezionej teraz, czarnej marynarce, którą nadal miał na sobie. — Co, gdybyśmy zostawili w pokoju twoją marynarkę, ze zwisającym na zewnątrz końcem rękawa?

— No cóż. — Vince spojrzał na o połowę mniejszą niż przed chwilą szczelinę. — Myślę, że to nie zaszkodzi. To jak zostawianie sobie śladu z okruchów.

— Dokładnie. — Laura obserwowała jak zdjął marynarkę i ułożył ją starannie w pokoju, który właśnie opuścili, tak, że tylko trzy, cztery centymetry mankietu wystawały na korytarz. Dokładnie tak, jak miała nadzieję, mięsista ściana zamknęła się wokół mankietu marynarki, znacząc miejsce. — Wspaniale. — Skinęła głową z aprobatą. — Chodźmy.

Rozdział 18

Vince popatrzył w lewo, a potem w prawo. Kręty korytarz rozciągał się w obu kierunkach, wijąc się w przyćmionym, pomarańczowym świetle, od którego bolały oczy, jeśli próbował patrzeć na coś zbyt intensywnie. Łatwo było mówić „chodźmy”, ale w którą stronę? Podejmując decyzję, skręcił w lewo. — Chodź.

Laura poszła za nim bez wahania i miał nadzieję, że nie prowadzi ich w pułapkę. Kręty korytarz ciągnął się i ciągnął bez żadnych, dostrzegalnych drzwi czy otworów, ale podejrzewał, że Tyłki mogły stworzyć przejścia, gdziekolwiek chciały, więc jaki był sens posiadania stałych? Właśnie, kiedy pomyślał, że powinni się zatrzymać, żeby mogła zrobić wejście w jednej z mijanych ścian, żeby zorientować się czy to do czegoś prowadziło, usłyszał z przodu stłumiony dźwięk.

Odwrócił się, żeby zapytać Laurę czy też to słyszała, ale ona zeszywniała gwałtownie, a jej oczy rozszerzyły się w czarne jak noc sadzawki, w słabym, pomarańczowym świetle.

— Co? O co chodzi? — Vince powściągnął chęć chwycenia jej za ramiona, przypomniawszy sobie, że wrócili do punktu startowego, jeśli chodziło o dotyk.

— Och, Vince... te emocje. Ból... strach. — Potrząsnęła głową, prawie niezdolna mówić dalej. — Czuję je tak wyraźnie. Nawet stąd.

— Ból? Strach? — Vince poczuł, że jego dłonie zaciskają się w pięści. Tylko jedna myśl krążyła mu po głowie. *Kyra...* — Lauro, czy one są ludzkie? To ludzkie emocje?

Milcząco skinęła głową.

To było wszystko, czego potrzebował Vince. Rzuciwszy okiem, żeby upewnić się, że droga ciągle była wolna, popędził w ciemność, szukając swojej siostry. Jego frustracja była prawie nieznośna, kiedy jedynym, co zobaczył, było więcej pustych, pokrytych wypukłościami ścian. Gorączkowo przyciskając ucho do chłodnej powierzchni, pomyślał, że słyszy ten dźwięk wyraźniej. Dźwięk przypominający zawodzenie lub płacz, który ranił mu serce. Czy za tą, szaro-zieloną ścianą była Kyra, w jakiś sposób torturowana lub ranna? *Jeśli choć jeden z tych motylopodobnych drani ją skrzywdził...*

Laura stanęła obok niego, wyglądając, jakby chciała położyć rękę na jego ramieniu albo plecach, żeby go uspokoić, ale nie całkiem miała odwagę. Po sztywnym, ściągniętym wyrazie jej twarzy Vince poznał, że emocje musiały być tu bardzo „głośne”. Skinął głową na ścianę, przy której nasłuchiwał, a ona przytaknęła. Nie trzeba było słów. Pochyliwszy się do przodu, zaczęła gładzić ścianę. Kiedy pionowa szczelina się poszerzyła, Vince spróbował przygotować się na to, co może zobaczyć. Jego umysł ciągle próbował pokazać mu obrazy cierpiącej albo doznającej potwornego bólu Kyry, ale odepchnął je, na ile mógł.

— Och! — Okrzyk Laury był cichy i pełen podziwu. Szczelina nadal miała tylko połowę potrzebnej szerokości, ale Vince nie mógł dłużej czekać. Omijając jej rękę, wetknął głowę w otwór, z imieniem siostry, drżącym na wargach.

— Vince, nie! Jej tu... — Ostrzeżenie Laury przestało mieć znaczenie pod wpływem widoku, który powitał jego oczy. Pomieszczenie, do którego otwarła przejście, było ogromną przestrzenią, większą, jak oceniał, od kilku boisk futbolowych, ustawionych obok siebie. Dziwne, grzybopodobne rośliny wyrastały z nierównej podłogi. Grube, mięsiste łodygi, kończące się wypukłościami na kształt kwiatów.

Kwiaty miały płatki, grube miejscami na trzydzieści centymetrów i lśniły dziwnie płynnymi, niezemskimi barwami, raniącymi oczy, jeżeli zbyt długo się na nie patrzyło. Przypominały mu kilka imprez, na których był, jako dzieciak, kiedy gospodarz wymienił wszystkie, zwyczajne żarówki na ultrafioletowe.

— Vince, musimy się stąd wynosić... — Laura była teraz obok niego, ale Vince nie mógł oderwać wzroku. Płynne, pulsujące kolory pływały przed jego oczami, które skierował na wysoki, sklepiony sufit. Zobaczył tam coś, co zdawało się być źródłem tego, dziwnego oświetlenia.

Do sklepienia wielkiej komnaty, tak wysoko, że zniknąłby z widoku, gdyby nie wytwarzał własnego światła, przylgnał największy Lepid, jakiego Vince widział. *Boże! To musi mieć ze dwadzieścia metrów!* Monstrualne skrzydła rozciągnęły się jak połyskująca, czarna tkanina na suficie jaskini, usiana maleńkimi, lśniącymi plamkami, które musiały być pyłem wrózek.

Ale to nie skrzydła przyciągnęły i utrzymały jego spojrzenie — to był nabrzmiały, pulsujący odwłok stwora. Nawet tak wysoko, mógł zobaczyć jego ogrom. Jeśli stwór miał dwadzieścia metrów, przynajmniej siedemnaście było rozdętym odwłokiem przyczepionym do owadziej głowy i tułowia, skulonego, jakby stwór był pogrążony we śnie.

Vince uświadomił sobie, że to było źródło dziwnego, płynnego światła, zalewającego całą salę. Rozdęty odwłok jaśniał głębokim i intensywnym niebieskim, rzucając blask na ogromne pomieszczenie, kąpiąc wszystko w migoczącym blasku. A wewnątrz blasku, w miękko połyskującym brzuchu, Vince widział coś, co wyglądało jak miliony małych, ciemnych kształtów, przetaczających się w zwolnionym tempie, obracających leniwie w ich ochronnej skorupie. *Jaja! Zrozumiał w chwili całkowitej jasności. Mój Boże — to jest pełne jaj!* Od zwężonego końca wybrzuszonego się wora, biegły grube rury, widoczne, jako słabe, czarne wybrzuszenia w materii sufitu. *Jakiś system transportowy?* Potrząsnął głową.

— Vince, musimy iść! — To nie niskie, zmartwione syknięcie Laury przyciągnęło jego uwagę i oderwało jego oczy od dziwnie upiornego widoku — ale fakt, że nie tylko mógł usłyszeć zmartwienie w jej głosie, ale również je *wyczuć*. Dopiero teraz uświadomił sobie, że ogromna komora była wypełniona złocistym pyłem, pokrywającym olbrzymie, czarne skrzydła jak połyskujące gwiazdy. Przyprószył płatki gigantycznych, mięsistych kwiatów i wisiał w powietrzu jak odór świeżego, krwawego mięsa, wypełniający powietrze, a on jak głupi, wdychał go dobre dwie, trzy minuty, Gapiąc się na rozdętego Lepida, zwisającego z sufitu.

— Lauro? — Spojrzał za siebie i odkrył, że naprawdę minął wejście i zrobił kilka kroków w głąb komory obcych. Jedna z wielkich, mięsistych łodyg kwiatu była w zasięgu ręki, wystarczająco blisko, żeby jej dotknąć, gdyby chciał. Był tak zajęty obrzydliwym widokiem, że nie zauważył nawet swojego ruchu naprzód.

Zaczął cofać się do szczeliny w ścianie, ale twarz Laury zmieniła się ze zbielełej z napięcia w zarumienioną ze strachu. Ona też weszła przez szczelinę do komory obcych. Stała w sporej odległości od szczeliny, jakby siłą woli chciała sprawić, żeby się zamknęła.

— Co?

— Cii! Ktoś nadchodzi! — Przykucnęła przy ścianie, gdzie szczelina szybko się zamykała, z rękami owiniętymi ciasno wokół siebie, a Vince podszedł, żeby do niej dołączyć.

Potem wszystkie myśli zniknęły z jego głowy, kiedy usłyszał dwa głosy, płynące przez zwężające się pęknięcie. Jeden z nich był syczący, podobnie jak u Tmm. A drugi... drugi należał do Kyry!

Rozdział 19

— Co mussimy ci zrobić? Ta ciągła niechęć do współpracy jest bardzo denerwująca. — Przez wąską szczelinę Laura mogła zobaczyć tylko szerokie, wachlujące skrzydła Lepida, którego nigdy wcześniej nie widziała. Prawie ukrytą za najwyraźniej rozłożonymi z irytacji skrzydłami, widać było młodą, buntowniczą twarz.

— Nie boję się ciebie, więc odsuń się Lzz. — Należący do twarzy głos był wysoki i drżący, lecz nadal buntowniczy. Kobięcy głos. Laura poczuła, że Vince obok niej sztywnieje, wyczuła jego radość, wznoszącą się między nimi dławiącą falą i wiedziała, że tą młodą kobietą musiała być Kyra, jego siostra. W tym samym momencie dziwne światło w pomieszczeniu błysnęło krótko od elektrycznego błękitu do bladego, drżącego odcienia fioletu.

— Lauro! — Gestem pokazał jej, żeby poszerzyła szczelinę, najwyraźniej niecierpliwiąc się, by znaleźć się przy Kyrze, ale stanowczo potrząsnęła głową.

— Nie, Vince. Jeszcze nie. Mamy znacznie większą szansę uratować ją i wszystkie dziewczęta, jeśli nikt się nie dowie, że uciekliśmy z celi! — Poczula jak niechętnie ustępuje. Jego uniesienie ustępowało miejsca gorzkiej frustracji. Światło powróciło do niebieskiego koloru, choć miało żywszy odcień niż wcześniej.

— W porządku, ale utrzymaj wystarczająco dużą szparę, żebyśmy mogli wyrzeć na zewnątrz. Musimy widzieć, dokąd ją zabiera.

Dotknęła na moment ściany, utrzymując na tyle szeroką szczelinę, żeby dało się wyrzeć na zewnątrz i przy odrobinie szczęścia nie na tyle, żeby zajęty Lepid ich zauważył. Lzz i jego więzień zatrzymali się po drugiej stronie korytarza, pod kątem w stosunku do komory, w której znajdowała się z Vincem. Zobaczyła Lepida, Lzz, jak nazwała go Kyra, gładzącego ścianę jedną, wrzecionowatą, pokrytą czarnym włosem ręką, podobnie jak robiła to ona. Ściana zareagowała na dotyk Lepida znacznie szybciej niż na jej. Prawie natychmiast otwarła się pionowa, długa szczelina, rozszerzając się automatycznie, jakby robiła miejsce dla rozciągniętych skrzydeł Lepida.

Laura popatrzyła przez szczelinę w drugiej ścianie i prawie zapomniała się bać. Kiedy się rozszerzyła, dotarło przez nią takie uderzenie emocji, że pomyślała, że może zemdleć.

Kiedy siła tego, stworzonego przez człowieka wichru wzrosła, mijając sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę i docierając do dwustu sześćdziesięciu, odpowiednik huraganu klasy piątej, długie włosy Laury stanęły dęba.

Siła emocji, które wyczuwała, docierające z pomieszczenia otwartego przez Lzz, była jak porywisty huragan. Zobaczyła, że Vince wzdryga się obok niej i wiedziała, że też odbierał ostrą falę przerażenia i żalu, wlewającą się do komory jak sztormowa fala.

Wtedy światło nad nimi zaczęło dziko migotać, pulsując od niebieskiego do fioletu, do zieleni, oranżu i jaskrawej, alarmującej czerwieni. Laura uświadomiła sobie, że wysoki,

zawodzący dźwięk, bardziej wyczuwalny niż słyszalny, wypełnia jej głowę. Patrząc w górę, zobaczyła długie, czarne łapy ogromnego Lepida machające z poruszeniem. Wielkie, puste oczy były otwarte, połyskując w czerwonym blasku z rozdętego odwłoka. Olbrzymia głowa kołysała się dziko na patykowatej szyi.

Wielkie, ciemne skrzydła zatrzepotały, wzbijając pył wiszący w powietrzu w setkę maleńkich, połyskujących tornad i na podłogę komory spadła ze stukotem lśniaca łuska wielkości tułowia Laury.

Fakt, że to „ona”, a nie on, wydawał się Laurze doskonale oczywisty. Jak Vince, zrozumiała, że kuliste, czarne struktury kotłujące się w żelatynowej masie wewnątrz jarzącego się odwłoka są jajami.

Widząc poruszenie samicy Lepida, natychmiast wiedziała, że muszą wynieść się z tej ogromnej komory, zanim zostanie podniesiony jakiś alarm. Wyglądając przez szparę w ścianie, zobaczyła szeroko rozłożone skrzydła Lzz, znikające w pomieszczeniu po przeciwnej stronie.

— Chodź. — Szybko potarła szczelinę, ignorując chłodne uczucie wysysania i zachęcając ją do powiększenia się. Tym razem zareagowała szybciej, być może zasilona jej pośpiechem i Laura mogła wydostać się z przestronnej sali z ogromnymi, mięsistymi kwiatami i okropnym, wysokim sygnałem psychicznego niepokoju, sprawiającym, że miała trudności z usłyszeniem własnych myśli. Wskoczyła na zewnątrz i obejrzała się za siebie, chcąc mieć pewność, że Vince idzie za nią. Szedł, z ręką przyciśniętą do boku głowy i oczami, zmrużonymi z bólu w szparki.

— Tędy. — Ruchem głowy wskazała kierunek, z którego przyszli. W każdym razie *myślała*, że to właściwy kierunek. Między zawrotem głowy ogromnego Lepida, nadal wypełniającym jej mózg przez szybko kurczącą się szczelinę, a napływem silnych emocji, ciągle wylewających się z szerokiego przejścia, które Lzz otworzył w przeciwległej ścianie, czuła się bardziej niż trochę zdezorientowana.

— Nie — Kyra! — Wskazał szerokie skrzydła Lepida, znikające za ścianą naprzeciwko, blokujące widok drugiego pomieszczenia.

— Później! — Nalegała Laura cichym, nagłym głosem. Nie będziemy mogli jej pomóc, jeśli nas złapią, a jestem całkiem pewna, że to — Szarpnęła głową w kierunku komory, którą właśnie opuścili. — wywoła jakiś alarm. — W rzeczywistości była szczerze zdumiona, że Lzz, który dalej stał tuż za drzwiami drugiego pomieszczenia, nie odpowiedział na to wołanie.

Vince niechętnie zaczął iść za nią, kiedy zza zakrętu korytarza usłyszała niemożliwy do pomylenia syk głosu innego Lepida. Odwróciwszy się, gorączkowo pokazała mu, żeby szedł w przeciwną stronę.

Pobiegli, trzymając się nierównej, szarej ściany, ale zrobili tylko parę kroków, kiedy dotarł do nich drugi, syczący głos, dokładnie z kierunku, w którym szli. Byli w pułapce!

Laura rozejrzała się, wiedząc, że właściciel głosu może w każdej chwili skręcić za róg i ich zobaczyć. Nie było czasu na zrobienie kolejnych drzwi w którejs z ścian, schwytnie wydawało się nieuniknione. Poczula, że drętwieją jej ręce, a serce wali w gardle, wiedząc, że w tym okropnym miejscu emocje są podwajane i potrajane.

— Lauro! — Poczula szarpnięcie za rękaw i zobaczyła Vince'a, wskazującego rodzaj pęknięcia w powierzchni najbliższej ściany, prawie jak w jaskini. Wepchnął się w wąską przestrzeń, dając jej znak, żeby zrobiła to samo. Laura wcisnęła się obok niego i stała, dysząc i czując się, jakby serce miało wyskoczyć jej z piersi. Nierówna ściana niszy wznosiła się dość wysoko, żeby ich ukryć — ledwie.

Przerażenie, które oboje z Vincem odczuwali, zmieszało się w małej przestrzeni jak trujący gaz, aż Laura musiała się uszczypnąć, żeby móc skoncentrować się na czymś innym. Czekala, aż usłyszała ciągnięcie szeleszczących, lepidzich skrzydeł, kiedy ich mijał, po czym ośmieliła się przycisnąć twarz do krawędzi ściany i wciągnąć łyk świeżego powietrza.

Zamierzała szybko łyknąć powietrza i zanurkować z powrotem w ochronną przestrzeń, ale to, co zobaczyła, przykuło jej wzrok do przeciwległej ściany, podobnie jak wcześniej Vince'a, który nie był w stanie oderwać wzroku w wielkiej sali, którą przed chwilą opuścili.

Lzz opuścił pokój i stał z dwoma innymi Lepidami w wijącym się korytarzu. Wszyscy rozmawiali gniewnymi, syczącymi głosami. Cała trójka miała szeroko rozłożone z rozdrażnienia skrzydła, ale między kiwającymi się, czarnymi cieniami, Laura mogła zobaczyć mignięcia drugiego pomieszczenia, które otwarł, rozmawiając z Kyrą.

W pomieszczeniu było może piętnaście, dwadzieścia młodych kobiet, wszystkie w oczywistej ciąży. Niektóre były nagie, inne ciągle miały na sobie obszarpane szczątki ubrań, które nosiły w momencie porwania. Były solidnie przymocowane do ściany jakąś substancją, która wydawała się bardziej organiczna niż wyprodukowana. Laurze wydawało się, jakby same ściany pomieszczenia w jakiś sposób wytworzyły długie, cienkie, szaro-zielone ramiona, które trzymały kobiety nieruchomo, z dużymi brzuchami, wystającymi przed nimi, jak czekające na zerwanie owoce.

Do kobiecych twarzy była przymocowana kolejna wypustka, ta przypominała mięsiste płatki dziwnych, kwiatopodobnych tworów, które widzieli w sali samicy Lepidów. Miały też takie same, żywe kolory, pulsując ciemnoniebiesko i bladofioletowo, kiedy drżały na twarzach więźniów. *Wysysają*, zrozumiała nagle Laura z tak wielkim przerażeniem, że znowu poczuła się słabo. *Te rzeczy naprawdę coś z nich wysysają. Ale co?*

Kolejna fala żalu i przerażenia popłynęła korytarzem. — Głupcy! — Usłyszała słowa jednego z Lepidów, wielkiego osobnika, mającego ponad dwa i pół metra wzrostu i skrzydła o zielonkawym zabarwieniu. — Tracimy emocje, podczass, gdy wy ssię kłóćcie. Lzz, natychmiassst zamknij drzwi!

Lzz odwrócił się do drugiego Lepida ze skrzydłami trzepoczącymi z irytacji tak, że aż odpadło kilka łusek. Laura zobaczyła jak nierówna podłoga zamyka się wokół łusek wielkości

dłoni i natychmiast je otacza. — Jak śśśmiessz mówić do mnie w języku ludzi? — Zażądał odpowiedzi wysokim, rozgniewanym głosem. — Nie będę znossił takiej obrazy.

— Będę mówił, jak mi sssię ssspodoba. — Pierwszy Lepid też zatrzepotał skrzydłami. Łuski zagrzechotały sucho. — Mówię do głupca w języku głupców, to odpowiednie.

— Bądź uczciwy, Bnn. — Sprzeciwił się trzeci Lepid. — Nie mógł wiedzieć, o porusszeniu królowej. Emocje ssali zbiorów ssą za głośśśne, żeby coś ussłyszeć, a on zajmował ssię upartym człowiekiem.

— Ssstał w sali zbiorów, sspijając nektar, przeznaczony tylko dla królowej, nie zauważając, że narussszał równowagę komnaty. — Zabrzęczał gniewnie Bnn, pierwszy Lepid.

— To ossskarżenie nie ma sssensu. — Zaprotestował Lzz głosem tak grubym i syczącym, że Laura ledwie go rozumiała. — Wsszyssscy wiedzą, że funkcją ssali zbiorów jessst filtrowanie, a nie wzmacnianie emocji zapłodnionych ludzi. I jeśśli trochę ssię żywiłem, umiessszczając kobietę z powrotem na jej miejssscu, to jak? Jak moje działanie mogło ssspowodować nierównowagę emocji w komnacie królowej?

— Nie wiem, jak to ssię ssstało, ale tylko ty byleśś w pobliżu, kiedy to ssię ssstało. — Głos Bnn nie stracił nic ze swojej, brzęczącej ostrości. — Zaprzeczaj ile chcesz, Lzz, ale wiesz równie dobrze, jak każdy, że cykl leży w delikatnej równowadze. Tylko po zapłodnieniu jaja będą bardziej wrażliwe. Jeśśli chcesz wziąć udział w godowym roju, sssugeruję, zebyśś przyznał się do ssswoich działań, zanim będę zmuszony zgłosśić cię Tmm.

Obie pary skrzydeł były teraz rozciągnięte na pełną szerokość i Laura widziała, że rozgniewani Lepidzi zmierzają do jakiegoś rodzaju konfliktu.

— Bracia, wssspółtowarzysze z ula... nie mussi do tego dojść. — Trzeci wepchnął się między nich, wachlując niespokojnie wielkimi skrzydłami. — Rozmawiajmy jak równi. — Głos był miękki i zachęcający, kiedy kontynuował argumentację, jednak Laura nie mogła nic więcej zrozumieć, gdyż przeszedł z angielskiego, na syczący język Lepidów. Dla niej brzmiało to jak dół pełen wściekłych węży, ale zdawało się uspokajać Lzz i Bnn, gdyż ich sztywno rozłożone skrzydła stopniowo opadły. Wkrótce Lzz odwrócił się i szybko potarł ścianę, odcinając niepokojący obszar i emocje ciężarnych dziewcząt, przywiązanych do ściany.

Laura cofnęła głowę, zdawszy sobie sprawę, że teraz, po zakończeniu konfliktu Lepidzi mieli znacznie większą szansę dostrzeżenia jej. Bez emocji dziewczyn w ciąży, sącących się na korytarz, emocje Vince'a i jej własne mogły być łatwiej wykryte. Ciche syczenie trwało przez kolejne pięć minut, a potem przepłynęło obok nich krętym korytarzem i poza zasięg słuchu.

Rozdział 20

Patrząc kątem oka na twarz Laury, Vince wiedział, że zobaczyła coś naprawdę okropnego i wyczuwał przerażenie, pulsujące w ciasnej przestrzeni między nimi jak żywa istota. Dotarło do niego, że mogą tworzyć jakiś rodzaj emocjonalnej pętli, skoro jego organizm nadal był pełen pyłu — jej emocje wzmacniały jego, a jego jej — podobnie, jak opisała mu to, jak ona i jej były mąż próbowali się kochać. Jednak nie mógł ryzykować pytania o cokolwiek, kiedy Lepidzi nadal klócili się na korytarzu.

Czekał, wstrzymując oddech, kiedy się spierali i syczeli, aż w końcu stopniowo zdał sobie sprawę, że nie czuje już niczyjego strachu i przerażenia, poza własnym. Czuł się słaby i prawie śmiertelnie zmęczony, ale odczuwał ulgę, że dziwne efekty pyłu wydawały się znikać z jego organizmu.

W końcu Lepidzi poszli sobie i można było bezpiecznie opuścić wąską przestrzeń, w którą się wcisnęli. Vince zamierzał wyskoczyć na korytarz i nalegać, żeby Laura otworzyła drzwi po przeciwnej stronie korytarza, żeby mógł zabrać Kyrę i znaleźć wyjście z tego zapomnianego przez Boga miejsca. Ale, kiedy stracił oparcie na ścianie, uderzyła go nagła fala słabości, rzucając go na kolana.

— Vince? — Słyszał troskę w jej głosie i był mgliście świadomy swojego zadowolenia, że nie mógł jej też wyczuć, ale świat pojawiał się i znikał alarmująco, więc nie mógł odpowiedzieć.

— Chodź, Vince, musimy iść!

Chciał powiedzieć, *Daj mi minutę*, ale z jego ust wydostało się tylko: — ...minutę... Spróbował wstać, walcząc z podstępą słabością, która okradała go z siły, ale nie był w stanie się jej oprzeć. Niejasno przypomniał sobie jak się czuł po swoim doświadczeniu z pyłem *U Mike'a*, ale to było sto razy gorsze. Jego nogi były jak po dwudniowym treningu futbolu, kiedy był w szkole średniej i trener kazał im wbiegać na górę trybun sto razy, w ostrym słońcu.

Galareta. Pomyślał mgliście, częścią świadomości słuchając niewyraźnie Laury, podczas, gdy reszta odpływała w kierunku ciemności. *Zmieniam się tu w wielką stertę galarety. Zaraz rozpuszczę się na podłodze...*

— Vince, jesteś za ciężki, żeby cię ruszyć. Oni tu idą! Vince, *rusz się!*

Był niejasno świadomy, że Laura szarpie go za rękę i poczuł się zawstydzony, kiedy zrozumiał, ile wysiłku musiało kosztować ją dotknięcie go w tym miejscu, gdzie wszystkie emocje zdawały się dziesięciokrotnie wzmocnione. Jednak, mimo jej wysiłków, zwyczajnie nie był w stanie się ruszyć.

— Nie! Zostawcie go! — Do kogo ona mówiła? Vince spróbował się rozejrzeć, ale nagle został otoczony parą wielkich, szeleszczących skrzydeł, jakby owinięto go w kołdrę, wykonaną z klekoczących, lodowato zimnych, morskich muszli. Poczul lodowatą pięść, otwierającą się w jego brzuchu — dorwali go!

Nagły napływ adrenaliny wystarczył, żeby otrząsnąć się ze słabości, wywołanej kacem po pyle wróżek i rzucił się, kopiąc i bijąc pięściami w otaczającą go kurtynę łusek, która blokowała mu widok na Laurę i korytarz.

— Walka jest bezsensowna. — Głos wydawał się pochodzić zewsząd i znikąd — z wnętrza jego własnej czaszki. Vince poczuł ostry ból w lewej łydce, zimne palenie, jakby ktoś dźgnął go igłą szesnastką, zanurzoną w ciekłym azocie.

— Nie! — Zamierzał krzyknąć, ale słowo wyszło, jako szept. Potem zalało go znużenie, jakiego nigdy nie doświadczył, wsysając go. Zamknął oczy, tylko na moment i wszystko stało się czernią.

Rozdział 21

— Cóż, moja, słodka Lauro. To ssspore zassskoczenie, że cię tu widzę. A jednak, również sspora przyjemność. — Tmm cofnął się, a Vince osunął się na podłogę w okropnie bezwładny sposób.

— Co mu zrobiłeś? — Laura stanęła obronnie nad jego leżącym twarzą w dół ciałem, chcąc sprawdzić co z Vincem, ale bojąc się spuścić wzrok z górującego nad nimi Lepida.

— Jessst tylko osszołomiony, moja droga.

Laura wiedziała, że większość ludzi myślała, że wszyscy Lepidzi są do siebie podobni, ale nauczyła się rozpoznawać subtelne znaki i cieniowanie skrzydeł, i oczywiście nigdy nie mogłaby zapomnieć głosu Tmm. Był taki zimny. Nie była pewna, gdzie nauczył się ludzkich, pieszczotliwych określeń, może z jej własnego umysłu, ale kiedy ich używał, przechodziły ją ciarki.

— Twój kochanek²¹ zossstanie zabrany w bezpieczne miejsssce. — Lepid wydał wysoki, syczący odgłos i ściany po obu stronach otwarły się, ukazując dwa szaroskóre stworzenia, nieprzypominające niczego, co kiedykolwiek widziała. Były połowy wzrostu Tmm, co oznaczało, że sięgały jej do ramienia. Ogólnie posiadały tę samą budowę ciała, co wysoki Lepid, wydłużoną, owadzią głowę, talię osy i długi, wąski odwłok, ale bez kłującego szpikulca na końcu, a ich skrzydła były matowe i brązowawoszare. Szczątkowe. Pomyślała Laura. Nie było mowy, żeby stworzenia, które widziała mogły użyć skrzydeł do oderwania się od ziemi.

— Kto... co? — Dwa stwory stanęły po obu jej stronach i czekały teraz cierpliwie na kolejny sygnał Tmm. Widząc, że patrzy na szaroskóre istoty, Lepid odpowiedział na jej niezadane pytanie.

— Slmmdzz — robotnicy. Niemi i prawie bezmyślni, ale i tak całkiem użyteczni. To ssszkoda, że nie mamy ich więcej ale cykl jessst teraz w nissskiej fazie. Zabiorą twojego ukochanego w bezpieczne miejsssce, gdzie będzie mógł odessspać efekty mojego jadu.

Nie poruszyła się, pełniąc straż nad leżącym ciałem Vince'a.

Tmm wykonał niecierpliwy gest trzema ze swoich rąk. — Chodź, Lauro — pozwól robotnikom zrobić ssswoje. Masz nasze sssłowo, że ten człowiek nie zossstanie ssskrzydźdony — w każdym razie jesszcze nie.

— Daj mi słowo, że będę mogła do niego dołączyć. Że będziemy razem. — Miała nadzieję, że jej głos nie drżał za bardzo.

— Och, to z pewnością możemy ci obiecać. Będziecie razem sszybciej niż myślisz.

²¹ Jeszcze nie. ☺

Odsunęła się od Vince'a, który oddychał głęboko, leżąc na podłodze, a dwóch robotników wyciągnęło liczne kończyny i podniosło, zabierając go za zakręt korytarza, poza pole jej widzenia. Nie podobało jej się wypuszczenie go w ten sposób, ani trochę jej się nie podobało. Jednak nie widziała żadnej innej możliwości. Gdyby walczyła, Tmm po prostu ją też by oszołomił, a instynktownie czuła, że to bardzo ważne, żeby pozostała świadoma.

Dziwnie ironiczne było to, jak wiele razy była owinięta tymi, ogromnymi, zimnymi skrzydłami, a jednak nigdy wcześniej nie czuła strachu przed ostrym szpikulcem na końcu odwłoka Lepida. Ale w końcu zawsze uważali, żeby chować swoje, sztyletowate żądła, kiedy znajdowali się na Ziemi. To był dopiero drugi raz, kiedy widziała wysunięty morderczo ostry szpikulce. Pierwszy raz wtedy, gdy Tmm groził Sandersowi w bazie. Kiedy patrzyła, przezroczysta kropla jadu skapnęła z nagiego żądła i spadła na nierówną podłogę, która chciwie ją wchłonęła.

— Więc, sssłodka Lauro, możemy porozmawiać? — Tmm rozłożył skrzydła jak wiele razy w przeszłości, zapraszając w jego zimne, obce objęcia, ale tym razem Laura się powstrzymała. Pomyślała o ciężarnych dziewczynach, zamkniętych za ścianami, o mięsistych, ssących urządzeniach, przyczepionych do ich twarzy i zaczęła rozumieć. Te dziewczyny były jakiegoś rodzaju źródłem zasilania, była tego prawie pewna.

— Nie — nie w ten sposób. Nie wierzę, że musisz być w moim umyśle, żeby do mnie mówić. Nie wierzę już w to wszystko. Te wszystkie razy w bazie, nie używałeś mnie do tłumaczenia — żywiłeś się na mnie — wysysałeś moje emocje. To dlatego później zawsze czułam się taka zmarznięta i wyczerpana. Wykorzystywałeś mnie tak, jak wykorzystujecie dziewczyny — te w ciąży, które porwaliście z Ziemi.

— Jessteś bardzo sssposstrzegawcza, moja sssłodka — więc widziałas naszą małą sssalę zbiorów. — Ale nie jessteśmy zassskoczeni — mówiliśmy innym, że jessteś inteligentniejsza od przeciętnego człowieka. I nie jessteśmy też zassskoczeni, znajdując cię, wędrującą po korytarzach. To oczywiście, że nasz ul rozpoznał twoją wartość odżywczą tak sssamo, jak my.

Nagle zimne uczucie wysysania, którego doświadczała za każdym razem, kiedy gładziła ścianę, żeby otworzyć przejście, również nabrało sensu. Laura zadrżała. Czy na statku Lepidów nie było niczego, co nie jest w jakiś sposób drapieżne? Patrzyła na Tmm, bez ruchu.

— Dossskonale. — Połyskliwe skrzydła uniosły się w rodzaju obcego wzruszenia ramionami. — Możemy porozmawiać idąc? Musszisz mieć wiele pytań, na które chcesz odpowiedzi.

— Dlaczego miałbyś odpowiadać na moje pytania? Dlaczego miałoby cię obchodzić, co myślę? — Laura zrównała z nim tempo, z pewną trudnością nadążając za jego posuwistym, kołyszącym krokiem. Skrzydła Tmm szeleściły na jego plecach, kiedy szli korytarzem w kierunku, w którym zabrano Vince'a.

Tmm znów wykonał dziwny, przypominający wzruszenie ramion gest skrzydłami. — Jeśli chcesz, nazwij to zainteresowaniem, moja droga. Życzeniem komunikacji bez podstępów, które, aż do teraz, były godną pożałowania, ale niezbędną częścią naszych interakcji.

— Ale na pewno wiesz, że kiedy Vince i ja odejdziemy — wydostaniemy się stąd —

— Ach. — Uniósł jedną, wrzecionowatą, pokrytą czarnymi, szczeciniastymi włoskami rękę, żeby jej przerwać. — Jakakolwiek wiedza, jaką możesz uzyskać, jest bez znaczenia, bo ty i twój kochanek będziecie naszymi, stałymi gośćmi.

— Vince nie jest moim kochankiem. — Laura próbowała utrzymać spokojny głos, postanawiając celowo zignorować ostatnią wypowiedź Tmm. Lepid nie wydawał się tym przejąć.

— Wasze ludzkie związki nie mają tu żadnego znaczenia. Wyobraź sobie naszą satysfakcję ze znalezienia ciebie i twojego ukochanego w naszym statku, kiedy wróciliśmy z konferencji z tym głupkiem, Sanderssem. Zaoszczędziliście nam tym masę kłopotów.

— Słyszałam... jak mówisz Sandersowi, że potrzebujecie następnej, ludzkiej dziewczyny. Nie... nie wiem, co planujesz dla mnie, Tmm, ale nie jestem w ciąży. — To wymknęło jej się z ust, zanim mogła się powstrzymać, ale Tmm odchylił tylko głowę i wydał ten suchy, świergot, który wśród Lepidów uchodził za śmiech.

— To nie ma żadnego znaczenia, moja słodka. Mamy dla ciebie i tego drugiego człowieka inne zastosowania. Emocje, płynące z sali zbiorów są przeznaczone tylko dla królowej — dzięki nim dojrzeją jej jaja. A ty i twój kochanek zostaniecie wykorzystani w całkowicie inny sposób — żeby pomóc silić godowy rój.

— Godowy rój? — Laurze wcale się to nie spodobało. Co chodziło po głowie Tmm — bardziej bezpośrednia forma ludożerstwa? Okropne, krwawe obrazy śmierci i okaleczeń próbowały wepchnąć się do jej umysłu i musiała walczyć, żeby utrzymać je z dala. Teraz bardziej niż kiedykolwiek musiała pozostać spokojna.

— Twój strach jest taki pyszny, moja droga. Nawet stąd czuję jego smak. — Głos Tmm miał ton jak u konesera wina po skosztowaniu rzadkiego rocznika.

Laura zerknęła kątem oka na idącego Lepida i przysunęła się bliżej ściany, próbując zwiększyć dystans między nimi.

Tmm znów zaśmiał się świergocąco. — W ulu nie wymagamy dostępu do twojego umysłu ani niewielkiej odległości, żeby się żywić, słodka Lauro. Nie zauważyłaś cudownego wzmocnienia emocji wewnątrz naszego statku?

Laura skinęła głową krótkim, ostrym ruchem. — Zauważyłam, kiedy próbowałam dotknąć Vince'a.

Tmm przyjrzał jej się z namysłem. — Ssspodziewamy sssię, że z bolessnym rezultatem. Jakie to oświecające. Jesssteście tacy zachwycający, moja droga, taki odświeżający gatunek. To prawie szkada, że musssimy zebrać plon z wasszej planety, ale cykl musssi trwać.

— Zebrać? Popatrzyła na niego ostro, prawie zatrzymując się w ciemnym, krętym korytarzu. Znów to słowo —wypowiedane syczącym głosem Tmm brzmiało groźnie i obco.

— Ależ tak. — Rozbawienie w jego tonie było nie do przeoczenia. — Jesszcze chwilę temu, moja sssłodka, czułaś niepokój, że możemy cię pokroić i zjeść — jak potwór z jednej z waszych, tak zabawnych, hissstoryjek dla dzieci. Nie mamy racji?

Laura popatrzyła na niego, zakłopotana, że był w stanie odebrać tak wyraźny obraz jej myśli, nawet jej nie dotykając. Pokręciła głową, ale jej odmowa odpowiedzi nie wydawała się w najmniejszym stopniu zmartwić Tmm.

— My, nazywani przez ciebie Lepidami, jesssteśmy dorossłą formą naszego gatunku. Dokładniej mówiąc, jesssteśmy klassą Zmmltt, dominującymi sssamcami. Ale nie widziałas wielu z nasss. Wielu, którzy na razie pozossstają nienarodzeni, zaledwie jaja w brzuchu nasszej pięknej królowej. — Uniósł smukłe, czarno owłosione ręce nad głowę, rozkładając skrzydła z klekoczącym szelestem.

— Więcej lat niż potrafisz zliczyć, poszukiwaliśmy takiego gatunku, jak wassz — mogącego żywić nasszych Dss, dorossłych i nasszych Sll, nassze dzieci — niedojrzałych Lepidów, którzy wyklują sssię z zapłodnionych jaj królowej.

— Widzisz, moja, sssłodka Lauro. — Tmm zatrzymał się i odwrócił do niej, grzechocąc skrzydłami, co zmusiło ją do wciśnięcia się w szaro-zieloną, nierówną ścianę. — My, Dss, żywimy sssię tylko emocjami, ale Sll brak koniecznej dojrzałości, żeby pobierać pokarm z sssamych uczuć.

— Sll wymagają *ciała*. — Nacisnął, wkraczając w jej umysł, w sposób, który powinien być niemożliwy bez fizycznego kontaktu. Zobaczyła obrazy, którymi w nią cisnął, jakby oberwała zimnym ostrzem w głowę, potworne czarne czerwce z pyskami pełnymi zębów jak rzeźnicie noże i nienasyconym głodem. Będą jeść i jeść i jeść...

Rozdział 22

— Gdzie u diabła... — Vince wstał z trudnością. W głowie mu pulsowało, a oczodoły wydawały się wypełnione tłuczonym szkłem. Co mu się stało? *Użądlenie... skurwiel mnie użądlił!* Cokolwiek było w jądzie Lepida, spowodowało gorszego kaca, niż kiedykolwiek doświadczył. Gorszego nawet od kaca po gazie, którego użyli ostatnim razem. Kiedy jego oczy przywykły do mroku, zobaczył znajome już ściany z szaro-zielonymi spiralami i poczuł pod stopami odrażający ruch, przypominający oddech — to była odpowiedź na jego pytanie. Wciąż był na pokładzie statku matki Lepidów — w ich ulu.

Podszedł do najbliższej ściany i położył na niej dłonie, czując chłodną, nierówną teksturę i wbrew wszystkiemu licząc, że znajdzie jakieś wyjście.

— Nie zawracaj sobie głowy. Już próbowałam. — Laura siedziała naprzeciw niego z kolanami podciągniętymi pod brodę, wyglądając bardzo młodo i wrażliwie.

— Co się stało?

— Nic. Tmm zrobił coś z tym pomieszczeniem, żeby nie reagowało na mój dotyk... tak sądzę. W każdym razie nie mogę stworzyć drzwi. — Mówiła niskim głosem i przygryzała dolną wargę.

Vince podszedł do niej, chcąc ją objąć i usunąć z jej twarzy ten wyraz beznadziejności. Dopiero, kiedy uniosła rękę, żeby go zatrzymać, przypomniał sobie, że tutaj nie mieli tego, drobnego pocieszenia. Zamiast tego usiadł obok niej i obrócił się do niej, z plecami opartymi o powoli oddychającą ścianę.

— Kyra? — Zapytał.

Pokręciła głową. — Przykro mi, Vince — ciągle jest w tamtym pokoju, z innymi.

— Innymi? — Poczul zniecierpliwienie i spróbował stłumić emocje, kiedy zobaczył jak się krzywi. Nie potrzebowała, żeby wzmacniał jej emocjonalny stres swoimi „głośnymi” uczuciami.

— Przepraszam, zapomniałam, że ich nie widziałeś. Oni... Lepidzi nazywają to... — Odwróciła wzrok i przełknęła ślinę, wyraźnie mając problem z wymówieniem tych słów. — Nazywają to „salą zbiorów”. Jest tam z mniej więcej piętnastoma, dwudziestoma innymi dziewczynami i Vince, one *wszystkie* są w ciąży.

Z sykiem wciągnął oddech, próbując zrozumieć. — Ale dlaczego...

— Nie wiem. — Laura znów pokręciła głową i przeczesała dłonią jedwabiste blond włosy, które splątały się w kilku miejscach. — Myślę, że jakoś je stymulują i wykorzystują ich emocje do karmienia swojej królowej. Ta wielka sala, w której byliśmy, Lepid na suficie...

Skinął głową, przypominając sobie nabrzmiaty, pulsujący odwłok. — Taa. A ten odwłok...

— Pełen jaj. — Dokończyła za niego Laura. — Po tym jak straciłeś przytomność — jak użądlił cię Tmm — opowiedział mi o nich.

Vince spojrział na nią ostro. — Co? Co powiedział?

— Och, całkiem chętnie odpowiadał na moje pytania, nawet gorliwie. — Jej głos był gorzki i pozbawiony nadziei. — To wszystko jedno wielkie oszustwo — leki, które podarowali nam na nasze choroby, ich chęć mediacji w Ziemskich konfliktach... Chcieli, żebyśmy byli zdrowi i pokojowi, żeby mogli nas wykorzystać.

Laura pokiwała głową. — Kiedy jaja zostaną zapłodnione, sam statek — ul — przejmie kontrolę. Cały, cholerny proces jest automatyczny. Zostaną przeniesione do kapsuł i przetransportowane na Ziemię. Po drodze się wyklują, a kiedy znajdą się na miejscu, będą jeść i jeść, aż nic nie zostanie. Nic, Vince, zupełnie nic. — Odwróciła się. Jej piękna twarz była udręczona.

Lauro... — Zaczął, ale słowa pocieszenia zamarły mu na ustach kiedy ściana przed nimi otwarła się niespodziewanie i wysoki Lepid wszedł do pomieszczenia.

Rozdział 23

— Brać ich. — Zimny, buczący głos Tmm wypełnił małe pomieszczenie, wysyłając dreszcz po jej plecach. Skinął głową dwóm brudnoszarym robotnikom, którzy przeszli za nim przez otwór, kierując ich do Laury i Vince’a.

Tylko nie znowu! Laura wcisnęła się w ścianę, próbując osłonić się jakoś przed okropnymi obrazami, które, jak się obawiała, wysła jej Lepid. Tmm zrobił krok naprzód, z rozłożonymi skrzydłami i wielkimi oczami, lśniącymi krwistoczerwonym pomarańczem, kiedy się nad nią pochylił.

— Odwal się od niej! — Vince stanął między nimi, jasny strumień jego opiekuńczego gniewu palił jej gardło jak silna whiskey.²²

Tmm zaśmiał się dźwiękiem przypominającym tysiąc zmutowanych świerszczy, grających o najciemniejszej porze nocy. — Nie bój ssię, człowieczku, nie zamierzamy ssskrzydzieć sssłodkiej Laury. Ten zasszczyt zarezerwowaliśmy dla ciebie. — Znowu wykonał gest w kierunku robotników, którzy zbliżyli się groźnie. Ci byli więksi od dwójki, która niosła wcześniej nieprzytomnego Vince’a, prawie tak wysocy jak sam Tmm. Stanęli nad dwójką ludzi, skulonych na podłodze, ich złożone oczy przenosiły się z Tmm na nich.

— Pozwólcie, że przedssstawię wam jesszcze jednych przedssstawicieli nasszego gatunku. — Tmm wykonał płynny gest dwoma, włochatymi rękami. — Ci dossskonali przedssstawiciele sssą nazywani Rzz — nassza klasssa wojowników.

Patrząc na dwóch, masywnych Rzz, Laura zobaczyła, że w przeciwieństwie do innych robotników, tych dwóch miało długie, spiczaste żądła wystające z odwłoków, zupełnie jak u Tmm. Poczula otulającą ją rozpacz, ciężką jak koc z ołowiu. Nie było sensu walczyć — nie było sensu próbować uciec.

— Vince. — Powiedziała, próbując przyciągnąć jego uwagę, skierowaną całkowicie na dwóch wojowników Lepidów, stojących nad nimi. — Vince, lepiej z nimi idźmy. Jeśli nie, po prostu nas użądla i tak czy inaczej zabiorą nas, gdzie chcą.

Obrócił głowę, zerkając na nią przez ramię, i kontynuując osłanianie jej, na ile mógł. — Co?

— Słyszałeś. — Łagodnie odepchnęła jego napięte ramię, starając się zignorować palący szok jego opiekuńczego gniewu, wywołany tym kontaktem. Znowu na nią spojrział, a ona skinęła głową. Powoli opuścił rękę.

— Wssstańcie. — Rozkazał Tmm i podniosła się z podłogi, a Vince zrobił to samo. Mając po obu stronach groźnych Rzz, opuścili pokój z idącym za nimi Tmm. Nie wydawał żadnego dźwięku poza suchym sykiem łusek na nierównej, oddychającej podłodze.

²² I to irlandzka ;)

Ginący w ciemności korytarz, wijący się w nieskończoność, był w zmęczonych oczach Laury szaro-zieloną plamą. Wiedziała, że słabnie, poddaje się, ale w atmosferze uła było coś, co ją męczyło, wysysało z niej siły. Czuła troskę Vince'a o nią, jak chłodną dłoń na karku, przekazującą jej trochę jego siły i tylko to pozwalało jej iść dalej.

W końcu minęli pęknięcie w ścianie, gdzie ukrywała się z Vincem w czasie kłótni Bnn i Lzz. *Och*, pomyślała niemrawo. *Teraz wiem, gdzie jesteśmy, przy komorze królowej.*

Zatrzymali się i jeden z Rzz stanął przed nimi i pogładził ścianę. Natychmiast otworzyła się szeroka szczelina, ujawniając obszerną komnatę. Silny odór świeżego mięsa pokrył jej twarz jak wilgotna dłoń, sprawiając, że poczuła się słabo i dostała mdłości. Zostali skąpani w pulsującym, ciemnoniebieskim świetle. Za nimi powstało nagłe zamieszanie.

— Nie! Głupcy! — Tmm stanął za nimi i wykonał gniewny ruch nad szparą w ścianie, a ta zamknęła się, jakby zasunął zamek błyskawiczny. Zwrócił się do dwóch Rzz, brzęcząc i sycząc gniewnie w języku Lepidów. Laura nie mogła zrozumieć słów, ale odkryła nagle, że odbiera obrazy, szturm myślowych wzorów jak zimna, kolorowa plama, prawie zbyt rozmyta, żeby ją rozszyfrować. Nie ważne, jak się starała, nie mogła ich odciąć.

Tmm, na szczęście, zakończył ten rwetes i machnął na Rzz wszystkimi czterema rękami, żeby szli dalej, prowadząc więźniów między sobą. Laura pokręciła głową, próbując pozbyć się pozostających efektów wykładu Tmm, które zatopiły nawet trwałe gniew Vince'a.

Zatrzymali się znacznie dalej w głębi krętego korytarza i tym razem to Tmm potarł nierówną ścianę, żeby się otworzyła. Kiedy szczelina się uformowała i rozszerzyła, Laura zobaczyła, że to komnata prawie tak wielka, jak ta, należąca do królowej Lepidów.

— Do środka. — Zimny głos Tmm był napięty i Lepid popchnął szorstko oboje do mniej więcej okrągłego pomieszczenia. Widok, który powitał ich w środku, sprawił, że Laura poczuła, jakby krew w jej żyłach zmieniła się w wolno płynący lód.

W wielkim kręgu o średnicy jakichś piętnastu metrów, stało ponad trzydziestu Lepidów, przypominających Tmm, należących do, jak to określił Zmmltt — dominujących samców. Ich skrzydła były złożone spokojnie na plecach, w niegroźnej postawie, tworząc jakby pelerynę, ale Laura czuła na sobie ich oczy. Puste oczy, lśniące tym samym, krwistym pomarańczem, który płonął w oczach Tmm. Wydawali się pieścić jej drżącą skórę cienkimi, czarnymi rękami i Laura czuła ich głód, sięgający po nią, chcący pochłonąć ją całą. Zadrżała i spróbowała się cofnąć, ale Tmm stał za jej plecami i popychał ją z Vincem naprzód. Wysunięte z odwłoka, ociekające jadem żądło stanowiło stałą groźbę, co się stanie, jeśli nie będą współpracować.

Laura została wbrew swojej woli wepchnięta na środek kręgu, który zamknął Tmm, zajmując jedyną, pustą przestrzeń, przerwę, przez którą weszli do środka. Wtedy, jakby na jakiś niesłyszalny sygnał, wszystkie pary skrzydeł otworzyły się z dźwiękiem setek klaszczących jednocześnie dłoni. Skrzydła ocierały się o siebie, stykając się końcami, tworząc zimną, łuskowatą klatkę, która zamknęła ich zupełnie.

Laura zadrżała, świadoma obecności Vince'a za plecami, ale nawet silna aura opiekuńczości, którą wysyłał w jej kierunku, nie mogła rozproszyć jej niepokoju. W każdej z otaczających ją, obcych twarzy, był zachłanny głód, którego nie dało się zaspokoić, a jednak Lepidzi nie podeszli do nich. Na co czekali?

— Czego chcecie? — Głos Vince'a był niskim, gniewnym warknięciem i Laura wyczuła, że stęzał za nią jak przestraszone zwierzę. Wiedziała, że gdyby Lepidzi nagle ich zaatakowali, Vince zrobiłby, co w jego mocy, żeby zabrać ze sobą tyłu, ilu był w stanie. Jego nieujarzmiony duch był jak żelazny pręt w jej kręgosłupie i stanęła prościej, zdeterminowana pomóc mu, nie poddawać się bez walki.

— Jak myślicie, czego chcemy? — To był głos Tmm, a jednocześnie nie jego... z czymś przypominającym przerażenie Laura zdała sobie sprawę, że głos dochodził z każdego punktu kręgu, w którym byli uwięzieni. Każde usta przemówiły, każda para czarnych jak węgiel, obscenicznie mięsistych ust wypowiedziała te słowa.

— Kto, co...? — Obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni, próbując zrozumieć.

— Nie muszisz tego wiedzieć, sssłodka Lauro. Teraz jesteśmy Trzzlnn, Jednym Umysłem.
— Tym razem szept nie rozbrzmiał tylko w jej uszach, ale też w mózgu.

— Proszę! — Zakryła dłońmi uszy, wiedząc, że to bezużyteczny gest, nie chcąc, żeby to, co utworzyli wspólnie Lepidzi, atakowało jej mózg. — Po prostu powiedzcie nam, czego chcecie!
— Poprosiła.

Zamiast słów, otrzymała obrazy, pędzące do jej mózgu tak szybko, że oślepiły ją na wszystko poza dramatem rozgrywającym się na ekranie jej mentalnego kina. To jeden Umysł, jak się nazwali, wysyłał im ich żądania w obrazach tak rzeczywistych, że naprawdę je widziała. Nie oczami, ale umysłem. Zobaczyła Lepidów, Zmmltt, żywiących się jakoś, wzmacniających się dzięki bogactwu emocji, wytworzonych między nią a Vincem. Zobaczyła Vince'a dotykającego ją... biorącego ją, wytwarzającego dość emocji, żeby nakarmić rój.

Potem rozległ się szcęk łusek, kiedy zatrzepotały szerokie, opalizujące w dziwnym, pomarańczowym blasku komnaty, skrzydła, unosząc ich właścicieli w powietrze, jedyny raz w długim, suchym życiu Lepidów. Wysoko na ścianie otwierała się szczelina, wejście do komory królowej. Unosząc się wysoko w oczach jej umysłu, piękni i obsceniczni Lepidzi wzlecieli, okrążając nabrzmiały odwłok z wysuniętymi żądlami.

Krzyknęła razem z agonią i rozkoszą królowej, kiedy zobaczyła te ociekające żądla, przeszywające połyskujący odwłok, wstrzykujące życie w nieme, galaretowate, gotowe do zapłodnienia jaja. Wysilający się, oddający wszystko, co mają, żeby nakarmić nowe życie w potwornym brzuchu, Zmmltt zostali wyssani do sucha. Ze skrzydłami zwijającymi się jak zeschnięte liście, wysunęli się z ciała królowej i podryfowali w kierunku podłogi komnaty, jako pozbawione życia łuski.

Dlaczego? Pomyślała, próbując zrozumieć. Dlaczego to robicie? Wszyscy umrzecie!

— Tylko raz lecimy, tylko raz roimy ssię w tańcu, który jessst naszą rozkosszą i zgubą. — Wielokrotny głos Jednego Umysłu odbił się nieznośnym echem w jej głowie, ale jeszcze gorszy był obraz, który wysłali jej w odpowiedzi na pytanie.

Jeszcze raz zobaczyła spuchnięty odwłok królowej, ale tym razem wrzała w nim aktywność. Zapłodnione jaja rosły i zaczęły się zmieniać, rozwijając się szybko wewnątrz swoich, lśniących worków. Wewnątrz galaretowatych błon widziała poruszające się cienie, tłuste, czarne czerwie, które zjedzą każdego mężczyznę, kobietę, dziecko i zwierzę na Ziemi, zanim osnują się ciasnym, jedwabnym kokonem i wynurzą, jako następne pokolenie Lepidów. Następne pokolenie poszukujące kolejnego świata do zerowania i zniszczenia.

— Nie! *Nie!* Nie pomogę wam! Nie pomogę wam tego zrobić!

— Lauro? Lauro, co się...? — Vince patrzył na nią z niepokojem, ale głos Trzllnn, Jednego umysłu sprawił, że zniknął.

— Musssisz — zrobisz. Jeśli nie ty, to inni. — Otrzymała obraz dwojga innych, bezradnych ludzi, mężczyzny i kobiety, zmuszanych do seksu, zmuszanych do wygenerowania niezbędnej energii.

NIE! Pomyślała zaciekłe z dłońmi zaciśniętymi po bokach. *Wiem więcej niż sądzicie — jaja są już dojrzałe. Nie macie czasu, żeby ściągnąć kogoś innego!*

— Głupia dziewczyno! Naprawdę myślisz, że nie mamy nikogo na twoje miejsce? — Jej umysł znów został rzucony w ciemność, a potem przed jej oczami przepłynął zimny, nieznośny obraz innej dziewczyny z mlecznoczekoladową skórą i przerażonymi, brązowymi oczami. Ta dziewczyna była w ciąży i była wpychana do centrum kręgu dokładnie tak, jak Laura i był tam mężczyzna, krzywdzący ją... zmuszający ją podczas, gdy Lepidzi pili z gwałtownej fontanny bólu... absorbowali bezlitosną przyjemność by móc polecieć.

Laura rozpoznała twarz przerażonej dziewczyny, rozpoznałaby ją nawet, gdyby nigdy wcześniej jej nie widziała, tak uderzająco była podobna do mężczyzny za jej plecami. To była Kyra, siostra Vince'a. To jego młodszą siostrze grozili.

— Ty lub ona. — Wyszeptał Jeden Umysł i Laura pochyliła głowę, zakrywając twarz dłońmi i czując powoli płynące łzy, wiedząc, że została pokonana.

Ja, wyszeptała w myślach, wiedząc, że Trzllnn ją usłyszą. Niech to będą ja.

Rozdział 24

— Co się u diabła dzieje? — Vince'owi prawie skończyła się cierpliwość. Zamartwiał się o Laurę, która po zamknięciu przez Lepidów kręgu wydawała się znaleźć na skraju szaleństwa. Potem zaczęły się te dziwne, pokręcone szept, dźwięk tak dziwny, że mógł zrozumieć tylko, co trzecie słowo, a ona zupełnie zeszywniała.

Jej dłonie były zaciśnięte po bokach, a oczy zaszklily się w przerażający sposób, sprawiając, że zastanawiał się, czy dostała jakiegoś ataku. Potem krzyczała coś jak „Nie! Nie pomogę wam!” ale zaraz potem pochyliła głowę i znowu zaczęła płakać. Było oczywiste, że Lepidzi coś jej robili, nawet jej nie dotykając i Vince nie wiedział, co zrobić, ani jak to powstrzymać.

Przyszło mu do głowy, że mógłby wbiec na nich i przerwać ich krąg, przypuszczalnie zakłócając tę dziwną komunikację, która wydawała się mieć Laurę pod kontrolą. Lepidzi po prostu znowu by go uządlili, ale trudno, załatwi tylu ilu będzie mógł, zanim to zrobią. Ale właśnie, gdy napinał ciało, wybierając miejsce do przedarcia się jak futbolowy rozgrywający, pędzący szaleńczo do linii końcowej, Laura obróciła się do niego i pokręciła głową.

— Nie, Vince. — Duże oczy koloru zmierzchu, które zaczynał kochać, były mokre od łez i pełne żalu oraz jakiejś innej, trudnej do nazwania emocji. Może beznadziejnej determinacji.

— Lauro, co...?

— Vince. — Położyła rękę na jego ramieniu i zadrżała, wyraźnie zmuszając się do zniesienia silnych emocji, grzmiących w jego ciele jak ogłuszająca hiperpunkowa muzyka.

Vince odsunął się łagodnie od jej dotyku, pamiętając, jakie to musiało być dla niej bolesne. Celowo policzył do dziesięciu, próbując stłumić uczucia, żeby stały się bardziej znośne.

— Lauro. — Mocno starał się, żeby jego głos był miękki i cichy. — O co chodzi? Co oni próbują ci zrobić? Nam zrobić?

— Chcą... — Zawiódł ją głos, ale potrząsnęła głową i stanęła prościej, walcząc o kontrolę. — Chcą, żebyśmy wygenerowali dla nich energię — potrzebują naszych emocji dla swojego roju.

— Rój? Emocje? Nie rozumiem. Gdyby uczucia były elektrycznością, moglibyśmy teraz rozświetlić centrum miasta naszym strachem i gniewem. Czego jeszcze im trzeba, do diabła? — Zażądał odpowiedzi Vince, czując jak jego dłonie zaciskają się w pięści.

— Nie. — Laura pokręciła głową. — To... to nie jest rodzaj emocji, którego potrzebują.

Znów rozbrzmiało niskie bzyczenie i tym razem je zrozumiał. Było dziwne i brzmiało w jego uszach okropnie obco, i w końcu zdał sobie sprawę, że to jeden głos, utworzony przez wszystkie te syczące, czarne gardła, mówiące unisono.

— Twój ból i strach nie wystarczą, człowieku. Wymagamy energii erotycznej.

Te słowa zostawiły gorzki posmak na jego języku, suchy i kwaśny jak kurz z tysiącletniego grobowca. Popatrzył na Laurę, nie chcąc rozumieć, nie chcąc uwierzyć, ale ona tylko pokiwała głową.

— Nie możesz być poważna. — Pokręcił głową. — Nie. Nie ma mowy, żebyśmy pomogli im to zrobić.

— Vince, *musimy*. Jeśli nie, użyją kogoś innego, kogoś bardziej... wrażliwego. Musisz mi uwierzyć, *proszę*.

Nie mógł uwierzyć, że jej miękkie, zmienne oczy naprawdę prosiły go, żeby to zrobić. Nie tutaj, nie teraz i nie, wiedząc co to mogło jej zrobić w miejscu, gdzie nawet najmniejszy dotyk był bolesny. Cofnął się. — Nie mogę... nie mogę cię w ten sposób skrzywdzić.

— Zrobisz to. — To znów ten wielokrotny głos, dźwięczał dziwnie w jego uszach i wewnątrz głowy. — A może wolisz, żebyśmy znaleźli innego, ludzkiego mężczyznę na twoje miejsce? — Nacisk obcych umysłów wokół nich zdawał się go przygniatać, ciężar osiadł na jego mózgu, aż w jakiś sposób zobaczył ciemną wizję, jakby ktoś wyświetlał stary, amatorski film we wnętrzu jego głowy. Ciemną, ale okropną. To była Laura, wciąż w kręgu Lepidów, ale był z nią inny mężczyzna. Ciągnął jej długie blond włosy, rozdzierał żakiet, który nadal miała na sobie, podciągał jej spódnicę i wbijał się w nią...

— Nie! — Vince potrząsnął głową, próbując zablokować rwący się film, wyświetlany w jego głowie. — Przestańcie, niech was szlag!

Odwrócił się do Laury i zobaczył, że ona też otrzymała te obrazy i to prawdopodobnie dużo wyraźniej niż on. Jej twarz zrobiła się biała jak prześcieradło, a oczy barwy zmierzchu zrobiły się absolutnie ogromne.

— Vince... — Jej wargi drżały tak, że ledwo mogła układać słowa. — Vince, *proszę*. Jeśli... jeśli to musi się stać, wolę, żebyś to był ty. *Proszę*...

— Nie chcę zrobić ci krzywdy. — Powiedział bezradnie. Wyciągnął rękę, żeby pogłodzić lok jej długich włosów i ścisnęło mu się serce, kiedy obserwował jak zmusza się do przyjęcia tej pieśczoły, żeby nie odskoczyć od jego dotyku.

— Nic mi nie będzie. — Stała prosto i spróbowała wyglądać na odważną. Drżącymi palcami rozpięła czarny żakiet, otwierając go szeroko, żeby pokazać pełne piersi, przyciśnięte do przejrzystej, białej koszulki z jedwabiu, którą miała pod spodem. Vince rozpoznał, co to było — gest rezygnacji, a nie pożądania.

— Lauro —

Pokręciła głową. — Nic mi nie będzie. — Jej głos drżał, a sutki wyraźnie widoczne przez biały top były twarde ze strachu, nie z potrzeby. — Ale... ale będziesz musiał mnie wziąć, Vince. Jestem... zbyt przestraszona, żeby do ciebie przyjść. Rozumiesz?

— Rozumiem, że zapraszasz mnie, żebym cię zgwałcił. — Powiedział ostro. — I nie zrobię tego.

— Ale jeśli nie... — Jej twarz skrzywiła się i nie mogła kontynuować.

— Słuchaj. — Przyciągnął ją do siebie szorstko, uważając, żeby nie dotykać nagiej skóry. — Chcą swojej erotycznej energii? Świetnie, damy im ją. Ale nie w ten sposób.

— Więc jak...? — Jej oczy były rozszerzone i pełne nadziei, bojące się uwierzyć.

— Zaufaj mi. — Powiedział, patrząc w te oczy i mając nadzieję, że u diabła wie, co robi. — Po prostu mi zaufaj.

Rozdział 25

Laura wzięła głęboki oddech i wypuściła go, zastanawiając się, co miał na myśli, jak zamierzał wypełnić żądania Lepidów bez zrobienia... tego. Potem poczuła gniew na samą siebie za bycie takim tchórzem, że nie mogła nawet o tym pomyśleć. Vince był przedsiębiorczy i jeśli miał pomysł na obejście seksu w tym miejscu, pośrodku kręgu obcych, czekających, żeby pożywić się ich emocjami, to powinna mu ufać.

Czuła przygniatający ją, tępy nacisk Jednego Umysłu — Lepidzi byli gorliwi, głodni, niecierpliwi.

— Szybko. To musisi być szybko. — Obrazy zaczęły przepływać przez jej głowę.

— Nie! — Sapnęła. — Trzymajcie się z daleka od mojego umysłu!

— Lauro! — Jego ręce na jej ramionach były ciepłe, promieniowały jego troską o nią nawet przez rękawy jego czarnego żakietu, który nadal na sobie miała, a jego brązowe oczy były ciepłe i rozkazujące. — Patrz na mnie. — Zażądał. — Chcę, żebyś skupiła się na mnie i odcięła wszystko inne.

Zmusiła się do zrobienia jak powiedział, do skupienia się na nim, zrobienia z niego centrum jej skupienia, jej świata. — Co... co zamierzasz zrobić?

— Chcę czegoś spróbować, ale musisz mi pomóc.

Pokiwała głową, pokazując swoją chęć do współpracy. — Powiedz mi tylko, co robić.

— Daj mi rękę. — Wyciągnął jedną ze swoich, czekając, aż zrobi jak prosił. Zrobiła to niechętnie, przygotowując się na szok jego emocji. Kiedy ich dłonie się zetknęły, wyrwało jej się lekkie sapnięcie. Dla jej dobra próbował trzymać swoje emocje pod kontrolą, próbował nad sobą panować. Laura to czuła. Mimo to, jego emocje były tak *silne*, tak przytłaczające, tutaj, w ulu Lepidów, gdzie wszystko było wzmocnione.

— Odpręż się. — Wszeptał. — Pozwól sobie do tego przywyknąć. Nie zamierzam dotykać niczego, poza twoją ręką. To bardziej intensywny dotyk pogarsza sprawę, zgadza się?

Poczuła, że jej twarz robi się gorąca, kiedy przypomniła sobie ostatnią noc spędzoną w jego domu. Jego usta na jej i te duże, ciepłe ręce na jej piersiach. — Tak. To prawda. — Wymamrotała. Już prawie przywykła do czucia jego dłoni na swojej. Wyczuwanie jego emocji, przepływających przez nią było jak wejście do wanny z lekko za gorącą wodą — znośne, ale ledwie.

— Więc trzymanie się za ręce powinno być w miarę bezpieczne. — Ciągnął Vince, wciąż patrząc na nią poważnie. Przynajmniej w porównaniu z tym, co chcieli, żebyśmy zrobili. — Kiwnął głową w kierunku otaczającego ich kręgu Lepidów, którzy niecierpliwie szeleścili skrzydłami.

Skinęła głową, zastanawiając się, o co mu chodziło.

Vince splótł ich palce, łącząc ich i wpatrzył się uważnie w jej oczy.

— Co... — Musiała przełknąć ślinę, czując nagłą suchość w ustach. — Co chcesz zrobić?

— Tylko porozmawiać. — Odpowiedział łagodnie. — Powiedzieć ci, co czuję. Powiedzieć ci, co chcę z tobą zrobić.

Zamierza prowadzić ze mną niegrzeczną rozmowę? — Ja... — Znowu przełknęła ślinę, słysząc suchy dźwięk w swoim gardle. — Co to da?

Pokręcił głową. — Po prostu słuchaj. Spróbuj się zrelaksować i pozwól temu po tobie przepływać — wyluzuj trochę. Spróbujesz?

Laura pokiwała głową w milczeniu, lekko ściskając jego palce. Już czuła napływający od niego żar, liżący jej skórę łagodnymi falami. Nie był zbyt intensywny... jeszcze.

Odetchnął i obrzucił ją spojrzeniem z góry na dół, nie mówiąc ani słowa i Laura zorientowała się nagle, że przód jej czarnego żakietu znowu był szeroko otwarty idealnie obramowując jej piersi za przejrzystą bluzką z białego jedwabiu. Poruszyła się, żeby zapiąć go wolną ręką, ale Vince potrząsnął głową.

— Na razie to zostaw. Chcę na ciebie patrzeć, nawet, jeśli nie mogę dotknąć. Jesteś piękna, wiesz o tym?

Laura zarumieniła się szkarłatem i popatrzyła w podłogę. Czuła jego szczerość, płynącą przez ich złączone dłonie, ale ciągle ciężko było w to uwierzyć.

— Te wszystkie, miękkie blond włosy i te duże oczy... ciągle nie zorientowałem się, w jakim są kolorze, wiesz? — Uśmiechnął się do niej łagodnie. — A twoje piersi są takie duże i smakowite — idealnie pasują do moich dłoni. Uwielbiałem to jak twoje sutki zrobiły się tak twarde, kiedy dotykałem cię tamtej nocy... uwielbiałem te miękkie odgłosy, które wydawałaś, kiedy się podnieciłaś. Podnieciłaś się, prawda, kochanie? No dalej, odpowiedz.

Kiwnęła głową, niezdolna się odezwać. Między ich połączonymi dłońmi zaczął narastać żar.

— Zgadza się. Wiedziałem, że tak. Mogłem to powiedzieć po tym jak się przy mnie poruszałaś. Chcesz wiedzieć, co ci chciałem zrobić, Lauro? Co nadal chcę ci zrobić?

Wydawało się, że jej język zmienił się w ołów, ale zmusiła się, żeby mu odpowiedzieć. — Chciałeś... kochać się ze mną?

Vince pokręcił głową, ciemne oczy przeszukiwały jej własne. — Nie, skarbie — a przynajmniej nie od razu. Trzeba popracować na główne danie. Nie, najpierw chcę cię posmakować. — Szeroki kciuk zataczał leniwe kółka na jej dłoni i Laura poczuła w gardle przyspieszający puls. Za nimi Lepidzi zaszeleścili niecierpliwie skrzydłami. Popatrzyła przez ramię, przygryzając wargę, ale Vince z powrotem przyciągnął jej oczy do swoich.

— Nie na nich, Lauro. Patrz tylko na mnie. Chcę, żebyś myślała o tym, co mówię. Chcę cię *posmakować*. — Jego głos był niski i pełen pragnienia, a ona czuła jego potrzebę, pulsującą na jej skórze falami płomienia.

— P... posmakować mnie? — Wydukała, czując jak cała się rumieni. — Ale zeszłej nocy my... już mnie całowałaś. — Odruchowo uniosła do ust wolną rękę, przypominając sobie palący żar jego ust, nakrywających jej usta.

Vince uśmiechnął się i mogła poczuć jego rozbawienie, kręcące się wśród zawirowań pożądania pieszczących jej skórę. — Nie, skarbie. Nie twoje usta — chcę spróbować tego gorącego, miękkiego miejsca między twoimi nogami. Twojej słodkiej, mokrej cipki.

— Ja... ja... — Laura poczuła, że brakuje jej słów. Spędziła większość życia, próbując nie rozmyślać o seksualnych możliwościach i scenariuszach, zwłaszcza odkąd stało się jasne, że seks z Geraldem nigdy się nie wydarzy. Ale miała przeczucie, że nawet, gdyby istniała taka możliwość, to było coś, czego Gerald nigdy by nie zasugerował. — Nie rozumiem. — Udało jej się w końcu wydusić.

— Więc pozwól, że ci wyjaśnię. — Jego ciemne oczy były w połowie przymknięte i tonące głęboko w pożądaniu, które wyczuwała, pulsujące między ich splecionymi palcami. — Najpierw otworzyłem twój żakiet i podciągnął ci bluzkę. Chcę jeszcze raz wziąć do rąk te twoje wielkie, smakowite piersi. Twoja skóra jest taka biała i miękka, jak jedwab pod palcami. — Pochylił się naprzód, jego słowa uderzały o jej szyję ciepłymi dmuchnięciami powietrza, jego emocje prawie nieznośnie rozpały jej własne.

— Poczulbym jak twoje sutki twardnieją, kiedy je uszczypnę — jak dwie dojrzałe, czerwone jagody, błagające, żeby je ssać. — Jego kciuk kontynuował pieszczotę miękkiego wnętrza jej dłoni i wyczuła potrzebę, wylewającą się z nich obojga, karmiącą głód Jednego Umysłu. Mimo to nie mogła przestać — nie chciała przestać.

Przelotnie zamknęła oczy, próbując nie wyobrażać sobie tej ciemnej głowy, pochylonej nad nią, uczucia jego gorących, mokrych ust na wrażliwych czubkach jej piersi, które wciąż wydawały się okropnie odsłonięte przez rozpięty żakiet. Jej sutki, które wcześniej zmieniły się ze strachu w stwardniałe punkty, teraz pulsowały z innego powodu.

— Chciałabyś poczuć jak ssę twoje sutki, Lauro?

— Tak myślę. — Wymruczała niskim, drżącym głosem, wiedząc, że potrzebował, żeby w tym uczestniczyła.

Vince aprobująco kiwnął głową. — To dobrze, skarbie. Chciałbym długo ssać te czerwone, dojrzałe sutki, przetaczać je w ustach, muskać językiem. Robiłbym to, aż znowu usłyszałbym jak zaczynasz wydawać te ciche dźwięki, aż wiedziałbym, że jesteś gotowa.

— Gotowa? — To słowo wypłynęło na fali oddechu, którego nie wiedziała, że wstrzymywała. Ból jego pożądania napierał na nią, pulsował w czubkach jej piersi i wilgotnym

żarze między jej nogami. Mgliście usłyszała za sobą szelest łusek, ale ten dźwięk był odległy... nieistotny.

— Gotowa. — Wyszeptał Vince. — Gotowa, żeby się położyć i podciągnąć tę ciasną spódniczkę. Gotowa, żeby rozłożyć dla mnie nogi. Mogłabyś to dla mnie zrobić, skarbie? Mogłabyś rozłożyć te miękkie, kremowe uda i wpuścić mnie między nie?

Laura zamknęła oczy, czując zawroty głowy z potrzeby. Nie była już pewna czy jego, czy swojej. Obraz jak klęczy między jej rozłożonymi udami, wielkie, ciemne ręce na niej w tak wielkim kontraście z jej własną, bladą skórą, nie chciał odejść. *Zakazane*. Tak, ale przez to o wiele bardziej rozkosznie erotyczne.

— Odpowiedz mi, Lauro. — Jego głos był niski i rozkazujący.

Oczy Laury otwarły się by znaleźć go, przypatrującego się jej uważnie. Żądał jej zaangażowania w ten scenariusz. — Ja... tak, mogłabym to zrobić. — Wyszeptała, czując puls tętniący w gardle oraz fale pożądania, liżące coraz wyżej i wyżej. Vince trzymał teraz jej dłoń obiema swoimi, gładząc jej nadgarstek jak zeszłej nocy. Zastanowiła się słabo czy czuł pod palcami jej galopujący puls.

— Co mogłabyś zrobić? — Nalegał, pieszcząc ją łagodnie, ale pewnie.

— Mogła... mogłabym rozłożyć dla ciebie nogi. — Powiedziała miękko, zmuszając się do popatrzenia w żarzące się głębie jego oczu. — Zrobiłabym to, Vince. Zrobiłabym, gdybym mogła. — To wyznanie spowodowało rumieniec na jej policzki i strumień czystego podniecenia z jego strony. Przepływało po niej, przez nią, z niej, do czekających Lepidów. Laury to nie obchodziło.

— To dobrze, skarbie. — Powiedział miękko. — Właśnie to chciałem usłyszeć. Teraz. — Uniósł jej dłoń i przycisnął do swojego policzka. Połączenie natychmiast stało się intensywniejsze, stając się prawie przytłaczające. Laura sapnęła, a Vince popatrzył na nią z jedną brwią uniesioną w milczącym pytaniu. Przełknęła ciężko i skinęła głową, żeby kontynuował.

— Kiedy miałbym cię już otwartą dla mnie, mógłbym na ciebie popatrzeć. Zobaczyć jak mokra jesteś. — Przytulił się do jej dłoni, nie odrywając wzroku od jej oczu.

— D... dlaczego?²³ — Laura ścisnęła mocno nogi, próbując nie myśleć jak gorąca i wilgotna była w tej chwili.

Vince delikatnie pocałował wewnątrz jej dłoni, sprawiając, że podskoczyła, od nagłego wzrostu pożądania i doznań. — Ponieważ, skarbie, im bardziej jesteś mokra, tym lepsze to jest. Jeśli dobrze bym się spisał, ssąc twoje, dojrzałe sutki i sprawiając, żebyś była gorąca, to do czasu, kiedy rozłożyłabyś dla mnie nogi, byłabyś tak mokra, że mógłbym to zobaczyć. Twoja mała, miękka cipka byłaby cała gorąca i nabrzmiała, bo tak potrzebowałaby mojego dotyku. —

²³ Dlaczego? Ja się pytam czy ona jest dorosłą kobietą czy czternastoletnią panienką, wychowywaną w klasztorze?

Przerwał, żeby znowu pocałować jej dłoń i tym razem Laura pomyślała, że poczuła muśnięcie języka. Gdzieś z oddali do jej uszu dotarł dźwięk setki poruszonych skrzydeł, ale nie mogła się rozejrzeć, bo jego oczy nie chciały jej uwolnić.

— Byłbym w stanie stwierdzić, że jesteś gotowa, ponieważ słodkie, wrażliwe wargi twojej cipki by się rozdzieliły — otwały jak płatki kwiatu — i mógłbym zobaczyć śliskie, różowe wnętrze. Byłaś już kiedyś tak gorąca, skarbie?

Laura pokiwała głową i spuściła wzrok, czując drapanie jego wąsów na dłoni i rosnący żar przez ich połączenie. Bała się przyznać, że teraz była tak gorąca, że mogła poczuć jak otwiera się dokładnie tak, jak opisał. Uświadomiła sobie, że on czekał na werbalną odpowiedź. — Tak. — Powiedziała cicho, czując jak jej oddech przyspiesza, a tętno pędzi, żeby zrównać się z jego.

— Boże, ten twój miękki głos sprawia, że jestem tak twardy. — Powiedział szorstko. — Kiedy miałbym cię już na plecach z rozsuniętymi nogami, i wiedziałbym, że jesteś gotowa, otwarłbym cię palcami i pocałował tam. Poczulbym tę gorącą, śliską wilgoć na wargach, całowałbym cię tak samo, jak całowałem twoje usta.

Laura uniosła wzrok i ciemne oczy wpatrzyły się w jej, przekazując, żar, który odczuwał. Wypukłość jego podniecenia w ciemnych spodniach od garnituru była oczywista nawet w przytłumionym, pomarańczowym blasku pomieszczenia. Potrzeba między jej własnymi udami była niezaprzeczalna, kiedy emocje wokół nich zbierały wirującą burzą żaru.

— Długo bym cię tak całował, skarbie. — Powiedział miękko Vince. — Chciałbym robić to bez pośpiechu i czuć jak rzucasz się i jęczysz pod moimi ustami. Nie spiesząc się smakować twoją słodką, słoną wilgoć. Później spędziłbym chwilę, ssąc twoją lechtaczkę, liżąc ją naprawdę powoli, żeby doprowadzić cię do szaleństwa. Ale wiesz, co by było najlepsze — co naprawdę chcę zrobić?

— Powiedz mi. — Wyszeptała, nie zmuszając go do pytania jeszcze raz. Do tej pory mokry żar między jej nogami wzrastał do gorączkowego poziomu. Prawie mogła poczuć doznania, które jej opisywał, gdy jego pożądanie omywało ją falami, wznosząc się wyżej i wyżej, w stratosferę.

— Chcę otworzyć cię szeroko i włożyć mój język tak głęboko w twoją, gorącą cipkę, jak tylko mogę. Poczulbym twoje uda na moich policzkach, ściskające mnie, zachęcające do kontynuacji. Twoje ręce na moich ramionach, kiedy jęczałabyś, sapała i ujeżdżała moją twarz. Byłabyś tak blisko, skarbie, tak cholernie blisko.

Przerwał i znowu przycisnął wargi do jej dłoni, ssąc łagodnie. Jego ciepły, mokry język sugestywnie omiatał jej skórę. Laura poczuła, że oddech utyka jej w gardle. *Była blisko* — blisko przeładowania, ale również innego rodzaju krawędzi. Zwalczyła impuls wyszarpięcia mu ręki i spróbowała pozwolić fali doznań unieść ją bez zatapiania jej.

— Powiedz mi... — Oblizwała wargi. — Powiedz mi więcej, Vince.

— Mmm. — Ciemnoczekoladowe oczy spojrzały głęboko w jej. — Długo używałbym na tobie mojego języka, skarbie, ale kobiecie nie zawsze jest łatwo dojść w ten sposób. Potrzebowałabyś czegoś więcej — penetracji.

Laura poczuła jak jej oddech ucieka w długim, gorącym westchnieniu. Mocno ścisnęła nogi, czując między nimi głęboki, przyjemny ból i płomienny żar emocji Vince'a, liżący jej skórę jak języki płomienia. Wokół nich narastało niskie bzyczenie, kiedy seksualna energia przepływała między nimi nieznośnie słodko, karmiąc Jeden Umysł, czekający w ciemnościach. Lepidzi się żywili. Laura wiedziała o tym, ale w jakiś sposób miała to gdzieś.

— Powiedz mi. — Wyszeptała znowu.

— Kiedy jesteś w tym stanie, mokra, gorąca i gotowa by dojść — wiem, że jesteś na mnie gotowa, skarbie. — Vince wziął jej dłoń i zamknął wokół dwóch swoich, długich, mocnych, brązowych palców. — Gotowa poczuć mnie w sobie.

Laura sapnęła, czując, że emocje znów wzrastają jak gorące fale oceanu, liżące prawie czubek jej głowy. *Tak blisko...* Tak blisko utonięcia. Tak blisko dojścia. Mocno ścisnęła palce, walcząc, żeby kontrolować panikę, ujeżdżać emocje zamiast pozwalać, żeby to one ujeżdżały ją.

Vince wydawał się rozumieć, że chwiała się na krawędzi przepaści. — Mogę sobie ciebie wyobrazić, skarbie. — Wyszeptał niskim, intensywnym głosem. — Mogę wyobrazić sobie ciebie, całkowicie otwartą, pragnącą mnie w sobie — pragnącą mnie tak bardzo, jak ja pragnę ciebie. I prawie mogę poczuć ten słodki, śliski żar wokół główki mojego fiuta, gdy wciskam się głęboko w ciebie.

Ostatnie słowa były powolne i odmierzone. Wymówił je nisko, patrząc jej w oczy i sugestywnie poruszył dwoma palcami, które ścisnęła mocno w garści. Laura znowu sapnęła, czując, że napięcie w jej wnętrzu osiąga szczyt, kiedy ścisnęła razem uda.

Wokół nich powiało nagle, gdy Tmm i wszyscy pozostali Zmmltt poderwali się do lotu. Laura po raz kolejny poczuła się jak w tworzącej huragan maszynie, czuła jak jej włosy unoszą się z twarzy jak flaga na wywołanym przez Lepidów wietrze. Kiedy czarne, uskrzydłone kształty uniosły się wokół nich, lecąc pierwszy i jedyny raz, tuż zanim byłaby zmuszona przerwać kontakt, poczuła uderzający w nią orgazm.

Fale załamywały się nad jej głową, zatapiając ją, paląc ją, tętniąc w jej skroniach, kiedy przeładowanie sensoryczne żądało jej uwagi, uderzając za jej oczami jak piorun. Mimo to kierowała nią rozkosz.

Mocno chwyciła jego palce, desperacko życząc sobie głębszego, bardziej spełniającego połączenia, choć wiedziała, że to tragicznie przeładowałoby jej organizm. Wydobywały się z niej miękkie, dyszące jęki, których nie mogła powstrzymać, nie mogła powstrzymać emocji, uderzających o nią jak ostre prądy na wzburzonym morzu.

— Lauro... *Lauro?* — Głos Vince'a był przerażony, nagłący. Jednak niespodziewanie wydał się równie odległy jak słaby szelest uderzających skrzydeł, kiedy Lepidzi zanurkowali w szczelinę, która otwarła się wysoko na ścianie, łącząc ich komnatę z komnatą królowej.

Chciała powiedzieć: *nic mi nie jest*. Jednak słowa nie opuściły jej ust. W swojej głowie widziała jak Lepidzi lecą, wznoszą się, nurkując na spotkanie królowej, by połączyć się z jej nabrzmałym odwłokiem. Poczwała agonię,

Nieznośną potrzebę, osiągającą szczyt, kiedy wbili się głęboko, Pchnęli żądłopodobne narzędzia rozkoszy i bólu w ciężarne ciało.

Jaskrawe obrazy rozbłysły za jej powiekami,. Pomknęły przez jej świadomość, gdy obserwowała ogromną królową, wijącą się w godowych spazmach, zatraconą w gorączce roju. Zobaczyła jak jaja zaczynają drgać i zmieniać się, kiedy wstrzyknięto w nie życie. Już nie puste i nieoczekujące, zmieniały się teraz w wygłodniałe potwory, którymi musiały się stać. Podczas, gdy jaja rosły, odwłok królowej zapulsował gwałtownie kolorami tęczy, barwiąc jej salę odcieniami elektrycznego błękitu i bladego fioleto.

Królowa — jaja — żeby dojrzeć, muszą mieć energię! Obrazy w jej głowie wypełniły umysł jak woda lub krew, wypychając wszystko inne. Kiedy ogarnęła ją miazdząca, paląca agonია przeładowania sensorycznego, Laura zorientowała się nagle, co należało zrobić, jak powstrzymać odrażający proces.

— Lauro... Lauro, krwawisz! — Poczwała jego ręce na ramionach, ściskające ją z gorączkową siłą i ciepły strumyk płynnego gorąca na górnej wardze. Poczwała w ustach jakby smak miedzi, a potem już nic.

Rozdział 26

Vince ją obejmował, bezwładne ciało wtulone w jego ramiona. Pod kruchymi, wyglądającymi na posiniaczone powiekami widział szybkie ruchy, a jej klatka piersiowa unosiła się płytko i opadała.

Gdzieś w sąsiedniej komorze parzyli się Lepidzi, ich jaja dojrzewały w monstrialne stwory, których nie potrafił sobie nawet wyobrazić, a Ziemia obracała się w błogiej ignorancji, nieświadoma i nieprzygotowana na to, co nadchodziło z nieba jak ognisty deszcz. Nic z tego nie miało znaczenia.

Vince trzymał ją, nie zdając sobie sprawy, że mówi cicho: — No dalej, Lauro. Wróć do mnie, skarbie. — Zrobił, co mógł, żeby zetrzeć krew z jej twarzy i zastanawiał się czy kiedykolwiek się obudzi.

Rozdział 27

— Lauro... — Uświadomiła sobie, że ktoś woła jej imię niskim, ochryplym głosem, że jest trzymana w ciepłych, silnych ramionach. Nie chciała odpowiadać, nie chciała wracać, ale w jego tonie była prosząca nuta, a głos był taki znajomy.

Czując, jakby jej powieki zostały zanurzone w ołowiu, Laura zmusiła się do otwarcia oczu i popatrzenia na pochyloną nad nią twarz.

— Lauro? — Jego radość, z zobaczenia jej przytomnej, była ostra i jasna, jak łyk świeżego soku z pomarańczy w senny poranek.

— Mmm... — Jej język zdawał się ciężki z wyczerpania. — Vince? — Spróbowała usiąść, a on pomógł jej, obchodząc się z nią, jakby była zrobiona ze szkła. — Gdzie...? — Rozejrzała się po znajomych, szaro-zielonych spiralach na ścianach i poczuła pod sobą ruch podłogi. *Wciąż tutaj. Boże, myślałam, że to może być koszmar. Miałam nadzieję...* Potrzęsnęła głową, czując się ociężała i otepiała. W jej ustach zalegał cierpki, miedziany posmak.

— W porządku? — Głos Vince'a był niespokojny, a jego emocje wahały się od zmartwienia do ulgi.

— Taa. — Potarła skronie, które bolały, pulsując słabo i niebezpiecznie, ostrzegając przed dalszymi, sensorycznymi ekscesami. — Co się stało?

— Nie pamiętasz? — Popatrzył na nią niedowierzająco. — Tego jak chcieli, żebyśmy...

— Och! — Wszystko powróciło natychmiast falą doznań. To jak Vince do niej mówił, sposób, w jaki jej dotykał, trzepot skrzydeł w tle, kiedy Lepidzi się żywili... *Lepidzi, żerowanie... wyrój!* Laura usiłowała wstać, czując zawroty głowy i mdłości. Vince spróbował podać jej rękę, ale jego zmartwienie było zbyt intensywne i odsunęła się.

— Hej, nie sądzę, żebyś powinna już wstawać. — W jego ciemnych oczach błysnęło ostrzeżenie, ale Laura miała ważniejsze zmartwienia.

— Jak długo? — Zapytała ostro, przeciągając rękami po rozwichrzonych włosach i próbując je jakoś uporządkować.

— Co jak długo? — Też podniósł się z podłogi i gniewnie skrzyżował ramiona na piersi.

— Jak długo spałam?

— Spałaś? Ty nie spałaś. — Głos Vince'a był szorstki. Potarł dłonią policzki, które zaczęły już się pokrywać szczecina. Laura zastanawiała się, jak długo byli na pokładzie ula Lepidów. Wydawało się, że kilka dni.

— Właśnie się obudziłam, oczywiście, że spałam. — Zaprotestowała niepewnie, zaprzeczając jego słowom w tym samym stopniu, co tępemu, pulsującemu bólowi w głowie.

— Zemdlałaś. — Powiedział płasko. — Trzymałem cię, kiedy to się działo. Oczy uciekły ci w tył i zaczęłaś zakrwawiać całe to miejsce. — Wskazał jej nos. — Potem zrobiłaś się bezwładna i opadłaś. Myślałem... — Jego głos zrobił się ostry i odwrócił wzrok. — myślałem, że cię zabiłem. — Dokończył wreszcie.

— Vince... — Chciała dotknąć jego ramienia, w jakiś sposób sprawić, żeby zrozumiał, że to nie jego wina.

— Może pół godziny albo trochę dłużej.

— Co? — Potrwało chwilę, zanim to do niej dotarło — odpowiadał na jej pytanie. Nagle powrócił pośpiech. Wypadła z gry na godzinę. Laura zamknęła oczy i otworzyła umysł, próbując wyczuwać, ale nigdzie nie znalazła obecności Trzylina, Jednego Umysłu. A więc godowy rój dobiegł końca. Ile potrwa, zanim zapłodnione jaja opuszczą wzdęty odwłok królowej i zaczną podróż do czekających kapsuł? Ile czasu minie zanim będą gotowe się wykluć i wylądować na Ziemi?

Laura doświadczyła niespodziewanego błysku, myśli z innego umysłu, obcego jak u Tmm, ale mniej skomplikowanego, bardziej skupionego na jednym celu i nieskończenie potężniejszego. Prawie, jakby widziała oczami samego statku. Ula.

Oczekiwanie... oczekiwanie na idealny moment, kiedy jaja będą dojrzałe, kiedy opuszczą królową i zostaną przeniesione przez statek tunelami, które nie zostały stworzone, lecz wyrosły dokładnie we tym celu. Napędzana wewnętrznymi mechanizmami ula, automatyczna perystaltyka przeniesie jaja tam, gdzie muszą się znaleźć — do kapsuł. Oczekiwanie by poczuć opuszczające jaja, a potem nadejdzie czas... czas podzielenia się... rozbicia na wiele małych części tak, że tylko rdzeń pozostanie w przestrzeni. Kapsuły powędrują na powierzchnię planety, na nowy teren, nowy świat do pożarcia, ogołocenia, rozkoszowania się, aż nie pozostanie na nim nic wartościowego.

Wtedy ul znów się połączy by się odrodzić. Nowy ul, nowa królowa, nowa kolonia, licząca miliardy. Wysoka faza w cyklu starszym niż samo życie. Powstanie i odleci z powrotem w najzimniejsze otchłanie przestrzeni, niosąc nowy ładunek śmierci i zniszczenia dla kolejnej, zdolnej planety, gdzie wszystko zacznie się od nowa...

To przeleciało przez jej głowę w ułamku sekundy, prawie zbyt szybko do uchwycenia, pozostawiając ją z uczuciem zimnego przerażenia w żołądku. W tej chwili dojrzywały jaja — jeśli poczekają, aż galaretowate, zapłodnione worki opuszczą ciało królowej, będzie za późno. *Jak długo to potrwa? Ile mamy czasu?* „Cykl” Lepidów był starożytny i trwało lata, zanim docierał do końca. Mimo tego czuła w kościach, że kiedy zwieńczenie cyklu zostało osiągnięte, wszystko działo się bardzo szybko. *Ile czasu mieli? Diabelnie niewiele!*

Zwróciła się do Vince'a, czując zimno. — Musimy się spieszyć! Musimy się stąd natychmiast wydostać!

— Co? Możesz mi powiedzieć, o co do cholery chodzi? — Brzmiał na rozdrażnionego, a jego ciemne brwi ściągnęły się nisko na czole, ale ruszył za nią, kiedy podbiegła do ściany i zaczęła gładzić ją gorączkowo.

— No dalej... *dalej*. — Mamrotała gorączkowo Laura. Przez bardzo złą chwilę myślała, że Tmm ustawił ściany sali, żeby nie reagowały na jej dotyk, a potem dziwne uczucie wysysania pomknęło w górę jej ramienia jak chłodny szlam i ściana zaczęła się ociężale otwierać.

— Co...? — Zaczął znowu Vince, ale ona tylko pokręciła głową.

— Nie ma czasu! Jeśli nie zrobimy tego zanim jaja opuszczą komorę królowej... — Przepchnęła się przez szczelinę, która ledwie wystarczyła, żeby się przez nią przecisnąć i sięgnęła w tył, żeby utrzymać ją otwartą dla Vince'a. Ul poruszał się teraz ociężale, koncentrując wszystkie wysiłki na królowej i dojrzewających jajach. Vince ledwie przecisnął się przez szparę, zanim znów się zamknęła i ściana stała się całością.

Laura wykorzystała chwilę na wzięcie się w garść, po czym pobiegła w głąb korytarza, jak miała nadzieję we właściwym kierunku. Światło w tunelu zrobiło się zauważalnie słabsze, a kręty korytarz zwęził się miejscami, gdy ul przygotował się do rozpadu na mniejsze kapsuły, które poniosą swój destrukcyjny ładunek.

— Lauro, dokąd idziemy? — Vince był już wyraźnie rozdrażniony, ale Laura nie mogła poświęcić energii na rozmowę. Mimo, że przez jej ciało pędziła adrenalina, tętnienie w skroniach trwało, a letarg ogarniał jej umysł. Wiedziała, że to statek Lepidów, ul. W jakiś sposób wysysał z niej energię, powoli ją wykańczając. Dla obcego organizmu, żerującego na sile emocji, była tylko kolejnym zasobem.

Była zmęczona, ale musiała iść dalej. *Szmat drogi, zanim będę mogła iść spać*. Pomyślała ponuro i ruchem głowy dała znać Vince'owi, żeby biegł za nią.

W końcu zatrzymali się przed tym, co jak miała pewność, było komnatą królowej, a naprzeciw niej... *Naprzeciw powinna być sala zbiorów*. Przygotowując się na intensywny napływ emocji, Laura przycisnęła dłoń do gruzłowatej ściany, czując chłodne wysączenie i czekając, aż się otworzy.

Po jak się wydawało, bardzo długim czasie, w ścianie zaczęła rosnąć szczelina. Laura zacisnęła powieki, oczekując uderzenia emocji. To jednak nie nadeszło.

— Kyra! — Vince przepchnął się przez otwór, a Laura poszła za nim, trzymając rękę na ścianie, żeby utrzymać otwartą szczelinę. Widok, który ją powitał, był potworny, pogorszony dziesięciokrotnie przez fakt, że widziała to pomieszczenie zaledwie kilka godzin wcześniej.

Wzdłuż ścian wąskiego, owalnego pomieszczenia, porwane dziewczyny w rozmaitych stanach ciąży, wisiały utrzymywane w miejscu przez mięsiste ramiona wydające się wyrastać z samej ściany.

Ze trzy dziewczyny nadal miały wyrostki, które Laura widziała już wcześniej, przyczepione do ich twarzy, ale pozostała piętnastka czy osiemnastka, miała odsłonięte twarze, zastygłe w

grymasach agonii lub żalu. Laura poczuła ból w sercu. Obok nich wisiały, niepotrzebne już, kwiatopodobne urządzenia. Zwiędłe i zwisające luźno na łądygach, czarne jak zgniła skórka banana. Kiedy patrzyła, odpadła kolejna ssawka, opuszczając zastygłą w maskę przerażenia twarz dziewczyny, której energię wysssała.

Mój Boże, pomyślała ze znużeniem, patrząc na ściany. Martwe! Wszystkie są martwe... wysrane w kilka godzin... Smutek z powodu zmarnowanych żyć, dziewczyn zabranych z rodzinnej planety by umrzeć w tym obcym miejscu zagroził przytłoczeniem jej i musiała go odepchnąć. To prawda. Wszystkie były martwe. Wszędzie, gdzie spojrzała, głowy opadły na cienkich jak patyki szyjach, nabrzmiałe brzuchy były jedyną, niepozbawioną ciała rzeczą w ciałach, które wyglądały bardziej na należące do ocalałych z obozu koncentracyjnego niż zdrowych nastolatek.

Za późno. Poczula się całkowicie bezradna. Spóźniliśmy się. Królowa ma prawie całą ich energię... więcej niż dość do zakończenia cyklu. Jaja nadal będą rosnąć.

— Kyra! Puszczaj cholero!

Laura odwróciła głowę i ujrzała Vince'a usiłującego uwolnić jedną z dziewczyn ze ściany. Jego młodsza siostra miała na sobie poszarpane, jeansowe łachmany, bez wątplenia pozostałości stroju, w którym była w klubie, kiedy porwali ją Lepidzi. Wyrastające ze ściany, szare ramiona wciąż trzymały ją pewnie, a mięsiste urządzenie ssące, teraz jaskrawopomarańczowe, było mocno przyciśnięte do jej twarzy. Po jej prawej, jedyna inna dziewczyna, która pozostała przy życiu zeszywniała, a potem rozluźniła się nagle w szarzielonych więzach, a pulsująca ssawka odpadła od jej nieruchomej twarzy. Stłumiona czerwień zbladła do ciemnej szarości, a potem do martwej czerni.

Vince zdwoił wysiłki, żeby oderwać Kyre od ściany, ciągnąc i szarpiąc mięsiste ramiona. Jednak to ssące, kwiatopodobne urządzenie, nadal przyczepione do twarzy jego siostry, martwiło Laurę. Jego kolor zmienił się z pomarańczowego na głęboką, brązową czerwień i widać było, że za chwytającymi płatkami oczy dziewczyny zaczynają robić się szkliste. *Jest szybkie.* Pomyślała ponuro.

— Vince, ściągnij to coś z jej twarzy! Natychmiast! — Opuściwszy szczelinę przy ścianie, która natychmiast zaczęła się zamykać, pobiegła do miejsca, gdzie wisiała jego siostra. Chwyła kwiatopodobną rzecz, próbując wcisnąć palce pod mięsiste, czerwone płatki i zobaczyła, że Vince robi to samo.

Oczy Kyry na chwilę się rozszerzyły.

Oboje pracowali nad urządzeniem, ciągnąc i odrywając i Laura zaczynała myśleć, że nie zejdzie, kiedy oderwała się z wysokim, obcym sykiem. Przez chwilę zwisała z jej ręki, wijąc się na łądydze. Potem Laura poczuła okropne wysysanie, sto razy silniejsze, niż gdy otwierała ścianę Lepidów i zdała sobie sprawę, że to coś wciąż działało. Gdyby mu pozwoliła, przylgnęłoby do niej i wysssało ją do sucha, jak te żalosne dziewczyny, zwisające ze ścian. Laura pospiesznie puściła ciemnoczerwony kwiat, obserwując jak wije się na końcu mięsistej łądygi.

Powoli jego ruchy osłabły i zwiędł i poczeriał przed jej oczami, aż znieruchomiał. Uratowali siostrę Vince'a, ale co to dało? Co to dało, skoro jaja dojrzewały nawet teraz?

Wpatrywała się w zwiędły kwiat i coś, jakieś wspomnienie lub myśl krążyło na granicy jej świadomości, próbując przyciągnąć jej uwagę. To miało coś wspólnego z jajami i pulsującymi kolorami ssącego kwiatu. Te kolory były z jakiegoś powodu ważne, to niezemskie spektrum płynnego światła, dochodzącego ze spuchniętego odwłoka, gdzie dojrzewała masa galaretowatych jaj... Laura zamknęła oczy, odcinając wszystko inne.

Jaja... kolory... Przypomniała sobie jak potężne, nieprzefiltrowane emocje, płynące z sali zbiorów do komnaty królowej, spowodowały dzikie fluktuacje, jak zmartwieni byli Lepidzi.

Kolory szalały nawet wtedy, kiedy Vince i ja byliśmy zdenerwowani... tylko my dwoje, zanim sala zbiorów została w ogóle otwarta... I dlaczego Tmm był tak wściekły, kiedy Rzz przez pomyłkę otworzył komorę królowej? Czy martwił się, że naruszy równowagę naszymi emocjami? To wciąż energia, prawda? Ale jaki rodzaj energii...?

Oczy Laury otworzyły się. Gdzieś z pamięci usłyszała niski, syczący głos, mówiący: *Tylko po zapłodnieniu jaja będą bardziej wrażliwe.* Może nie było za późno!

— Vince? — Miękki głos przyciągnął jej uwagę i Laura odwróciła się od martwego urządzenia ssącego by zobaczyć Vince'a, ostrożnie przyciskającego do piersi siostrę po tym jak wreszcie uwolnił ją ze ściany.

— Och, siostrzyczko, tak się cieszę, że znowu cię widzę! Wiedziałem, że gdzieś tam jesteś. Wiedziałem, że ciągle żyjesz. *Czułem to.* — W oczach Vince'a stały łzy i Laura czuła jego radość i ulgę jak promień słońca na twarzy.

— Ciągle żyję, o ile nie zadusisz mnie na śmierć. — Zirytowanemu mamrotaniu zaprzeczyło to, jak mocno Kyra owinęła cienkie jak patyki ręce wokół starszego brata.

— Smarkula. — Odpowiedział z uczuciem, dając jej prztyczka w nos i szybko cmokając w policzek.

Laura nienawidziła przerywać tak wzruszającego spotkania, ale... — Vince, nie mamy na to czasu.

Kyra wyrwała się niechętnie z objęć brata i popatrzyła na Laurę z zaciekawionym wyrazem twarzy. — Kto to?

Vince otworzył usta, bez wątplenia chcąc ją przedstawić, ale Laura przerwała mu.

— Rusz się. Jeśli chcesz ją ratować, zamiast umrzeć razem z nią, musimy iść. *Już.*

Skinął głową i wziął siostrę za rękę, ciągnąc ją do miejsca, gdzie Laura otwierała już ścianę, czując chłodne wrażenie wysysania. Wydostała się przez wąski otwór i obserwowała jak Vince zrobił to samo, delikatnie pomagając siostrze przejść.

— Dokąd teraz? — Popatrzył na nią wyczekująco.

Rozejrzała się po korytarzu, który stał się teraz bardziej tunelem. Był wąski i ciemny, ale wiedziała, gdzie jest komnata królowej i miała do pomocy jeszcze jeden drogowskaz. Miała tylko nadzieję, że wciąż tam jest...

Rozdział 28

— Chodź. — Powiedziała Laura i Vince ruszył za nią, ciągnąc za sobą Kyrę. Było jasne, że miała plan.

— Vince! — Kyra potknęła się na nierównej podłodze i prawie upadła. Odwrócił się i wziął ją na ręce tak samo jak kiedyś, gdy była małą dziewczynką.

— Dzięki, starszy bracie. — Oparła głowę na jego ramieniu, cienkie jak papier powieki opadły. Nawet idąc krętymi, wąskimi, słabo oświetlonymi korytarzami ula Lepidów, Vince nie mógł nie zauważyć, jak okropnie była lekka.

Kyra nigdy nie była wielką dziewczyną, a teraz nie ważyła prawie nic. Tylko jej brzuch był duży. Twardy i nabrzmiały, naciskał na jego klatkę piersiową.

Wydawało się, że przeszli długą drogę zanim Laura zatrzymała się z cichym okrzykiem, brzmiącym jak wyraz ulgi.

— Jest, dokładnie tam, gdzie to zostawiliśmy!

— Co? — Vince opuścił głowę, żeby się przyjrzeć i zobaczył, że wskazała ciemny obiekt, wystający z pokrytej spiralami ściany.

Popatrzył na Laurę, nie całkiem pewny, dlaczego się tak ekscytowała. — Więc wróciliśmy do punktu startu. I co z tego?

— Co z tego? — Laura niecierpliwie zamachała ręką. — To jedna z kapsuł, o których ci mówiłam. Jestem tego pewna. Ul się rozpadnie, a jedyny sposób, żeby mieć pewność, że wrócicie z Kyrą na Ziemię, to być w jednej z nich.

— Chodź, jest dość duża. — Laura popędziła go, ale nie kupował tego.

— Co ci chodzi po głowie? — Zapytał, idąc do dziury w ścianie, którą wywołała.

— Zatrzymanie jaj zanim znajdą się w kapsułach. Zatrzymanie ich zanim opuszczą królową, jeśli nam się uda. To nasza jedyna szansa. Już mogliśmy się spóźnić! Połóż siostrę w kapsule i ściągaj koszulę. — Ściągnęła z siebie żakiet, pozostawiając tylko białą, przylegającą, jedwabną bluzkę, zakrywającą pełne piersi. Wbrew wszystkiemu, Vince poczuł, że twardnieje na ten widok. *Zły moment*, przypomniał sobie stanowczo.

Ułożył śpiącą siostrę na boku, tuż za wejściem. Laura przytrzymała je otwarte jedną ręką, drugą zwijając żakiet w kulkę.

— Weź swoją marynarkę, podaj ją mi i ścięgnij koszulę. — Poleciała.

Ściągnąwszy ją, podał jej koszulę razem z marynarką.

— Dobrze. — Laura zwinęła je z własnym żakietem, robiąc z nich jak największy tobołek i włożyła w szczelinę, żeby powstrzymać ją przed zamknięciem. — Muszę mieć pewność, że będziesz mógł wrócić. — Wyjaśniła, widząc jego zdziwione spojrzenie. — Już po.

— Po czym?

— Po tym jak zrobimy, co trzeba. — Nie patrzyła mu w oczy. — Gotowe. — Najwyraźniej usatysfakcjonowana, że kłęb ubrań utrzyma szczelinę dostatecznie otwartą, skinęła do siebie głową i znów zwróciła się do niego. — W porządku, chodźmy.

— Dokąd teraz? Z powrotem do królowej? — Zgadł, wracając za nią wąskim, krętym tunelem.

— Tutaj. — Dyszała, gdy dotarła do komnaty. Stał w milczeniu, kiedy zmuszała niechętną ścianę ulla do wytworzenia kolejnego otworu.

— Dobra, co te...?

— Spodnie. — Zażądała, wyciągając po nie rękę. Sama próbowała wysunąć się ze spódnicy, jedną ręką utrzymując otwór i walcząc ze śliskim, czarnym materiałem.

— Dlaczego? — Vince się nie ruszył. Była teraz naga od pasa w dół, miękkie gniazdo blond puszek między jej nogami połyskiwało słabo w przyćmionym świetle. Choć okoliczności były tak absurdalne i tak poczuł jak jego ciało reaguje na ten widok. To sprawiło, że nie miał ochoty zrobić tego, o co prosiła.

— *Już, Vince!* Wyjaśnię, kiedy będziemy w środku. — Ruchem głowy wskazała komnatę, skąpaną pulsującym, ciemnoniebieskim światłem, wylewającym się na ciemny korytarz. Zapach świeżego mięsa i wyschniętych kwiatów był silny i niezbyt zachęcający.

Zmotywowany jej pośpiechem, ściągnął buty i zsunął spodnie, po czym podał je jej, zwinęte w kulkę. Został w szortach i skarpetkach, a Laura zdejmowała białą bluzkę, pozostając kompletnie naga. Jej ciężkie piersi zakotyły się, kiedy schyliła się nad kłębkami ubrań. Jej sutki były twardymi, małymi wykrzyknikami, podkreślającymi w wilgotnym półmroku jej krągłą sylwetkę. Czy ona oszalała? Normalnie był to rodzaj szaleństwa, które poparłby z całego serca, ale w tym momencie okoliczności naprawdę nie były odpowiednie.

— W porządku. — Wskazała dziurę w ścianie. — Wejdz, a ja pójdę za tobą i użyję tego, — Wskazała rękę z ubraniami i butami. — do zablokowania otworu.

— Nic nie—

— *Wiem, że nie rozumiesz.* — Powiedziała ze znużeniem. — Wyjaśnię, kiedy znajdziemy się w środku. *Proszę.*

Jeszcze raz ponaglenie w jej tonie skłoniło go do ruchu i przelazł przez szczelinę do komory królowej, czując wilgotne prądy powietrza, pełne dziwnych, obcych woni, pieszczące jego prawie nagie ciało. Komnata była pełna połyskującego pyłu, którego przysiągł sobie nigdy więcej nie wdychać. Miał nadzieję, że miała jakiś, cholernie dobry plan, który sprawi, że

upośledzający letarg, który na pewno nastąpi po przedłużonym wystawieniu na tę obcą bakterię, będzie tego wart.

Poszła za nim szybko, zatykając dziurę kłębem ubrań, jak zrobiła z kapsułą, w której spała Kyra. Vince czekał na nią, patrząc w górę, na pulsujący, niebieski blask, docierający z sufitu. Potężna królowa Lepidów nadal tu była, ale jeśli wcześniej jej odwłok wydawał się wielki, teraz był absolutnie ogromny. Nabrzmiały, masywny. *Gotowy, żeby eksplodować*. Pomyślał, nerwowo przełykając ślinę.

Ciemniejsze kształty wewnątrz świecącego, przejrzystego odwłoka nie były już idealnie zaokrąglonymi, jajowatymi cieniami, które pamiętał sprzed zaledwie kilku godzin. Rosły, wydłużały się i wiły w rozdętym łonie królowej. *Przygotowują się do wyklucia, złożenia albo urodzenia, czy cokolwiek robią te stwory*. Pomyślał z niepokojem. *Przygotowują się do przeniesienia do kapsuł. Miał nadzieję, że z Kyrą wszystko w porządku*.

— Vince... *Vince*. — Poprowadziła go w głąb komnaty, aż znaleźli się prawie bezpośrednio pod jarzącym się odwłokiem, zwisającym z sufitu ponad piętnaście metrów nad nimi.

Po drodze minęli coś, co Vince wziął początkowo za gigantyczne, suche liście. Przyjrzał się uważniej i zobaczył, że „liście” były skurczonymi, wysuszonymi ciałami samców Lepidów, Zmmltt, jak nazwał ich Tmm. Ich skrzydła zwinęły się w zeschnięte rurki, pozbawione szeleszczących łusek, a dziwnie segmentowane kończyny były przyciągnięte do długich, obcych ciał. Vince pomyślał, że wyglądają jak mumie na absurdalnej, muzealnej ekspozycji. Zrozumiał, że rój godowy musiał ich zabić.

— Chodź tutaj. — Laura zatrzymała się i ustawiła plecami do jednego z szerokich, mięsistych, szarawych słupków dziwnych kwiatów. Vince ruszył w jej stronę, po czym zatrzymał się, unieruchomiony jej widokiem w tym zapomnianym miejscu.

Płynny, błękitny blask, świecący z królowej nad ich głowami otulał jej blade, nagie ciało, a obce prądy powietrzne, wypełnione połyskującym pyłem, poruszały jej długie, blond włosy.

— Chodź tu. — Powtórzyła, wyciągając do niego ręce. Pył już na niego wpływał, wyostrając mu zmysły, otwierając część jego mózgu, która nigdy nie miała być otwarta. Tę samą część, która u Laury była otwarta przez cały czas.

— Czego chcesz? — Czuł dochodzący od niej strach jak czubek zimnego ostrza, przeciągany po bruzdzie jego kręgosłupa. Jednak jej strach był przyprawiony oczekiwaniem — smakiem gorącego cynamonu na czubku jego języka.

— Chcę ciebie. — Jej słowa były niskie, pobudzające.

Popatrzył na nią niepewnie. Na pewno nie miała na myśli tego, na co to zabrzmiało — prawda?

— Lauro, ja nie —

— Chcę cię. — Powiedziała znowu. — Potrzebuję cię, Vince. Potrzebuję, żebyś się ze mną kochał.

Rozdział 29

Ciągle się powstrzymywał. — Tutaj? Teraz? To naprawdę nieodpowiednie miejsce, skarbie, nawet, gdybyś mogła to znieść. A cholernie dobrze wiem, że nie możesz. — Skrzyżował ramiona na szerokiej, nagiej piersi, ze sceptycznym wyrazem ciemnoczekoladowych oczu.

Laura poczuła, że ściska jej się serce. — Vince, proszę, wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale to część planu. Nie możesz po prostu mi zaufać? Tak jak ja ci zaufałam?

Vince pokręcił głową. — Przykro mi, ale będziesz musiała wytłumaczyć ten swój plan. — Podeszedł do niej, ciągle uważając, żeby jej nie dotknąć i wyczuła jego konsternację, wirującą wokół jej głowy jak chmura komarów, ale też ciepło jego opiekuńczości. Uważał na nią — nie chciał jej skrzywdzić.

— Ja... — Pokręciła głową, wiedząc, że jej pośpiech nie pobudzi już go do działania. Będzie musiała to wyjaśnić. — Jaja. — Powiedziała, wskazując w górę. — Ciągłe są w królowej, ciągle w jej ciele, więc wciąż mamy czas. Ale nie wiem ile, więc potrzebuję, żebyś zrobił to ze mną, *teraz*. Teraz, póki jeszcze mamy czas.

— Czas na co? Szybki seks? — Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

Laura skrzywiła się, a on wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć, przeprosić, a potem opuścił ją gwałtownie. — Słuchaj, przykro mi, ale nie rozumiem, co próbujesz osiągnąć.

— Vince, proszę. Nie możesz mi po prostu zaufać? — Samo przebywanie w ogromnej komnacie było wyczerpujące i wiedziała, że w żaden sposób nie zostanie jej dość energii, żeby otworzyć następne wyjście. To dlatego nalegała, żeby zaklinować je tak, żeby Vince mógł wyjść po tym jak zrobią to, co konieczne. Sama nie spodziewała się stąd odejść.

— W porządku. — Mruknął, zaczynając ściągać spodnie i buty tak, jak zażądała. — Ale docenię, jeśli w końcu wprowadzisz mnie w szczegóły — przykładowo, dlaczego się nagle rozbieramy.

— Słuchaj, — Powiedziała, próbując utrzymać spokojny i równy głos. — myślę, że jeśli zdołamy wytworzyć dość tego, co Tmm nazwał „energią erotyczną”, możemy zabić te jaja, zanim opuszczą tę salę — zanim opuszczą królową.

Ciągle wyglądał sceptycznie. — O czym ty mówisz? Te stwory *żywią się* energią — tylko je wzmocnimy.

— Nie. — Potrząsnęła głową. — Zastanów się. Dlaczego Tmm tak się zdenerwował, kiedy Rzz przez pomyłkę otworzył komorę królowej przed wyrojem? Dlaczego nie kazali nam po prostu wytworzyć erotyczną energię w tym pomieszczeniu? — Machnęła ręką, wskazując ogromną komnatę wokół nich. — Jest wystarczająco duża. Do ciała, nawet za duża. Po co w ogóle zawracać sobie głowę przechodzeniem do innej sali?

— Po co? — Uniósł brwi, w tej chwili naprawdę słuchając.

— Powiem ci, po co. — Laura pochyliła się do przodu, podkreślając swój punkt widzenia, prawie trzęsąc się z potrzeby sprawienia, żeby zrozumiał. — Dlatego, że to *zły rodzaj energii!* Zbyt potężny, zbyt intensywny — tak samo, jak energia ciężarnych dziewcząt była zbyt intensywna, żeby podać ją bezpośrednio królowej. Najpierw musi być... nie wiem, przefiltrowana.

Vince zmarszczył czoło. — Więc tym były te maski na ich twarzach? Filtrami?

Laura przytaknęła. — Tak sędzę. Pamiętasz, jakie było zamieszanie, kiedy pokoje zostały otwarte jednocześnie i nieprzefiltrowane emocje dziewczyn płynęły swobodnie? Musimy wywołać potężną, emocjonalną energię. Dokładnie tutaj, w komnacie królowej. Rodzaj energii, którego nie może znieść. — Ruchem głowy wskazała w górę. — Pamiętasz, co powiedział tamten Lepid, gdy obserwowaliśmy ich kłótnię w korytarzu? *Tylko po zapłodnieniu jaja są bardziej wrażliwe.*

Zmarszczył brwi w zamyśleniu. — Chyba tak.

Wzięła głęboki, drżący oddech. — Vince, musimy zrobić to teraz, dopóki jaja są ciągle w królowej, zanim znajdą się na zewnątrz i ul zacznie przenosić je do kapsu! To ostatnia szansa, jedyna jaką mamy, żeby to wszystko zatrzymać. Teraz rozumiesz?

Powoli pokiwał głową. — Myślisz, że gdybyśmy mogli wywołać to samo napięcie emocjonalne, które wywołaliśmy dla roju, moglibyśmy usmażyć jaja zanim się wyklują. — Spojrzał w górę, wskazując pełną jaj królową.

— Tak! — Laura poczuła się słaba z ulgi. Zrozumiał, o co jej chodziło — pomoże jej to zrobić. Ale jego następne słowa znowu wrzuciły ją w stan rozpacz.

— Nie mogę. Przykro mi, ale nie. Nie ma mowy. — Pokręcił głową, odsuwając się od niej o krok.

— Dlaczego nie. — Laura poczuła, że jej dłonie zaciskają się w pięści. — Pomyśl o swojej siostrze. Do diabła, pomyśl o całej Ziemi, wszystkich ludziach, zajmujących się swoimi sprawami i nie mających pojęcia, że te... te drapieżne *maszyny do żarcia* niedługo wylądują i zetrą ich z powierzchni ziemi. — Niebieskie światło mignęło krótko fioletem od siły jej emocji, ale to nie wystarczyło, pomyślała desperacko. Tylko jedna rzecz byłaby wystarczająca, a on nie zamierzał jej pomóc.

— Więc chcesz się poświęcić, żeby ratować planetę? O to chodzi? — Rzucił.

— Tak! — Odkrzyknęła. — Tam na dole są ludzie, na których mi zależy — moi rodzice, kocham ich, chociaż są szaleni. I... i... — Popatrzyła na swoje dłonie, zastanawiając się, jak to powiedzieć. — Tu też są ludzie, na których mi zależy. Proszę, Vince, to twoja jedyna szansa, żeby ująć stąd z życiem. Jesteś silny, ale spójrz na te stwory. — Wskazała wijące się, robakowate cienie, drgające w półprzezroczystym, niebieskim odwłoku królowej nad ich głowami. — Nie możesz walczyć z nimi wszystkimi — są ich tysiące, może miliony. Musimy spróbować zanim będzie za późno.

Zrobił krok w jej stronę, górując nad nią w prawie groźny sposób, a jego gniew omył ją jak paląca powódź. Nad ich głowami przelotnie zamigotało światło. — Nie zapominaj, że *widziałem* jak to na ciebie wpłynęło ostatnim razem, a dotykałem tylko twojej *dłoni*. Prosisz, żebym cię zabił, zupełnie, jakbym przystawił ci do głowy pistolet i pociągnął za spust!

Laura popatrzyła na niego, usiłując nie płakać. — Wiem. — Skrzyżowała ramiona na piersi, zasłaniając się przed nim, nagle zawstydzona własną nagością. — To, że wdychasz pył, dotykając mnie, spowoduje sensoryczną pętlę. Prawdopodobnie... prawdopodobnie przeładuje chemiczne ścieżki w moim mózgu i spowoduje trwałe uszkodzenia... albo śmierć.

Vince pokręcił głową, odwracając wzrok. — Nie ma tu żadnego „prawdopodobnie”. To dlatego chciałaś utrzymać otwarte drzwi — dla mnie, bo sama nie planujesz wyjść stąd żywa.

— Chcę, żebyś pomógł mi uratować siebie, swoją siostrę i wszystkich innych ludzi, na których nam zależy. Vince, popatrz na mnie. — Przygotowując się na intensywne emocje, chwyciła jego dłoń w swoje, walcząc z przymusem odsunięcia się. Jego ciemne oczy niechętnie powróciły do jej.

— Wiedziałam. — Powiedziała mu Laura. — Kiedy weszłam do statku Tmm, wiedziałam, że nie wrócę. Przebywanie w tym miejscu — tym *ulu*, pozbawiło mnie sił. Jestem taka zmęczona, Vince. — Potrząsnęła głową, chcąc sprawić, żeby zrozumiał, uwierzył, próbując zignorować wybuchowe rozbłyski emocji, przechodzących przez nią jak porażenia prądem. — Myślę, że nawet, gdybyśmy w tej chwili weszli do kapsuły i wrócili prosto na Ziemię, cóż... nie sądzę, żebym z tego wyszła.

— Mówisz, że... Nie! — Potrząsnął głową, odmawiając uwierzenia w to, co próbowała mu powiedzieć.

Laura spojrzała na niego, czując wilgoć na policzkach, łzy, których nie dało się dłużej wstrzymać. — Masz teraz pył w organizmie. Możesz wyczuć, co czuję — wiesz, że mówię prawdę.

Podszedł bliżej, kładąc jej dłoń na ramieniu i patrząc w oczy. — Wyczuwam też twój strach. Wyczuwam jak przeraża cię prośenie mnie o to.

Laura spróbowała się otworzyć mimo, że ich emocje kotłowały się w jej wnętrzu, spróbowała sprawić, żeby uwierzył w to, co wiedziała, że jest prawdą. — Jeśli możesz wyczuć mój strach, potrafisz też wyczuć jak mocno tego chcę. Jak bardzo *cię* pragnę. Proszę, Vince, jeśli mój pierwszy raz będzie ostatnim, niech to będzie tego warte. — Spróbowała uśmiechnąć się przez łzy. — Chcę odejść z hukiem, co ty na to?

— Och, skarbie... — To był prawie jęk. Przyciągnął ją do swojej piersi i zanurzył twarz w jej włosach, trzymając ją mocno, wdychając jej zapach. Laura zamknęła oczy i zmusiła się do pozostania otwartą na emocje, uderzające w nią ogłuszającymi falami, zignorowania bolesnego łupania w skroniach.

Odsunął się na moment, patrząc jej w oczy. — Pragnę cię — wiesz o tym. Ale nie w ten sposób. Nigdy w ten sposób.

— To wszystko, co mamy. — Wyszeptała, przyciągając go z powrotem, czując jego potrzebę, strach, zmieszanie i ból jak deszcz kłujących iskier na twarzy. To było jak patrzenie bez wzdrygnięcia w buchający piec. — Proszę, Vince, kochaj się ze mną.

Rozdział 30

Przyciągnął ją do siebie w miażdżącym uścisku, czując jej strach, ból i potrzebę, jakby były jego własnymi. Boże, jak mógł zrobić to, o co prosiła? A jednak, gdy rozważył konsekwencje odmowy, jak mógł tego nie zrobić? Laura miała rację, to mogła być ich jedyna szansa.

Ale to nie myśl o miliardach niewinnych, niczego niepodejrzewających ludzi na dole do niego przemawiała. Ani nawet myśl o babci Gertie w Tampa czy o jego siostrze śpiącej samotnie w kapsule, która wkrótce wypełni się śmiercią, jeśli nie powstrzymają tego razem z Laurą, nie dała mu do tego siły. To były własne emocje Laury, jej dusza i umysł, otwarte dla niego w sposób, którego nigdy nie uważał za możliwy.

Pomimo jej strachu, pożądanie, które od niej czuł, było niezaprzeczalne. *Pragnę cię, potrzebuję cię...* Jak ciche westchnienie w jego umyśle, jak jej chłodne palce zamknięte wokół jego serca. To było coś, czego nigdy nie spodziewała się móc zrobić z kimkolwiek, a jednak oferowała mu to. Vince poczuł determinację sprawienia by było to dla niej przyjemne.

— Lauro. — Wyszeptał jej do ucha, wdychając jej słodki zapach, kochając lekko słony smak na wargach, kiedy pocałował ją w szyję. — Pamiętasz jak jakiś czas temu powiedziałem, co chciałbym ci zrobić?

Odsunęła się lekko, oddychając szybko. — Powiedziałeś, że chcesz... mnie posmakować? — Nad ich głowami światło mignęło krótko fioletem pod wpływem jej emocji.

Vince skinął głową, patrząc w głąbie jej pięknych oczu, pragnąc poczuć jej żar w swoich ustach, przetaczać jej pożądanie po języku jak dobre wino. — Możesz się położyć, skarbie? Położyć się i rozsunąć dla mnie nogi?

Bez słów skinęła głową, a on pomógł jej ułożyć się na ziemi. W komnacie królowej było ciepło i wilgotno a bardzo wolny, oddychający ruch podłogi na której leżeli, był prawie kojący. Vince upewnił się, że jest jej wygodnie i rozsunął jej blade, gładkie uda, rozkoszując się widokiem miękkiej blond kępki między nimi, która połykiwała już od rosy.

— Lauro? — Zapytał, przysuwając się bliżej, przyciskając szorstki od zarostu policzek do jej wrażliwego uda.

Zrozumiała jego pytanie i skinęła głową, ciągle zbyt bez tchu, żeby mówić. Nad nimi światło znów zamigotało fioletem i świeciło przez chwilę nim powróciło do błękitu.

— Dobrze. — Vince znów się do niej przytulił, ciesząc się jej ostrym wdechem i bólem narastającego podniecenia, które od niej wyczuwał. On też był pobudzony, już sama myśl o zrobieniu jej tego sprawiała, że był boleśnie twardy i wiedział, że Laura mogła wyczuć jego pragnienie przebiegające po jej skórze tak, jak on mógł wyczuć jej. To była intensywna pętla doznań, o której mówiła wcześniej — głębokie pulsowanie potrzeby, łączące ich razem jak elektryczne napięcie, wzmagające się do wstrząsającego finału. *Boże — a nawet jej jeszcze nie pocałowałem.*

Przeciagnał dłońmi po jej udach, wyczuwając mięśnie, tężejące pod jedwabistą skórą, wdychając słodką woń jej płci. Otwartymi ustami złożył miękki pocałunek na kremowym wnętrzu uda, kreśląc językiem leniwe kółka i zbliżając się do centrum jej pragnienia.

— Och!

Na moment uniósł wzrok by ujrzeć mocno zamknięte oczy Laury i wyraz prawie bolesnej koncentracji na jej pięknej twarzy. — Nie, skarbie. — Łagodnie skubnął jej udo zębami, wydobywając z niej kolejne sapnięcie i sprawiając, że otworzyła oczy.

— Vince? Co...? — Wyczuł jej konsternację, zmieszaną z rosnącym oczekiwaniem i podnieceniem.

— Chcę, żebyś patrzyła. — Użył niskiego głosu, celowo rozkazując. — Patrzyła, kiedy cię smakuję — obserwowała podczas, gdy jem twoją, słodką cipkę, Lauro. Rozumiesz?

Przytaknęła ruchem głowy, z szeroko otwartymi oczami, a światło nad nimi zapulsowało czystym odcieniem fioletu zmieszanego z purpurą i tym razem nie wróciło do punktu wyjścia. *To działa*, pomyślał Vince, po czym skierował uwagę z powrotem na rozciągniętą przed nim kobietę. W tej chwili nie chodziło o nic, poza jej przyjemnością.

— Obserwuj. — Polecił znowu i opuścił głowę by pocałować jej miękkie, mokre wejście w ten sam sposób, jak całowałby jej usta. Znowu sapnęła i Vince zobaczył kątem oka, że jej małe dłonie zwinęły się w pięści przy udach, kiedy próbowała być dla niego otwarta, próbowała ujeżdżać fale emocji i doznań, które tak mocno na nią napierały. Nad nimi światło zmieniało barwę z purpurowej na zieloną.

Vince delikatnie otworzył ją kciukami, odsłaniając delikatne, różowe wnętrze jej płci i znów się nad nią pochylił. Pocałował jej gorącą, otwartą szparkę, uwielbiając to, jak pod nim drżała. Kochając to jak jej pragnienie, jej potrzeba opływały go i przepływały nad nim jak morskie prądy. To popychało jego własne podniecenie jeszcze wyżej, sprawiając, że jej pragnął, sprawiając, że jej potrzebował. Czuł jej oczy na sobie, obserwujące jak łagodnie wessał jej lechtaczkę do ust i kreślił drażniące ósemki wokół wrażliwego kłębka nerwów.

— Vince... *Och!* — Laura sapnęła i niespodziewanie podrzuciła pod nim biodrami, jej miękkie dłonie ruszyły do jego ramion by ścisnąć i gładzić. Vince czuł jej desperacką potrzebę, jej strach, ból i rozkosz, trzepoczące wokół jego głowy jak szybko bijące skrzydła. Wiedział jak się czuła — nie mógł nic na to poradzić — to było jak oddychanie najśłodszym powietrzem, wiedząc, że jest zmieszane z zabójczym gazem. A jednak, jak można przestać oddychać? To niemożliwe, równie niemożliwe, co zatrzymanie nieuniknionej pętli intensywnego pożądania, które narastało między nimi z każdym dotykiem.

Nad ich głowami światło zachowywało stały jadowitozielony kolor i Vince był mgliście świadomy odgłosów niepokoju obcego. Ale miękkie dyszenie i jęki Laury wypełniło jego uszy i odcięło wszystko inne. *Zabijam ją*, pomyślał, ale nawet wtedy wiedział, że nie chciała, żeby przestał.

Vince Patrzył na nią przez chwilę, chcąc mieć pewność, że dalej go obserwuje. — Smakujesz tak dobrze, skarbie. Tak słodko. Chcę teraz wsunąć w ciebie cały język, głęboko w ciebie. — Nie czekając na odpowiedź, przytrzymał ją otwartą, czując drzenie jej ud pod jego dłońmi i wcisnął język głęboko w jej ciasną, drżącą płęć.

— Vince! O *Boże*... — Znów się rzuciła, desperacko ściskając jego ramiona. Jej potrzeba i ból przetoczyły się przez niego, odbijając się w jego głowie jak grzmot, popychając jego własną potrzebę coraz wyżej, gdy badał jej słodkie głębie, jakby chciał sięgnąć do jej duszy. Powietrze wokół nich przechodziło z zieleni w złowróźbny, ciemny pomarańcz, a połyskujące plamki, które się w nim unosiły, zmieniały się w miniaturowe diabły pyłowe pod wpływem uderzeń masywnych skrzydeł królowej. Vince mógł mgliście usłyszeć psychiczny wrzask gigantycznego Lepida, ale emocje Laury były tak intensywne, że prawie go zagłuszyły.

— Proszę... Vince, proszę... — Jej miękki głos zdołał przedrzeć się przez jego intensywną koncentrację i uniósł wzrok, zahipnotyzowany tym, jak jej miękkie, różowe usta uformowały jego imię.

— Tak, skarbie? Czego potrzebujesz? — Zapytał, znając już odpowiedź. Była tak blisko, że czuł jak drży na krawędzi, a musiał być w niej, kiedy ona dojdzie. Przy intensywnych doznaniach, przepływających między nimi w pętli, nie było mowy, żeby w tym momencie jej orgazm nie wyzwolił jego własnego.

— W... we mnie. Proszę, Vince. Potrzebuję cię.

To było więcej niż mogłaby przyjąć, więcej niż mógł znieść jej mózg. Vince wiedział o tym i wiedział, że ona również wiedziała. A jednak chciała tego — bardziej niż chciała, potrzebowała tego tak bardzo, jak on sam. Jej ciemne oczy prosiły go w dziwnym, padającym z góry, pomarańczowym blasku, bardziej elokwentnie niż mogłyby jakiegokolwiek słowa.

— W porządku. — Wszeptał. — W porządku, ja też cię potrzebuję.

Rozdział 31

Wysoko nad swoją głową Laura widziała wielką królową, gwałtownie bijącą skrzydłami, słyszała przeszywający wrzask bólu i gniewu, kiedy jej odwłok zabłysnął niebezpiecznym, głębokim błękitem, a złowieszczym odcieniem palonej umbry, pulsującym w coraz bardziej gorączkowym rytmie. Kształty w jej nabrzmałym odwłoku też się wiły — formowały się zbyt szybko, zbyt gwałtownie wyrastały ze swoich, ochronnych jaj. Teraz również świeciły jak wielkie, płonące węgle, rozświetlone od środka.

Robimy to — to działa. Pomyślała Laura, a potem Vince przykrył ją, jego ciało ciepłe, ciężkie i mile widziane na jej ciele, i wypędził wszystkie inne myśli z jej głowy.

Pocałował ją, zanurzając ręce w jej włosach, żeby przytrzymać ją nieruchomo, tak samo, jak przytrzymał jej rozdzielone nogi, żeby ją smakować. Nakarmił ją jej własnym smakiem, ciepłym i mokrym, i słodko-słonym na jej języku, nakarmił ją żarem, miłością i pożądaniem, wlewając je do jej gardła jak słodki, zabójczy trunek, którego nie miała dość. Laura spiła to wszystko i prosiła o więcej, jęcząc w jego usta, czując jego potrzebę, malującą jej ciało płomieniem, kiedy pętla między nimi zwiększyła intensywność.

Jakbym płonęła, jakbym tonęła, jakbym się rozpadła... Nie miała sposobu, żeby to opisać nawet sobie samej, więc przestała próbować i pozwoliła doznaniom ją omywać. Gdzieś w głębi jej mózgu rósł supeł napięcia, ponure ostrzeżenie, które jak wiedziała, ignorowała na własne ryzyko. Pulsowało jej w skroniach, co poprzedzało śmiertelne uszkodzenie mózgu, które musiało nastąpić już bardzo niedługo, a jednak o to nie dbała.

Przez całe życie była ostrożna, unikała kontaktu, próbowała nie czuć zbyt wiele. Tak dobrze było porzucić strach, tak wspaniale pozwolić fali emocji ponieść ją, gdzie chciała i niech szlag trafi ostrożność. Była naga, otwarta i gotowa jak nigdy wcześniej i jak nie będzie nigdy później. Pomyślała, że wolałaby umrzeć tu i teraz, właśnie w taki sposób niż żyć jeszcze pięćdziesiąt lat i nigdy nie poznać tej naglącej potrzeby, tego głębokiego pożądania.

— Lauro? Jesteś gotowa? — Głos Vince'a w jej uchu, zdyszany i niski, wysłał mimowolny dreszcz wzdłuż jej kręgosłupa. Całe jej ciało pulsowało od jego emocji. Czula jego potrzebę bycia z nią, ponadczasową potrzebę penetrowania, konsumowania, posiadania i powitała ją bez zahamowań.

— Tak. — Wyszeptała. — Tak, *teraz*.

Poczuła główkę jego trzonu, naciskającą na jej wilgoć, pocierającą delikatnie jej uwrażliwioną lechtaczkę, gdy przygotowywał się, żeby w nią wejść. Słodki, intymny kontakt to było prawie zbyt wiele, fale intensywnych emocji i doznań przetoczyły się po niej i przez chwilę obraz przed jej oczami zrobił się szary i falujący. Potem znów go usłyszała.

— Zostań ze mną, skarbie. Potrzebuję, żebyś została ze mną do końca. — W jego głosie była głębia emocji, smutek, który przeszył jej serce tak pewnie, jako on miał przesyć ją niżej.

W mroku sali królowej jego oczy wydawały się zapadnięte, wypełnione potrzebą i żalem, lśniące niewylanymi łzami.

Laura sięgnęła w górę by pogłodzić jego policzek, czując szorstkie drapanie jego wąsów na swojej dłoni, rozkoszując się łaskotaniem iskier, wysyłanych przez jej ciało. — Nie. — Wyszeptała. — Chcę tego, Vince. Bardziej niż czegokolwiek wcześniej pragnęłam. Proszę, nie przestawaj teraz. Jesteśmy tak blisko — tak *blisko*. Czuję to, a ty? — Uniosła biodra na spotkanie z nim, pragnąc go w sobie, pragnąc poddać się i całkowicie pozwolić unieść się prądowi.

— Taa. — Jego głos był stłumiony od emocji, mięśnie pod jej dłońmi stwardniały z napięcia. — Czuję to. — Wyszeptał i poczuła główkę jego trzonu, pokonującą jej wejście i zaczynającą powolny, nieunikniony ślizg w głąb jej otwartego, chętnego ciała. — Ty też to czujesz? — Zapytał, wciskając się głębiej, sięgając do jej serca.

— Ja... och, tak... *tak*... — Wysapała, walcząc by przyjąć go w swoim ciele i umyśle. Czowała wypełniającą ją, jego przyjemność, uczucie jej wspaniałego, śliskiego żaru, kiedy napierał do wewnątrz, jego potrzebę wejścia głęboko i jego pragnienie wytrzymania dość długo, żeby to było dobre, właściwe dla niej. Był duży i tak gruby, ale dobrze ją przygotował. Poczuła przelotny, przyjemny ból, niemający nic wspólnego z emocjonalną pętlą, narastającą pomiędzy nimi, a potem był już całkowicie w niej, zanurzony po nasadę w jej ciepłym, chętnym ciele.

Laura mocno zacisnęła powieki, rozkoszując się doznaniem jego ciała, otulonego jej własnym, odczuwając ten intymny kontakt jak uderzenie pioruna w jej system nerwowy.

— Nie, skarbie. — Głos Vince'a był nagły. — Zostań ze mną — miej otwarte oczy. Chcę patrzeć w te, piękne oczy, kiedy jestem w tobie, kiedy się z tobą Kocham.

Otworzyła oczy, skupiając się na jego twarzy wypełnionej potrzebą i zmartwieniem. Usiłował być w niej całkowicie nieruchomo. Laura wyczuwała to wszystko. Omywające ją jak rzeka płynnego ognia. Mogła to też zobaczyć, zabarwione głęboką, krwistą czerwień, pulsującą z sufitu nad nimi. Gdzieś w małej, nieistotnej części jej umysłu, królowa Lepidów wrzeszczała z gniewu bólu i nienawiści, ale nic z tego nie miało znaczenia. Nie liczyło się nic, poza Vincem w niej, we wnętrzu jej ciała, umysłu i serca.

— Proszę. — Udało jej się wyszeptać. Mocno chwyciła jego ramiona i pchnęła w górę, na spotkanie z nim, poruszając biodrami, chcąc poczuć to rozkoszne tarcie, kiedy ślizgał się w jej wnętrzu.

— Boże, skarbie... Vince odchylił się, zachęcając ją do szerszego rozłożenia ud, szukając idealnego kąta.

Sapnęła, gdy się wysunął i pchnął z powrotem. Zajęczała głośno kiedy pętla między nimi zacisnęła się jak zabójczy, rozkoszny stryczek. Chciała więcej — potrzebowała tego i wiedziała, że Vince rozumiał. Zaczął pieprzyć ją mocno, karmiąc jej potrzebę szorstkiej, mocnej jazdy. W jego działaniach nie było niczego łagodnego, jednak wyczuwała jego czułość, jak

najmniejsze pocałunki, na całej skórze. Pulsowało jej w skroniach, jego nieustępliwy rytm popchnął ją daleko poza przeładowanie sensoryczne.

Ponad jego ramieniem widziała odwłok królowej Lepidów jarzący się jaskrawo na białoczerwono jak środek płonącego węgla. Kształty w jej wnętrzu wiły się szaleńczo. Wiatr z jej skrzydeł wzbudzał w przestronnej komnacie mały huragan, ale Vince osłaniał ją swoim ciałem, trzymał ją przy sobie i Laura nie mogła w tej chwili skupić się na niczym, co działo się poza nimi dwojgiem.

— Boże, skarbie... Lauro... taka ciasna, taka wspaniała. Uwielbiam być w tobie, uwielbiam czuć cię taką ciasną, wokół mnie...

Jego głos w jej uszach, wspaniałe pociągnięcia i pchnięcia jego trzonu wewnątrz niej, bolesne pulsowanie jego pożądania i rozkoszy na jej skórze to było zbyt wiele. Poczula jak z ostatnim, ostrym zapulsowaniem coś w jej mózgu się poddaje, poczuła przesywającą lancę rozkoszy tak jaskrawej, że była oślepiająca, ściana rozpalonego do białości błysku za oczami.

Jej odurzająca rozkosz zalała Vince'a, zabierając go ze sobą. Z sapnięciem schował twarz w jej szyi i poczuła na skórze ciepłą sól jego łez, kiedy strumień doznań zmiotł ją ostatecznie i zabójczo do morza. Laura uniosła głowę, prawie oślepiona intensywnością emocji by ujrzyć intensywne, białe światło, docierające z góry, wydobywające każdy szczegół obcego pomieszczenia z dziwną, surrealistyczną klarownością.

Nad ich głowami królowa Lepidów przegrała walkę z przesywającym, bardziej wyczuwalnym niż słyszalnym okrzykiem, a chaotyczne ruchy w jej wnętrzu osiągnęły pełną intensywność. Rozległ się dźwięk, odgłos tysięcy pożarów lasu, pożerających świat, a potem zaczęło padać. Padało ogniem z dziwnego, dzikiego nieba, płomieniami tak intensywnymi, że spalały się w locie i zmieniały w kolorowe płatki i popiół zanim dotarły do ziemi.

Piękne, miała czas pomyśleć. Takie piękne...

— Lauro... Lauro! — Głos Vince'a w jej uszach był odległy i nieznaczący, podobnie jak ciepłe strumyczki krwi, które czuła, spływające jej po twarzy. Wszystko płonęło. Nieodwracalnie płonęło. Spalało się na popiół, rozpalone do białości i piękne, spadając z nieba, by wylądować jak motyle na jej skórze zanim roztopiły się w nicość.

Rozdział 32

— Lauro? O Boże, nie... — Vince chwycił ją mocno, niepomny deszczu zniszczenia wokół nich.

Lepidzi wyglądali pięknie, ginąc, jaja królowej zmieniły się w taką ilość popiołu, że na chwilę pokrył ich ciała, zanim obrócił się w pył. Nad nimi wielka postać królowej wisiała bezwładna i pusta, wypalona przez oczyszczający ogień emocji, które odebrały Laurze życie.

Schowwał twarz w jej szyi, wypełniony żalem i bólem, jakiego nie zaznał nigdy wcześniej. Bólem pogorszonym przez fakt, że należał tylko do niego. Choć ciągle wdychał pył, nie wyczuwał już emocji Laury w swojej głowie. Omywających jego skórę. Leżała w jego ramionach jak uszkodzona lalka, z oczami otwartymi, ale niewidzącymi nieziemskiego popiołu, który ciągle opadał.

Vince chciał to skończyć. Chciał zapomnieć o wszystkim i się poddać. Znał kobietę w swoich ramionach krócej niż tydzień, ale zostawiła na jego sercu znak, który nigdy nie zniknie.

Zabiłem ją, to ja ją zabiłem... Poczucie winy krążyło w jego mózgu bez odpowiedzi, bez możliwości ukojenia. Zrobił tylko to, co konieczne, to, o co go poprosiła — i nigdy sobie tego nie wybaczy.

— O Boże. — Wyszeptał załamany. Wyglądził jej splątane, blond włosy i zamknął jej niewidzące oczy, pewny, że teraz nigdy nie pozna ich koloru. *Powinienem iść. Powinienem się stąd wydostać.* Jednak ta myśl nie niosła z sobą pośpiechu. Wiedział, że gdy tylko opuści komnatę królowej i przestanie wdychać pył, ogarnie go śmiertelny letarg, pozostający po tej, obcej bakterii. Po co się na to narażać? Po co umierać, przedzierając się przez zwięzające się korytarze ula zamiast zostać tu z nią? Z Laurą?

Dla Kyry. To dla nie w ogóle się tu znalazłeś. Ale jego siostra była bezpieczna w kapsule, która musiała polecieć na Ziemię. *Tak, ale jest w ciąży i osłabiona. Będzie potrzebowała swojego, starszego brata, który się nią zaopiekuje jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi.* To była prawda. Nie przeszedł przez to wszystko po to, żeby poddać się teraz, kiedy jego siostra go potrzebowała. Nawet, jeśli konieczność ruszenia dalej rozdzierała mu serce.

Wokół siebie słyszał odgłosy zaczynającego się dzielić ula. Najwyraźniej Laura miała rację — po udanych godach królowej cały proces działał automatycznie. Jak maszyna, zbudowana do jednego działania, niemogąca pojąć, że jej cel już nie istnieje, ul kontynuował działanie. Ul wiedział tylko, że jaj nie było już w ciele ani komnacie królowej — zatem to musiał być czas na przygotowanie kapsuł do lotu. To, że wszystkie jaja zostały zniszczone, nie było powodem do zatrzymania przygotowań.

— Och, skarbie. — Wymruczał. Nie było sposobu, żeby się pożegnać. Czule otarł krew z jej twarzy i ułożył jej ręce wzdłuż boków. Potem podniósł się na nogi, które zdawały się

patyczkami, mogącymi złamać się w każdej chwili. To wymagało od niego wiele energii, ale jego sytuacja była w tej chwili bez znaczenia.

Popatrzył na nią, leżącą tak spokojnie na podłodze komnaty królowej. Teraz, z jej zmiennymi oczami zamkniętymi i włosami odgarniętymi z twarzy, wyglądała, jakby tylko spała. Jakby w każdej chwili mogła się obudzić i posłać mu miękki, niepewny uśmiech albo unieść brodę w tym drobnym, buntowniczym geście, który tak chwycił go za serce. Nie chciał jej tu zostawiać, w czarnej pustce rozpadającego się ula, ale nie miał pewności czy będzie w stanie zabrać ją do kapsuły, kiedy pył opuści jego organizm i ogarnie go letarg.

Wokół niego ul wydawał złowieszcze odgłosy i ciemniał z każdą minutą — wyłączając się i rozpadając. Poprzednio ciepłe i wilgotne pomieszczenie było już chłodne i zatęchłe. Czas zdecydowanie się kończył i jeśli chciał dotrzeć do Kyry, musiał się pospieszyć.

Vince odwrócił się by odejść i z powrotem, nie mogąc tak nagle jej zostawić. Ukląkł przy niej i pogładził jej włosy, a potem jeszcze raz położył głowę na jej piersi. Próbując dać jej odejść.

Łup.

Jego głowa zamarła w tej pozycji, po czym przycisnął się mocniej, wiedząc, że musiał się mylić, ale i tak mając cholerną nadzieję.

Łup — łup.

Znowu! To niemożliwe, prawda? *Po prostu sam się oszukuję...* Czy mógł mieć halucynacje, ponieważ tak bardzo tego pragnął?

Łup — łup... łup — łup...

Było słabe i nierówne, ale zdecydowanie obecne. Bicie serca — puls, tak wolny, że prawie niewykrywalny, ale Vince i tak go znalazł. *Boże, pomyśleć, jak blisko byłem odejścia...*

— Lauro? — Pochylił się nad nią, miękko wołając jej imię, ale nie zareagowała. No cóż, ostatnim razem, po roju, też nie zareagowała, ale wtedy przynajmniej mógł zobaczyć, że oddycha. Ostrożnie przytrzymał dłoń przed jej twarzą i poczuł słaby podmuch ciepłego powietrza. Więc nie było potrzeby robić sztuczne oddychanie.

Vince znowu wstał, podnosząc jej bezwładne ciało. Czuł się naładowany energią i nowym celem. — Czas się stąd wydostać. — Dopiero, kiedy usłyszał własny głos, wracający do niego echem w przestronnej, cichej sali, zorientował się, że powiedział to na głos. Ale dźwięk głosu sprawił, że z jakiegoś powodu poczuł się lepiej, silniej. *Zobaczmy jak silny będziesz, kiedy ten gówniany pył opuści twój organizm.* W takim razie będzie musiał się pospieszyć.

Skierował się do otworu w ścianie komnaty, nadal wypełnionego ich porzuconymi ubraniami. Nadszedł czas, żeby wynieść się stąd w cholerę.

Później nie był pewny, jak sobie poradził. Najpierw miał problem z przepchnięciem bezwładnego ciała Laury i siebie przez wąską dziurę z wepchniętymi ubraniami, zanim się zamknęła. Potem próbował przejść ciasnym, dziwnym tunelem, który był wszystkim, co pozostało z wysokiego i szerokiego korytarza ula. To wydawało się dziwnym, rozgrywającym się w zwolnionym tempie koszmarem. Laura była martwym ciężarem i kilka razy nie był pewny jak przedostanie ją przez szczególnie wąskie przejście.

To wydawało się ciągnąć wiecznie. W ulu było prawie ciemno i Vince był śmiertelnie pewny, że przegapił pierwszy kłęb ubrań, oznaczających kapsułę Kyry i że wędruje bez celu. Kilka razy prawie zawrócił, ale czuł pył, opuszczający jego organizm i wiedział, że kiedy zaczną się jego skutki uboczne, nie będzie miał siły iść dalej, jeśli się pomyli.

W końcu, jak się zdawało, po godzinach — a prawdopodobnie bliżej piętnastu minut — bardziej dzięki dotykowi niż wzrokowi, znalazł kłęb ubrań. Resztką sił wyszarpnął je, przepchnął Laurę, a potem sam przepełznął na drugą stronę, ledwie dostawszy się do kapsuły, kiedy wąska szczelina zamknęła się za nim.

Gdy Vince padł na podłogę obok dwóch kobiet, jednej śpiącej i jednej nieprzytomnej, poczuł wrażenie wznoszenia w balonie, które przypominał sobie z podróży do ula w statku Tmm. Jak dawno to było? Godziny? Dni? Nie miał sposobu, żeby się dowiedzieć i naprawdę nie obchodziło go to pod warunkiem, że bezpiecznie dotrą na Ziemię.

No to lecimy, pomyślał jak za pierwszym razem. Całkowicie wyczerpany oparł się o jedną z szaro-zielonych, wolno pulsujących ścian. Kyra spała po jednej jego stronie, a po drugiej leżała Laura z bladą i nienaturalnie nieruchomą twarzą. *W porządku. Przyjdzie do siebie. Jak ostatnim razem.* Pomyślał niepewnie.

Resztką sił wyciągnął rękę i przyciągnął ją bliżej, opierając jej głowę na swoich kolanach.

— *W porządku, skarbie. Będzie dobrze.* — Jego głos był zachrypnięty i czuł jak resztką pyłu opuszcza jego organizm. Potem głębokie znużenie uderzyło w niego jak fizyczny cios i oparł głowę o ścianę, i zamknął oczy. *Czuję się, jakby walnęła mnie ciężarówka...* Ogarnął go sen.

Kiedy znów się obudził, znajdował się w ciemności z bladym blaskiem gdzieś w górze. Poczuł pod nagą skórą znajomą, gruzłowatą podłogę ula Lepidów i pomyślał: *O nie... myślałem, że się wydostaliśmy. Znowu będę musiał przejść przez to wszystko.*

Kiedy jednak resztki snu opuściły jego mózg, zobaczył, że powodem ciemności była noc, a światłem, które widział, okazał się księżyc w pełni, świecący nad jego głową, a nie

pomarańczowy, przypominający halloweenowe latarnie blask wnętrza statku Lepidów. W suficie nad nim znajdowało się pęknięcie, poszerzające się na jego oczach, wpuszczające blade i z radością witane światło księżyca.

Poczuł koło siebie Ruch. Kyra zaczęła się budzić, ziewając i przeciągając się, rozglądając się jak mała dziewczynka, którą pamiętał z jej młodości. *Już nie taka mała dziewczynka.* Przypomniawszy sobie, kiedy zabłąkany promień księżyca padł na jej pełny brzuch.

Vince popatrzył w dół, na swoje kolana, mając nadzieję, że Laura również w jakiś sposób się obudzi, ale jej blade, pięknie ukształtowane rysy pozostały nieruchome. W padającym z góry księżycowym świetle wyglądała jak wykuty w marmurze anioł. Obawiając się najgorszego, przesunął dłonią nad jej twarzą, odczuwszy ulgę, kiedy poczuł słaby podmuch powietrza.

— Vince? Gdzie jesteśmy? — Głos Kyry był zmęczony i zmieszany. Ścisnęła swój zaokrąglony brzuch. — Nie czuję się za dobrze.

Vince popatrzył na nią ze zmartwieniem. — Spokojnie, malutka. — Powiedział, automatycznie powracając do jej dziecięcego przezwiska. — Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale się dowiem. — Ostrożnie przesunął głowę Laury i wstał, czując ciepły wiatr, igrający po jego plecach. Nagle uświadomiwszy sobie, że nie licząc szortów, jest nagi, poszperał w stercie ubrań i naciągnął koszulę, która była lepsza niż nic. Czarną marynarką nakrył Laurę, chcąc. Żeby zakrywała więcej.

— Vince? — Głos Kyry był cichy i napięty z bólu. Pochylił się i z troską przycisnął dłoń do jej policzka. Jej skóra była chłodna i wilgotna od potu.

— Zaczekaj tu, wyciągnę nas stąd. — Obiecał.

Szczelina w kapsule poszerzała się w widoczny sposób i Vince mógł zobaczyć więcej podobnych, lądujących niezwykle lekko jak na tak wielkie obiekty. One też się otwierały, ale zamiast roju głodnych larw Lepidów, wydostało się z nich tylko kilka drgających, zdeformowanych kształtów by umrzeć prawie natychmiast na piaszczystej ziemi. Do czasu, gdy się ubrał (w każdym razie, na ile się dało), dziura w kapsule stała się dość duża, żeby wystawić głowę i ręce, i popchnąć. Z cichym dźwiękiem darcia, boki ustąpiły pod wpływem siły. Kapsuła wydawała się być już w stanie zaawansowanego rozkładu i kiedy jej tkanka rozpadła się, mdlący smród gnijących kwiatów, pozostawionych w wazonie, aż woda zmieniła się w szlam, sprawił, że Vince prawie zaczął się krztusić.

— Tutaj! Ta się otwiera!

— Ktoś jest w środku!

— Tutaj!

Nagle w jego twarz zaświeciło światło znacznie jaśniejsze od księżyca i kilku ludzi podsunęło mu pod twarz wideo-mikrofony, zadając pytania:

„Kim jesteś/Skąd się wzięłeś/W jaki sposób...?”

Vince gniewnie odepchnął mikrofony. — Jestem Vincent Roberts z policji Tampa. — Warknął. — A teraz wyłączcie tę cholerną kamerę i ściągnijcie tu karetkę — Mam tu dwie, poważnie ranne kobiety, potrzebujące pomocy medycznej.

Zmusił ich, żeby pozwolili mu jechać z tyłu karetki z Laurą i Kyrą. Niełatwo było zyskać autorytet, nie mając na sobie spodni, ale uznał, że spisał się nie najgorzej. Oczy Kyrę były rozszerzone z bólu, ale po tym jak ratownik podał jej środek uspokajający, zapadła w sen, leżąc cicho na poduszkowych noszach, przykryta czystym, białym prześcieradłem.

Vince też chciałby znów zasnąć, ale za karetką jechały furgonetki wiadomości i wiedział z doświadczenia, że te szakale nie spoczną, dopóki nie wyduszą z niego wszystkiego do swoich, cennych, wieczornych wideo-informacji.

Na drugich noszach leżała Laura, całkowicie biała i nieruchoma. Zdawało mu się, że jest nieprzytomna już bardzo długo — zbyt długo. Czy wcześniej nie odzyskała przytomności znacznie szybciej? Vince ciągle na nią zerkał, mając nadzieję usłyszeć jej głos, oczekując, że się obudzi.

Tyle, że nie zrobiła tego.

Rozdział 33

Była w długim, wywołującym echo, marmurowym korytarzu, wypełnionym cieniami. Siedziała w cieniu i czekała, choć nie wiedziała, na co. Po pewnym czasie zauważyła, że czasami cienie ustępują i, że występują regularne okresy światła i ciemności. Zmęczyła się siedzeniem więc spacerowała w tę i z powrotem po korytarzu, chodząc od jednego końca do drugiego, słuchając ech własnych kroków i wciąż czekając.

Po jak się zdawało, długim czasie, coś się zmieniło. W czasie okresów jasności, kiedy wszystkie cienie wycofywały się do kątów, na końcu korytarza znalazła drzwi. Nie była zaskoczona, odkrywając, że są zamknięte.

Minęło więcej czasów światła i ciemności, i zaczęła słyszeć głosy, upiorne szepty, mamroczące w kątach korytarza.

Głosy zaczęły przychodzić coraz częściej, aż czasami siadała w wypełnionym cieniami kącie z rękami przyciśniętymi do uszu, próbując utrzymać je z dala od siebie. Do czasu, aż usłyszała nowy głos, silniejszy od odbijających się echem szepców.

To był głęboki głos, męski. A kiedy mówił, przepędzał wszystkie inne. Laura nasłuchiwała uważnie, czując, że z jakiegoś powodu powinna go znać, powinna znać jego — właściciela tego głosu. Nie mogła sobie, jednak przypomnieć. Czasem, gdy mówił, podchodziła do drzwi i próbowała je otworzyć, pewna, że gdyby tylko mogła je otworzyć, mogłaby zobaczyć, kto mówił tuż za nimi. Ale zawsze były zamknięte.

Nie mogła zrobić nic, poza siedzeniem po swojej stronie drzwi, czekaniem i słuchaniem przez mijające okresy światła i ciemności.

„...niewiele sensu, żeby pan tu codziennie przychodził, detektywie Roberts. Któraś z pielęgniarek zadzwoni do pana, jeśli nastąpi jakaś zmiana, choć obawiam się, że to mało prawdopodobne.” Nowy głos lub taki, którego wcześniej nie zauważyła. Tak czy inaczej, też znajdował się po drugiej stronie drzwi, a nie tylko odbijał się echem w długim, marmurowym korytarzu. Laura słuchała uważnie.

„Zostaję.” To znów był ten głos — *jego* głos. Ten, który czuła, że powinna znać.

„Próbowałem panu wyjaśnić, że szanse, iż pacjentka kiedykolwiek odzyska przytomność, są bardzo małe, a nawet jeśli, prawdopodobieństwo, że dojdzie do siebie, są bliskie zera. Kiedy porównamy je z poprzednimi, wykonanymi w Tampa, wszystkie skany jej mózgu wykazują znaczącą rozbieżność, co z wysokim prawdopodobieństwem oznacza—”

„*Powiedziałem*, że zostaję. I ta ‘pacjentka’ ma imię. To Laura. Laura Albright.

Wyteńczyła słuch — rozmawiali o niej.

„No cóż,” Drugi głos zrobił się lekko urażony. „skoro wie pan, że traci czas.” Dźwięk kroków zniknął w oddali.

„To nie strata czasu.” Powiedział. „Głupi lekarze, nie wiedzą, o czym mówią. Wrócisz do mnie skarbie. Tak, jak wcześniej. Wiem o tym.”

Laura zastanawiała się, z kim rozmawiał — chciała zapytać, ale drzwi jak zwykle były zamknięte. Po pewnym czasie w długim, marmurowym korytarzu zrobiło się ciemno. Laura objęła kolana ramionami i zadrżała, opierając się o drzwi.

„...tu robisz? Nie sądzę, żeby Laura chciała—” Ten głos był znajomy. Jej ojciec. Co on tu robił?

„Bzdura. Nie wiesz, czego chciałaby Laura.” *Jego* głos... płaski i niebezpieczny.

„To moja córka i wiem, jak ją wychowałem. Ona nie—”

„Taa, mówiła mi, jak ją wychowałeś. Nie wsypywać soli i pieprzu do tego samego pojemnika, co?” Był rozgniewany, ale się kontrolował.

„Absolutnie nie trzeba—”

„Och, oczywiście, że trzeba.”

Rozległ się dźwięk drapania, jakby ktoś szybko wstał z krzesła i pospieszne szuranie stóp, jakby ktoś się wycofywał. Laura zapragnęła móc otworzyć drzwi i zobaczyć, co się działo, ale klamka nie chciała się obrócić.

„Och, Frank, może nie powinniśmy robić takiego zamieszania. Zastanów się, w ten sposób Laura ma policyjną ochronę.” To był wysoki, kobiecy głos, a po słowach nastąpił nerwowy chichot. Gloria.

„Nie obchodzi mnie, że *jest* policjantem, Glorio. Nie ma prawa—” Głos jej ojca urwał i wszystkim, co mogła usłyszeć po drugiej stronie drzwi, były pospieszne szepty. Potem znów głos ojca. „W porządku, ale jeśli dotknie jej choćby palcem—”

„Co muszę powiedzieć, żeby dotarło do twojego, tępego łba, że nie zamierzam skrzywdzić twojej córki? Kocham ją, do jasnej cholery!” Brzmiał na wściekłego i udręczonego jednocześnie.

Wyglądało na to, że jej ojciec nie ma odpowiednio poważnej groźby na tę sytuację. Nastąpiły prowadzone gniewnym szeptem konsultacje, jej ojciec przeklinał, a Gloria nakłaniała, a potem odgłos kroków i zatraskiwanych drzwi.

Po drugiej stronie drzwi Laury znów zaczęło robić się ciemno.

„Co z nią? Jakież zmiany?” Tym razem starszy głos i trzaski. Może rozmowa przez telefon?

„Nie, babciu. Żadnych zmian.” Znów jego głos, tym razem dźwięczący znużeniem i smutkiem. „Jak się ma Kyra?”

„Och, dobrze, biorąc pod uwagę to wszystko. Utrata dziecka była dla niej okropna, ale prawdę mówiąc, nie była gotowa na bycie matką, a ja jestem za stara, żeby zaczynać od początku. Chociaż strata wnuka złamała mi serce.

„Wiem, babciu Gertie. Przykro mi. Powinienem znaleźć ją wcześniej.

Dźwięk dezaprobaty, ktoś klikał językiem. „Vincencie, wiesz, że nie chcę tego słuchać. Przecież jesteś *bohaterem* i jeśli kiedykolwiek ruszysz swój tyłek z powrotem do Tampa, urządzą paradę na twoją cześć. Do licha, nie znam nikogo, kto mógłby zrobić to, co ty.”

Szelest, duże ciało, przesuwające się na krześle. „Nie zrobiłem tego sam, babciu. Laura prawie tam umarła. Myślę, że płaci cenę za nas wszystkich.”

„Ach, mój drogi, wiem, że cierpisz. I wiem, co mówią ci wszyscy lekarze.”

„Mówią, że to beznadziejne. Mówią, że skany jej mózgu potwierdzają, że ona nie jest... nie może...” Głos mu się załamał od ledwie kontrolowanych łez. Laura napała na drzwi, desperacko pragnąc, żeby mogły się otworzyć. Pokręciła klamką, ale zamek nie puścił.

„Nie waż się tracić nadziei, Vincencie.” Starszy głos był teraz silny, zaciekły. „Jeśli czujesz w sercu, że ona gdzieś tam jest, to po prostu się nie poddawaj. Słyszysz?”

„Słyszę, babciu. Ale minęło już tyle czasu. Co, jeśli mają rację?”

„Daj jej jeszcze trochę czasu. Kyra i ja tęsknimy za tobą, ale radzimy sobie same. W szkole mówią, że może poczekać i zacząć w następnym semestrze, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności.”

Szorstki, łamiący się śmiech. „Taa, jeśli zostanie porwana przez kosmitów nie jest wystarczającym powodem do opuszczenia zajęć, to u diabła nie mam pojęcia, co może nim być.”

„Vincencie, uważaj na język.” Powiedziała ostro, ale z uczuciem.

Westchnienie. „Tak psze pani.”

„Wiesz, że cię kocham, prawda?”

„Tak, babciu. Też cię kocham.”

„No dobrze. Zadzwoń później.”

„Do widzenia, babciu.”

„Do widzenia, kochanie.” Kliknięcie i pisk. Ktoś wyłączył wideofon.

Laura skuliła się przy drzwiach, próbując sobie przypomnieć, gdy znów nadeszła ciemność. Był kimś, kogo powinna znać, kimś komu na niej zależało. Kim był i dlaczego te przeklęte drzwi się nie otwierały?

Minęło kilka tur światła i ciemności. Czasem słyszała jego głos, raz podniesiony w gniewie, czasem zimny, często zmęczony. Za każdym razem podchodziła do drzwi, myśląc, że tym razem klamka się przekręci i drzwi się otworzą. Ale zawsze były zamknięte.

„Lauro... Lauro, skarbie, wróć do mnie, proszę.” Głos pojawił się znów w okresie ciemności, gdy cienie pożerały korytarz.

Laura wstała i podeszła do solidnych, drewnianych drzwi. Oparła się o nie, próbując sobie przypomnieć.

„Mówią, że mnie nie słyszysz, ale ja w to nie wierzę.” Ciągnął. „Więc posłuchaj mnie teraz i wróć. Wykorzystałem całe zwolnienie lekarskie i nawet urlop okolicznościowy, który mi przyznali. Jutro muszę wsiadać do samolotu i wracać do domu, bo stracę pracę.” Dźwięk głęboko wciąganego oddechu.

„Chcę z tobą zostać, skarbie, ale muszę pomóc rodzinie. Mam innych ludzi, którzy na mnie polegają.” Kolejne westchnienie.

Jego głos był tak znajomy... *prawie* go rozpoznała. *Prawie* pamiętała. Laura położyła dłoń na klamce i przekręciła stanowczo, ale drzwi nie ustąpiły.

„Mówią, że nie można cię przenieść, a ja wiem, że kiedy już pojedę, twoja rodzina znajdzie sposób, żeby powstrzymać mnie od powrotu, żeby znów cię zobaczyć. Lauro, *proszę*.” Jego głos był teraz bardziej szorstki, zdesperowany.

On... wypowiedział moje imię. Zna moje imię, a ja znam jego. Vince... nazywa się Vince. Laura przekręciła klamkę i uderzyła w drzwi. Tak blisko. Dlaczego nie mogła przejść? Dlaczego nie mogła sobie przypomnieć, kim był?

„To wszystko, przez co razem przeszliśmy. Czasem to wydaje się szalonym snem. Dostanie się na statek, królowa, wszystkie te, przeklęte jaja... wiem, że to niewłaściwe, ale czasami chciałbym, żebyśmy po prostu pozwolili im zrobić, co chcieli. Zjeść cały ten cholerny świat.

W ten sposób przynajmniej mielibyśmy trochę więcej czasu razem.” Jego głos był ciężki od łez.

Laura zagrzechotała drzwiami w futrynie, waląc pięścią, napierając, ciągnąc. *Tu jestem! Chciała krzyknąć. Tutaj, zamknięta za tymi, przekłętymi drzwiami. Słyszę cię i prawie wiem, kim jesteś...*

Rozległ się niski, łamiący się dźwięk. Łkanie? Laura przestała na chwilę kręcić klamką, nasłuchując. Potem to poczuła. Ciepła kropla wyśladowała na jej ramieniu. I kolejna, i kolejna.

„Wiem, że nie powinienem cię dotykać — nie chcę skrzywdzić cię bardziej niż już to zrobiłem.” Jego głos był teraz bardzo blisko. Więcej ciepłych kropel na jej twarzy i rękach. „Ale Boże, skarbie — gdybym tylko mógł...”

Laura spojrzała w górę, puszczając klamkę. W długim, powodującym echo, marmurowym korytarzu, gdzie nigdy nie świeciło słońce i nie wiał wiatr, padał deszcz. Ciepła i słona woda spływała z nierozpoznawalnych cieni nad jej głową i pomyślała o innym deszczu. Deszczu ognia i popiołu. O mężczyźnie obejmującym ją mocno i dotykającym ją, choć wiedział, że nie powinien. Dotykał ją, ponieważ tego potrzebowała — prosiła go o to.

„Lauro...” Jego głos pieścił jej imię, gorzkie błogosławieństwo, udręczone pożegnanie.

Zaczekaj! Mokra od ciepłego deszczu, padającego z góry, pomacała przed sobą i chwyciła mosiężną klamkę, ukrytą w cieniu.

„Wiesz, co czuję i że nigdy nie zapomnę.” Jego głos zanikał, deszcz skończył się równie nagle, jak się zaczął. Wypełniło ją poczucie pośpiechu. Teraz używając już obu rąk, Laura desperacko przekręciła klamkę... *Zaczekaj... zaczekaj!*

...i poczuła jak klamka się obraca.

Drzwi otwarły się gwałtownie, wyrzucając ją do nowego pomieszczenia, pokoju, oświetlonego tylko mdłym, zielonym blaskiem sprzętu medycznego i plamą księżycowego światła w rogu łóżka. Vince znajdował się na drugim końcu pokoju, nawet w półmroku wyglądając na zmarnowanego i zmęczonego. Stał przy drzwiach z ręką na klamce.

Laura otworzyła usta, niepewna, co się z nich wydostanie. — Vince? — To był skrzek, krakanie — jej głos ochrypl z nieużywania, ale jego oczy i tak się rozświeciły. Oblizła usta językiem, który zdawał się równie szorstki i suchy, jak martwy liść i spróbowała znowu. — Vince, co... gdzie jestem? Co to za miejsce?

Rozdział 34

— Lauro? To ty? Czy ty...? — Odwrócił się od drzwi i ostrożnie podszedł do jej łóżka, bojąc się uwierzyć.

— Ta... — Zakaszła sucho. — Tak. Gdzie jestem?

— W szpitalu. W Phoenix — to tu wylądowała kapsuła. Proszę. — Nalał jej szklanek wody z plastikowego dzbanka, stojącego na stoliku na kółkach.

— Dzięki. — Spróbowała ją wziąć, ale jej ręce zdawały się zbyt słabe. — Przykro mi, nie mogę...

— W porządku. — Przysunął kubek do jej ust, uważając, żeby nie dotknąć jej skóry. — Lepiej?

— Znacznie. — Westchnęła z wdzięcznością. — Po prostu nie mogłam —

— Halo, wszystko tam w porządku? — Drzwi otwarły się i kobieta w średnim wieku, o twarzy matrony wetknęła głowę do pokoju. Karcąco zmarszczyła brwi. — Detektywie Roberts, wie pan doskonale, że godziny odwiedzin już dawno minęły, więc muszę prosić —

— Obudziła się. Nie widać?

— Jest pan pewny? — Pielęgniarka weszła, włączyła światło i efektywnie odsunęła Vince'a z drogi by pochylić się nad łóżkiem.

Lisa zamrugała w ostrym świetle i próbowała się uśmiechnąć. — Cześć.

— O rety! — Pielęgniarka cofnęła się gwałtownie. Natychmiast powiadomię doktora i oczywiście jej rodzina będzie chciała wiedzieć...

— Oczywiście. — Próbował utrzymać sarkazm z dala od swojego głosu. Jej drogocenna rodzinka. Wrócili do Tampa, pewni, że nie będzie poprawy. Teraz, jak przypuszczał, wróćą, żądając, żeby zostawił ich czystą, liliowobiałą córeczkę w spokoju... Ostro wziął się w garść. Laura nie potrzebowała musieć radzić sobie z jego gorzkimi emocjami tuż po obudzeniu.

Popatrzył na nią niepewnie, ale wydawała się nieporuszona. Ten pełen wahania uśmiech, który pamiętał tak dobrze, wyginał jej bladoróżowe wargi.

— Hej. — Powiedział miękko. Chciał podbiec do niej i wciągnąć ją w mocne objęcia, ale to było zabronione. Doktor Katzenberg, jej neurolog, obawiał się, że jakkolwiek dotyk mógł być szkodliwy, biorąc pod uwagę jej hiperemпатię. Więc powstrzymał się i usiadł tylko ostrożnie na końcu jej łóżka. — Jak się czujesz?

Skrzywiła się. — Gówniano.

— Założę się. — W tym momencie był całkiem zadowolony, tylko na nią patrząc.

— Zaraz wrócę. — Pielęgniarka wypadła z pokoju.

Laura ziewnęła, nagle wyglądając na wyczerpaną. — Myślałam... nie mówiłeś, że masz samolot?

Vince uśmiechnął się do niej. *Wiedziałem, że mnie słyszy.* — Może poczekać. Nigdzie się nie wybieram.

Rozdział 35

Kiedy się obudziła, słońce jasno świeciło przez okno, a Vince ciągle siedział w tym samym miejscu, w nogach łóżka. Trójwymiarowe holomonitory, otaczające wezglowie łóżka migotały i popiskiwały cicho. Najwyraźniej wszystkie jej funkcje życiowe były w normie. Poza... Laura przyjrzała się jednemu z monitorów, pokazującemu obracający się, holograficzny obraz jej mózgu. Część wydawała się podświetlona na czerwono, może pokazując prawdopodobne uszkodzenia? Ona sama *czuła się* wystarczająco normalnie...

— Hej. — Powiedział Vince, przerywając jej koncentrację. Na jego twarzy pojawił się wielki uśmiech, wyglądający na wyraz ulgi, ale co dziwne, nie mogła tego wyczuć. Po intensywnym doznawaniu jego emocji w ulu Lepidów, to zdawało się dziwne, ale to prawdopodobnie tylko dlatego, że siedział z dala od niej i uważał, żeby jej nie dotknąć.

— Hej. — Niezbyt efektywnie spróbowała usiąść. Jej ciało było zeszywniałe i powolne, jak niechętne dziecko, niechące zrobić tego, co mu kazała.

Obserwował ją, wyglądając tak, jakby chciał móc pomóc. — Nie martw się o to. — Powiedział, kiedy udało jej się wygodnie ułożyć. — Lekarz mówi, że przez jakiś czas będziesz sztywna, dopóki się nie rozruszasz. To po prostu efekt bycia nieprzytomną przez tyle czasu.

— Nieprzytomną? — Zmieniła to słowo w pytanie, unosząc brwi.

Vince odwrócił wzrok. — W śpiączce.

— Ja... naprawdę? — Wydawało jej się, że pamięta coś o długim korytarzu z wieloma głosami, ale jej ostatnim, wyraźnym wspomnieniem była komnata królowej Lepidów.

Vince skinął głową, nadal na nią nie patrząc. Martwiło ją, że był tak daleko — że nie mogła go wyczuć.

— Ale... — Laura pokręciła głową. — Jak długo?

— Trzy miesiące.

— Trzy *miesiące*? — Ledwie mogła w to uwierzyć. — Byłeś tu przez cały ten czas? Czekaając, aż się obudzę?

Wzruszył ramionami. — Nie miałem nic lepszego do roboty.

— Vince, poważnie. — Spróbowała uchwycić jego spojrzenie.

— I tak musiałem zostać tu jakiś czas z Kyrą. — Powiedział, marszcząc brwi i patrząc Na swoje ręce. — Ona... lekarze myślą, że to miało coś wspólnego z byciem uwięzioną tyle czasu w obcym środowisku, a może po prostu z niedożywieniem, w każdym razie straciła dziecko.

Uniosła dłoń do ust. — Och, Vince — tak mi przykro.

— Nienawidzę tego mówić, ale prawdopodobnie tak jest najlepiej... Ono... — Znów spuścił wzrok, bezmyślnie skubiąc narzutę. — Było mocno zdeformowane. Pokazali mi je. Wyglądało, jakby próbowało wytworzyć skrzydła, jak... jak jeden z *nich*. Nie potrzebowała takiego źródła smutku. — Pokręcił głową, wyglądając na zasmuconego. Dziwnie było widzieć emocje na jego twarzy bez ich echa w swojej głowie. Zapragnęła, żeby przysunął się bliżej, ale nie wiedziała jak poprosić.²⁴

— Przykro mi. — Powiedziała znów, czując jakby to było za mało, ale nie mając pewności, co jeszcze powiedzieć. — Czy... dobrze się czuje?

Vince westchnął. — Kilka nocy temu rozmawiałem z babcią Gertie i powiedziała, że dobrze sobie radzi. Myślę, że jest wystarczająco młoda, żeby wrócić do siebie. Czas leczy rany i cały ten bełkot.

— Więc, jak dawno... — Pozwoliła zdaniu się urwać, uważnie przyglądając się jego twarzy.

Wyglądał, jakby czuł się niekomfortowo. — Trzymali ją przez około miesiąc — na obserwacji. Teraz jest z powrotem w Tampa, z babcią.

— Więc byłeś tu dwa miesiące, tylko na mnie czekając?

— Na to wygląda, prawda? — Wstał gwałtownie i podszedł do okna, wyglądając na zewnątrz. W jasnym świetle jego twarz wyglądała na zmęczoną i ściągniętą.

— Vince —

— Dużo może się wydarzyć przez trzy miesiące. — Powiedział, przerywając jej. — Mieliśmy wybory... kiedy wszystko się wydało, Brushard odniosła miażdżące zwycięstwo.

— Wydało? — Laura uniosła brwi w zmieszaniu.

— Pewnie. — Przytaknął. — Cały cholerny świat widział kapsuły, lądujące na ich własnych podwórkach. Kiedy wyszło na jaw, co powinny przenieść i jak to się stało, że w ogóle wylądowały, Harris został całkowicie zdyskredytowany.

— To dobrze. — Powiedziała Laura. — Zgaduję, że naród nie palił się do pomysłu kolejnych czterech lat z prezydentem, który wymienił dobry PR za życia swoich wyborców.

Vince prychnął. — Zwłaszcza za cenę inwazji obcych. Można śmiało założyć, że Harris nie wiedział, co planowały Tyłki — ich cykl godowy i w ogóle — ale kiedy to dostało się do wieczornych wiadomości, był ugotowany. Przy tym Watergate to jak spacer po parku.

— Więc... jeśli media dowiedziały się o tym i wyemitowały materiał, to ty musiałeś im o tym opowiedzieć. Chyba, że na statku był ktoś jeszcze. — Przyjrzała mu się, unosząc pytająco brwi.

²⁴ Bardzo prosto. „Mógłbyś usiąść bliżej?” Albo, biorąc pod uwagę, ile razem przeszli: „Nie rób jaj i rusz tu tę dupę.”

— Tylko my. — Uśmiechnął się do niej, przez moment błyskając białymi zębami.

Laura niespokojnie zmarszczyła brwi. — Ale... czy to nie było niebezpieczne? Opowiadanie o tym, co wiedziałeś? W końcu wiedzieliśmy już, że administracja Harrisa nie cofnie się przed niczym, żeby dostać to, czego chcieli.

Vince znów szeroko się uśmiechnął. — Tak, to mogłoby być niebezpieczne, gdyby nasza kapsuła nie wylądowała w samym środku medialnej burzy. Do czasu, kiedy mogliby do mnie dotrzeć, żeby mnie uciszyć, informacje o tym, co się działo, obiegały już cały świat. Złe wieści szybko się roznoszą.

— Na to wygląda. — Laura starała się utrzymywać cichy i równy głos. — Powiedziałeś, *wszystko* się wydało? — Zapytała. — To, eee, o nas też?

— Nie dokładnie *wszystko*. — Jego głos stwardniał lekko, ale wciąż był zbyt daleko by go *wyczuć*. — Okaż mi więcej zaufania — To, co było między nami, pozostało prywatne. Więc nie martw się, rodzice cię nie wydziedziczą. Wszyscy wiedzą tylko, że tam byliśmy i co widzieliśmy. Uważałem, żeby nie zagłębiać się zanadto w szczegóły.

— Na pewno wiesz, że nie to miałam na myśli. — Laura czuła, że jej policzki robią się gorące i spuściła wzrok na koc, okrywający jej nogi. Pomyślała o jego ustach na jej skórze, jego ustach, całujących ją... smakujących ją. Skrzyżowała ramiona na piersi, czując jedwabisty materiał, który miała na sobie. Ktoś ubrał ją w jasnozieloną koszulę nocną, której nigdy wcześniej nie widziała. Była dla niej za duża i wyglądała na coś, co mogła wybrać Gloria.

— Przepraszam. — Głos Vince'a był łagodniejszy. Wrócił i usiadł w nogach jej łóżka. — Po prostu twoi staruszkowie nie byli szczęśliwi, że tu jestem. Twój ojciec był nieźle wkurwiony, kiedy odmówiłem pójścia sobie.

Laura westchnęła. — Wyobrażam sobie.

— prawdopodobnie siedzą teraz w samolocie, żeby przylecieć się z tobą zobaczyć. Oni, uch, wrócili na jakiś czas do Tampa, kiedy sprawy nie wyglądały za dobrze.

— Nie wyglądały za dobrze? — Laura zagapiła się na niego, czując się zagubiona. Zdawało jej się, że pamięta echa, głosy mówiące, że to beznadziejne, że tracił czas. Nagle doznała objawienia. — Nie spodziewali się, że z tego wyjdę, prawda? Nie spodziewali się, że się obudzę?

Vince bez słów pokręcił głową.

Laura patrzyła na niego, chcąc wiedzieć co działo się za jego pustą twarzą. — Powiedzieli ci to, a ty i tak zostałeś. Dlaczego?

— Nie wiesz? — Jego głos był niski, ciemnoczekoladowe oczy proszące o zrozumienie. — Żeby być z tobą.

— Och, Vince... — Bezradnie pokręciła głową. — Jeśli to poczucie winy, po prostu zrobiłeś, o co cię prosiłam. Oboje znaleźliśmy ryzyko. — Nienawidziła tego, jak jej głos stał się oddalony i przyjął kliniczny ton, ale nie mogła tego powstrzymać.

— Wiesz, że nie chodzi o poczucie winy. To, co nas tam spotkało — stworzyliśmy więź. *Kocham* cię, Lauro.

Jego słowa, intensywność w tych brązowych oczach, sprawiły, że jej serce chciało wyrwać się z piersi, ale... Pokręciła głową, ciesząc się, że nie czuła palących ją, intensywnych emocji. — Prawie mnie nie znasz.

— Jak możesz tak mówić po tym, co razem przeszliśmy? — Wstał i zaczął chodzić w kółko na małej przestrzeni u stóp jej łóżka.

— Myślisz, że jesteś we mnie zakochany tylko dlatego, że w końcu zrzuciłam parę kilo. — Próbując zażartować, wskazała wiszącą na niej, jasnozieloną koszulę nocną. To dowód na to ile mogą zdziałać trzy miesiące płynnej diety. Wygląda na to, że w końcu zesłam do rozmiaru sześć — no, może osiem.

Vince zmarszczył czoło. — Nigdy nie podobały mi się chude dziewczyny. Kiedy wrócimy do Tampa, będę musiał cię trochę odkarmić. Namówię babcię, żeby przygotowała ci kilka tradycyjnych dań Afroamerykanów z Południa — odzyskasz trochę mięsa na kościach.

— Vince. — Powiedziała tak łagodnie, jak mogła. — W Tampa nie będzie żadnego „my”. Nie może być.

Dlaczego. Jego oczy błyskały, gniew powinien kłóć jej skórę jak żądłące iskry, ale ciągle nie mogła go *wyczuć*. Walnęła dłonią w koniec łóżka, a trójwymiarowy hologram jej mózgu podskoczył na monitorze po prawej. — Spójrz na mnie i powiedz mi, że nie czujesz do mnie tego, co ja do ciebie. Powiedz mi to teraz, a odejdę i nigdy nie wrócę.

— Ja... — Poczwała nadchodzące łzy i zamrugła, żeby je powstrzymać. — Nie mogę tego powiedzieć. Wiesz, że nie mogę.

— Więc, *dlaczego?*

Wybuchła. — Z powodu tego, co się stało ostatnim razem, kiedy... się kochaliśmy. Z powodu mojej ułomności. Myślisz, że podobałoby ci się życie z kobietą, której nie mógłbyś dotknąć — nie mógłbyś objąć?

— Udało mi się przez ostatnie trzy miesiące. — Powiedział ponuro. Podszedł bliżej, tak blisko, że czuła jego ciepły oddech na policzku i widziała agonię w jego oczach. — I nie tylko mi. Nikomu nie wolno było cię dotknąć. Polecenie lekarza. — Głos mu trochę zmiękł. — Nie obchodzi mnie to, skarbie — wyjdź za mnie.

— Vince, nie ma sposobu — Urwała, wpatrując się w niego. Coś było nie tak, ale nie mogła zorientować się, co takiego. Potem zrozumiała, co to było — Vince był tak blisko, że czuła na

policzku jego oddech i wyraźnie doświadczał silnych emocji. A jednak... jednak nie *wyczuwała* niczego. Ale jak to możliwe?

— Lauro, proszę. Musisz mi uwierzyć. — Wpatrywał się w nią, nieświadomy, że cokolwiek się zmieniło. Pochylił się w przód, poruszając łóżko i hologram jej mózgu znów się zakrzywił. Laura po raz pierwszy obróciła głowę, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Wtedy to zobaczyła.

Od czasu, gdy zdiagnozowano u niej hiperemпатиę, kiedy była dzieckiem, Laura przyzwyczaiła się do oglądania obrazów diagnostycznych własnego mózgu. Jak wiele przeszła skanów funkcjonalnej spektroskopii rezonansu magnetycznego zanim zaczęła choćby dorastać? Nie wspominając o tomografii komputerowej i tomografii metodą pozytronową, badaniach przepływu krwi — wszystkie pokazywały to samo — połączenie między jej układem limbicznym, a ciałem migdałowatym. To była podstawa jej hiperemпатii, powód, dla którego nie potrafiła odciąć emocji wszystkich wokół niej, dokładnie tak, jak to wyjaśniła Vince'owi. Ale teraz, kiedy wpatrywała się w obraz własnego mózgu, obracający się powoli na monitorze obok jej głowy...

— Wypalona... — Mruknęła, wpatrując się w obraz z koncentracją.

— Co? Lauro, skarbie, wszyscy czasem robimy się trochę zmęczeni, trochę wypaleni, ale wiem, że możemy sprawić, żeby to zadziało. — Vince patrzył na nią oczami wypełnionymi miłością i udręką, a ona nic z tego nie *wyczuwała*.

— Nie. — Pokręciła głową. — Wcale nie o to mi chodziło. Miałam na myśli to. — Wskazała obraz swojego mózgu. — Jest wypalona, Vince — ta ścieżka. — Popatrzyła na niego oczami lśnącymi z ledwie tłumionego podekscytowania. — To musiało się stać, kiedy byliśmy na pokładzie statku Lepidów. Kiedy... no wiesz. — Zarumieniła się.

Zmarszczył Brwi. Nie. Nie wiem. O czym ty mówisz, u diabła? Ja tu próbuję zapytać czy za mnie wyjdiesz, może nie zauważyłaś?

— Zauważyłam. — Uśmiechnęła się do niego, czując rosnącą nadzieję. Ale nie mogła dać się za bardzo ponieść. Musiała wiedzieć na pewno — sprawdzić swoją teorię.

— Dotknij mnie. — Zażądała, wyciągając rękę. — Teraz, Vince. Chcę, żebyś to zrobił.

Cofnął się lekko, patrząc na nią ostrożnie. — To może nie być bezpieczne. Nie chcę zrobić ci krzywdy.

— Zaufaj mi! — Poprosiła Laura. — Coś jest inaczej i muszę mieć pewność, że to, to co myślę. *Proszę*.

Ostrożnie, jak gdyby jej ręka była zrobiona z najdelikatniejszego kryształu i mogła rozsypać się przy najlżejszym kontakcie, Vince przycisnął swoją dłoń do jej. Laura zamknęła oczy, czekając na powódź emocji, która zaleje jej skórę kłującą falą —

Żadna nie nadeszła. Otworzyła oczy by ujrzeć uważnie obserwującego ją Vince'a.

— Co? — Vince wyglądał na zdumionego.

— Nic. — Ledwie potrafiła w to uwierzyć. — *Nic!* Nie czuję niczego.

— Nie mogę wyczuć twoich emocji. — Laura czuła się, jakby jej serce miało zaraz przestać bić. — Nie wyczuwam *żadnych*, twoich emocji. Powinno być ich tu tyle, żebyśmy ledwo mogła oddychać, ale czuję się *dobrze*. To, co stało się na statku Lepidów spaliło część mojego mózgu, robiącą ze mnie wrażliwą — straciłam moją hiperemпатię.

— Jesteś pewna? — Vince patrzył na nią poważnie, starannie splatając jej palce ze swoimi, gdy to mówił. — Naprawdę jesteś tego pewna, skarbie?

Laura popatrzyła na niego, wiedząc, że był jeden sposób, żeby stwierdzić to z całą pewnością. — Pocałuj mnie.

Pochylił się i schwycił jej usta. Początkowo łagodnie, ale Laura nie mogła tego znieść. Objęła go za szyję, ciągnąc go w dół, zagubiona w cudownym pięknie pocałunku, w którym nie czuła niczyich emocji, poza własnymi.

Koniec

Indeks Pojęć

1. Żywe tatuaże — ruchome tatuaże, którym mogą towarzyszyć odgłosy w modułu głosowego.
2. Moduł głosowy — mikroprocesor, wszczepiany pod skórę, umożliwiający dodanie efektów dźwiękowych do żywego tatuażu.
3. Message Buddy — mały komputer osobisty, niewiele większy od wideofonu. Posiada dużą przestrzeń dyskową na dane.
4. Wideofon — telefon komórkowy, przesyłający obraz na żywo z dźwiękiem.
5. Wzmacniacz transferencji dźwięku — urządzenie tłumaczące dźwięki muzyki na wizualne wzory.
6. Hologramy — Trójwymiarowe projekcje świetlne.
7. Hiperpunk — rodzaj muzyki rockowej.
8. Safe-t-Skin — antybiotykowa maść, stanowiąca również substytut sztucznej skóry, używana do leczenia niewielkich skaleczeń, oparzeń i ran.